

Kay Hooper

Labirynt
wiecznej miłości

REID I

MARY KILBOURNE

DAVID
(1907-1957)
poślubił w 1937
AMELIĘ STANTON
(ur. 1917)

JOHN
(1909-1979)
kawaler

ANDREW
(1912-1942)
poślubił w 1934
MARGARET DIXON
(ur. 1917)

JOHN

(1938-1967)
poślubił w 1963
MADELINE TRENT
(ur. 1941)

JULIA
(1940-1986)
poślubiła w 1965
PHILIPĄ RALSTONĄ
(ur. 1935)

TATE
(1935-1967)
poślubił w 1958
LYNN BAKER
(ur. 1938)

NICHOLAS
(1937-1990)
poślubił w 1967
WILŁĘ SAWYER
(ur. 1942)

DAVID
(ur. 1965)

IEL

PETER

(ur. 1968)
poślubił w 1993
CATERINĘ DeMITRI
(ur. 1973)

ANNE
RALSTON
(ur. 1966)

JEREMY
(1960-1992)
poślubił w 1987
JOSIE SEATON
(ur. 1962)

ALEX
(ur. 1969)

Prolog

24 grudnia 1954

Ostrożnie położyła lusterko na stole, bezwiednie zatrzymując na nim palce i wodząc po zawiłych splotach wypolerowanej mosiężnej ramy. W szeroko otwartych oczach, które napotykały jego spojrzenie, krył się niepokój.

- Dlaczego mi to mówisz? - zapytała drżącym głosem.

- Dlatego, że musisz wiedzieć. - Podszedł bliżej. Jej wyraźne strapienie wywołało lekkie napięcie na jego twarzy. - Nie widzisz, kochanie, co to znaczy? Nie rozumiesz?

- Nie wierzę w to.

- Catherine...

Pokręciła gwałtownie głową.

- Nie. Nie wierzę. Jakżeby mogła? Prosisz mnie, bym zapomniała wszystko, czego się w życiu nauczyłam.

Zdał sobie nagle sprawę, że popełnił błąd, mówiąc jej o tym. Catherine była zbyt religijna, a jej wiara zbyt głęboka, by mogła coś takiego zaakceptować - nawet jeżeli słyszała to z jego ust. Gdy spoglądał na jej wstrząśniętą twarz, ogarnął go lodowaty niepokój.

- W porządku, kochanie - rzekł uspokajająco. - To tylko mój wymysł, nic więcej. Ponieważ tak bardzo cię kocham, po prostu wydaje mi się...

- Nie. - Patrzyła nań jak na obcego, którego pomysły były szokujące. - Ty w to wierzysz. Ty naprawdę w to wierzysz.

Chciał zaprzeczyć, powiedzieć cokolwiek, żeby zmasować przerażenie z oblicza Catherine i usunąć wyraz lęklivego oszołomienia z jej oczu. Ale istotnie wierzył w to, co powie-

dział, a zbyt dobrze znał siebie, by sądzić, że potrafi to ukryć - zwłaszcza przed nią.

- Czy to naprawdę nie jest obojętne? - zapytał, próbując zbagatelizować problem. - Jest przecież wiele spraw, w których się nie zgadzamy, o których myślimy w odmienny sposób. Dlaczego akurat ta miałaby mieć znaczenie?

Z twarzy Catherine zniknęły ostatnie ślady rumieńca.

- Chcesz powiedzieć, że... że cały czas chodziłeś ze mną do kościoła, ale nie wierzyłeś? Że nie masz w sobie wiary? Że mnie... okłamywałeś?

- Nie okłamywałem. Po prostu wierzę w odmienną interpretację słowa bożego, i to wszystko. W odmiennie wyjaśnienie...

Catherine odsuwała się od niego z wyrazem udręki w oczach.

- Ja... ja ciebie w ogóle nie znam - powiedziała półgłosem. - Jak mogę posłubić człowieka, o którym nic nie wiem?

- Catherine... - Wyciągnął ku niej rękę, ale ona odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Przez chwilę stał, przepelnięty lękiem, z głęboką świadomością, że oto popełnił największy błąd w swoim życiu. Usłyszał, jak pęknięty tłumik jej poobitkiwanego gruchota ożywa z głośnym rykiem, i serce podeszło mu do gardła; puścił się biegiem do drzwi. Na dworze lato, droga była śliska niczym szkło, a Catherine nie należała do najepszych kierowców...

Gdy jej samochód, zarzucając tyłem, ruszał przed domu, wsiadł do swojego auta i pospiesznie uruchomił silnik. Wiedział, dokąd Catherine pojedzie. Do kościoła, gdzie zanosiła wszystkie swoje życiowe problemy. Kościół jednak znajdował się na drugim końcu miasta, miała do pokonania zbyt wiele serpentyn i stromych wzgórz, jak na szybką jazdę w ulewnym deszczu.

Wydawało mu się, że nie stracił dystansu, ale widoczność była ograniczona i klnąc pod nosem, musiał zwolnić. Czuł, jak opony ślizgają się i tracą przyczepność nawet przy mniejszej prędkości; po plecach przepływały mu lodowate fale.

Nic jej nie grozi. Nie może jej grozić. Jej Bóg będzie nad nią czuwał.

Kiedy jednak dotarł na szczyt jednego z wielu zdradliwych

wzgórz, reflektory jego auta wyłowiły z mroku wyłom w starym, nędznym, drewnianym płocie, który służył za barierę ochronną. Oszalały ze zdenerwowania zatrzymał samochód i gwałtownie otworzył drzwi, wykrzykując jej imię. W ciągu kilku sekund, których potrzebował, by dotrzeć do luki w ogrodzeniu, przemókł do suchej nitki; woda zalewała mu oczy i oślepiła go tak, że zanim zdołał się zatrzymać, omal nie przeleciał przez krawędź skarpy.

Przetarł oczy i w strugach zacinającego deszczu spojrział w dół.

Mignęła błyskawica, na ułamek sekundy ukazując obraz tego, co się tam znajdowało. Ujrzał samochód Catherine przechylony pod nieprawdopodobnym kątem; czerwona tona pod spodem była piekielnym światłem ogromnego niebezpieczeństwa. Ruszył naprzód, ślizgając się w błocie i myśląc jedynie o tym, by dotrzeć do narzeczonej.

Zostało mu jeszcze jakieś sześć metrów, gdy rozległ się głuchy huk i eksplozja na moment poderwała auto w powietrze. Gorący podmuch zwałił go z nóg. Zanim z trudem usiadł, samochód ogarnęły płomienie.

Sparaliżowany przerażeniem, czując pierwsze, ostre jak brzytwa spazmy, ujrzał w okrutnym świetle płonącego ognia rękę Catherine. Spoczywała na krawędzi okna, bezwładna i zupełnie nie pokaleczona rozrzuconym wokół szkłem. Na środkowym palcu jaskrawo połyskiwał, niczym drwiąca obietnica, zatęczywszy pierścionek z brylantem.

Rozdział 1

dzimne intrygi są od pokoleń pożywką dla gazet. Wiesz, że stara Amelia Kilbourne zabiła ponoć swego męża? A syn Amelii, jak wszystkim wiadomo, umarł w zagadkowych okolicznościach, gdy jego dwaj synowie byli jeszcze dziećmi...

Laura z powrotem nasunęła okulary na nos i pokręciła głową.

- Nawet zakładając, że którakolwiek z pogłosek o tym, co „ponoć” i Jak wszystkim wiadomo” się stało, jest prawdą, czy ty liczysz, że zobaczysz lub usłyszysz cokolwiek interesującego na tej aukcji? Założę się, że jeśli w ogóle będzie tam ktoś z rodziny, to wyłącznie w pokojach niedostępnych dla ogółu, odgradzonych atlasowymi sznurami.

Tym razem to Cassidy zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa i spojrzała na Laurę z równie dużym zainteresowaniem.

- Och, cały dom jest niedostępny. Aukcja odbywa się na bocznym dziedzińcu. Z tego, co słyszałam, kiedy syn marnotrawny wrócił do domu, mocno chwycił za ster. I nie ma mowy, by pozwolił obcym włóczyć się po rezydencji, którą odziedziczył po przodkach - nawet gdyby rzeczywiście chciał im sprzedać parę świecidełek.

- Syn marnotrawny? - zapytała mimowolnie Laura.

- Daniel Kilbourne. Najstarszy wnuk Amelii. Był na północy, powiększył rodzinny majątek. O ile dobrze zrozumiałam, to jakiś pierwszorzędny specjalista od finansów. W każdym razie Amelia doszła do wniosku, że poddasze i piwnice domu wymagają opróżnienia i ogłosiła wyprzedaż. Ale zanim zdołano powiedzieć „start”, zjawił się Daniel, by wszystko przygotować.

- Czy jest coś, czego te twoje gazety nie wiedzą?

Cassidy wybuchnęła śmiechem i wyciągnęła się na leżaku, nasuwając z powrotem okulary.

- Niewiele. Na przykład matka chłopców, Madeline, jest podobno potulna, łagodna i nie ma absolutnie nic przeciwko temu, by mieszkać w domu Amelii i robić to, czego ta sobie życzy. Natomiast obydwu jej synom wszystko uchodzi płazem - Danielowi dlatego, że i tak robi, co mu się podoba, na przekór starszej pani, a Peterowi, bo wykorzystując swój urok, skłania ją do ustępstw.

- To nam zajmie tylko parę godzin, zapewniam cię. Zgódź się, Lauro... będzie świetna zabawa.

Laura Sutherland zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa, by zerknąć na swoją towarzyszkę, i skrzywiła się, oślepiona jaskrawym południowym światłem odbijającym się od błękitnej wody w przydomowym basenie.

- Dla kogo? Przecież wiesz, że nie znoszę staroci.

Wylegając się w gorącym słońcu niespełna metr od ukrytej w cieniu parasola przyjaciółki, Cassidy Burke wtarła w brązowe udo kolejną porcję olejku do opalania i jęknęła ze zniechęceniem.

- To nie będą tylko starocie. Z tego, co słyszałam, wystawione zostaną przedmioty wszelkiego rodzaju - i meble we wszystkich stylach. Poza tym czy to nie ty zawsze chciałaś się dostać do posiadłości Kilbourne'ów?

- Nieszczęśliwie. - Laura spojrzała z zazdrością na szybko opalającą się Cassidy i przesunęła się nieco, by przypadkiem nie wysunąć ramienia spod parasola. Życie było naprawdę niesprawiedliwe. Blondwłosa i błękitnooka Cass powinna się usmażyć w tak upalny dzień. I co? I nic. Opaliła się na zlocistobrazowo. Natomiast Laura w ogóle się nie opalała; obdarzona była na swe nieszczęście niezwykle jasną skórą i słońce albo ją oparzało, albo osypywało całe ciało piegami. W efekcie była biała jak ściana - a przecież kończyło się kolejne długie lato spędzone w Atlancie.

- Nie jesteś ciekawa, jak wygląda? - zdziwiła się Cassidy. - Kilbourne'owie mieszkali w Atlancie na długo przedtem, zanim przemaszetowały tędy wojska Shermmana, a ich ro-

- Uroczą rodzinka - zauważyła oschle Laura.
- Poznałaś zaledwie drobną część faktów. Wierz mi, to przypomnia telenowelę! Starsza pani formalnie nadal sprawuje nadzór nad większością rodzowego majątku, ale tak naprawdę od wielu lat wszystkim rządzi Daniel, który podobno musi na każdym kroku toczyć boje z Amelią. Jest ponoć bezlitosny. Dzięki jakiemuś porozumieniu prawnemu, które małżonkowie zawarł tuż przed tym, jak utonął we własnym basenie, po jej śmierci wszystko ma odziedziczyć Daniel. Cały majątek. A wtedy reszta rodziny będzie musiała być dla niego bardzo miła albo poszukać sobie pracy.
- Powinnaś wiedzieć, że w domu Kilbourne'ów mieszka też kilkoro krewnych. Josie Kilbourne, spokrewniona chyba przez małżeństwo, drze koty z wnuczką Amelią, Anną - której matka rzekomo zmarła w tajemniczy sposób i...
- Laura uniosła rękę w geście protestu.
- Dostyć! Już się pogubiłam.
- Nie wspominałam jeszcze o żonie Petera, Kerry - ciągnęła niewinnym głosem Cassidy. - Nie chcesz dowiedzieć się czegoś o niej i o ich szoferze?
- Chryste, a jest jakiś normalny, nieciekawy Kilbourne?
- Wygląda na to, że nie ma. Istna kopia *Dynastii*.
- Laura pokręciła głową.
- No cóż, tak czy owak aukcja mało mnie interesuje. A jeszcze mniej - Kilbourne'owie. Mam ciekawsze zajęcia na sobotni ranek, dzięki.
- Cassidy uśmiechnęła się nieznacznie i nie patrząc na przyjaciółkę, mruknęła:
- Założę się, że będą mieli lustra. W tak dużym domu z pewnością. Tylko pomysły - lustra. Stare, Bóg jeden wie sprzed ilu lat. Lustra, których nie mogłabyś znaleźć nigdzie indziej...
- Jesteś diablicą - stwierdziła po chwili Laura.
- Cassidy odwróciła głowę i uśmiechnęła się szeroko do przyjaciółki.
- Pojedziemy moim samochodem. Aha... pożyczysz mi swoją niebieską bluzkę?

Odkąd Laura sięgała pamięcią, obsesja na punkcie luster była częścią jej życia. W latach dzieciństwa rodzice naigrawali się z jej próżności, nie rozumiejąc, że wpatrywała się w lustro tak zawzięcie wcale nie po to, by zobaczyć w nich swoje odbicie. Szukała w nich czegoś, czego nawet sobie nie umiała wytłumaczyć.

Dojrzewiając, nauczyła się bagatelizować swoją obsesję, tak samo jak nauczyła się lekceważyć inne niewytłumaczalne uczucia, które odróżniały ją od ludzi z jej otoczenia. Zmieniła swe dziwactwo w coś, co można było zaakceptować. Stała się kolekcjonerką. Zbierała zwierciadła i lusterka ręczne. Niektóre wzbudzały to zdziwienie, ale nikt nie uważał, że jest to do wodom szaleństwa. W końcu wielu ludzi kolekcjonowało dziwne rzeczy.

Nadal naigravano się z niej czasami, ale najbliżsi, chcąc jej sprawić prezent, zawsze szukali lusterek, ponieważ przyjmowała je z niesłabnącym zachwytem.

Nikt jednak, ani rodzina, ani nawet Cassidy, która była najbliższą przyjaciółką Laury, nie wiedział, jak głęboko w niej tkwi ta obsesja. Nie wiedzieli, że nadal spogląda w każde napotkane lustro nie po to, by sprawdzić fryzurę albo makijaż, lecz w ciągłym poszukiwaniu czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Nie wiedzieli, że jej kolekcja to nie tylko tych trzydzieści eksponatów wystawionych w mieszkaniu; zbiory były o wiele większe.

W mniejszej sypialni, która służyła Laurze za magazyn, zgromadziła dosłownie setki lusterek ręcznych. Oczywiście nie kupowała każdego, jakie zobaczyła. Niektóre były zbyt duże albo zbyt małe, zbyt ozdobne albo zbyt proste, lub też nie odpowiadał jej materiał, z którego je wykonano. Laura nie miała określonych wymagań, zawsze jednak od razu wiedziała, że lustro po prostu się „nie nadaje”. A jednak, bez względu na to, jak bardzo była początkowo podniecona zakupem, w końcu wszystkie zdobyte pozostawiała w niej uczucie nieokreślonego niedosytu.

Przyszło jej kiedyś na myśl, że widać szuka konkretnego lusterka, nie miała jednak pojęcia, dlaczego musi to robić. Ani czym jest dla niej to lustro. Nie miała nawet jasnego wyobrażenia, którym mogłaby się kierować, a jedynie prze-

błyski intuicji oraz świadectwo zgromadzonych przez lata zwierciadeł. Patrząc na nie, wyczuwała, że chodzi o dość małe lusterko ręczne, wykonane z jakiegoś metalu, z misternym wzorem na ręczce i spodzie.

Nie rozumiała, dlaczego szuka go tak zawzięcie ani co może ono dla niej znaczyć. Wiedziała tylko, że nie może przepuścić szansy znalezienia nowego cudownego lusterka, tak samo jak nie mogła świadomie powstrzymać bicia swego serca.

Posiadłość Kilbourne'ów znajdowała się w starej, luksusowej dzielnicy na przedmieściach Atlanty, dość daleko od drogi, a otoczona była ogrodzeniem z czerwonej cegły i kutego żelaza. Dom stał wśród okazałych dębów na trzydziestu akrach idealnie wypielegnowanej, starannie zaplanowanej i perfekcyjnie ukształtowanej ziemi. Różne pisma i towarzystwa historyczne przyznawały jej miano najpiękniejszej posiadłości w Atlancie przez tyle lat, że ostatnio nieoficjalnie wycofano ją z grona kandydatów, żeby również inne rezydencje mogły się ubiegać o ów zaszczytny tytuł.

Ogromny dom był bardzo charakterystyczny dla Południa, zbudowany w stylu plantacyjnym, typowym raczej dla wiejskich rezydencji nadrzecznych w Luizjanie. Podwójne galerie z sześcioma kolumnami w porządku doryckim na każdym poziomie ciągnęły się przez cały front głównej części budynku, zamkniętej dwoma dużymi skrzydłami. Detale architektoniczne tworzyły mieszankę z kilku okresów - od kolumn doryckich, poprzez klasyczne proporcje i symetrię aż po francuskie i barokowe dodatki.

Laura ku swemu zaskoczeniu natychmiast zakochała się w rezydencji Kilbourne'ów. Nigdy dotąd na widok nawet najpiękniejszego domu, a jako malarzka potrafiła docenić piękno, nie poczuła ochoty go namalować ani chęci, by wejść do środka i zbadać jego zakamarki.

Co nie znaczy, oczywiście, że było to możliwe. Domu nie portretowano od 1840 roku, a podczas dzisiejszej aukcji doświadczył tego jego wnętrzni, jedyni członkowie rodziny. W pobliżu stali umundurowani strażnicy, pilnujący, żeby nikt nie wszedł do środka ani nie zapuścił się w głąb słynnych rozległych ogrodów.

- Biorąc pod uwagę, jak wiele ze swoich interesów Kilbourne'owie prowadzą na forum publicznym, strasznie nerwowo reagują na obecność obcych - mruknęła Laura.

Cassidy przytaknęła z błyskiem zaciekawienia w oczach.
- I raczej nie żartują. Chyba potulnie pójdziemy wyznaczoną trasą, co?

- Pewnie tak.

Z szerokiego podjazdu przed frontem domu, gdzie poleceno im zaparkować, na dziedzińcu znajdujący się na jego tyłach, tuż przed wielkim, pustym garażem, biegła wokół północnego skrzydła wyraźnie i w niewyszukany sposób oznaczona ścieżka. Wszystkie drzwi do garażu były otwarte, a na dziedzińcu ustawiono również kilka długich stołów, tak by przed aukcją można było obejrzeć wszystkie przedmioty.

Żeby dostać numery licytacyjne, Laura i Cassidy, podobnie jak wszyscy obecni, musiały najpierw zatrzymać się przed stanowiskiem rejestracyjnym i okazać ważne dokumenty tożsamości. Z numerami w dłoniach ruszyły w stronę garażu, w którym spacerowało już kilkadziesiąt osób, mimo że aukcja miała się rozpocząć dopiero za dwie godziny.

- Wygląda na to, że duże meble stoją raczej w głębi - za uważyła Cassidy, wodząc wzrokiem po dziedzińcu. - Mniej sze rzeczy są chyba w tamtym kącie. Słuchaj, skoro ja poszukuję stolika do sypialni, a ty luster, to może się rozdzielimy? Spotkamy się tutaj, w miejscu, gdzie odbędzie się aukcja.

Laura, która dostrzegła właśnie w oddali błysk jakiegosińskiego przedmiotu, przytaknęła z roztargnieniem na znak zgody i ruszyła najkrótszą drogą w stronę środkowych drzwi garażu. Wnętrze było dobrze oświetlone i - zważywszy na poranny chłód - przytulne. Po przeciwległej stronie garażu ustawiono półki na drobne przedmioty i właśnie tam ciągnęła Laurę.

Była właściwie sama, ponieważ większość oglądających zaczęła od drugiego końca i jeszcze nie dotarła do tej części pomieszczenia. Żadne hałasy nie mały ciszy, uczestnicy aukcji poważnie potraktowali swe polowanie na okazję, stawali się nie podnosić głosu i skupić uwagę na oglądanych eksponatach.

Laura oglądała wszystko bardzo pilnie. Najpierw spo-

strzegła kilka luster ściennych, wiszących razem koło drzwi, i ich widok, jak zawsze, ją zwabił. Obejrzała wszystkie, zwracając jedynie przelotną uwagę na pięknie rzeźbione i złożone ramy. Jej spojrzenie przyciągały jasne, odbijające światło powierzchnie. Przed każdym lustrem stała co najmniej minucie, wpatrzona z przejęciem w odwrócony obraz pomieszczenia za swoimi plecami. Temu właśnie przyglądała się tak badawczo; nigdy nie zwracała uwagi na własne odbicie, a jedynie na to, co znajdowało się za nią.

Cokolwiek jednak miała nadzieję zobaczyć, pozostało ułotne i niewytłumaczalne. Jak zawsze rozczarowana odwróciła się, wdychając, i ruszyła wzdłuż najbliższego rzędu półek. Ujrzała na nich mniej więcej to, co spodziewała się zobaczyć, zważywszy na to, że poddasze i piwnice rezydencji Kilbourne'ów zostały opróżnione z rzeczy przechowywanych od pokoleń, które się zepsuły lub przestały podobać. Stare wazony i statuetki, ozdobne misy, świeczniki, para pięknych, wykonanych z brązu podpoków na książki, kilka małych lamp, zdobione ramy do obrazów, zegary, stosy starych książek i cała reszta.

Szła wolno, zauważając w zadumie, że część przedmiotów opatrzone ceną ustalającą dolną granicę licytacji, a więc licytator nie będzie mógł przyjąć niższej oferty. Inne przedmioty nosiły tylko numery, oznaczało to, że dostaną się osobie, która zaoferuje najwyższą cenę, nawet jeśli to będzie tylko kilka dolarów.

Laura dostrzegła parę dość kuszących drobiazgów, ale dopóki nie dotarła do ostatniego rzędu półek, tak naprawdę nie wpadło jej w oko. W połowie rzędu, na środkowej półce, z dala od reszty eksponatów leżało lustro.

Miało około dwudziestu centymetrów długości i wykonane było chyba z mosiądzu, aczkolwiek metal przykrywała tak gruba warstwa śniedzi, że trudno było mieć pewność. Na ręczce widniał zawiły spiralny wzór, wytłoczony lub wycięty z obu stron, natomiast szkło, przypominające kształtem serce, ujęte było delikatnie w ramkę z jeszcze bardziej skomplikowanym wzorem. Laura nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, że na odwrocie również wytłoczony jest spiralny wzór; nie roz-

poznała go, a jednak miała dziwne uczucie, że gdzieś go już widziała.

Co więcej, miała pewność, absolutną pewność, że tego właśnie lusterka szukała całe życie. Znała je. Czula to.

Serce waliło jej w piersi. Ręka jej drżała, gdy wyciągnęła ją powoli, by dotknąć zwierciadła. Początkowo muskała je tylko, wodząc wskazującym palcem po skomplikowanym wzorze wytłoczonym w metalu. Potem, jakby precyzyjnym wszystkich ruchów była niezmiernie ważna, ujęła rączkę i podniosła ciężkie lustro.

To, że zamknęła oczy, uświadomiła sobie dopiero wtedy, gdy znalazło się przed jej twarzą. Bała się spojrzeć. Bała się tego, co zobaczy - lub nie zobaczy. Nagle przeraziło ją, że najdzie wyjaśnienie swej zagadkowej obsesji.

W końcu jednak zacerpnęła powietrza i otworzyła oczy.

Ujrzała siebie. Rude włosy i zielone oczy. Twarz jeszcze bledsza niż zwykle. Twarz, która jakoś nigdy nie była tym, co Laura spodziewała się zobaczyć. A w tle widziała rzędy półek zapełnionych przedmiotami oraz jasny prostokąt otwartych drzwi garażu.

I nic więcej.

Więc tajemnica wyjaśniona tylko w połowie. Laura była pewna, że to właściwe lustro, nadal jednak nie miała pojęcia, co poza swoim odbiciem spodziewała się w nim ujrzeć. Ani czy kiedykolwiek to ujrzy.

Po chwili delikatnie odłożyła lustro na półkę. Nie odeszła jednak, lecz stała tam, spoglądając na nie i dotykając go raz po raz, oczekując na zapowiedź rozpoczęcia aukcji.

- Jest okropne - powiedziała Cassidy, odrywając spojrzanie od drogi, by rzucić okiem na zwierciadło, spoczywające na kolanach Laury. - I dałaś za nie tylko pięć dolarów. Jak może być autentyczne, skoro tyle kosztuje?

- Gdy je wypoleruje, przestanie wyglądać okropnie - odparła Laura. - I wiesz równie dobrze jak ja, że na aukcjach można trafić niezłą okazję. To lustro jest stare, Cass. Naprawdę stare.

- To jeszcze nie czyni go pięknym.

- Zrzedzisz, bo ten facet przelicytował cię w walce o stolik, który chciałaś kupić.

- To był mój stolik - powiedziała dość gwałtownie Cassidy, w głębi swego zaborczego serca oburzona jego utratą.

Laura, choć roztrągniona, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu; cały czas nie odrywała wzroku od lusterka. Nadal była równie poruszona i uradowana jak w chwili, gdy je ujrziała; nie mogła się już doczekać powrotu do domu i usunięcia z lustra patynny lat. Chciała je dokładnie obejrzeć, zbadać zawity wzór na ramie, dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Wyczuwała jakiś wyłoczenie w mosiadzu na spodzie, liczby lub litery umieszczone dyskretnie w obrębie wzoru, lecz śniędz i wpływ czasu spowodowały, że nie mogła ich odczytać.

Na rączce widoczna była szczerba, jakby od uderzenia o ostrą krawędź. A także wytarta plama w miejscu, gdzie przez lata wielokrotnie musiał spoczywać kciuk. Laura miała pewność, że oryginalne szkło stłukło się i zostało wymienne.

To lusterko niewątpliwie mogłoby wiele powiedzieć, pomyślała.

- ...ale z drugiej strony mogłabym wiecznie mówić do siebie.

Laura zamrugala gwałtownie i spojrzala na przyjaciółkę.

- Och, przepraszam.

- Nie szkodzi. - Cassidy z kwaśną miną pokręciła głową.

- Jesteśmy w domu. - Właśnie skręcała swoją dwuletnią mazdą na osiedlowy parking.

- Naprawdę mi przykro, że przegrałaś licytację.

- Och, nie przejmuj się tym cholernym stolikiem. Przepuszczam, że aż do wieczora będziesz się zachwycała swoim lusterkiem i nie w głowie ci jakiegokolwiek towarzystwo.

- Nigdy się nie zachwycałam - zaprotestowała łagodnie Laura. - Ale rzeczywiście zamierzałam spędzić resztę dnia w domu. - Nie próbowała usprawiedliwić pragnienia zamknięcia się ze zwierciadłem, gdyż widziała, że Cass tego i tak nie zrozumie. *Do diabła, przecież sama tego nie rozumie!*

Weszły do holu budynku, pomachały strażnikowi i pojechały windą na górę. Cassidy, wciąż w nie najlepszym nastroju, wysiadła na drugim piętrze, oświadczając, że ma zamiar

zamówić na lunch pizzę i spędzić resztę popołudnia na basenie. Laura pojechała do siebie na trzecie piętro.

Obie mieszkały w tym budynku od pięciu lat; po raz pierwszy spotkały się w pralni i natychmiast przypadły sobie do gustu. Obie pochodziły z wielodzietnych rodzin, z którymi jednak nie utrzymywały teraz zbyt bliskich stosunków, i mając po raz pierwszy w życiu czas i miejsce dla siebie, nie spieszyły się do zamiany panińskiego życia na małżeństwo lub dzieci. Cassidy pracowała w banku i uważała pracę Laury, która była grafikiem, za znacznie bardziej fascynującą od swego zajęcia, natomiast Laura zazdrościła Cass swobody w kontaktach z ludźmi i umiejętności flirtowania.

Sama nie flirtowała i z natury lubiła samotność. Zawsze była bardzo uczuciowa - być może z uwagi na swe twórcze zdolności - i być może dlatego wystrzegala się przypadkowych związków. Miała oczywiście przyjaciół, ale z większością widywała się rzadko; wyjątek stanowiła Cassidy.

Jeśli chodzi o mężczyzn, to po ukończeniu college'u dwukrotnie zaangażowała się w znajomości na tyle poważne, by planować wspólne spędzenie świąt w swoim rodzinnym domu, żaden z partnerów jednak nie zdążył dotrzeć do marmarza nadmorskiego miasta w Georgii, gdzie dorastała. Do zerwania dochodziło, zanim wszystkim zaczęły się przejeżdżać światła i blichrz śródmieścia Atlanty. Laura brała na siebie winę za rozstania, wiedząc, że w dni świąteczne bywa marnokotna i sentymentalna. Pokrzepiała się jednak myślą, iż kiedyś ktoś na pewno zrozumie jej dziwne kaprysy i nastroje.

Tego dnia pragnęła po prostu zostać sam na sam z lusterkiem.

Weszła do swego narożnego mieszkania, które dzięki wielu oknom, wychodzącym zgodnie z jej życzeniem na południowy wschód, było jasne i przewiewne. Małą kuchnię od znacznie większego salonu oddzielał bar z dwoma wysokimi stołkami, zastępujący stół jadalny, którego z kolei miejsce zajmowała deska kreślarska, a czasami sztalugi i stółek.

Teraz też na sztalugach stał na wpół ukończony obraz, jej najnowsza próba sprawdzenia, czy naprawdę potrafi malować i czy mogłaby tym zarabiać na chleb, zamiast pracować nad makietami reklam i temu podobnymi rzeczami. Wyrok

brzmiał „nie”; do tego wniosku przygnębiona Laura doszła przed paroma dniami. Bez względu na to, jakiej iskry potrzeba było do rozpalenia twórczej duszy malarza, ona z pewnością nie miała jej w sobie. Przynajmniej na razie. Nie chciała jednak zrezygnować. Może pewnego dnia...

Z prawej strony salonu, obok drzwi, które prowadziły do krótkiego korytarza i dwóch sypialni, wystawiona była na pokaz jej kolekcja luster ręcznych - niektóre na półkach w szafce, inne pomysłowo zawieszane na ścianie. Zwierciadła były najróżniejsze - w ramach wykonanych z mosiądzu, srebra i srebrnej blachy, miedzi, stopu cyny z ołowiem oraz w dwóch przypadkach z błyszczącego drewna. Różniła je też wielkość, od niewiele większych od dłoni do niemal pięćdziesięciocentymetrowych, a same szkła miały prawie wszystkie możliwe kształty. Było nawet jedno trójkatne lustro oprawione w kute żelazo.

Laura nawet nie rzuciła na nie okiem.

Weszła do salonu, rzuciła torebkę na fotel i zatrzymała się tylko po to, by ostrożnie położyć nowe lustro na wypolerowanym blacie drewnianego stolika kawowego, po czym ruszyła w poszukiwaniu rzeczy potrzebnych do czyszczenia cennego nabytku.

Po piątej tego samego popołudnia zadzwonił portier, żeby zapowiedzieć przybycie gościa.

- Kto to taki, Lany?

- To pan Peter Kilbourne, panno Sutherland - odparł portier, zupełnie nieswiadom poruszenia, jakie wywołał. - Mówi, że chodzi o lustro, które pani dzisiaj kupiła.

Przez chwilę Laura miała nieprzepartą ochotę, by chwycić zwierciadło i uciec. Sama nie wiedziała dlaczego, lecz paniczny strach był tak ogromny, że aż ją zmroził. Na szczęście trwało to krótko - racjonalny umysł Laury domagał się odpowiedzi, czemu u licha czuje się tak zagrożona. Przecież na była lustro w legalny sposób i nikt nie miał prawa go jej odebrać. Nawet Peter Kilbourne.

- Dziękuję, Lany, wpuść go - powiedziała, starając się opanować niepokój.

Odnalazła buty, włożyła je na nogi i roztargnionym ruchem

przyglądała parę kosmyków, które wymknęły się z długiego workocza opadającego na plecy. Tak naprawdę jednak wcale się nie zastanawiała nad własnym wyglądem. Czekaając na niespodziewanego gościa, stała koło kanapy i cały czas spoglądała na lustro leżące na stoliku na kilku warstwach gazet.

Teraz, po wielu godzinach ciężkiej pracy, wyglądało zupełnie inaczej. Stary mosiądz jaśniał wspaniałą, ciepłą, rudoczną barwą, a na jego tle wyraźnie rysował się wyszukany, odrobinię ciemniejszy ornament wytłoczony w metalu. Był to dziwny wzór, nie roślinny, jak w przypadku większości jej luster, lecz rodzaj spiralnego ciągu pętli i luków, które, jak założyła, w rzeczywistości tworzyły jedną linię - wzór przypominający labirynt.

I właśnie w pobliżu środka tego labiryntu Laura dostrzegła cyfry czy też litery wytłoczone w mosiądzu, ponieważ jednak nie skończyła jeszcze polerować odwrotnej strony lusterka, wciąż nie wiedziała, co ów napis znaczy, jeśli w ogóle coś znaczył.

Ciche pukanie do drzwi przerwało jej myśli. Idąc na powitanie gościa, Laura zebrała się w sobie. Nie miała żadnego szczególnego wyobrażenia o Peterze Kilbourne, ale na pewno nie spodziewała się, że otworzy drzwi najprzystojniejszemu mężczyźnie, jakiego kiedykolwiek widziała. Nie byłaby bardziej zaskoczona, gdyby nagle ożył kamienny posąg ucieleśniający ideał męczyzny i stanął przed nią z uśmiechem. Peter Kilbourne był takim właśnie ideałem. Czarne włosy, jasnoniebieskie oczy, ołśniewający uśmiech, idealne rysy. A jego urok był czymś niemal namacalnym, w jakiś niewytłumaczalny sposób oczywistym, i to zanim jeszcze przemówił głębokim i ciepłym głosem.

- Panna Sutherland? Nazywam się Peter Kilbourne.

Głos łamiący serce.

Laura ochłoneła i cofnęła się, otwierając szerzej drzwi, żeby go wpuścić.

- Proszę wejść. - Pomyślała, że jest mniej więcej w jej wieku, może parę lat starszy.

Kilbourne wszedł do salonu, badawczo obrzucił wzrokiem otoczenie; na stoliku dostrzegł lustro. Pewnie zdziwił się,

ujrząwszy całą kolekcję, ale tego Laura nie mogła być pewna. Gdy odwrócił się twarzą do niej, uśmiechnął się z całym swym wdziękiem.

Niepokojące było to, jak błyskawicznie i potężnie podziałała na nią ów magnetyzm. Laura nigdy nie uważała się za osobę ulegającą męskiemu czarowi, ale wiedziała z całą pewnością, że temu mężczyźnie trudno będzie się oprzeć - bez względu na to, czego od niej chciał. Zbyt niespokojna, by prosić go, żeby usiadł, stała po prostu z ręką na oparciu fotela i przyglądała mu się z - taką miała nadzieję - bladym, grzecznym uśmiechem.

Jeżeli Peter Kilbourne uznał, że Laura jest nieuprzejma, nie dał tego po sobie poznać. Nieznacznym ruchem ręki wskazał na stolik i rzekł:

- Widzę, że zadała sobie pani wiele trudu, panno Sutherland.

Laura zdolała wzruszyć ramionami.

- Było strasznie zaśnieżone. Chciałam się lepiej przyjrzeć wzorowi.

Kilbourne skinął głową, przez chwilę spoglądając w ślad za jej spojrzeniem na zbior luster.

- Ma pani prawdziwą kolekcję. Czy... zawsze zbierała pani lustra?

Pytanie wydawało się jej dziwne, może dlatego, że w głosie Kilbourne'a dosłyszała pewne wahanie, a w oczach ujrzała lekkie zaskoczenie. Mimo jednak kolejnej gwałtownej fali niepokoju odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Właściwie to od dzieciństwa. Rozumie więc pan, dlaczego kupiłam to lustro na dzisiejszej aukcji.

- Owszem. - Wsunął ręce do kieszeni ciemnych spodni, rozchylając jednocześnie poły marynarki i stanął w pozie, która mogła być wystudiowana lub po prostu niedbala.

- Panno Sutherland... czy mogę mówić do pani Lauro?

- Proszę.

- Dziękuję. - Skinął ponuro głową, w jego oczach pojawił się słaby błysk rozbawienia wywołanego jej niechęcią. - Mam na imię Peter.

Teraz z kolei ona skinęła głową, ale nie odezwała się.

- Lauro, czy byłabyś zainteresowana odsprzedając lustro? Oczywiście z zyskiem?

- Przykro mi. - Pokręciła głową, zanim jeszcze skończyła mówić. - Nie chcę go sprzedawać.

- Dam ci za nie sto dolarów.

Zamrugła z zaskoczeniem oczami, ale znowu pokręciła głową.

- Nie interesuje mnie zarobek, panie Kilbourne.

- Peter.

- W porządku... Peter - odparła nieco niecierpliwie. - Nie chcę sprzedawać lusterka. I kupiłam je zgodnie z prawem.

- Nikt tego nie neguje - uspokoił ją Kilbourne. - I z pewnością nie ponosisz winy za moją pomyłkę. Posłuchaj, prawdę mówiąc, to lustro nie powinno w ogóle trafić na aukcję. Długo było w posiadaniu mojej rodziny i chcielibyśmy je odzyskać. Pięćset.

Niech zysk z zakupu za pięć dolarów. Laura odetchnęła i powiedziała powoli:

- Nie. Naprawdę mi przykro, ale... szukałam tego - takie go lustra - bardzo długo. Żeby wzbogacić moją kolekcję. Nie interesuje mnie zarobek, więc nie zwracam sobie głowy podnoszeniem ceny. Nawet pięć tysięcy niczego by nie zmieniło.

Oczy Petera były lekko zmurzone, spojrzenie skupione na twarzy Laury; a kiedy nagle postąpił jej uśmiech, kryła się w nim ponura pewność.

- Tak, właśnie widzę. Niepotrzebnie się tak niepokoisz, Lauro, nie wyrwę ci go.

- Nigdy cię o to nie podejrzewałam - mruknęła nieszczerze.

Kilbourne cicho się roześmiał; śmiech delikatnie, pieszczołliwie muskał zakończenia jej nerwów.

- Nie? Obawiam się, że cię zdenerwowałam, a wcale nie miałem takiego zamiaru. Może w ramach przeprosin dasz się zaprosić kiedyś na kolację?

Ten człowiek jest niebezpieczny.

- To zbyt uczucie.

- Nalegam.

Laura spojrzała na jego piękną twarz, na czarujący uśmiech i jeszcze raz głęboko odetchnęła.

- Twoja żona też przyjdzie? - zapytała łagodnie.
- Oczywiście. Jeżeli tylko będzie w mieście. - Jego oczy patrzyły szczerze.

Barzo niebezpieczny. Laura pokręciła głową.

- Dzięki, ale przeprosiny nie są potrzebne. Zapropono-
wałeś sporą sumę za lusterko. Ja odmówiłam. I to wszystko. -
Odwróciła się nieco i zrobiła nieznaczny ruch ręką w stronę
drzwi, wyraźnie zachęcając go, by wyszedł.

Peter postuszenie poszedł za Laurą, ale jego usta wykrzy-
wił lekki grymas. Gdy otworzyła drzwi, przystanął, by z we-
wnętrznej kieszeni marynarki wyjąć wizytówkę.

- Zadzwoń, jeżeli zmienisz zdanie - rzekł. - W sprawie
lusterka.

Lub całej reszty, dopowiedział jego uśmiech.

- Zadzwoń - odparła grzecznie, przyjmując wizytówkę.

- Mito było cię poznać, Lauro.

- Dziękuję. Wzajemnie - mruknęła.

Kilbourne posłał jej ostatni olśniewający uśmiech, uniósł
nieznacznie dłoń w oszczędnym geście pozdrowienia i wy-
szedł.

Laura zamknęła drzwi i na chwilę oparła się o nie z uczu-
ciem ulgi, ale niepokój nie opuszczał jej. Nie wiedziała, dla-
czego Peter Kilbourne tak bardzo pragnął odzyskać lusterko,
że gotów był zapłacić za nie setki dolarów. Intuicja podpo-
wiadała jej jednak, iż to wcale nie koniec sprawy.

Pozbyła się go tylko na chwilę.

Dopiero w niedziele przed południem Laura zdołała wresz-
cie odczytać napis, który wytłoczono na odwrotnej stronie lu-
sterka. Był niemal niewidoczny, zaprojektowany tak sprytnie,
że zdawał się częścią wzoru. Pośrodku labiryntu zostało wy-
tłoczone małeńkie serce. Przez nie biegła wygięta linia
dzieliąca je na pół, a w każdej połowie mieściła się litera: S
w jednej i B w drugiej.

Poniżej małeńkiego serca widniała data: 1778.

Początkowo Laura sądziła, że jest to rok wykonania zwier-
ciadła; byłoby więc ponaddwustuletnim zabytkiem. Potem
jednak odkryła jeszcze jedną datę umieszczoną z tyłu rączki.
1800.

Jeżeli rok wykonania lusterka wskazywała ta druga data,
oznaczałaby, że niewiele mu brakuje do dwustu lat.

Dwa stulecia.

Z drugiej strony, pomyślała Laura, może to wcale nie są
daty. Być może to cechy stopu, wybite przez wytwórcę, a
może zostały wytłoczone w metalu przez kogoś, kto starał
się uczynić lusterko starszym, niż było w rzeczywistości.

Tak podpowiadał jej zdrowy rozsądek. Kiedy jednak doty-
kała zwierciadła, kiedy wodziła palcem po spiralnym wzorze
na powierzchni mosiądzu, czuła jego wiek. Jeszcze przez pe-
wien czas siedziała na kanapie, delikatnie polegując lusterko
i dumając nad inicjałami w sercu. Oczywiście musiały to być
inicjały kochanków. Lusterko było zapewne prezentem
mężczyzny dla małżonki, a data wytłoczona tuż pod sercem
mogła upamiętniać ślub bądź narodziny, lub też rok, w któ-
rym się poznali.

Laura nadal nie miała pojęcia, dlaczego lusterko, które naj-
prawdopodobniej miało prawie dwieście lat, wzbudza w niej
tak silne uczucia, i zastanawiała się, czy mogłaby w jakiś
sposób poznać jego dzieje. To z pewnością dałoby jej jakiś
punkt zaczepienia, coś, co by wyjaśniło, dlaczego zwierciad-
ło tak ją pociąga.

Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, była pewna, że to Cassi-
dy. Położyła lusterko na stoliku i poszła otworzyć. Widok
dwóch schludnie odzianych mężczyzn w średnim wieku za-
skoczył ją zupełnie. Zanim zdziwiona, że Larry nie zapowie-
dział gości, zdołała cokolwiek zrobić, jeden z mężczyzn
otworzył portfel i pokazał jej policyjną odznakę.

- Panna Sutherland? Detektyw Bridges, a to detektyw Shaw.

Policia miejska. Możemy wejść i porozmawiać z panią?

Boże, chyba nie powiedziała policji, że ukradłam lusterko!

- Porozmawiać? O czym? - zapytała; nie miała wąpli-
wości, że sprawia wrażenie wstrząśniętej.

Policjanci nie byli chyba zaskoczeni tym, że Laura nie
wpuszcza ich do środka. Detektyw Bridges zapytał przyjem-
nym głosem:

- Gdzie pani była wczoraj wieczorem, panno Sutherland?

Powiedzmy, między dwudziestą a północą?

W takim razie na pewno nie chodzi o lusterko. Poczula ogromną ulgę.

- Tutaj - odparła.
- Sama? - zapytał detektyw Shaw.
- Laurze nie podobało się to, jak podejrzliwie na nią patrzył.
- Tak, sama. Bo co?
- Detektyw Bridges nadal był grzeczny, a jego spojrzenie nadal przyjazne.
- Czy ktoś może to potwierdzić?
- Laura popatrzyła na niego krzywo.
- To budynek strzeżony; przy wejściu do holu zawsze jest portier, a przez tylne drzwi można wejść lub wyjść, obsługując się tylko kartą magnetyczną. Strażnik na dole odnotowałby mnie w rejestrze, gdybym wyszła z budynku... zaraz, a właściwie dlaczego was nie zapowiedział?
- Prosiłismy go o to, panno Sutherland. - Bridges nadal był grzeczny.

Bardziej jednak wojowniczy Shaw zapytał:

- Skąd mamy wiedzieć, że nie wyszła pani tylnymi drzwiami?

Wcześniej szy niepokój Laury powrócił ze zdwojoną siłą.

O co w tym wszystkim chodziło?

- Za każdym razem gdy używa się karty, komputer rejestruje, do kogo ona należy. Sprawdźcie u Larry'ego. Wczoraj wieczorem moja karta nie była używana.
- Mogła pani wykorzystać czyjąś kartę - zauważył złośliwie Shaw.

- Może i mogłam, ale nie wykorzystalam - warknęła Laura.
- Słuchajcie, panowie, o co w tym wszystkim chodzi?

Bridges znowu się uśmiechnął.

- Przypuszczam, że zna pani Petera Kilbourne'a?
- Nie. To znaczy, spotkałam go. Prawdę mówiąc, nawet wczoraj. Ale go nie znam. Dlaczego pan pyta?
- Przyszedł tu wczoraj pod wieczór?
- Tak.
- Po co?

Laura zacisnęła zęby i obiecała sobie, że to ostatnie pytanie, na jakie odpowie, dopóki nie wyjaśni jej, o co chodzi.

- Wczoraj na aukcji w jego rodzinnej posiadłości kupiłam

lusterko. Kilka godzin później zjawił się tu i powiedział, że zostało wystawione przez pomyłkę. Chciał je odkupić. No więc, co się u licha dzieje?

Bridges domyślił się chyba, że za chwilę Laura straci dobre chęci. A może po prostu wiedział, jak wybrać moment na przekazanie informacji, by spowodować jak największy szok. W każdym razie postanowił udzielić jej odpowiedzi.

- Wczoraj wieczorem Peter Kilbourne został zamordowany. I według naszych ustaleń była pani jedną z ostatnich osób, które widziały go w godzinach poprzedzających śmierć.
- A on - dodał Shaw głosem pełnym przerażającego zadowolenia - zameldował się zeszłego wieczoru w motelu usytuowanym o dwie przecznice stąd... z rudowłosą kobietą.

Rozdział 2

- Nie uwierzyli mi. - Laura siedziała skulona w swoim dużym fotelu, wyczerpana i przerażona nie na żarty.
- Nie mogą ci przedstawić żadnych dowodów, bo tego nie zrobiłaś - przypomniała Cassidy.
- Nie potrafię dowieść, że wczoraj wieczorem nie wychodziłam z budynku, a do tego właśnie stale wracają. Chociaż portier nie widział, bym wychodziła, a moja karta nie została użyta, twierdzą, że mogłam posłużyć się cudzą. Według rejestru komputerowego wczoraj między dwudziestą a północą z budynku wyszło prawie trzydzieści osób i ten gliniarz jest przekonany, że posłużyłam się kartą jednej z nich. - Laura zadrżała. - Skoro już mowa o wychodzeniu, jak tam twoja randka? - zapytała, starając się myśleć o czymś innym.
- Mniejsza o moją żalostną randkę. - Cassidy, siedząca na kanapie Laury, była nieco błaża i wyraźnie zmartwiona. - Wcześniej wróciłam do domu. Zresztą nie pora teraz na rozmowę o drobiazgach. Posłuchaj, gdy tylko wszyscy, którzy wczorajszego wieczoru używali kart, to potwierdzą, będziesz czysta, prawda?
- Nie sądzę. Lany, dając im wydruk, wspominał, że co najmniej kilku lokatorów zgubiło lub zapodziało swoje karty. Jeżeli któraś z tych kart wczoraj została użyta...
- Przecież nie miałaś motywu, dopiero co poznałaś tego człowieka.
- Tak, no cóż. Ten sympatyczniejszy glina powiedział, że sprawdzą, czy któryś z członków rodziny Kilbourne'ów może potwierdzić, że Peter Kilbourne przyszedł tutaj, aby zobaczyć się z obcą osobą w sprawie lusterka zakupionego na aukcji.

Szofer wiedział jedynie, że przywiózł go pod ten adres i że Peter wymienił moje nazwisko.

- Ktoś z jego rodziny na pewno to potwierdzi.
- Być może. Nie wiem jednak, czy to by miało jakies znaczenie. Policja zawsze mogłaby powiedzieć, że Peter mnie znał i wykorzystał sprawę lusterka, by się ze mną zobaczyć. Te twoje gazety nie przesadzały w opisie jego uroku i założy się, że ta kobieta wczoraj wieczorem nie była pierwszą, jaką zabrał do motelu. Boże, ledwie się poznaliśmy, a on już próbował mnie poderwać.
- Mam nadzieję, że nie wspomniałaś o tym policji - powiedziała Cassidy.
- Jasne, że nie. - Laura uniosła rękę i otarła ze znużeniem oczy. - Szkoda, że ten tak pomocny szofer nie odwiedził Petera do domu, jak tylko wyszedł ode mnie. Peter sam prowadził, a jego samochód znaleziono zaparkowany dwie przecznice stąd. Psiakrew! Chyba kiegoś to wygląda, a przecież wiem, że jestem niewinna.
- Stuchaj, skoro przebywał z inną kobietą, może swoją żoną...
- Jego żona jest - lub była, bo teraz prawdopodobnie wraca do domu - z wizytą u krewnych w Kalifornii. Nie czytałaś specjalnego wydania gazety, które ukazało się dziś po południu? - Skinęła głową w kierunku sterty gazet leżących na podłodze obok jej fotela. - Przejrzałam to, czekając, aż wrócisz z randki na korcie. Zabójstwo Petera Kilbourne'a trafiło na pierwszą stronę. Nie mieli zbyt wiele szczegółów, ale kilka podała. Okazuje się, że żona Petera jako jedyna z rodziny ma mocne alibi. Pozostali przebywali w różnych miejscach: kilkoro w domu, ale nie mogą tego udowodnić, a jedna lub dwie osoby w mieście, prawdopodobnie w towarzystwie jakichś świadków.
- W takim razie policja znajdzie kobietę, z którą był - oświadczyła Cassidy.
- O tak. - Laura westchnęła. - Widziana późno w nocy przez zaspianego kierownika motelu, który pamięta tylko tyle, że miała rude włosy. Biorąc pod uwagę to, do czego służą pokoje hotelowe, założy się, że policja znalazła tam wystarczająco dużo odcisków palców, by zapełnić billboard. A ktoś,

кто го забил, miał dość przytomności umysłu, żeby wytrzeć ręką noża, więc narzędzie zbrodni nie pomoże w identyfikacji kogokolwiek. - Laura znowu zadrżała. - Mam nadzieję, że ten dziennikarz przesadził. Napisał, że Kilbourne został ugodzony dwanaście razy. Boże, Cass, jak bardzo musiałabyś kogoś nienawidzić, żeby go pchnąć nożem dwanaście razy?

- Nie myśl o tym - poradziła Cassidy, sama nieco przybita.
- Nic na to nie poradzę. - Laura zdobyła się na drżący uśmiech. - Nie mam twojej zdolności kontrolowania myśli, już zapomniałaś? To ty masz ścisły umysł. Mnie natura obdarzyła bujną wyobraźnią. Choć tego nie zrobiłam... widzę to, Cass. W moich myślach. Jak to musiało się stać. Przemoc. Krew... Boże dopomóż, chyba mogłabym to namalować.

Teraz z kolei zadrżała Cassidy.

- Skóra mi cierpie.

- Nie tylko tobie. Wszystko ma swoje złe strony, nawet wyobraźnia.

- W takim razie posłużmy się logiką - zaproponowała Cassidy. - Wiemy, kto go nie zabił: ty. Któż zatem mógł to zrobić i dlaczego?

- Nie wiem. Skąd miałabym wiedzieć? - Laura spojrzała na zwierciadło leżące na stoliku i zmarszczyła brwi. - Wiem tylko tyle, że Peter Kilbourne przyszedł tutaj odkupić to lusterko... i potrzebował go tak bardzo, że zaproponował pięćset dolarów.

- Jest tyle warte? - Cassidy nie patrzyła już tak pogardliwie na „okropne” lusterko, nie wiadomo jednak czy dlatego, że Laura je wyczyściła, czy też dlatego, iż teraz wydawało się znacznie ważniejsze niż wczoraj.

- Nie znam się na antykach, nawet na starych lustrach, na tyle, by wiedzieć, ile naprawdę jest warte. Mogłabym się jednak założyć, że nie chciał go odzyskać z uwagi na jego faktyczną wartość. Nie, w całej tej sprawie było coś dziwnego.

- Co masz na myśli?

Laura jeszcze bardziej zmarszczyła brwi.

- Powiedział, że zwierciadło od dawna należało do rodziny, dając do zrozumienia, że otrzymali je w spadku. Ale wi działas, w jakim było stanie, gdy je kupiłam. To lusterko

przez lata, może nawet dziesiątki lat tkwiło w jakimś kufrze lub pudle albo leżało gdzieś na zakurzonej półce. Ludzie przywiązani do tradycji inaczej dbają o rodzinne dziedzictwo. Poza tym mam na myśli to, jak zareagował na widok mojej kolekcji. Zapytał, czy zawsze zbierałam lustra, jakby pomysł ich zbierania wcale go nie zaskoczył, a faktowi, że je kolekcjonuje, nadawał inne znaczenie.

- Jakże? - zapytała zaintrygowana Cassidy.

- Nie wiem. To sprawa modulacji głosu i wyrazu jego oczu, ale rozmawialiśmy zbyt krótko, bym mogła go zrozumieć. Lecz... - Laura zawahala się, po czym powoli ciągnęła: - mam dziwne uczucie, że wyszedł stąd bez lusterka tylko dlatego, że ujrzał moją kolekcję. Gdy się tu zjawił, miał zamiar zaproponować mi wszystko, byle tylko odzyskać lusterko, ale coś sprawiło, że się rozmyślił.

- Może wiedział, jak uparci potrafia być kolekcjonerzy i zdał sobie sprawę, że nie sprzedasz.

- Nie sądzę, by o to chodziło. Miałam wrażenie, że... coś rozpoznał. Tak jakby ujrzawszy moją kolekcję, nagle zrozumiał coś, co dotąd stanowiło dla niego zagadkę.

- Może pojął, dlaczego kupiłaś lusterko? - Zanim jednak Laura zdążyła odpowiedzieć, Cassidy pokręciła głową i krzywiąc usta, dodała: - Nie, ludzie kupują rozmaite rzeczy na aukcjach, więc to nie powinno go zaintrygować.

- I nie sądzę, by zaintrygowano. A przecież był czymś zaintrygowany. Dopóki nie ujrzał mojej kolekcji.

Cassidy przez chwilę obserwowała zamysłoną przyjaciółkę, po czym zapytała:

- Więc co się stało potem? Zakładam, że policja będzie wypytywać nas wszystkich o nasze karty, ale co z tobą?

Laura wykrzywiła usta.

- Ten sympatyczny zapytał, czy zgodzę się - dobrowolnie - by wzięli ode mnie odciski palców. Dał do zrozumienia, że gdybym się nie zgodziła, oskarżą mnie, aresztują albo oficjalnie zabiorą na przesłuchanie. Albo zrobią wszystko, co trzeba, żeby zdobyć moje linie papilarnie, czy tego chcę, czy nie.

- Domyślam się, że wyraziłaś zgodę.

- Mam się zgłosić jutro z samego rana, jeszcze przed pracą.

- No cóż, w porządku - obie wiemy, że nie znajduj twoich odcisków palców w tamtym pokoju, a bez nich niczego nie mają. Przecież tak naprawdę dysponują jedynie informacją, że Peter Kilbourne był tutaj przez piętnaście minut na wiele godzin przed śmiercią. Masz rude włosy - wielka mi sprawa. Ile rudowłosych kobiet mieszka w Atlancie? I to zakładając, że kierownik hotelu rzeczywiście widział to, co rzekomo widział: późno wieczorem, gdy był śpiący, jak twierdziłaś.

- To wszystko prawda - przyznała Laura. - I bez wątplenia właśnie dlatego, że nie mają żadnych dowodów przeciwko mnie, dziś rano nie zostałam aresztowana. Ale nie ma właściwie żadnych wątpliwości, że byłam jedną z ostatnich osób, które widziały go żywego, i jeżeli nie uda im się znaleźć innej rudowłosej kobiety, kryjącej się gdzieś w bezpośredniej przeszłości Kilbourne'a, to skupią się na mnie. Będą szukali związków między nami.

- Ale przecież ich nie ma - zaoponowała Cassidy.

- Ty o tym wiesz i ja o tym wiem, ale policja zechce to sprawdzić. Wezmą mnie i moją niedawną przeszłość, o ile nie całe moje życie, pod lupę. Będą wypytywać moich znajomych. Może każą mnie śledzić. Bóg wie, co jeszcze. A gdy prasa dostanie moje nazwisko... cholera. W najlepszym razie moje życie na pewien czas przestanie być zabawne.

- A w najgorszym?

- W najgorszym policja nie zdoła znaleźć innego podejrzanego. - Laura zdobyła się na uśmiech, ale wolałaby nie sprawdzać, jak on wyglądał. - I nawet jeżeli ich dowody będą zbyt słabe, by doszło do rozprawy, założę się, że prasa przedstawi wszelkiego rodzaju scenariusze, w których mordują Petera Kilbourne'a.

- Ale jeżeli nawet cię nie aresztują...

Z ust Laury dobył się dźwięk, który mógłby przypominać śmiech.

- Daj spokój, Cass. Jeżeli myślisz, że dziennikarze nie będą zdolni do wydania pochopnego sądu, to chyba nie zwracałaś uwagi na to, w jaki sposób w ostatnich latach prezentuje się wiadomości.

- Więc co zrobisz? - zapytała spokojnie Cassidy. Kierując wzrok na leżące na stoliku lusterko, Laura odparła powoli:

- Policja odnotowała fakt, że lusterko stanowiło rzekomy powód wczesniejszej wizyty Petera, ale więcej się tym nie interesowała. Nie będą więc badać tego tropu. Myślę jednak, że należałoby to zrobić. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że powinienam poznać powód, dla którego Peter chciał odkupić lusterko. Chyba muszę zdobyć jak najwięcej informacji na jego temat, dowiedzieć się, jak się znalazło w posiadaniu rodziny Kilbourne'ów.

- Jak to zrobisz?

- Zastanawiam się właśnie nad tym - odparła Laura. Nie przyznała się, że już wcześniej postanowiła spróbować wyjaśnić, dlaczego lusterko wzbudza w niej takie emocje. - Pamiętajasz tę studentkę, która latem ubiegłego roku zbierała dla mnie informacje?

- Owszem. Mówiłaś, że dobrze się spisała.

- Bardzo dobrze. Chyba do niej zadzwonię i sprawdzę, czy chce znowu sobie dorobić.

- Szukając informacji o zwierciadle?

Laura wzruszyła ramionami.

- Na odwrócić są dwie daty, może będzie to jakiś punkt zaczepienia? Może uda się jej coś znaleźć. Może będzie w stanie powiedzieć, skąd się wzięło i jak znalazło się w posiadaniu Kilbourne'ów.

- I czego spodziewasz się dzięki temu dowiedzieć?

- Dlaczego było takie ważne dla Petera Kilbourne'a.

- Naprawdę sądzisz, że to lusterko ma jakiś związek z jego śmiercią?

- Nie jestem pewna. Ale to mój jedyny punkt zaczepienia. O Peterze Kilbourne wiem tylko tyle, że w dniu swojej śmierci chciał je odzyskać. Muszę się dowiedzieć dlaczego. Cassidy pokręciła głową.

- Odnoszę wrażenie, że to trudne przedsięwzięcie, Lauro. Ale coś chyba musisz zrobić w tej sytuacji.

- Nie mogę siedzieć i czekać, aż policja łaskawie dojdzie do wniosku, że to nie moja sprawa - przyznała Laura, marszcząc brwi. - Rzecz w tym, że szukanie informacji tro-

chę potrwa, nawet jeżeli Denie dopisze szczęście. Będzie musiała zacząć od sprawdzenia pochodzenia lusterka, a ma ono prawdopodobnie dwieście lat. To okropny szmat czasu do przebadania, zanim dotrze do rodu Kilbourne'ów.

- Chyba że mieli je od samego początku - zauważyła Cassidy. - Tak mogło być. Może lusterko przechodziło z pokolenia na pokolenie i w końcu wylądowało na poddaszu, bo ktoś raś z pań Kilbourne stwierdziła, że woli srebro niż mosiądz. Mogło tam długo leżeć w zapomnieniu. I może po aukcji ktoś z rodziny przeglądał listę sprzedanych rzeczy i zauważył na niej zwierciadło. Rozpoznał je - i się wkurzył.

- Być może. - W rzeczywistości Laura w to nie wierzyła. Jedyny punkt zaczeplenia to były jej uczucia, które podpowiadały, że historia lusterka jest inna, że Kilbourne'owie weszli w jego posiadanie stosunkowo niedawno. - Ale jeżeli jest inaczej, jeżeli Dena będzie musiała przeczesać archiwa od lat wojny o niepodległość po obecne, to minie trochę czasu, zanim dowiem się o związku lusterka z Kilbourne'ami.

Cassidy spojrzała poważnie na przyjaciółkę.

- Na logikę, istnieje oczywiście inny sposób zdobycia informacji. Idź prosto do źródła. Fakt, że masz lusterko, powinien przynajmniej pomóc ci się dostać za próg ich domu.

Choć myśl o takiej ewentualności od wielu godzin kielkowała w jej głowie, Laura odparła:

- Chyba nie mam odwagi tam pojechać, Cass. Zwłaszcza teraz. Według informacji z gazet pogrzeb Petera odbędzie się we wtorek po południu. Po prostu... nie sądzę, bym mogła teraz do nich pojechać i zapytać o lusterko.

- Wydaje mi się, że nie masz wyboru. Jeżeli oczywiście sama chcesz rozwiązać tę sprawę. Policja mogłaby ci ostentycznie powiedzieć, czy ktoś z rodziny potwierdza, że Peter przyszedł tutaj porozmawiać o lusterku, ale załóż się, że nie zdradzą ci nic więcej. Tylko ktoś z rodziny może wyjawić, z jakiego powodu Peter próbował je odkupić.

- Będą w żalobie. A jeżeli wiedzą, że jestem podejrzana o zamordowanie Petera?

- Prawdopodobnie dowiedzą się dopiero wtedy, gdy policja weźmie cię pod lupę - stwierdziła Cassidy. - Albo jeśli prasa zdobędzie tę informację. Ale podejrzenie nie znaczy, że

jestes winna, i nawet jeśli prasa wyda pochopny osąd, rodzina z pewnością będzie chciała poznać prawdę.

- Gdyby zamordowano kogoś, kogo kochałam - odparła Laura - nie życzyłabym sobie wizyt osoby oskarżonej o morderstwo. Z pewnością.

- Nie zostałam oskarżona. Policja przesłuchiwała cię, tak jak zapewne przesłuchiwała wielu innych ludzi. I tylko dlatego, że był tutaj na kilka godzin przed śmiercią. Ale wyszedł stąd żywy, pamiętaj o tym. W końcu szofer może potwierdzić ten fakt. Jesteś niewinną kobietą, próbującą się dowiedzieć, czy zwierciadło, które kupiłaś na ich aukcji, mogło mieć coś wspólnego z jego śmiercią. Kropka.

Laura zdobyła się na uśmiech.

- To brzmi tak niegroźnie i logicznie. Trzeba jednak chyba więcej odwagi, niż mnie na to stać.

Cassidy wyprostowała się na kanapie, potem wstała, przesiadując się z roztagowaniem.

- Jesteś bardzo odważna, kochana. Po prostu nigdy jeszcze nie musiałaś się o tym przekonać. Prawdę mówiąc, zawsze uważałam, że za twoją łagodnością kryje się stalowa wola.

- Nie wiem, jak mogłaś sobie coś takiego o mnie pomyśleć - mruknęła Laura.

- Nie wiesz? - Cassidy uśmiechnęła się kwaśno. - Ponieważ, tak jak ja, pochodzisz z licznej rodziny. Ponieważ fakt, że byłaś jednym z ośmiorga dzieci i najstarszą z sióstr, oznacza, iż w dzieciństwie zrzucono na twoje barki liczne obowiązki. Ponieważ miałaś pięcioro młodszego rodzeństwa nie odstepującego cię na krok oraz dwóch dokuczających ci starszych braci - a jeżeli to nie hartuje ducha, to już nic nie zdoła go zahartować. I wreszcie, ponieważ odeszłaś z domu, mając osiemnaście lat i odtąd rzadko wracałaś pamięcią do tego wszystkiego. Jesteś wystarczająco silna, by zrobić to, co musisz zrobić, Lauro. Uwierz mi, jeżeli sama o tym nie wiesz.

Tym razem uśmiech Laury był mniej wymuszony.

- Dziękuję. Będę musiała o tym pomyśleć, jadąc do Kilbourne'ów.

- No cóż, powiadom mnie o swojej decyzji. Muszę iść do

siebie i przygotować się na jutro do pracy. Chcesz, żebyśmy wspólnie zamówiły jakąś kolację?

- Nie, dziękuję. Porozmawiamy jutro.
- Jasne.

Gdy Laura została już sama w cichym mieszkaniu, znów wzięła lusterko do ręki. Trzymała je przez kilka chwil na kolanach, wodząc palcami po wzorze na odwrocie, a potem uniosła i powoli obracała, aż zobaczyła w nim swe odbicie. Patrzyła jednak jak zawsze gdzieś obok siebie, jakby spodziewała się ujrzeć coś za swoim ramieniem.

- Co to jest? - zapytała półgłosem. - Co stałe spodziewam się zobaczyć?

I jak zawsze nie było odpowiedzi. Laura była ciekawa, czy ktoś z Kilbourne'ów mógłby odpowiedzieć na to pytanie. Albo może na inne: dlaczego Peter chciał odzyskać zwierciadło. Tak czy owak lusterko to związało ją z jego rodem na dobre i na złe.

Na pewno wiedziała jedno - Cassidy miała rację. Lusterko mogło dokonać przynajmniej jednej rzeczy: doprowadzić ją za próg domu Kilbourne'ów.

Gdyby tylko się odważyła spróbować.

Josie Kilbourne odłożyła słuchawkę i wzdychając, potarła oczy. Poniedziałkowy ranek, pełen telefonów z wyrazami współczucia oraz przygotowań do pogrzebu, które spadły na jej barki, był dla niej niezwykle pracowity. Ledwie miała czas zebrać myśli. Obawiała się też, że wstrząs wywołany wiadomością o zamordowaniu Petera nieprędko przeminie.

To że odszedł, że ktoś przemocą położył kres jego życiu, wciąż wydawało się jej nierealne. Potrafiła nawet bez emocji myśleć o tym, że jak na ironię zginął w jakimś podrzędnym motelu - on, który zawsze żądał wszystkiego, co najlepsze, i zwykle to otrzymywał.

Popatrzyła na leżący przed nią stos zawiadomień, gotowych do włożenia do kopert i wysłania. Napisane były od ręcznie na eleganckim papierze listowym pięknym pismem przypominającym pajęczą sieć. Josie zastanawiała się, czy Amelia nie spała całą noc, by osobiście odpowiedzieć na telefony i listy z kondolencjami, które przyszły poprzedniego

dnia. Jeżeli tak, nie było to niczym wyjątkowym; Josie wiedziała, że starsza pani często nocami przemierza ciche korytarze domu.

A przecież każdy by się spodziewał, że po śmierci ulubionego wnuka osiemdziesięcioletnia Amelia Kilbourne zapomni o obowiązujących konwenansach i wraz z matką Petera i wdową po nim będzie oplakiwała stratę.

Ledwie ta myśl przemknęła jej przez głowę, a Josie sama się skarżyła. Jak mogła nawet w duchu krytykować Amelię za to, że unika Madeline, skoro ona też nie była w stanie znieść przytłaczającego smutku matki Petera? A Kerry najwyraźniej nie życzyła sobie, by ktoś ją pocieszał lub towarzyszył jej w żałobie; żona Petera - wdowa - przyjechała dzisiaj, błada i spokojna, i prawie w ogóle się nie odzywała.

Madeline, załamana wieścią o śmierci Petera, jeszcze nie doszła do siebie. Wydawało się, że Daniel jest jedyną osobą, której potrzebowała, i przynajmniej on był wystarczająco cierpliwy, by spędzać z matką całe godziny, pozwalając, by nie odstępowała go na krok i na przemian szlochała i mówiła urywanym głosem o swym „dziecku”.

Josie zastanawiała się, czy Daniel zdaje sobie sprawę, że gdyby to on miał odejść z tego świata, matka nigdy nie bolałaby tak bardzo. Peter był jej ulubieńcem, a choć pomocy i wsparcia zawsze oczekiwała od starszego syna, nigdy nie okazywała mu czułości, więcej, jego towarzystwo trochę ją denerwowało. Jeżeli jednak Daniel wiedział o tym, że jest mniej lubiany, nigdy się z tym nie zdradził. I gotów był pozostać z matką, anielsko cierpliwy, dopóki go potrzebowała.

Ale Amelia była zupełnie inna. Według niej jawne okazywanie nieskrepowanego żalu było... czymś niestosownym. Należała do innego pokolenia, wychowanego przez powściągliwych rodziców w innych, znacznie bardziej formalistycznych czasach; może właśnie dlatego sprawiała wrażenie nie-wruszonej tragedii. Odsunęła na bok żal, by grzecznie odpowiedzieć na kondolencje ludzi, którzy znali jej rodzinę, a nieopanowane uczucia jej synowej wyprowadzały ją z równowagi. I oczywiście dzisiaj wyglądała tak samo jak w zeszłym tygodniu i w zeszłym miesiącu, jako że nie dało się no-

sić ciemniejszego odcienia czerni, żeby oddzielić świeżą żalobę od tej trwającej czterdzieści lat.

Josie spojrzała na swoją ciemną, stonowaną spódnicę i bluzkę i poczuła nagły niepokój. Czy przywdziała żalobny strój, aby uszanować śmierć Petera, czy dlatego, że stało się to nawykiem? Naprawdę nie mogła sobie przypomnieć.

Mój Boże, czyżbym się upodabiała do Amelii?

Ta myśl wyraźnie ją zdeprymowała. Minęło pięć lat od czasu, gdy Jeremy Kilbourne zginął w jednym z dziwnych wypadków, które zdawały się przytrafiać tyłu członkom tej rodziny, czyniąc ją wdową w trzydziestym roku życia. Jako dość daleki krewny męża Amelii, pochodzący z niezamożnej gałęzi rodziny, Jeremy pozostawił ją w dodatku właściwie bez grosza, więc Josie, smutna i pozbawiona środków do życia, zgodziła się pracować jako asystentka Amelii.

Nie było to złe zajęcie. Dobra pensja, własny pokój, wyżywienie na miejscu i zazwyczaj lekka praca. Kiedy jednak zaszła sama patrzyła na siebie, zastanawiała się, czy nie powinna była odejść stąd wiele lat temu.

- Nie powinnaś marszczyć brwi. To psuje doskonałość tego alabastrowego czoła.

Na dźwięk kpiącego głosu Josie uniosła głowę i uśmiechnęła się; do pokoju wszedł Alex Kilbourne i usiadł na brzegu jej biurka. Chociaż był od niej trochę młodszy, miał tylko dwadzieścia osiem lat, sprawiał wrażenie starszego, do tego był ogromnie pewny siebie i czasem niepokojąco spostrzegawczy. Był to bardzo przystojny, wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna, blondyn - rzecz rzadko spotykana w rodzinie Kilbourne'ów - o zielonkawych oczach. Uwagę kobiet przyciągał z taką samą niemal łatwością jak kiedyś Peter.

Josie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, z kim teraz sympia Alex.

- Powiedziałabym, że to dzień w sam raz na marszczenie brwi - odparła z łagodnym wyrzutem.

Alex uniosł brew, jego uśmiech stał się trochę wymuszony.

- Dlatego, że jedna z kobiet Petera w końcu wyeliminowała go z gry? Nie zapominaj, że nie przepadałem za nim.

- Pamiętam o tym. Ale powinienś przynajmniej nosić opaskę. Tak nakazuje przyzwoitość.

- Nosisz wystarczająco dużo czerni za nas oboje, kochanie. Josie oparła się naglej chęci ponownego spojrzenia na siebie.

- Wyglądam tak samo jak zawsze - powiedziała nieco obronnym tonem.

- Wiem.

Alex nigdy wcześniej nie komentował jej nawyku noszenia ciemnych ubrań, ale coś w jego głosie uzmysłowiło Josie, że z pewnością to zauważył - i najprawdopodobniej rozumiał. Nie chcąc za dużo o tym myśleć, zmieniła temat.

- Nie wiesz przypadkiem, czy Daniel jest nadal przy Madeline?

- Nie, nie byłem na górze. Ale chyba jakiś czas temu widziałem na schodach doktora. Nie szedł przypadkiem do Amelii?

- Nie. Daniel kazał go wezwać do Madeline. Przypuszczam, że wytrzymałby jeszcze jedną przeplakaną przez nią noc, ale jeżeli Madeline nie przępi się trochę przed jutrzejszym pogrzebem, nie dotrwa do końca uroczystości. - Josie westchnęła. - I choć Kerry sprawiała wrażenie niezwykle spokojnej, doktor dał coś równieź jej. Powiedział, że ma spać aż do rana.

Alex przyjrzał się jej uważnie.

- A jak ty się trzymasz?

Josie wzruszyła ramionami.

- Byłam zbyt zajęta, żeby o tym myśleć. Ale dziś rano zająłam do gazet i...

- Nie zwracaj na nie uwagi - poradził stanowczo Alex. - To przeważnie bezpodstawne spekulacje.

- Napisali, że Peter zameldował się w tym motelu z jakąś rudowłosą kobietą.

Alex przez chwilę patrzył na jej lśniące kasztanowe włosy, po czym odparł:

- Więc?

- Więc jestem jedyną rudowłosą kobietą w rodzinie. Ścisłe biorąc, jedyną w tym domu. A jeżeli policja dojdzie do wniosku, że jestem podejrzana?

- W sobotę wieczorem byłaś ze mną.

- Do dziesiątej. Napisali, że Peter zginął koło północy.

- Nie miałaś motywu, a on nie był twoim kochankiem. Pe-
ter nie był aż tak głupi, by flirtować z osobą spowinowaconą,
mieszkającą pod jednym dachem z jego żoną. - Nagle zmr-
żył oczy. - A może jest coś, o czym nie wiem?

Josie pokręciła głową, lecz w końcu pod wpływem jego
nieruchomego spojrzenia westchnęła niecierpliwie.

- Przystawiał się do mnie trochę, raz, jak tylko tu za-
mieszkałam.

- To znaczy tuż po tym, jak pochowałaś Jeremy'ego?

Potwierdziła skinięciem głowy.

- Chryste - wymamrotał Alex.

- No cóż, mimo swego uroku nie był zbyt wrażliwy, oboje
o tym wiemy. W każdym razie kazałam mu dać mi spokój i
tak zrobił. Prawdopodobnie była to tylko odruchowa, nic nie
znacząca reakcja na pojawienie się nowej kobiety. Znałeś go
przecież. Poza tym, w przeciwieństwie do ciebie, chyba nie-
specjalnie interesował się starszymi od siebie kobietami.

- Niewrażliwy dureń - stwierdził Alex. Pochylił się i
chwycił ją obiema dłońmi za ręce, delikatnie podnosząc z
krzesła. - Cały dzień siedziałas w zamknięciu i twoja wy-
obraźnia zaczyna pracować ponad miarę. Może wybierzemy
się na spacer? Na dworze jest chłodno, a w ogrodach kwitnie
jeszcze parę kwiatów.

- Nie. Muszę wysłać wszystkie te zawiadomienia. Jest
jeszcze parę listów, które Amelia powinna zobaczyć, oraz...

Alex przyciągnął ją do siebie i pocałował, rozmyślnie
przerywając odpowiedź. Przywarł wargami do jej ust z ku-
sząć wprawą, która zawsze zaskakiwała Josie i czyniła ją
bezwolną z pragnienia. Aż zmysłowo jęknęła, gdy poczuła
moc obejmujących ją ramion. Moc niespodziewaną u czło-
wieka, który zazwyczaj poruszał się leniwie i nie sprawiał
wrażenia gotowego podjąć jakikolwiek wysiłek.

- Przystań - powiedziała półgłosem prosto w jego usta. -
Ktoś mógłby wejść.

Alex odchylił głowę i spojrzał na nią, uśmiechając się nie-
znacznie.

- Josie, od dwóch miesięcy sypiamy ze sobą. Naprawdę
myślisz, że w tym domu jest ktoś, kto jeszcze o tym nie wie?

- Na pewno Amelia.

Alex roześmiał się.

- Ona pierwsza wiedziała, kochanie. Przed starszą panią
nie mogłabys nie ukryć nawet w zupełnych ciemnościach i to
o kilometr od niej.

- Nic nie powiedziała - zaoponowała Josie.

- A co miałaaby powiedzieć? Oboje jesteście pełnoletni i
bez zobowiązań, a Amelia mimo sposobu, w jaki się ubiera i
czasami zachowuje, dobrze zdaje sobie sprawę, w której de-
kadzie żyjemy. Jak długo będziemy w miarę dyskretni, tak
długo nie będzie miała powodu do narzekań.

- Pomyśli, że zdradzam Jeremy'ego - powiedziała niemal
niedosłyszalnie.

Alex nie puścił jej, ale rozluźnił uścisk, a jego twarz nagle
przybrała nieodgadniony wyraz.

- Jeremy nie żyje - rzekł spokojnie. - Zginął pięć lat te-
mu. Nie zdradasz go.

- Wiem, ale... ale Amelia może na to patrzeć w inny spo-
sób. Jest wdową od czterdziestu lat i wciąż się ubiera na czar-
no, wciąż trzyma miejsce dla Davida przy stole jadalnym i
jego zdjęcie przy łóżku, i...

Alex ujął twarz Josie w dłonie.

- Amelia ubiera się na czarno, bo wie, że w czarnym jest
jej do twarzy. A co do reszty... jeżeli sądzisz, że trzymanie
pustego krzesła dla człowieka, któremu przestało być po-
trzebane czterdziści lat temu, świadczy o dobrym zdrowiu
psychicznym, to mogę tylko stwierdzić, że powinnaś z kimś
o tym porozmawiać, kochanie.

Josie zmierzyła go wzrokiem, czując chwilowe rozba-
wienie.

- Rozumiem, że zdjęcie przy łóżku twoim zdaniem nie
jest przesadą?

- No cóż, nie jest tak fatalne jak puste krzesło. A propos,
czy trzymasz fotografię Jeremy'ego na nocnym stoliku? Po-
nieważ nigdy mnie nie wpuściłaś do swojego przybytku, nie
mam możliwości tego sprawdzić.

Josie, powróciwszy do równowagi, powiedziała po prostu:

- Mam jego zdjęcie na toalecie, nie na nocnym stoliku.

- Kiedy włożysz je do szuflady albo wetkniesz do albu-
mu, daj mi znać.

- Dlaczego?
Pocałował ją delikatnie i puścił. Uśmiechał się, ale wyraz jego twarzy nadal był nieodgadziony.
- Dlatego, że wtedy poproszę o zaproszenie do twojej sympialni.

Była trochę zaskoczona; Alex dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie chce, by kuzyn zaglądał mu przez ramię, gdy będzie się kochał z wdową po nim. Nigdy dotąd nie okazywał, że czuje się nieswojo w ich związku. Prawdę powiedziawszy, zawsze rozmawiał z nią o Jeremym swobodnie - i to zanim zostali kochankami, a także i później. Josie postanowiła go nie wypytywać, wolać nie zgłębiać zbytnio uczuć Alexa wobec jej zmarłego męża.

- Przespaceruj się ze mną po ogrodzie - znowu zaproponował Alex.
- Mam robotę...
- Robota nie ucieknie, a nikt oprócz ciebie nie oczekuje, byś pracowała cały dzień bez przerwy. - Alex zeskoczył z biurka i wziął Josie za rękę, prowadząc ją stanowczo w stronę drzwi. - Dla twojego zdrowia pójdziemy na dwudziestominutowy spacer. Pracę dla Amelii możesz dokończyć potem. Żadnych dyskusji.

Josie spróbowała się sprzeciwić po raz ostatni:

- A ty nie masz nic do zrobienia?
Alex, który kilka lat wcześniej zdobył dyplom prawnika, teraz „szkolił się” - tak to określał - żeby zająć się interesami rodu Kilbourne’ów, gdy obecny prawnik przejdzie na emeryturę.
- Nasza kancelaria obsługuje tylko jednego klienta, nie pamiętasz? - odparł, zatrzymując się przy drzwiach, by posłać jej uśmiech. - Rodzinę Kilbourne’ów. A ponieważ Preston Montgomery świata nie widział poza Peterem i ponieważ jak na prawnika - nawet starego - jest zdumiewająco uczuciowy, firma Kennarda, Montgomery’ego i Kilbourne’a została na tydzień zamknięta. Jedyne, co muszę zrobić w ramach obowiązków, to po zakończeniu pogrzebu odczytać rodzinie testament Petera.
- Nie musisz mówić o tym tak radośnie. - Josie czuła się w obowiązku zwrócić mu uwagę.

Alex pokręcił nieznacznie głową, nie przestając się uśmiechać.

- Po tych wszystkich latach nie oczekujesz chyba ode mnie konwencjonalnych zachowań? Nie mam zamiaru boleć nad śmiercią człowieka, którego nie lubiłem, ani szanować jego pamięci, jakby śmierć uczyniła go świętym. Wiem, że był moim krewnym, ale to była zła krew. Pod nieobecność żony spędzał czas z inną kobietą w pokoju podrzędnego hotelu - i to nie po raz pierwszy. Skoro jesteś ciekawa, czy potrafię współczuć, trzeba było być dziś rano na lotnisku, gdy odbierałem Kerry. To jej jest mi żal.

Ponieważ Josie miała identyczne odczucia, trudno jej było krytykować Alexa za jego postawę, otrzymała jednak tradycyjne wychowanie i nie potrafiła zapomnieć wyniesionych z domu nauk.

- Mnie również, ale...
- Ale? - Czekaj grzecznie.
Nagle Josie uśmiechnęła się.
- Nieważne. Masz rację, nie powinienam oczekiwać, że człowiek, który chodzi w zwariowanych krawatach po szacownych korytarzach starej kancelarii prawnej, będzie zachowywał konwenanse.

Alex mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Teraz rozumiesz.
Josie z trudem zdusiła w sobie chichot, pozwalając, by Alex prowadził ją na tyły domu. Miała wątpliwości, czy cokolwiek traktuje on poważnie, lecz taka jego postawa często poprawiała jej humor, więc rzadko się skarżyła. Poza tym rzeczywiście dobrze jej zrobi wyjście na parę minut z domu, spacer po ogrodzie z mężczyzną, który ją rozśmieszał, i zapominanie o gwałtownej śmierci innego mężczyzny... choćby tylko na chwilę.

We wtorek rano Laura otrzymała od policji zarówno dobrą, jak i złą wiadomość. Dobra polegała na tym, że ani w pokoju motelowym, w którym zmarł Peter Kilbourne, ani w jego samochodzie jej odcisków palców nie znaleziono, a zła, że jedyna z kart magnetycznych użytych w jej budynku w sobotni wieczór należała do lokatora, który wyjechał polować na ja-

kies odłudzie, i chyba nikt nie wiedział, kiedy wróci. Dopóki nie wróci i nie potwierdzi, że - jak zakładano - sam postużył się swoją kartą, wychodząc z budynku o dwudziestej trzydziestej pięć, Laury nie można było wykluczyć z grona podejrzanych.

Laura obawiała się, że nie zostanie z niego wykluczona nawet i wtedy, chyba że policja znajdzie innego podejrzanego. Podejrzanego, którego chyba zresztą nie szukali. Spędzili już trochę czasu w firmie, w której pracowała, wypytując o nią jej szefa i innych pracowników, przesłuchano również wszystkich lokatorów w jej budynku.

Znajomy pracujący w jej banku powiedział, że policja, szukając Bóg wie czego, zażądała wyciągów z jej konta, a Laura była skłonna się założyć, że policjanci zdobyli również wykazy jej rozmów telefonicznych, chcąc sprawdzić, czy dzwoniła do Petera Kilbourne'a albo czy on dzwonił do niej. Żadne z tych dokumentów z pewnością nie dostarczyłyby policji dowodów, jakie starali się znaleźć.

Cały wtorek próbowała pracować, ale nie mogła się skupić i stale myślała o tym, że tego właśnie dnia chowają Petera Kilbourne'a. Tuż po południu zadzwonił pierwszy reporter; telefon tak ją zaszokował, że o dalszej pracy nie było już mowy.

W końcu poszła do szefa i poprosiła o urlop, wyjaśniając, zgodnie z prawdą, że skoro prasa zna teraz jej nazwisko, na pewno będzie ją niepokoić do czasu wyjaśnienia morderstwa przez policję, byłoby więc lepiej zarówno dla niej, jak i dla firmy, gdyby wzięła trochę wolnego.

- Weź, ile tylko potrzebujesz, Lauro - odparł Tom Sayers: niewiele pracodawców na jego miejscu okazałoby taką życzliwość. - Przekażę twoje projekty innym.

- Naprawdę mi przykro, że masz przeze mnie tyle kłopotów, Tom.

Uśmiechnął się do niej - mężczyzna w średnim wieku, o pobladłej twarzy i bystrych piwnych oczach.

- Nie rozumiem, jak mogłabyś temu zapobiec - powiedział. - Kupiłaś jedynie lusterko.

Laura była wdzięczna, że Tom ma do niej zaufanie, ale właściwie nie zaskoczyło jej to; zatrudnił ją, kiedy miała osiem-

naście lat, tylko dlatego, że dostrzegł jej wrodzone artystyczne zdolności, sam ją szkolił i zachęcał do uzyskania dyplomu ze sztuki użytkowej na kursach wieczorowych. Teraz, po dziesięciu latach, Laura miała dyplom college'u i była jednym z czołowych grafików w jego małej, lecz dochodowej firmie.

- Uważaj na siebie - powiedział, gdy wychodziła z gabinetu. - I nie pozwól, by zgrają wścibskich reporterów wywróciła twoje życie do góry nogami.

Dobra rada, pomyślała Laura, jadąc do domu, ale jej życie już było wywrócone do góry nogami. Właśnie ukrywała się przed prasą, biorąc w tym celu bezpłatny urlop, co oznaczało kłopoty finansowe, gdyby wkrótce nie mogła wrócić do firmy. Gdy dotarła do domu, odsłuchiwała kilka prób o wywiad oraz wiele obraźliwych pytań zarejestrowanych na automatycznej sekretarce, co ostatecznie wyprzewadziło ją z równowagi. W końcu musiała wyłączyć telefon, żeby uniknąć ciągłego dzwonięcia.

Oto korzyści z posiadania numeru — z samym inicjałem zamiast imienia! - w książce telefonicznej.

Tego popołudnia zdołała się skontaktować z Deną Wilkes, studentką college'u, która już wcześniej zbierała dla niej informacje. Dena z zapalem zgodziła się przyjść do niej rano, by zanotować wszystkie szczegóły i zrobić zdjęcia potrzebne do rozpoczęcia badań nad historią lusterka.

Środowe popołudnie spędziła, próbując malować. Jej najbardziej udane próby zawsze były wytworem czystej wyobraźni, starała się więc uwolnić myśli i pozwolić palcom malować to, na co miałaby ochotę. W tym, że na płótnie pojawiło się zwierciadło, nie było nic dziwnego, Laura doszła jednak do wniosku, że obraz przybierający kształt lustra trymanego w ręce - kobiecej ręce - ma ciekawą perspektywę.

Może gdy będzie ukończony, dowiem się wreszcie, co powinniśmy zobaczyć w tym cholewnym lusterku!

Wieczorem przyszła Cassidy, proponując jej towarzystwo i zamówioną do domu chinszczyznę; Laura zgodziła się na jedno i drugie. Próbując usilnie zapomnieć o morderstwie, obejrzały w telewizji stary film i dyskutowały o karierach i seksapilu ulubionych gwiazd filmowych. A jednak, gdy

przyjaciółka poszła do domu, Laura została ze zbyt wielkim brzemieniem niepokojących myśli.

Cierpliwosć nie była jej silną stroną, szczególnie w sytuacji, gdy aż nadto dobrze zdawała sobie sprawę, że to inni - to znaczy policja - w jakiś sposób decydują o jej przeznaczeniu. Chciała zrobić coś sama, chwycić swój los z powrotem we własne ręce. Pomyślała, że może jedynie dowiedzieć się czegoś o lusterku, lecz ów bezsporny fakt w niczym nie uśmierzył jej niepokoju.

W czwartek rano znalazła w poczcie dwa listy. Jeden przyjazny, utrzymany w macierzyńskim tonie, zapewniający, że to z pewnością ktoś inny zabił Petera Kilbourne'a i że wszystko się ułoży, jeżeli tylko Laura zawierzy i zaufa Bogu, a drugi zawierał wyrażone brutalnie życzenia, by usmażyła się w piekło za swoje grzechy i zbrodnie.

Obydwa pochodziły od zupełnie obcych jej osób.

Trzeciwy umysł podpowiedział, że takie listy może otrzymać każdy, kto zyska nagły - i negatywny - rozgłos, i że nie powinna ich po prostu otwierać. Lecz sam fakt, że dwie obce osoby jakimś sposobem odkryły, iż Laura jest „znajomą Petera Kilbourne'a przesłuchiwaną przez policję”, był więcej niż deprymujący.

Upuściła arkusiki, jakby parzyły ją w dłonie, i spoglądała na nie przez chwilę. Potem włączyła telefon i odszukała wizytówkę, którą dał jej wtedy wieczorem Peter. Pocejrzewała, że posługiwał się wizytówkami głównie w kontaktach towarzyskich, a gdy pod podanym numerem odezwała się poczta głosowa, była już tego pewna. Odłożyła słuchawkę, nie zostawiając wiadomości. Po chwili pomyślała jednak zaniepokojona, że teraz, gdy Peter nie żyje, policja być może rejestruje połączenia telefoniczne z jego numerem.

Starając się odpędzić denerwujące myśli, zadzwoniła ponownie, tym razem pod dobrze znany numer.

- Cass? Słuchaj, nie mówiłaś przypadkiem, że Kilbourne'owie korzystają z usług waszego banku? Wiem, że nie powinniś, ale... czy możesz mi podać ich domowy numer telefonu?

O czwartej po południu, wpuszczona przez strażnika o twarzy bez wyrazu, Laura dotarła długim podjazdem pod dom Kilbourne'ów. Wciąż nie mogła uwierzyć, że w ogóle tu się znalazła - zaskoczona zarówno tym, iż miała dość odwagi, by zadzwonić i poprosić o spotkanie, jak i tym, że jej prośba została spełniona tak szybko.

Nie bardzo wiedziała, co właściwie powie członkowi rodziny, któremu to zawdzięczała, ale w torbce miała kilka zdjęć polaroidowych lusterka oraz rachunek otrzymany na aukcji za swój gotówkowy zakup. Na wszelki wypadek.

Zaparkowała w zatoczce koło chodnika prowadzącego do domu i powoli ruszyła w stronę drzwi. Budynek wydawał się jeszcze bardziej okazały niż wtedy, gdy oglądała go po raz pierwszy kilka dni temu, i choć pociągał ją równie silnie jak wówczas, teraz miała bolesną świadomość, że to dom pograżony w żalobie.

Na ścianie przy drzwiach wejściowych wciąż wisiał wieńiec pogrzebowy.

Stając przed wejściem, odetchnęła głęboko, usiłując uspokoić nerwy, i mocno nacisnęła guzik dzwonka. Drzwi otworzyły się tak szybko, że zaskoczona aż się cofnęła.

Na progu stała piękna kobieta o wspaniałej, bladej skórze i kasztanowatych włosach, bacznie wpatrująca się w Laurę szeroko otwartymi szarymi oczami. Drobna, kilka centymetrów niższa od Laury przypominała trochę lalkę; mogła mieć zarówno dwadzieścia pięć, jak i trzydzieści pięć lat, a ubrana była bardzo skromnie w czarne spodnie i ciemnoniebieską jedwabną bluzkę. - Panna Sutherland? Josie Kilbourne. Proszę wejść. Gdy Laura znalazła się w holu, zdała sobie sprawę, że właśnie z nią rozmawiała przez telefon, choć wtedy kobieta się nie przedstawiła. Josie Kilbourne była wprawdzie energiczną osobą, lecz głos miała dziwnie dziecienny, stłoki i łatwy do rozpoznania. Jednak to nie ona spełniła prośbę Laury; wysłuchawszy jej, odeszła na parę minut od telefonu, a potem wróciła, by umówić dzisiejsze spotkanie.

Ledwie dając Laurze szansę rozejrzenia się po obszernym, wyłożonym marmurami holu, powiedziała:

- Zechce pani poczekać w bibliotece, a ja tymczasem powiem panu Kilbourne'owi, że już pani jest.

To wyjaśnia, kto zgodził się z nią zobaczyć. Chyba że... czy zamieszkiwał tu tylko jeden pan Kilbourne? Czyż gazety nie wspominały o rodzinnym prawniku? Prawdopodobnie chodziło właśnie o niego.

W bibliotece, usytuowanej tuż przy holu, książki ustawione były rzędami wzdłuż ścian. W pokoju znajdowały się! dwa duże okna; zasłony z ciemnozielonej tkaniny wspaniale współgrały z drewnem regałów, na parcie leżał dywan w stonowanych odcieniach złota i burgundzkiego wina. W jednym kącie stało wielkie biurko, bliżej drzwi - mniejsze, a dwie długie skórzane sofy ustawiono naprzeciw siebie, prosto stopadło do wspaniałego kominka.

- Proszę się czuć jak u siebie - zachęciła Josie; potoczny zwrot dość dziwnie zabrzmiał w tym bardzo wytwornym domu. Potem wyszła z pokoju, nie zamykając za sobą dwu skrzydłowych drzwi.

Zbyt zdenerwowana, by usiąść, Laura przeszła powoli do kominka i spojrzała na wiszący nad nim duży obraz. Na mościej tabliczce u dołu złoczonej ramy widniał napis *Amelia Kilbourne, 1938*. Prawie sześćdziesiąt lat temu. Była wówczas urzekająco piękna: smukła, elegancka kobieta o kruczoczarnych włosach, ułożonych - niemodnie, lecz z pewnością twarzowo - wysoko nad czołem, co nadawało jej powierchowność damy z przełomu wieków. Wrażenie to potęgowała koronkowa suknia ze stójką - również zupełnie niemodna w latach trzydziestych.

Laura przyglądała się pilnie twarzy młodej Amelii Kilbourne, zwracając uwagę na wysokie, ostre kości policzkowe, które przypominały jej Katharine Hepburn, i na ciemne oczy z figlarnym błyskiem. I ten uśmiech, niczym uśmiech Momy Lisy, kryjący jakąś tajemnicę.

Dając się ponieść wyobraźni, Laura zastanawiała się, jak ta piękna twarz zestarzała się w ciągu niemal sześćdziesięciu lat. Jej właścicielka pochowała męża, obydwójce dzieci oraz wnuka i przeżyła przypuszczalnie najburzliwsze lata w dziejach najczystszej ojczyzny. I tyle się w tym czasie zmieniło. Gdy była dzieckiem, podróżowanie samolotem to była prawdziwa

egzotyka, a dożyła lotów kosmicznych. Telewizja, komputery osobiste, światłowody i anteny satelitarne, telefony komórkowe, zabezpieczenia elektroniczne - czy któryś z tych wynalazków zmienił Amelię? Czy też pozostała kobietą zaczepiającą na przekór modzie włosy do góry, bo tak było jej do twarzy?

Laura nie wiedziała, co - oprócz pewności, że nie jest już sama w bibliotece - sprawiło, że się odwróciła. Gdy ujrzała go w drzwiach, zaręgała tak gwałtownie, jakby jej serce przestało bić pod wpływem porażenia prądem. W absolutnej ciszy ogarnęła spojrzeniem jego niezwykle wysoką postać, potężne ramiona, lśniące czarne włosy i najbardziej bladoniebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Nie był przystojny, ale miał zniewalającą, choć surową twarz, a promieniująca zeń energia była niemal widoczna, niczym blask ciepła unoszącego się znad kominka.

Niczym nie zważając na ciszę przerwał po chwili jego głęboki i niski, wyważony głos:

- Nazywam się Daniel Kilbourne.

Laura z trudem przełknęła ślinę i powiedziała drżącym głosem:

- Laura Sutherland.

- Niech mi pani powie, Lauro Sutherland, czy zabiła pani mojego brata?

Rozdział 3

Była inna, niż się spodziewał. Piękna, owszem; Peter twierdził, że jest piękna, a przecież należał do znawców kobiecej urody. Wysoka, zmysłowa, pięknie zbudowana, z urzekająco urodziwą twarzą. Włosy, ściągnięte do tyłu i zwyczajnie splecione w długi warkocz zwisający na plecach, jaśniały rudozłotym blaskiem. Miała również charakterystyczną dla prawdziwych rudzielców jasną cerę oraz przejrzyste zielone oczy.

Jasne spodnie i jedwabną zieloną bluzkę nosiła z nieświądomą elegancją. Głos jej wprowadził zadrzał, gdy się przedstawiała, ale wyprostowane ramiona i umiesiony podbródek świadczyły o determinacji. Miała odwagę tu przyjść, wiedząc, co oni wszyscy muszą o niej myśleć.

Mimo to... przewyższała jego oczekiwania.

- Zabiła pani mojego brata? - powtórzył, nie usłyszawszy odpowiedzi.

- Nie. - Laura pokręciła nieznacznie głową, ani na moment nie odwracając swoich szeroko otwartych oczu. - Nie zabiłam pańskiego brata.

Daniel wszedł powoli do biblioteki, licząc, że wycwiczone przez lata opanowanie pozwoli mu zachować nieodgadniony wyraz twarzy. Minał ją i dotarł do barku stojącego między oknami.

- Drinka? - Laura pokręciła głową, a on przyrządził sobie małą porcję szkoockiej. Nieczęsto zaglądał do kieliszka, ale te raz musiał się napić.

Odwróciwszy się znowu twarzą do Laury, ruszył ku niej i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy mógł oprzeć dłoń na opar-

ciu dzielącej ich kanapy. Popijał whisky małymi łykami, obsługując swego gościa.

- Peter odwiedził panią w sobotę - rzekł po chwili. - Więc jednak znała go pani.

- Spotkałam się z nim wtedy - odparła teraz już pewnym głosem - ale go nie znałam. Spędził w moim mieszkaniu niepełną kwadrans, a potem wyszedł. To jedyna chwila w moim życiu, gdy widziałam pańskiego brata.

- Oczekuje pani, że w to uwierzę?

- To prawda.

- Oczywiście, musiała pani tak powiedzieć, co?

Laura wciągnęła lekko powietrze, palcami bawiła się palcem torebki.

- Wie pan, że w sobotę kupiłam lusterko na waszej aukcji? Daniel potwierdził skinięciem głowy.

- Tak. Policja prosiła, bym potwierdził, że Peter pojechał zobaczyć się z panią z powodu lusterka.

- Potwierdził to pan?

- Owszem.

- Więc pan wie, że byłam mu obca.

Daniel uśmiechnął się nieznacznie, bez rozbawienia.

- Wiem, że takie to sprawiało wrażenie.

- Tak właśnie było. Przyjechał zobaczyć się ze mną, ponieważ chciał odkupić lusterko. Czy pan - czy wie pan, dla czego?

Daniel spojrzął na szklankę i poruszył ręką, aż kostki lodu zagrzechały.

- Nie.

Kłamie. Laura wiedziała o tym. Nie miała pojęcia dlaczego, ale wiedziała, że nie powiedział prawdy. Przyglądała się, jak unosi szklankę do ust; jej wzrok przylgnął do prawej ręki Daniela. Przyglądała się dużemu złotemu sygnetowi z rubinowym zielonym kamieniem, może jademitem, może szmaragdem. W tym, jak trzymał szklankę między kciukiem a dwoma palcami, było coś dziwnie znajomego.

Nie mogła jasno myśleć; wciąż przeżywała wstrząs i osłabienie pociąganiem fizycznym, jaki natychmiast do niego poczuła. Ostrożna w tych sprawach, jak w żadnej innej dziedzinie swego życia, nigdy nie należała do kobiet szybko reagujących.

jących na męski urok i nie wiedziała, jak sobie poradzić ze swoimi uczuciami. Daniel był nie tylko kimś obcym, ale do tego uważał ją za osobę zdolną do zabójstwa, a mimo to nie mogła oderwać od niego oczu i wszystkie jej zmysły były tak wyostrzone, że czuła się naga i bezbronna.

Danielowi brakowało urody Petera, lecz jego surowe rysy zniewalały zmysły, sprawiając, że z perspektywy czasu młodszy brat wydawał się niemal absurdalnie chłopiący. Potężny Daniel poruszał się z niesamowitym wdziękiem, ze swobodą wynikającą z całkowitego i bezwiednego panowania nad mięśniami, a sam jego wzrost świadczył o dominacji, o ledwie powstrzymanej wrodzonej sile. Przywodził na myśl dużego kota przemieszczającego się przez mroczną i niebezpieczną dżunglę. Ów obraz był tak przekonujący, że Laura mogłaby przysiąc, iż w pokoju unosił się zapach pierwotnej dzikości.

Ku swemu zakłopotaniu poczuła, że jej ciało zareagowało na niego w sposób niezwykle gwałtowny. Skóra była rozpalona, mięśnie rozluźnione, oddech przyspieszony. Czowała słabość w drżących nogach i prawdziwe, bolesne pożądanie.

Boże, co się ze mną dzieje?

Usiłując zapanować nad swoimi uczuciami i skupić się na tym, czego przyszła się tu dowiedzieć, zdołała zauważyć spokojnym głosem:

- Nie wie pan, dlaczego Peter chciał odkupić lusterko, ale wie pan, że właśnie z tego powodu odwiedził mnie w sobotę.

- Tak powiedziałem policji. - Daniel utkwił w jej twarzy swe uważne, niemal hipnotycznie przenikliwe bladoniebieskie oczy. Z roztargnieniem obracał kostki lodu w szklance, a ruch jego ręki powodował, że sygnet miotał zielone błyski.

Miał długie i mocne palce; Laura zaczęła się zastanawiać, czy ich dotyk byłby czuły, czy też przytłaczałby ją swoją siłą. Gdy te spekulacje wywołały czysto erotyczny obraz w jej umyśle, zalała ją nagła fala ciepła.

- Nie wie pan, dlaczego to lusterko było ważne dla Petera? - zapytała z wysiłkiem.

- Tak właśnie zeznałem. - Głos Daniela był spokojny, a spojrzenie nadal nieodgadnione.

Wydawał się niewzruszony i cicho nawet nie zauważył, że

Laura nie jest ani trochę opanowana. Próbowwała uspokoić oddech, nie zdradzając, jak trudno jej to przychodzi.

- Powiedział, że lusterko stanowiło rodzinne dziedzictwo. Czy to prawda?

- O ile wiem, panno Sutherland, było jednym z wielu nieuzwyczajnych i niechcianych przedmiotów schowanych na poddaszu Bóg jeden wie przez kogo i przed ilu laty. - Mówił ze śladowym tylko południowym akcentem; wymowa charakterystyczna dla ludzi, którzy mieszkali i sporo podróżowali poza obszarem Południa.

- Czy ktoś w rodzinie wiedziałby o nim coś więcej?

- Wątpię. - Daniel stał się obcesowy, zmrzył oczy z wyrazem lekkiej dezaprobaty. I to naprawdę nie najlepszy moment na zadawanie pytań, mógłby równie dobrze dodać.

Dopiero teraz uswiadomiła sobie, że jak na człowieka, który przed dwoma dniami pochował własnego brata, Daniel sprawiał wrażenie zupełnie niewzruszonego. Czyżby nie darzyli się sympatią? Czy też był po prostu opanowanym mężczyzną, który nigdy nie zdradza swoich uczuć? Surowe rysy i zimne błękitne oczy z pewnością nadawały mu wygląd twardego człowieka i choć jego stosunek do niej wyraźnie świadczył o tym, że nie jest skłonny uwierzyć, iż jej związek z Peterem był świeżej daty albo zupełnie bez znaczenia, nie wydawał się zirytowany ani w jakikolwiek sposób wstrząśnięty faktem, że stoi przed nim potencjalna zabójczyni jego brata.

Najwyraźniej jednak był świadomy, że jego dom jest do mem żaloby, i Laura zastanawiała się, czy nie dlatego właśnie zgodził się z nią spotkać i porozmawiać, tak aby inni członkowie rodziny, bliźsi Peterowi, nie byli niepokojeni.

- A nie sądzi pan, że lusterko ma jakąś wartość dla kogokolwiek z rodziny? - zapytała powoli.

- Nie sądzę, by ktokolwiek inny pragnął odkupić je od pani - odparł obojętnym tonem. Nieznacznie wzruszył szerokimi ramionami, przyciągając wzrok Laury i znowu ją dekoncentrując. Miał w sobie tyle energii, tyle siły, a mimo to nie obawiała się go.

Uswiadomiwszy sobie nagle, że milczała o tych parę sekund za długo, zauważyła pospiesznie:

- Zatem nie będzie pan miał nic przeciwko temu, bym spróbowała się dowiedzieć, dlaczego Peter chciał je odkupić.

Unioś brew.

- Przeciwno? Nie. Tylko w jaki sposób ma pani zamiar to zrobić?

- To stare zwierciadło. Musi mieć jakąś historię. Zleciłabm zbadanie tej sprawy.

- Po co?

Laura zawahała się przez chwilę, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Ja... kolekcjonuję lustra, więc prawdopodobnie i tak bym to zrobiła, z czystej ciekawości. Ponieważ jednak brat pana próbował odkupić lusterko, a kilka godzin później został zabity, muszę się dowiedzieć, czy miało ono jakiś związek z morderstwem. Dla spokoju ducha.

- Rozumiem.

Słyszac nutę powątpiewania w jego głosie, Laura powiedziała dobitnie:

- To lusterko, panie Kilbourne, jest jedyną rzeczą łączącą mnie i pańskiego brata. Jeżeli pan sądzi, że miałam z nim romans, to się pan myli.

Daniel znowu zmrużył oczy, utkwilił spojrzenie w jej twarzy. W jego głosie można było wyczuć powściągliwość.

- Jeszcze nie wyrobiłem sobie sądu o pani, panno Sutherland. Powiedzmy po prostu, że bardzo dobrze znałem swoje go brata. Ilekroć poznawał piękną kobietę, zawsze próbował zaciągnąć ją do łóżka. I często mu się to udawało.

Laura zignorowała ten dwuznaczny komplement.

- Jak było, tak było, ja nie mam zwyczajny sypiać z mężczycznymi po piętnastu minutach znajomości. A z żonatymi - w ogóle, jeżeli już o to chodzi. Cokolwiek pan myśli o zasadach moralnych swojego brata, nie ma pan prawa snuć przy puszczeniu co do moich zasad. - *Teraz przechyli lekko głowę w bok w ten swój drwiący sposób.*

Daniel zrobił to dokładnie tak, jak się spodziewała, ruchem znanym jej nie wiadomo skąd.

- Nauczono mnie, bym nigdy nie zarzucał kłamstwa ko biecie - rzekł oschle. - Więc wydaje się, że mamy sytuację patową: ja nie całkiem wierzę, że pani znajomość z moim

bratem była niewinna, a pani w żaden sposób nie może tego dowieść.

Fakt, że miał rację w tej drugiej kwestii, wyraźnie zaniepokoił Laurę. Nie chciała, by ktokolwiek uważał, że utrzymywała kontakty seksualne z Peterem Kilbourne'em: ani opinia publiczna, ani policja, ani rodzina - a już na pewno nie ten człowiek.

- Niech pan przynajmniej uwierzy, że go nie zabiłam - powiedziała proszącym głosem.

Wydawało jej się, że surowa twarz Daniela złagodniała w ledwie dostrzegalny sposób, że w lodowatych oczach pojawił się błysk ciepła, ale wszystko to, co mógłby wyznaczyć do odpowiedzi na jej prośbę, przepadło bezpowrotnie, gdy do biblioteki wkroczyła nowa osoba.

- Czemu nie powiedziałaś, że mamy gościa?

Bardzo chętnie bym namalowała jej portret, pomyślała na wstępie Laura.

Była to bez wątpienia Amelia Kilbourne. Drobna, na pozór wątła staruszka, mająca niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, mimo że trzymała się prosto, chodziła o lasce ze srebrną galką. Jej twarz niezbyt się zmieniła w ciągu sześćdziesięciu lat; miała te same wysokie kości policzkowe, ostrą szczękę oraz orli nos i przejrzyście ciemne oczy. Śnieżnobiałe włosy upięte miała wysoko nad czołem w bardzo twarzowy sposób; jej czarna koronkowa suknia ze stójką w stylu z przełomu wieków, sięgająca podłogi, zdawała się bardziej nadawać na uroczystą kolację niż na popołudnie dnia żałoby. Lecz staromodny styl ubierania się, podobnie jak fryzura, doskonale do niej pasował.

Daniel popatrzył chwilę na starszą panią, zanim się odezwał. Nieugięte spojrzenie jego jasnych oczu napotkało ciemne, nieco wyzywające i... chyba nieco przestraszone oczy Amelii. Laura miała przez chwilę wrażenie, że toczą ze sobą cichą bitwę.

- Laura Sutherland. Moja babka, Amelia Kilbourne - przedstawił je sobie z twarzą bez wyrazu.

- Witam panią - mruknęła Laura, nie wiedząc, czego się spodziewać po tym członku rodu.

Amelia przeszła przez pokój zupełnie bez trudu, nie pod-

pierając się laską, i usiadła na jednej ze skórzanych sof. Ruchem wspaniałej ręki wskazała Laurze miejsce obok i powiedziała miłym głosem:

- Czyżby mój wnuk nie poprosił, żeby pani usiadła?

Laura usiadła, mając świadomość, że Daniel stoi za nią w milczeniu.

- Nie chciałam pani niepokoić. Wiem... wiem, że to okropny moment. Proszę przyjąć moje szczerze kondolencje z powodu śmierci pani wnuka. - Dopiero w tej chwili usłyszała sobie, że nie przekazała wyrazów współczucia Danielowi. Ciekawe, czy to pod jego wpływem zapomniała o grzeczności, czy może wyczuła, że nie zechce przyjąć od niej kondolencji.

- Dziękuję, panno Sutherland. Mogę ci mówić Lauro? - Głos Amelii brzmiał łagodnie, jej akcent wskazywał raczej na pochodzenie z Alabamy niż z Georgii.

- Oczywiście.

- A mnie wszyscy nazywają Amelią. Mam nadzieję, że będziesz się tak do mnie zwracała.

- Dziękuję. - Laura niemal czuła na sobie ciężar sardonicznego spojrzenia Daniela i wiele by dała, żeby stanąć z drugiej strony sofy, by mogła go obserwować. Miała wrażenie, że wielki kot jej wyobraźni czai się za nią w ciemności, gotów w każdej chwili skoczyć i pożreć - lub przynajmniej porwać - swą zdobycz.

Czuła się również nieswojo, siedząc przed jego babką i zastanawiając się, czy starsza pani przestanie być taka uprzejma, gdy się dowie, kim naprawdę jest ich gość. Potem jednak Amelia znowu przemówiła tym samym miłym tonem i stało się jasne, że dokładnie wie, kogo przyjmuje w swoim domu.

- Rozumiem, że policja szuka dowodów wiążących ciebie z moim wnukiem.

To stwierdzenie trudno było uznać za pytanie; zaskoczona Laura starała się powstrzymać drżenie głosu.

- Poznałam Petera w sobotę, pani Kilbourne.

- Amelio, moja droga. Proszę.

- W takim razie Amelio. Dziękuję. Przeszedł po prostu do mojego mieszkania, żeby porozmawiać o lusterku, które tu kupiłam tamtego dnia.

- Wiem, moja droga, dowiedziałam się o tym od policji. - Amelia odsunęła lusterko, nie wykazując zainteresowania. - Ale okazuje się, że Petera widziano kilka razy w towarzystwie pięknej rudowłosej kobiety i policja chyba pragnie cię obsadzić w tej roli. - Mówiła z ożywieniem i rzeczowo. Jeże li nawet martwił ją fakt, że jej wnuka widywano w towarzystwie kobiety nie będącej jego żoną, to nie zdradziła swych uczuć.

Daniel rzekł spokojnym głosem:

- Rozmawiałaś z policją, Amelio? Chyba uzgodniłiśmy, że to ja będę prowadził z nimi rozmowy.

- Zapominasz, Danielu, że komisarz jest moim starym znajomym. - Spojrzała na wnuka z błyskiem triumfu w oczach. - Zadzwońił do mnie z informacją o tym, jak postępuje śledztwo.

- I najwyraźniej - zauważył ponuro Daniel - pospieszył się z osądem.

- Nonsens. Czemu nie miałabym poznać faktów? Ostatecznie jestem babką Petera.

- Faktów, Amelio? Fakty poznasz, jeżeli ta sprawa trafi kiedyś do sądu. A tymczasem będziesz wysłuchiwała jedynie teorii i spekulacji. Bo tylko nimi dysponuje policja, dopóki nie znajdzie dowodów. Peter nie żyje; to jest fakt. Ktoś go zabił; to następny fakt. I nic więcej nie wiemy.

Brutalna siła jego słów chyba nie podziałała zbyttnio na Amelię; starsza pani wzruszyła tylko nieznacznie chudymi ramionami.

- Jeżeli liczysz, że ochronisz Kerry przed publicznymi spekulacjami na temat kobiet Petera, to moim zdaniem jest na to za późno. O wiele za późno.

Laura siedziała nieruchomo, obserwując Amelię i słuchając, jak rozmawia z Danielem, jakby w pokoju nie było trzeciej osoby. Starała się określić wzajemne stosunki tych dwojga, zrozumieć, co takiego słyszy w ich głosach i widzi w ich zachowaniu wobec siebie. Niechęć? Naturalną walkę między dwójgiem wpływowych i upartych ludzi, czy coś więcej? Daniel wydawał się ostrożnie dobierać słowa, było jednak jasne, że nie zgadza się z babką; Amelia chyba obawiała się trochę swego wnuka, a mimo to w jej postawie była również przekora.

I żadne z nich, o ile Laura zdołała się zorientować, nie bolało zbyt mocno nad śmiercią człowieka, którego pochowali przed dwoma dniami.

- Może i jest za późno, by zwać na uczucia Kerry - odparł Daniel, wciąż ponury - ale Laura nie powinna być obsmarowywana błotem w sytuacji, gdy przeciwko niej przemawiają jedynie poszlaki - w dodatku bardzo nieliczne. Czy ty podałaś prasie jej nazwisko?

Laura odwróciła głowę, by popatrzeć na niego, nieco wstrząśnięta tym, że tak bez pardonowo używa jej imienia.

- Skąd pan wie, że znają moje nazwisko? Przecież nie wydrukowano go w gazetach.

Daniel spoglądał na nią przez chwilę.

- Stąd, że kilku reporterów dzwoniło z bezczelnymi pytaniami.

- Zabronił im pan ujawniać moje nazwisko? - zdziwiła się.

- Przypomniałem im, że wolność słowa nie obejmuje prawa do zniesławiania, a ponieważ nie została pani aresztowana, podawanie pani nazwiska w związku z zabójstwem mojego brata byłoby nierozsądne.

Laura chciała go zapytać, dlaczego tak bronil jej przed prasą, skoro sam ją podejrzuwał, ale Daniel z powrotem zwrócił uwagę na babkę i powtórzył pytanie.

- Czy podałaś im nazwisko Laury?

- Ależ skąd. Po co, u licha, miałabym to zrobić? - zapytała, marszcząc brwi.

Laura spojrzała na starszą panią. *Ale zrobiłaś, Amelio*. Tak jak przedtem w przypadku Daniela, tak i teraz miała pewność, że Amelia po prostu skłamała. Przekazała jej nazwisko prasie. Pytanie brzmiało: po co. Laura nie widziała w tym żadnego sensu.

- Nie wiem po co - rzekł Daniel. - Sądzę jednak, że po stałabyś... roztropnie, pozostawiając śledztwo w rękach władz. I pozwól, bym zajął się policją. Zgoda?

Choć słowa te brzmiały grzecznie, Laura mogłaby przysiąc, że wyczuła w nich oraz w nagle zlagodniałym tonie głosu Daniela delikatną groźbę. Sądząc z reakcji Amelii, ona również ją wyczuła. Ciemne oczy staruszki zabłyśły, a usta zacisnęły się lekko, gdy spuściła wzrok.

- Dobrze, Danielu.

Co się między nimi dzieje? W tym momencie Laura przypominała sobie, że według brukowców czytanych przez Cassidy tych dwoje dzierżyło całą władzę nad finansami rodziny; formalnie kontrolę sprawowała Amelia, lecz to Daniel wszystkim kierował - i walczył ze swoją babką na każdym kroku. Być może to tłumaczyło ukrytą wrogość, którą wyczuwała między nimi, oraz jego wyraźne próby nagięcia babki do swej woli.

Nieco zaskoczył ją fakt, że Amelia tak szybko się poddała, potem jednak dostrzegła błysk w ciemnych oczach, które nagle zwróciły się ku niej, i odniosła dziwne wrażenie, że w tej wspaniałej głowie powstaje plan - i że ona ma w nim odegrać pewną rolę.

- No cóż, moje dziecko, jest dla mnie rzeczą oczywistą, że taka uroczą dziewczyną jak ty nigdy się nie wplątała w brudne sprawy Petera, więc nie będziemy więcej o tym mówić. - Machnięciem eleganckiej ręki odsunęła wspomnienie śmierci wnuka oraz wszelką możliwość, że Laura maczała w tym palce. Zrobiła to iście po królewsku.

- Jeżeli się nie mylę, jesteś artystką?

- Tak. Uprawiam sztukę użytkową. - Znowu komisarz polacji? Czy też Amelia miała jeszcze jedno źródło informacji?

Spojrzenie Amelii pomknęło ku portretowi wiszącemu nad gzymsem kominka, po czym wróciło do twarzy Laury.

- Czas zastąpić ten zabytek czymś bliższym rzeczywistości. Przyjmujesz zlecenia?

Zaskoczona Laura pokręciła głową.

- Chyba pani nie rozumie...sz, Amelio. Ja nie maluję portretów, robię projekty graficzne, makiety w czasopiśmie, tego rodzaju rzeczy. Sztuka użytkowa.

Teraz z kolei Amelia pokręciła głową z lekkim uśmiechem.

- Nie wierzę, że twoje ambicje nie sięgają wyżej, Lauro.

Laura zawałała się, świadoma obecności milczącego Daniela, a potem odparła z bolesną szczerością:

- Nie jestem wystarczająco dobra, by być malarką, a zwłaszcza portrecistką. Od czasu do czasu próbuję, ale...

- Nie zrezygnowałaś? - Głos Amelii był łagodny i zachęcający.

- Nie... nie potrafisz się na to zdobyć. - Laura była zaskoczona swym wyznaniem; nawet Cassidy nie miała pojęcia, że ona wciąż żywi nadzieję, iż kiedyś będzie „prawdziwą” artystką.

- W takim razie możesz spróbować namalować mnie. - Rumieniec pogodnego nastroju zabarwił policzki Amelii, zmieniając w zdumiewający sposób chłodną wyniosłość jej twarzy w czarującą serdeczność. - Chyba same możemy rozstrzygnąć, czy próba się powiodła. Wówczas będę miała wspaniały portret pędzla obiecującej artystki. Jeżeli nie, zadaj nam z nas nie straci nic cennego. W każdym razie otrzymasz zapłatę za swój czas i starania.

- Ale...

Amelia szybko podała sumę, która sprawiła, że oczy Laury zrobiły się okrągłe.

- Sądzę, że to szczodre wynagrodzenie jak na nieznaną malarzkę - dodała starsza pani.

- Więcej niż szczerze - odparta Laura. I niesamowicie kuszące, zważywszy na jej obecny, napięty budżet. - Musisz jednak zrozumieć, jak trudno byłoby mi przyjąć twoją propozycję. Nawet gdybym czuła się zdolna zrealizować zlecenie, policja podejrzewa, że byłam wmieszana w morderstwo twojego wnuka. Z pewnością uznałaby, że to dziwne, gdybym spędzała tu tyle czasu. Wątpię też, by przypadło to do gustu innym członkom twojej rodziny.

- Nie zabiłaś Petera - stwierdziła z absolutną pewnością Amelia.

Czy wiesz, kto to zrobił, Amelio? Czy właśnie dlatego jesteś tak przekonana o mojej niewinności?

- Nie. Nie zabiłam. Dopóki jednak policja nie dowie się, kto naprawdę go zabił, większość ludzi będzie podejrzewać, że byłam w to w jakiś sposób wplątana. Jakby to wyglądało, gdybym spędzała tu tyle czasu? I co pomyślałaby policja?

- O policję nie musisz się martwić - rzekł Daniel. - Ja... wyjaśnię tę sytuację.

Laura szybko odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Tylko niech mi pan nie mówi, że to dobry pomysł. Jego uśmiech był nieco sardoniczny.

- No cóż, moja babka chce, żeby pani namalowała jej portret, a Amelia zwykle dostaje to, czego chce.

Nie dlatego jednak zaaprobował ten pomysł, pomyślała Laura, lecz prawdziwego powodu jego zagadkowe oczy nie zdradziły. Czują, że tych dwoje: Amelia prosząca - wręcz żądająca - z niewyjaśnionych powodów, by w nadchodzących tygodniach Laura spędzała mnóstwo czasu wśród Kilbourne'ów, oraz Daniel pozwalający na to, mimo wyraźnie określonych uczuć wobec niej, wciągają ją w coś, czego powinna unikać.

Oczywiście mogło to być wybujałym wytworem jej żywej wyobraźni, lecz nagle ujrzała siebie w roli pionka przedstawionego przez nich w jakiejś subtelnej grze, której nikt inny nie rozumiał. O pionkach zaś wiedziała tylko tyle, że poświęcano je podczas gry.

- Mogłabyś pracować nad portretem wieczorami - mówiła Amelia, wciąż pełna animuszu - więc nie kolidowałoby to z twoją pracą.

- Wzięłam urlop - odparta Laura, nadal zaszokowana nagłością tego wszystkiego.

- Z powodu prasy? - zapytał Daniel. Laura znowu spojrzała na niego przez ramię.

- Po prostu wydawało mi się, że to dobry pomysł, i tyle.

Daniel nie odpowiedział - patrzył tylko na nią bez wyrazu. Amelia była jednak zachwycona.

- To cudownie, możesz się skupić całkowicie na malowaniu portretu. Każemy ci przygotować pokój, żebyś nie musiała codziennie dojeżdżać.

Wrażenie, że jest wciągana w ich grę, stało się jeszcze silniejsze i Laura poczuła gwałtowną panikę. Wstała w pośpiechu.

- Będę... będę musiała to przemyśleć, Amelio. To bardzo wielkoduszna propozycja i dziękuję ci za nią, ale będę się musiała zastanowić.

Przez chwilę wydawało się, że Amelia zaprotestuje i zażąda natychmiastowej odpowiedzi, ale nagle uśmiechnęła się i z gracją podniosła z sofy.

- Oczywiście, Lauro.

Laura poczuła tak wielką ulgę, że uznała to wręcz za niedorzeczność; czyżby myślała, że zatrzymają ją siłą?

- Miło mi było cię poznać - powiedziała.
- Mnie również. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy.

- Odprowadzę panią- rzekł Daniel, odstawiając szklankę. Kusilo ją, by powiedzieć, że sama trafi, ale poszła z nim przez dwuskrzydłowe drzwi do holu. Mimo że była wysoka jak na kobietę, Danielowi sięgała głową zaledwie do ramienia. Idąc obok niego, miała świadomość jego bliskości, czuła ciepło jego ciała. *Boże, co się ze mną dzieje?* Poczula zapach jego wody po goleniu; woń pizma podziałała na nią tak silnie, że zapagnęła zamknąć oczy i wchłonąć go w całości.

Przy drzwiach frontowych Daniel zatrzymał się i spojrzął na Laure.

- Wyjaśnię policji, dlaczego pani tu dzisiaj przyszła - rzekł. - I powiem im, że moja babka zaproponowała pani na malowanie jej portretu.

Laura zapanowała nad zmysłami i zdołała zapytać:

- Sądzi pan, że to... odsunie ich podejrzenia?
- Myślę, że zgoda rodziny na pani obecność w tym domu będzie miała dla nich pewne znaczenie - rzekł po namyśle.
- Powie im pan, dlaczego jestem akceptowana w tym domu? - zapytała Laura.
- Oczywiście. - Otworzył drzwi i cofnął się, by ją wypuścić. - Powiem, że naszym zdaniem nie miała pani nic wspólnego z zamordowaniem Petera.

Laura, zbita z tropu, mogła tylko pokręcić głową. Daniel był gotów bronić jej przed prasą, wytłumaczyć policji powody jej wizyty tutaj oraz oświadczyć im, że jest niewinna, a jednak czuła, że robi to wszystko, żeby ułatwić sobie realizację jakiegoś własnego planu. Nie potrafiła tylko określić, na czym może polegać ów plan.

- Do widzenia, Lauro - powiedział.

Spojrzała na tę surową, pozbawioną wyrazu twarz i mogła jedynie znowu bezradnie pokręcić głową.

- Do widzenia, Danielu - odparła, zwracając się po imieniu z takim samym wyrachowaniem, z jakim mówił on. Po tem wyszła z domu.

*

Daniel spoglądał za nią, dopóki jej samochód nie wyjechał z zatoczki koło domu i ruszył w stronę bramy. Dopiero wtedy zamknął powoli drzwi. Wrócił przez hol do biblioteki i stwierdził, że babka, stojąc przy kominku, przygląda się portretowi namalowanemu blisko sześćdziesiąt lat wcześniej.

- Naciskałaś, Amelio - rzekł miłym tonem. - Wystraszyłaś ją. To nie było zbyt wyrafinowane z twojej strony, nieprawdaż?

- A ty? - zapytała, zaciskając lekko usta. - Stałeś tam jak skała i strofowałeś mnie, jakbym była tu ledwie lokajem, który ma słuchać twoich poleceń. Nie sądzisz, że to mogło ją trochę zrazić?

- Och, ona straciła do mnie sympatię, zanim się tu zjawiałaś - wyjaśnił oschle Daniel.

Amelia posłała mu surowe, przenikliwe spojrzenie.

- Odziedziczyłeś po swoim ojcu więcej uroku, niż okazałbyś dla niej miły? To piękna dziewczyna.

- Może dlatego, że nie chcę resztek po moim bracie.

- Gdyby z nią sypiał, raczej nie byłby w motelu z inną kobietą.

- Jeżeli był z inną kobietą.

- Myślisz, że go zabiła? Ma w sobie za mało pasji.

- W sobotni wieczór mogła ją mieć.

Amelia wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że każda mogłaby gwałtownie zareagować, gdyby znalazła się pod zbyt silną presją. Ale ta dziewczyna nigdy nikogo nie zabiła. - Po chwili, mierząc Daniela bystrym spojrzeniem, dodała: - Więc pogadasz z policją? Załatwisz, żeby Laura Sutherland mogła tu przyjeżdżać i malować mój portret? Spróbujesz zająć mnie czymś i usunąć ze swej drogi?

Tym razem to on wzruszył ramionami.

- Spróbuję po prostu sprawić ci przyjemność, Amelio, jak zawsze.

- Może i masz urok, ale los nie obdarzył cię skromnością. Więc nie myśl, że wierzę w to choćby odrobine. Sprawianie mi przyjemności jest tylko elementem ubocznym twoich planów. Ale mnie to nie przeszkadza.

Obserwując, jak babka idzie do drzwi, Daniel zmrzążył oczy. Gdy do nich dotarła, odwróciła się nieco, by na niego spojrzeć. Uśmiechnęła się.

- Wiem o lusterku, Danielu - powiedziała cicho. - Wiem, co ono znaczy. - Wyszła z pokoju, poruszając się, jak zawsze, z wytwornym wdziękiem.

Daniel zastął na chwilę w bezruchu. Może nawet wstrzymał oddech. W końcu przerwał panującą w bibliotece ciszę cichym, zjadliwym przekleństwem i poszedł przyrzucić sobie jeszcze jednego drinka.

- Trochę to dziwne - stwierdziła Cassidy, gdy wieczorem siedzieli w salonie Laury.

- Trochę dziwne? To zupełnie nienormalne. - Laura uniosła ręce w geście oszołomienia. - Pamiętaj, że zaczęło się dobrze. Nie straciłam zimnej krwi. Strażnik przy bramie mnie wpuścił. Zostałam wprowadzona do biblioteki przez Jo-sie Kilbourne, która była bardzo grzeczna. Po paru minutach przyszedł Daniel i...

- I co? Pobladaś. Co się wtedy stało?

- Wspominałam tylko. Chryste, to dowodzi, jak bardzo mnie zaskokowali. Gdy Daniel wszedł do biblioteki, przedstawił się, a potem bardzo spokojnie zapytał, czy zabiłam jego brata.

- Tak bez ogródek?

- Laura potwierdziła skinieniem głowy.

- Owszem. Śmiem twierdzić, że należy do osób, które bardzo często walą prosto z mostu.

- Widzę, że zrobił na tobie spore wrażenie - powiedziała Cass, bacznie wpatrując się w Laurę.

- Można by tak powiedzieć. - Laura odwróciła wzrok i szybko dodała: - Tak czy owak, jak już mówiałam, wyjąwszy jego pytanie, wszystko zaczęło się dobrze. Normalnie. Zgodnie z oczekiwaniami. Zapytałam o lusterko. Odparł, że nie wie, dlaczego Peter chciał je odkupić, że o ile mu wiadomo, to zwykły rupiec. Dał wyraźnie do zrozumienia, iż uważa, że sypiałam z jego bratem, lecz był bardziej... opanowany niż zły. Potem przyszła Amelia.

- I sytuacja stała się niebezpieczna?

Laura zrobiła jeszcze jeden wyrażający zakłopotanie gest.

- Po prostu tego nie rozumiem. To niemożliwe, by mogła mieć jakiegokolwiek pojęcie o moich umiejętnościach, a jednak zleca mi namalowanie swojego portretu, i to za hojnym wynagrodzeniem. Mnie, kobiecie, którą, jak doskonale wie, podejrzewa się o zamordowanie jej wnuka. I jest taka... natarczywa. Starsza pani za wszelką cenę chce, żebym namalowała jej portret. Powiedziała nawet, że przygotowuję dla mnie pokój na wypadek, gdybym nie chciała dojeżdżać, tak jak bym mieszkała na drugim końcu stanu.

- Zapropionowała ci pobyt w swoim domu?

- To nie była propozycja, raczej stwierdzenie.

- A co na to Daniel?

- Właściwie nic. Był niezadowolony, że Amelia rozmawiała z policją, i omal nie oskarżył jej o podanie mojego nazwiska prasie, ale nie sprzeciwił się pomysłowi, bym snuła się po ich domu, malując Amelię. Więcej nawet, powiedział, że wyjaśni sytuację policji.

- I sądzisz, że to wszystko jest elementem pewnego rodzaju walki o władzę między nimi?

- Wiem tyle, że coś się tam działo. Czulałam to. I niezależnie od tego, o co chodzi, oboje chcą mnie w to wplątać.

Cassidy zaważała się, po czym spytała:

- Czy nie doszukujesz się zbyt wiele w dziwnej, to trzeba przyznać, próbie o namalowanie portretu starszej pani?

- Nie było cię tam, Cass. Trudno mi to wyjaśnić, ponieważ wszystko rozgrywało się pod maską pozorów, chodzi zarówno o ich słowa, jak i o to, jak brzmiały. O to, jak patrzyli na siebie. Mogę ci tylko powiedzieć, że czulałam, jakby każde z nich chciało czegoś ode mnie, jakby pragnęło... postłużyć się mną we własnych planach.

- Jak pionkiem?

- Laura skinęła głową.

- Jak pionkiem.

- No cóż, w takim razie nie przyjmuję zlecenia. Nie wracaj tam.

Prosta odpowiedź, pomyślała Laura. Z pewnością logiczna i rozsądna. Trzeźwy umysł podpowiadał, że jeżeli wróci do tego domu, jeżeli zwiąże się z tą rodziną, narazi się na klopo-

ty; więcej, głęboko zakorzeniony instynkt samozachowawczy ostrzegał, że kłopoty będą poważne. Lecz inne instynkty oraz inne pragnienia pchały ją do tego, co bynajmniej nie było roztropne ani oczywiste. Musiała dowiedzieć się czegoś o lusterku i choć Daniel ją zbył, była przekonana, że ktoś w rodzinie Kilbourne'ów może zaspokoić jej ciekawość. Miał też chyba rację, twierdząc, że policja przestanie ją uważać za główną podejrzaną, jeżeli się zorientuje, że Kilbourne'owie przyjmują ją u siebie, a o to właśnie chodziło. Był jeszcze portret, okazał, żeby się dowiedzieć, czy nadaje się na malarkę; uchwycenie naznaczonej piętrem wieku urody i wyniosłej elegancji Amelii z pewnością byłoby dostatecznym sprawdzianem. Pieniądze bezsprzecznie by się jej przydały.

Przede wszystkim jednak to, co poczuła na widok Daniela, niesamowite wrażenie, że go zna, oraz natychmiastowe, przylatczające niemal zauroczenie, było zupełną nowością w jej życiu - czymś, czego nie mogła odsunąć na bok ani zlekceważyć.

Daniel „niezwykle” wierzył, że jej znajomość z Peterem była niewinna, i „jeszcze” nie wyrobił sobie sądu o niej, ale obronił ją przed prasą. I gotów był oświadczyć policji, że jest niewinna. I nie sprzeciwił się jej obecności w jego domu rodzinnym. Nie miała jednak pojęcia, co kryje jego pozbawiona wyrazu twarz i enigmatyczne spojrzenie. Nie miała pojęcia, jaką rolę wyznaczył jej w swojej powolnej, toczzonej w tajemnicy grze z Amelią. Nie wiedziała, co sądził o swoim bracie i o jego śmierci.

Nie wiedziała, co myślał o niej.

- Lauro?

Spoglądając w zatroskane oczy przyjaciółki, powiedziała powoli:

- Chyba nie mogę nie przyjąć tego zlecenia, Cass. Mam zbyt wiele pytań, na które mogę otrzymać odpowiedź tylko wtedy, gdy tam wrócę.

- Pytań dotyczących lusterka?

Laura potwierdziła skinieniem głowy.

- Owszem. Oraz innych spraw. Daniel nie okazał ani odrobiny wzruszenia na wspomnienie śmierci brata, Amelia zaś potraktowała ten temat w sposób zupełnie beceremonialny.

Dlaczego? Nawet jeżeli Peter Kilbourne był kobieciarzem, to był również przystojnym, czarującym i przesympatycznym człowiekiem. Jak to możliwe, że jego odejście z ich życia, w dodatku tak gwałtowne, wywarło na nich tak nikły wpływ? Ja znałam go tylko przez piętnaście minut, a czuję się bardziej wstrząśnięta jego śmiercią, niż było widać po nich.

- Chyba nie sądzisz, że to któreś z nich go zabiło?
- Nie wiem. Ale senny kierownik motelu nie jest zbyt wiarygodnym świadkiem. Tamtego wieczora z Peterem mógł być ktokolwiek. Do pokoju mógł wtargnąć zazdrosny mąż. Albo ktoś z rodziny, oburzony tym, że Peter zdradzał żonę. Chodzi o to, że człowiek z zewnątrz nigdy się nie dowie, co dzieje się w rodzinie, jeżeli nie spędzi z nią trochę czasu. Zostałam zaproszona.

- Powiedziała mucha do pająka - dodała półgłosem Cassidy.

Laura uśmiechnęła się, aczkolwiek był to uśmiech wymuszony.

- Owszem. Właśnie takie odniosłam wrażenie.

- Czy w takim razie wzięłaś pod uwagę fakt, że pobyt w tym domu może nie być dla ciebie bezpieczny? Jest co najmniej prawdopodobne, że ktoś z tej rodziny zabił Petera, prawda?

- Sądzę, że tak - odparła powoli Laura. - W dodatku... Josie ma rude włosy.

- Więc w tym domu może być morderca. Twierdzisz, że czujesz się wciągnięta w sytuację, której nie rozumiesz; może powinnaś kierować się intuicją.

- Nie muszę decydować dziś wieczorem. Przemyszę to jeszcze.

Cassidy skinęła głową, ale wyraz jej twarzy świadczył o tym, że wie, jaką decyzję podejmie Laura. Do sprawy Kilbourne'ów wróciła nieco później, kiedy już szła do siebie.

- W moich gazetach piszą, że Daniel wcale nie jest taki ładny jak Peter. To prawda?

- Owszem.

- Ale?

Laura spojrzała na nią krzywo.

- Ale nic. Peter był przystojniejszy.

- W porządku, możesz nie mówić.
- Daniel nie jest przystojny, ale jest diabelnie seksowny - odparła Laura, ustępując. - Czy to właśnie chciałaś usłyszeć?
- Jeżeli to prawda.
- Calkowita. W chwili gdy go ujrzałam... No cóż, powiem tylko, że po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, że można bez wahania pójść do łóżka z nieznanym.
- Cassidy otworzyła szeroko oczy i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.
- No, no. Może te kłopoty mimo wszystko skończą się szczęśliwie.
- Nie sądzę.
- Dlaczego? Nie zaiskrzyło z drugiej strony?
- Gorzej. - Laura uśmiechnęła się błado. - Podejrzewamnie co najmniej o to, że byłam ostatnią kochanką jego brata. A ja nie potrafię udowodnić, że to nieprawda.
- Cassidy pokręciła głową.
- Jeżeli rzeczywiście tam wrócisz i spędzisz z nim choć trochę czasu, zrozumie, że nią nie byłaś. Każdy mężczyzna by zrozumiał.
- Pierwsze słyszę. Wiesz, co oznacza imię Daniel?
- Co?
- Sędzia.
- Więc uzna, że jesteś niewinna. - Cassidy uśmiechnęła się. - Zobaczymy się jutro, dobrze?
- Dobranoc, Cass.

Przygotowując się do snu, Laura myślała o tym, o czym z taką pewnością powiedziała jej przyjaciółka, i nie potrafiła wykrzesać z siebie wiary w jej słowa. Prawdę mówiąc, miały nią tak sprzeczne emocje, że nie była nawet w stanie ich uporządkować. Bałagan panował również w jej myślach. Zostały tylko pytania i zranione uczucia.

Dlaczego Amelii Kilbourne tak bardzo zależało, aby nieznana artystka namalowała jej portret? Dlaczego sprawiała wrażenie tak obojętnej na śmierć czarującego wnuka? Czy ona i Daniel walczyli o władzę w rodzinie? Od jak dawna? Kto odniesie zwycięstwo? I dlaczego Laura miała uczucie, że stała się częścią tej walki?

Był jeszcze Daniel. Na pozór niewzruszony jak głaz, a jed-

nak drzemała w nim energia, którą Laura instynktownie wy-czuła. Co naprawdę myślał o śmierci swego brata? Co sądził o babce, do której się zwracał po imieniu, o walce między nimi?

Co sądził o Laurze?

Leżała w swoim wygodnym łóżku w cichym mieszkaniu i czuła w sercu tępy ból. Czula pustkę. Tęsknotę. Pożądała mężczyzny, którego zobaczyła po raz pierwszy tego dnia, mężczyzny, który nawet nie dotknął jej ręki, mężczyzny, który myślał o niej jak najgorzej.

Nie mogą tam wrócić.

Muszę.

Powtarzała to na okrągło w swoich myślach, a gdy w końcu zapadła w męczący sen, wciąż nie miała pojęcia, co zrobi.

Rozdział 4

- Twoje lusterko - wyjaśniła Dena Wilkes w sobotni ranek - wykonano w 1800 roku. Zostało zamówione przez Brandona Casha dla uczczenia dwudziestej drugiej rocznicy jego małżeństwa z Sarah. Wykonał je złotnik z Filadelfii. Przypominający labirynt wzór tworzy jedna, nieprzerwana, zamknięta linia, mająca symbolizować wieczność. Prawdę mówiąc, złotnik właśnie tak go opisał w katalogu: Wieczność. I odnotował, że wzór powstał na zlecenie dla Brandona Casha i nigdy nie zostanie skopiowany.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała Laura.

Pełna wigoru studentka college'u, zadowolona z siebie, poglaskała się po ciemnych włosach w triumfalnym geście.

- Dobra jestem, co?

- Jesteś genialna. Jakim cudem odkryłaś to tak szybko?

- Miałam szczęście - wyznała ze śmiechem Dena. - Złotnik prowadził bardzo porządnie dokumentację, a ponieważ zyskał dość znaczną sławę, jego prace są dobrze znane. Z mosiądzu robił niewiele rzeczy, a to, co zrobił, jest dokładnie udokumentowane. Nawiasem mówiąc, twoje lusterko jest sporo warte.

Laura pokręciła głową.

- Nie interesuje mnie jego wartość, tylko jego historia. Oraz dzieje ludzi, którzy je posiadali.

- Tak mówiłaś, ale pomyślałam, że powinienam o tym wspomnieć.

Siedziały przy stoliku i Dena wypita kilka łyków kawy, zanim zajrzała do leżącego przed nią notesu.

- W porządku. W przypadku małżeństwa Cashów znowu

mieliśmy szczęście. Rodzina ta była dobrze znana w Filadelfii, dlatego w różnych ówczesnych gazetach, listach i dziennikach można znaleźć wiele relacji z jej życia. Na szczęście większość tych tekstów znajduje się w witrynie internetowej biblioteki, więc wizyta w Filadelfii nie będzie potrzebna.

- To dobrze - zauważyła oschle Laura. - Ledwie stać mnie na opłacenie ciebie, a co dopiero biletów na samolot.

- Tak przypuszczałam. - Dena uśmiechnęła się do niej szeroko. - Zobaczymy... Nie wiedziałam, ile informacji potrzebujesz, więc zdobyłam tyle, ile mogłam. Brandon Cash urodził się w 1760 roku i żył długo. Zmarł w 1830 w wieku lat siedemdziesięciu; przyczyną śmierci nie odnotowano, ale w tym czasie szerzyła się epidemia grypy, więc pewnie się jej nabawił.

Sarah Langdon przyszła na świat w 1762 roku i również dożyła siedemdziesiątki, umierając, jak to określił lekarz, z rozpaczy w 1832 roku.

Laura była zaskoczona.

- Z rozpaczy? Faktycznie tak napisał?

- Tak. Stwierdził, że po śmierci męża po prostu straciła siły, i był przekonany, że zmarła z rozpaczy. Najwyraźniej tych dwoje łączyła prawdziwa romantyczna miłość i wszyscy byli tym poruszeni. - Dena znowu zajrzała do notatek. - Brandon i Sarah poznali się w 1777 roku, gdy ona miała piętnaście, a on siedemnaście lat. Ich rodziny uważały, że są zbyt młodzi, ale oni ogromnie pragnęli się pobrać - i zrobili to rok później.

Wygląda na to, że prowadzili szczęśliwe życie. Żadnych problemów finansowych i bez wątpienia dobre zdrowie. Sarah bez trudu urodziła troje dzieci, które wyrosły na silnych i zdrowych ludzi. I przez wszystkie te lata zwracano uwagę na ich wzajemne oddanie. Byli nie tylko przywiązani do siebie, ale jedno bez drugiego było jakby niekompletne. Żadne z nich nie pozostawiło dziennika, lecz tuż po śmierci męża Sarah napisała w liście do siostry, że przez wszystkie lata małżeństwa nie spędzili ani jednej nocy osobno i że nie może znieść widoku pustego łóżka.

- Może więc rzeczywiście zmarła z rozpaczy - zauważyła Półgłosem Laura.

- Smutne, prawda? - Dena pokręciła głowę, jednak jej z natury pogodnie usposobienie wzięło górę. - Z drugiej strony spędzili razem ponad pięćdziesiąt lat.

Laura potwierdziła skinieniem głowy.

- Więcej niż większość ludzi - powiedziała, lecz w jej wyobraźni powstał obraz staruszki leżącej nieruchomo, w milczeniu, na swojej połowie pustego łóżka, obraz przyprowadzający ją o ból serca. Z trudem otrząsnęła się z tego uczucia. - A lusterko?

Dena, której spokoju najwyraźniej nie mąciły biografie ludzi starszych od niej o ponad sto lat, skinęła energicznie głową.

- Sarah nie zostawiła testamentu, ale zwierciadło jest wymienione obok innych przedmiotów, które otrzymała jej córka Mary. Było to, oczywiście, tuż po śmierci Sarah, w 1832 roku. O Mary wiadomo niewiele, ale w każdym razie nie miała lusterka zbyt długo. Przypuszczalnie potrzebowała go; odsprzedała je złotnikowi, który je wykonał.

- Wiesz, co z nim zrobił?

- Tak. Trzymał je ponad dwadzieścia lat, gdyż bardzo podobowało się jego żonie. Potem umarła i w 1858 roku złotnik, a właściwie jego syn, sprzedał lusterko młodej kobiecie Faith Broderick. Parę miesięcy później syn złotnika, Stuart Kenley, i Faith Broderick pobrali się.

Dena spojrzęła na chwilę znad notatek.

- Do wieczoraj nie posunęłam się wiele dalej. Na razie do wiedziałam się o nich tylko tyle, że Stuart urodził się w 1833, a Faith w 1836 roku. W poniedziałek będę mogła pójść tym tropem.

Laura pokręciła z podziwem głową.

- Już dowiedziałeś się więcej, niż się spodziewałam, zwłaszcza po tak krótkim poszukiwaniu. Sądzisz, że uda ci się odtworzyć losy lusterka aż do obecnych czasów?

- Naprawdę nie można mieć pewności. I tak miałymy zaskakująco dużo szczęścia; ludzie zazwyczaj nie śledzą losów mosiężnego zwierciadła, gdy przechodzi z rąk do rąk. Lecz to chyba coś znaczyło dla wszystkich, którzy je mieli, więc zapisywali, co się z nim działo. Oby nadal dopisywało nam

szczęście i kolejni właściciele byli do niego przywiązani na tyle, żeby dalej sporządzać takie zapiski.

Dena przepisała swoje notatki na maszynie, tak aby Laura miała kopię pierwszej porcji informacji. Gdy wyszła, Laura przeprę minut studiowała ten materiał. Dąty, krótkie uwagi, rzeczywiście było tego niewiele. Suche fakty. Chłopak i dziewczyna poznali się i zakochali w sobie w czasach wojny o niepodległość. Pobrali się i mieli dzieci. Byli sobie szczególnie bliscy, darzyli się szczególną miłością, tak wielką, że inni zauważali to i komentowali. On zamówił lusterko, żeby uhonorować swą żonę oraz ich miłość.

Zmarli w odstepie niespełna dwóch lat, spędziwszy razem ponad pół wieku.

Potem następne kroki na drodze lusterka do czasów obecnych. Powrót do złotnika, który nadał mu kształt, i do jego żony, której bardzo się spodobało. Później, po latach, wyłożone z powrotem na wystawę sklepu, gdzie przyciągnęło uwagę młodej kobiety, która weszła, żeby je kupić - i najwyraźniej zakochała się w sprzedawcy, synu złotnika.

Laura nie wiedziała, czego oczekiwała. Może olbrzymiej czerwonej flagi wskazującej, dlaczego Peter Kilbourne chciał odkupić zwierciadło, lub przynajmniej jakiejś sugestii co do jego motywów. Niczego jednak, jak dotąd, nie dostrzegła.

Zostawiła notatki na stole i podeszła do sztalug, spoglądając na rozpoczęty obraz, przedstawiający lusterko w kobiecej ręce. Dzień wcześniej prawie w ogóle nad nim nie pracowała, choć spędziła mnóstwo czasu, gapiąc się nań i wędrując niespokojnie po mieszkaniu; w jej głowie odbywała się gonitwa myśli, a zdrowy rozsądek i logika zderzały się z tęsknotami, których nawet nie rozumiała.

Nie mogę tam wrócić.

Muszę.

Pomasowała nerwowo skronie i miała właśnie poszukać aspiryny, gdy zadzwonił telefon. Dziennikarze przestali już wydzwaniać, więc poprzedniego popołudnia podłączyła z powrotem aparat. Mimo to zbliżała się do niego z obawą.

- Halo?

- Laura? Mówi Amelia Kilbourne.

Zdenerwowanie wcale nie ustąpiło, wręcz przeciwnie, jak-
by się nasiliło.

- Witaj, Amelio.
- Wybacz mi, dziecko, niecierpliwość, ale w moim wieku wpływ czasu nie jest rzeczą obojętną. Czy zdecydowałaś się przyjąć moje zlecenie?
- Nadal... nadal nie wiem, Amelio. Przykro mi.
- Jeżeli kłopotysz się moją rodziną, to niepotrzebnie. Zo-
stała poinformowana i nikt się nie sprzeciwia.

Laura zastanawiała się, czy nie było tak, że nikt nie śmiał się sprzeciwić, ale przemilczała swoje wątpliwości. Powie-
działa tylko:

- Mogłoby być inaczej, gdyby nie podejrzenia policji, lecz...
- Daniel rozmawiał z policją... a ja rozmawiałam z komi-
sarzem. - Amelia wydała z siebie krótki szelmowski śmiech, zadowolona, że znowu zlekceważyła życzenia wnuka. -
Przyznali, że nie mają żadnych dowodów przeciw tobie. Nie mogą powiązać cię z Peterem w przeszłości... ani tamtego wieczora. Pokazali kierownikowi motelu zdjęcie, które im dałaś. Jest przekonany, że to nie ciebie widział w samocho-
dzie. Jeśli chodzi o policję, przestałaś być -jak to oni okreś-
lają - główną podejrzaną.

Słyszac te słowa, Laura poczuła ulgę, choć często w ciągu tych dni powtarzała sobie, że przecież nie istnieje żaden do-
wód ich związku, ponieważ żadnego związku nie było. Cz-
sami jednak pomyłkowo skazywano niewinnych ludzi za zbrodnie, których nie popełnili. Dopóki zabójca Petera Kil-
bourne'a nie trafi za kratki, nie będzie się czuła całkiem bez-
pieczna.

- Ciesz się mnie to, Amelio. Dziękuję, że mi powiedziałaś.
- Czy dzięki temu łatwiej ci będzie przyjąć zlecenie, moje dziecko?
- Nie wolalabyś zatrudnić prawdziwego uznanego arty-
sty? - zapytała, unikając odpowiedzi.
- Jesteś prawdziwą artystką. Cóż w tym złego, że postana-
wiam przyspieszyć karierę nieznanej malarki? Mogę ci za-
gwarantować, że jeżeli stworzysz dzieło, z którego obie bę-
dziemy zadowolone, w ciągu miesiąca otrzymasz więcej zle-

ceń, niż jesteś w stanie przyjąć. - W głosie Amelii nie było próżności, lecz zwykła pewność; może przestała już być czolową postacią miejscowej śmietanki towarzyskiej, ale wiedziała, że w Atlancie nadal jest wiele osób, które pójdą za jej przykładem.

- Myślę, że nie byłabyś zadowolona z efektu, Amelio.
- Pozwól, że sama to osądzę. Tak czy owak nie przeko-
nasz się o tym, jeżeli nie spróbujesz, prawda?

Laura zamknęła oczy, nie mogąc się zdecydować. Czuła wpływ Amelii, miała wrażenie, że tamta ją wciąga, i instynkt nakazywał jej ostrożność. W tej dziwnie niestosownej propo-
zycji, w tym domu, kryło się niebezpieczeństwo. Ale był tam również i Daniel.

Nie mogę tam wrócić.

Muszę.

- Zgoda - powiedziała spokojnie, otwierając oczy. -
Przyjmuję zlecenie. Jeżeli ci to odpowiada, możemy zacząć w poniedziałek.

Widlec Madeline opadł z brzękiem na talerz. Skierowała szeroko otwarte, wciąż zaczerwienione od płaczu niebieskie
oczy na swoją teściową.

- Och, nie, Amelio - zaprotestowała szeptem.
- Nic się nie stało, mamó - powiedział cicho Daniel ze
swojego miejsca przy stole. - Policja uważa, że Laura Suther-
land nie ma nic wspólnego ze śmiercią Petera.
- Przyjeżdża tutaj, Madeline - stwierdziła rzeczowo Ame-
lia. - Zjawi się tu w poniedziałek i będzie przyjeżdżać, dopóki
nie skończy portretu. Poprosiłam ją, by wszystkie prace nad
nim wykonywała tu, w domu.
- Nie wprowadza się? - zapytał grzecznie Alex. - Słysza-
łem, jak wydawałaś polecenia, by przygotowano dla niej
pokój.

- Na wszelki wypadek - odparła Amelia i nieznacznie za-
cisnęła usta. - Woli wracać wieczorem do swojego miesz-
kania, ale powiedziała mi, że pokój będzie gotowy, gdyby
zmieniła zdanie.

Alex spojrział przez stół na Josie i unosząc nieznacznie
brwi, zapytał cicho - i szyderczo - czemu ktoś miałby woleć

nocować poza tym domem. Josie, która wiedziała, że zdanem Alexa to miejsce jest ponure, a obecna atmosfera niepotrzebnie przygnębiająca, odwróciła pospiesznie wzrok i natopkała udreżone spojrzenie Madeline.

Josie, podobnie jak Daniel, mówiła cichym głosem.

- W tym naprawdę nie ma nic złego, Madeline. Poznałam ją i sprawiała bardzo miłe wrażenie. Na pewno zrozumie twoje uczucia.

- Ciekaw jestem, czy rozumie też uczucia Kerry - zastanawiał się głośno Alex.

Josie spojrziała na sąsiednie puste krzesło, gdzie zwykle siedziała żona Petera; ten weekend Kerry spędzała z siostrą mieszkającą w Atlancie.

- Z całą pewnością. Przecież nawet nie wiemy, czy coś ją... łączyło z Peterem.

- Postawiłbym na to duże pieniądze - rzekł Alex.

- Dosyć tego - powiedziała oschle Amelia, prostując się jeszcze bardziej niż zwykle. - Laura będzie moim gościem i oczekuję od was wszystkich odpowiedniego zachowania.

- Czy to się nam podoba, czy nie - dodała monotonnym głosem Anna, wnuczka Amelii, siedząca przy długim stole między Madeline i Danielem.

Amelia spojrziała na nią, marszcząc brwi.

- To wciąż jest mój dom i będę ci wdzięczna za pamięć o tym.

Anna, ciemnowłosa, piwnooka kobieta o wspaniałych ryśach swojej babki, zniekształconych jednak rozgorycczeniem, wzruszyła z irytacją ramionami.

- Ależ pamiętam. Jakże bym mogła zapomnieć, skoro niemal codziennie mi o tym przypominasz?

- Nie powinnaś mnie do tego zmuszać.

- Istotnie, masz rację. Ostatecznie wszystko w tym domu musi zyskać twoją aprobatę, bo inaczej po prostu nie zostanie zrobione. Bez twojej zgody nie mogłabym nawet wybrać tapety do swojego pokoju i wszyscy musimy jeść te lekkostrawne i przyrządzone bez wyobraźni potrawy nie dlatego, że ktoś z nas je lubi, ale dlatego, że tobie to odpowiada, - Odepchnęła talerz gniewnym ruchem.

- Nie musisz tu mieszkać - przypomniała jej oziębłe Amelia.

Zanim Anna zdążyła się odciąć, Josie wtrąciła pospiesznie: - Sądzę, że wszyscy przeżywamy wstrząs i...

- Nie pomagaj mi! - odparła z gwałtownym oburzeniem Anna, odsunęła krzesło i wyszła dumnym krokiem z jadalni. po chwili milczenia Josie westchnęła i zauważyła:

- Obojętne co powiem bądź zrobię, zawsze nadeptuję jej na odcisk.

- Zazdrości ci - zauważyła Amelia ze wzruszeniem ramion.

- Nie ma czego. - Josie wyraźnie poczuła się nieswojo. -

Chyba... chyba nie zdolam już więcej zjeść. Wybaczysz mi? - Otrzymawszy łaskawe skinienie głową, wstała od stołu i wyszła z pokoju, słysząc za sobą płaczliwy głos Madeline.

- Ależ, Amelio, przecież ta dziewczyna...!

Wchodząc do biblioteki, Josie zmarszczyła nieco brwi; zasiadła przy małym biurku, przy którym pracowała. Tak naprawdę nie miała nic do roboty oprócz posortowania i włożenia kopii listów Amelii z ostatnich dni do akt. Amelia prowadziła regularną korespondencję z przyjaciółmi w całym kraju i domagała się, by kopie otrzymanych oraz napisanych listów zachowywano na potrzeby rodzinnego archiwum. Ostatnie listy i zapiski dotyczyły oczywiście śmierci Petera, a Josie była zbyt zajęta, żeby powkładać je do akt.

Nie znaczy to, że Amelia oczekiwała od niej pracy w sobotę wieczorem czy też że prosiła ją o to. Josie czuła jednak niepokój i musiała się czymś zająć. Martwiła się. Peter z wielu względów nie cieszył się poważaniem rodziny, lecz jego śmierć naruszyła delikatną równowagę i w rezultacie pojawiło się wiele napięć i podejrzeń.

W ciągu kilku ostatnich dni, chcąc nie chcąc, doszła do wniosku, że ktoś z rodziny mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Petera. Po pierwsze, policja wydawała się teraz bardziej zainteresowana miejscem pobytu członków rodu Kilbourne'ów w wieczór zabójstwa niż na początku; detektywi dwukrotnie w ciągu tygodnia wracali, grzeczni, ale zadawali dziesiątki pytań. A po drugie, obecnie na twarzach otaczających ją ludzi malowała się ostrożność.

Nawet na twarzy Alexa...

- Chyba nie zamierzasz pracować dziś wieczór?

Josie uniosła wzrok. Alex wszedł do biblioteki i zawahaw-
szy się nieco, umieścił kryształowy przycisk do papieru na
stosie zapisków Amelii.

- Chyba nie. Byłam po prostu niespokojna.

- Po tej małej scenie przy kolacji wcale mnie to nie dziwi.
Madeline wciąż jest zdenerwowana, a Amelia straciła do niej
cierpliwość. Tak więc Danielowi nie pozostaje nic innego, jak
spróbować uspokoić matkę.

- Naprawdę trudno mi winić Madeline - odparła Josie. -
Denerwujące byłoby sprowadzenie do domu jakiegokolwiek
obcej osoby, a już Laury Sutherland? Co Amelii strzeliło do
głowy? Ta nagle obsesja na punkcie malowania jej portretu,
i to przez nieznaną malarkę, wydaje się...

- Szalona? - odpowiedział Alex z kwaśną miną.

Josie wstała i bezwiednie przysunęła krzesło z powrotem
do biurka.

- Powiedzmy, że dziwaczna.

Alex śmiał się przez chwilę z tak ostrożnego dobierania
słów.

- Ona coś knuje, to pewne. Daniel też.

Josie spojrzała w jego zamysłone zielonkawe oczy i po-
czuła lekki dreszcz zaniepokojenia.

- Co masz na myśli?

- To, że jeżeli się zbyt nie myślę... sytuacja w tej rodzi-
nie zmierza, i to szybko, do rozstrzygnięcia. Pytanie tylko, ilu
z nas pozostanie, gdy to wszystko się skończy.

- Mówisz o tym jak o wojnie.

Alex, nagle beztrocki, wzruszył ramionami.

- Ty nie masz się czego obawiać, kochanie. I Amelia, i
Daniel cię lubią. - Uśmiechając się, wziął Josie za rękę. - A
zresztą nie myślimy już więcej o tym. Ty jesteś niespokojna, a
ja na razie mam dosyć tego domu, może się więc wyrwiemy
stąd?

- Zgoda. - Josie nie wiedziała, co Alex zamierza, ale na-
prawdę było jej to obojętne. Nie chciała już dłużej o niczym
myśleć ani się martwić, przynajmniej przez pewien czas, a on
był najlepszym lekarstwem, jakie znalazła.

Zegar na stoliku nocnym wskazywał północ, gdy Josie po-
ruszyła się obok Alexa. Nie miała ochoty wracać do siebie,
ale jeszcze nigdy nie spędziła całej nocy w jego łóżku. Nieza-
leżnie od tego, co mówił, wątpiła, by Amelii spodobało się, że
jej sekretarka i przyszły prawnik rodziny otwarcie sypiąją ze
sobą tutaj, w domu Kilbourne'ów.

- Dokąd się wybierasz? - wymamrotał Alex, gdy odsu-
nęła kołdrę.

- Do mojego pokoju.

Alex objął ją ręką w tali, przyciągnął z powrotem do sie-
bie i przygniótł własnym ciałem.

- Nie sądzę.

- Alex...

Pochylił się i pocałował ją; jego na wpół otwarte oczy
błyskały w świetle lampy, a usta tymczasem dotykały jej
warg. Przesuwał po nich zmysłowo językiem i pieszczotli-
wie, delikatnie skubał zębami.

Josie poczuła jego twarde ramiona. Nic dziwnego, że wy-
ciągnęła ku niemu ręce. Alex doskonale wiedział, jak jej do-
tykać, jak ją pobudzać, aż zapomni o swym sprzeciwie. Aż
zapomni o sobie. Niezależnie od tego, jak bardzo próbowała
mieć się na baczności, on zawsze znajdował przynajmniej tę
drogę do niej.

Wtuliła się w niego wygiętym w łuk ciałem i jęknęła cicho,
gdy dłoń Alexa przeslizgnęła się po żebrach i objęła pierś. Jej
skóra zareagowała natychmiast na delikatny ucisk, na ryt-
miczne muśnięcia kciuka po tężejącym sutku. Josie wydała
z siebie jeszcze jeden jęk, bardziej chrapliwy i nagły, pul-
sujący w krtani, całym ciałem spragniona kochanka.

Oczy Alexa nadal były zmrużone i nadal błyszczały zagad-
kowo.

- Przecież nie chcesz mnie opuścić, prawda, kochanie?

Josie patrzyła nań nieprzytomnie, a gdy pochylił głowę,
by musnąć wargami wyprężony czubek jej piersi, zaparło jej
dech. Nie odrywając od niej spojrzenia, wysuwał język, deli-
katnie muskał nim jej wrażliwe ciało.

- Prawda? - pytał natarczywie cichym głosem, równie ku-
szącym jak jego pieszczoty.

Josie chciała zaprzeczyć. Chciała być silna, udowodnić

przynajmniej sobie, że Alex w niczym jej nie zmienił. Zmieniło się jednak jej ciało; nauczyło się reagować na jego dotyk i choć chętnie by się tego wyparła, on wiedział o tym równie dobrze jak ona. Ssał jej pierś - nie jak dziecko, lecz jak mężczyzna pragnący kosztować jej ciała - i gwałtowne doznania przyprawiały ją o szaleństwo. Z każdym ruchem ust kochanka narastał w niej ból, aż w końcu nie mogła dłużej ani pozostać w bezruchu, ani milczeć.

- Prawda - odparła ochryplym głosem, przeczesując palcami jego blond włosy. - Nie chcę cię opuścić. O Boże, Alex... proszę.

- Zostaniesz całą noc? - Jego usta bawiły się sutfkiem, a ręka przesuwała się po brzuchu i delikatnie zapuściła między uda.

Josie zadrżała, jej ciało napięło się niczym struna, gdy długie palce kochanka dostały się głębiej, gdy kciukiem gaskał ją i drażnił. Próbowwała złapać oddech, żeby mu odpowiedzieć, uświadamiając sobie niejasno, z dziwnie spokojną rezygnacją, że gdyby kazał jej przejść przez ogień lub po tłuczonym szkle, jej odpowiedź brzmiałaby tak samo.

- Tak. Tak. Och...! - Nie mogła powstrzymać krzyku i spazmu, czując, jak delikatnie przesuwa zębami po jej sutku i zagłębia swe palce. - Alex, na miłość boską!

- A nie na twoją? - mruknął, unosząc wreszcie głowę i uśmiechając się do niej.

- Co ty ze mną wyprawiasz? - zapytała roznamiętniona.

Czy Alex poznał po głosie, że Josie jest u kresu wytrzymałości, czy też po prostu sam stracił zimną krew, dość że odpowiedź dało jego własne ciało. Wślizgnął się między uda kochanki, podciągając je sobie wysoko na biodra i powoli w nią wszedł.

Josie była bliska kresu, a on utrzymywał ją tam, poruszając się z rozkoszną ostrożnością; widziała napięcie na jego twarzy, czuła je w drżących mięśniach. Wydawało się, że Alex koniecznie chce przeciągać miłosny akt do momentu, gdy żadne z nich nie będzie mogło tego znieść ani chwili dłużej. Choć pragnęła zaprotestować, nie potrafiła złapać tchu ani znaleźć jednego logicznego słowa, którym mogłaby wyrazić swój sprzeciw.

Wydawało się, że to trwa wieczność: błogość przepływała przez nią drobnymi, rytmicznymi falami, które stawały się coraz potężniejsze, dopóki w końcu nie porwał jej w górę gwałtowny, oszałamiający wir wrażeń tak intensywnych, że stała się głucha i ślepa na wszystko z wyjątkiem nieprzepartej rozkoszy orgazmu.

Uświadomiła sobie, gdzie jest, w chwili, gdy Alex obrócił się na plecy, pociągając ją za sobą. Oddychał nadal chrapliwie, a ona, z zamkniętymi oczami leżała z policzkiem przy jego piersi.

- To nie było uczciwe - powiedziała w końcu półgłosem.

Alex wzmochnił uścisk. Nie udawał, że nie rozumie.

- Chyba nie. Ale przez dwa miesiące wymykałaś się z mojego łóżka niczym stremowana uczennica i nie mogłem tego dłużej tolerować.

Josie uniosła głowę i spojrzała nań ponuro.

- Nic nie mówiłaś.

- Czy to by cokolwiek dało? - zapytał, a gdy nadal milczała, pokiwiał głową. - Tak właśnie myślałem.

- Amelia... - zaczęła mówić, ale Alex przerwał jej, kręcąc głową.

- Nie oszukuj się. Nie dlatego wracasz ukradkiem w srodku nocy do swego pokoju, że obawiasz się, co mogłaby powiedzieć Amelia. Robisz to, ponieważ zakwalifikowałaś nasz romans do zgrabnej, bezpiecznej i wąskiej kategorii. Dla ciebie to tylko i wyłącznie seks.

Josie zmarszczyła czoło.

- Czyż nie tego właśnie chcesz?

Alex patrzył na nią przez chwilę z błakającym się na ustach uśmiechem, po czym rzekł:

- No pewnie. Ale uprawianie seksu czyni z nas kochanków, złotko, a kochankowie czasami sypiają razem - całą noc - w jednym łóżku. Ja również tego pragnę. Ale nie musisz się obawiać. To nie zaprowadzi nas przed ołtarz ani nawet nie rozkocha nas w sobie. Nie musisz więc rezygnować z Jeremiego.

Josie odsunęła się gwałtownie od kochanka i szarpiąc, podciągnęła kołdrę, by zakryć swoją nagocę. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Owszem, wiesz. - Alex wsparł się na łokciu, jego piękna twarz przybrała lekko drwiący wyraz. - Jeżeli łączy nas tylko seks, nie zagraża to twoim wspomnieniom o Jeremym. Uważasz, że skoro przemykasz się nocą do swojego łóżka, które zmieniłaś w małżeńskie łóżko i otaczasz nabożną czcią, mimo że on nigdy w nim z tobą nie spał, to naprawdę nie byłaś mu niewierna.

- On nie żyje - zauważyła drżącym głosem Josie.

- Tak, ale ty go nie pochowałaś. Nie pozwoliłaś mu odejść. - Alex uśmiechnął się blade, na pozór trochę rozba- wiony. - Och Josie, nie rób takiej przerażonej miny. To mi nie przeszkadza. Jeżeli chcesz nosić wdowią żałobę przez następ- nych czterdzieści lat, jak Amelia, i trzymać na toalecie zdję- cie wiecznie młodego męża, żeby uśmiechać się do niego co wieczór, twoja sprawa. Do licha, on może by nawet chciał, żebyś przeżyła w ten sposób resztę swego życia. Ponieważ jednak w obecnej sytuacji niełatwo by mu było wypełniać małżeńskie obowiązki, wątpię, żeby zazdrościł nam godziny spędzonej razem to tu, to tam. Czy nawet nocy. Ostatecznie, ktoś inny miałby dbać o potrzeby wdowy? Jestem przecież jego kuzynem.

Josie ze zdławionym jękiem odrzuciła kołdrę i wygramo- liła się z łóżka. Nie patrzyła na Alexa, ale miała świadomość, że przygląda się jej zbierającej swoje porzrzucone po pod- łozie rzeczy i ubierającej się pospiesznie.

- Powiedziałaś, że zostaniesz na całą noc - przypomniał jej spokojnie.

Josie rzuciła mu jedno nieufne spojrzenie i uciekła z sy- pialni, jakby ścigał ją jakiś potwór. Idąc słabo oświetlonym korytarzem, bezwiednie wstrzymywała oddech. Dopiero gdy znalazła się we własnej sypialni i oparła o drzwi, odważyła się odetchnąć; oddech w końcu przeszedł w pozbawiony łez szloch.

Dostała lekkich mdłości, była bardzo roztrzęsiona. Alex nigdy dotąd nie był wobec niej okrutny. Nigdy nie sztydził z jej przywiązania do Jeremy'ego, a tym bardziej nie wypo- wiadał takich drwiących słów jak tej nocy. Dlaczego więc to zrobił? Czemu mówił takie rzeczy, wiedząc doskonale, że

strasznie ją tym zdenerwuje? To do niego zupełnie niepo- dobne...

Powoli opanowała się i popadła w coraz głębszą zadumę. Wreszcie znowu się rozebrała i poszła do łazienki wziąć prysznic. Jej ruchy były automatyczne, a myśli całkowicie pochłonięte Alexem. Susząc włosy, bawiła się myślą, że po- wiedział to, co powiedział, ponieważ wbrew swoim zapew- nieniom nie chciał, by spędziła noc w jego łóżku. Czy to możliwe? Wiele razy już prosił, żeby została na noc, ale ni- gdy nie protestował, gdy odmawiała. Kiedy jednak ustąpiła i zgodziła się, niemal natychmiast zaczął z niej szydzić.

Dlaczego?

Sięgnęła do szuflady toalety i nie patrząc, wyjęła koszulę nocną i szlafrok. Gdy spojrzała w lustro, zadała sobie pytanie, czy aby faktycznie nie staje się Amelią. Koszula była czarna, ze stojką i długimi rękawami i bynajmniej nie seksowna, a szlafrok - ciemnoszary. Czy czuła potrzebę oplakiwania Je- remy'ego nawet we śnie? Czy też miało to być symboliczne zadośćuczynienie zmarłemu mężowi za to, że wyszła właś- nie z łóżka innego mężczyzny?

Spojrzała na stojące na toalecie, oprawione w srebrną ram- kę zdjęcie uśmiechniętego, przystojnego mimo swych nie- doskonałości mężczyzny, i po raz pierwszy zapragnęła od- wrócić je.

- Niech cię diabli - powiedziała cicho.

Odpowiedzi oczywiście nie było i Josie przez pewien czas chodziła po sypialni, próbując uporządkować pogmatwane emocje. W końcu zrozumiała, że nie zmuży oka, jeżeli nie wróci do Alexa i przynajmniej nie spróbuje dowiedzieć się, dlaczego się zachowywał w ten sposób.

Beszczelnie otworzyła drzwi, wyknęła się na korytarz i zamarla. Ona i Alex dzielili piętro tego skrzydła domu z Pe- terem i Kerry, którzy mieli oddzielne sypialnie, oraz z Danie- lem. Gdy spojrzała w głąb korytarza, zobaczyła Alexa wy- chodzącego z dawnej sypialni Petera. Był całkowicie ubra- ny, miał trochę ponurą minę i wydawało się, że niesie coś w zaciśniętej dłoni.

Zamiast wejść do swojej sypialni, doszedł do końca dłu- giego korytarza i lekko zapukał do drzwi Daniela. Otworzyły

się niemal natychmiast; stał w nich, mimo późnej pory ubra-
ny i całkowicie przytomny, Daniel.

Znajdowali się zbyt daleko, by Josie mogła usłyszeć, o-
czym mówią, ale w pewnym momencie Alex otworzył
dłoń, by pokazać kuzynowi to, co w niej trzymał. W końcu
Daniel skinął głową i zniknął w głębi swego pokoju; Josie
gwałtownie cofnęła się do swej sypialni.

Słyszała, jak zamykają się cicho drzwi sypialni Daniela,
a parę chwil później następane. Gdy wyrzwała przez próg, ko-
rytarz był pusty.

Odsunąwszy na bok wszelkie myśli o wizycie u Alexa, za-
mknęła delikatnie drzwi sypialni i usiadła na łóżku. Wcześ-
niejszy niepokój powrócił z większą, znacznie większą siłą.

Co się działo?

- Ile zrobisz wstępnych szkiców? - zapytała Amelia.

Laura oderwała wzrok od pierwszych próbnych pociągnięć
ołówkiem i uśmiechnęła się.

- Tyle, ile będzie trzeba. Przecież cię ostrzegęłam.

Amelia uśmiechnęła się.

- Owszem. Nie martw się, moje dziecko. Jestem gotowa
pozować tak długo i tak często, jak sobie życzysz. Jeśli tylko
będę mogła rozmawiać. Bo jeżeli nie, to możemy mieć pro-
blem.

- Rozmowa w niczym nie przeszkadza. Prawdę powie-
dziawszy, może mi nawet pomóc. Zrobić portret, to znaczy
uchwycić osobowość, a tego nie dokonuje się samymi oczami.

- Ty naprawdę wiesz, jak się do tego zabrać - powiedziała
z satysfakcją Amelia. - Wiedziałam, że tak będzie.

- Poczekajmy z oceną do czasu, aż zobaczymy wyniki -
zasugerowała ponuro niepewna siebie Laura.

Było poniedziałkowe przedpołudnie; siedziały w zalanej
światłem i pulsującej życiem roślin ciepłarni na tyłach domu.
Amelia zaczęła ją oprowadzać po rezydencji, ale ledwie
obeszły parter i dotarły do ciepłarni, Laura zaproponowała,
żeby zatrzymały się tu na pewien czas, aby mogła zrobić
szkic.

Chodziło jednak nie tylko o szkic. Amelia nie wyglądała
wprawdzie na osłabioną, ale prawdopodobnie brakowało jej

sił i Laura pomyślała, że krótki odpoczynek na pewno jej nie
zaszkodzi. Dom był tak ogromny, że czuła się przytłoczona;
sama potrzebowała trochę czasu przed dalszym spacerem. No
i wreszcie tło, jakim było pomieszczenie, bogate i jaskrawe,
wspaniale kontrastowało ze srebrzystoczarą wyniosłością
Amelii.

Zgodnie z życzeniem Laury starsza pani usiadła w wikli-
nowym fotelu z wachlarzowatym oparciem, Laura zaś - w
drugim, nieco od niej na ukos. Nie poprosiwszy jej o przy-
branie określonej pozy - „po prostu postaraj się rozluźnić” -
szkicowała Amelię, która siedziała sztywno wyprostowana, z
rękami na kolanach.

Laura zrezygnowała z korekt i zaczęła szkicować z nieco
większą pewnością siebie, słuchając Amelii jednym uchem.

- To pomieszczenie prawdopodobnie dobrze nadawałoby
się do pracy nad właściwym portretem. Mnóstwo tu światła.
Chociaż nie sądzę, żeby to tło...

- Ostateczną decyzję podejmiemy później. Najpierw jed-
nak chcę cię naszkicować w kilku różnych miejscach.

- To chyba rozsądne - stwierdziła Amelia. - Nawiasem
mówiąc, dziś podczas lunchu poznaś paru następnych człon-
ków rodziny. Alex, mój krewniak, jest oczywiście w kancela-
rii prawnej; przejmie funkcję prawnika naszej rodziny, tak
więc prawie codziennie pracuje w mieście. A Anna - moja
wnuczka - wpadła na pomysł, by wybrać się dzisiaj po zaku-
py. Poznasz za to moją synową, Madeline. No i oczywiście
żonę Petera, Kerry.

Laura spojrzała znad szkicownika i zobaczyła, że jej model
uśmiecha się miło. Gdyby mogła uchwycić ów ironiczny ton,
który wydawał się tak niezwykły w zaistniałych okolicz-
nościach. Jeżeli stanowił część osobowości Amelii, to z pew-
nością część fascynującą, choć trochę niesamowitą.

- Chcę, byś czuła się tutaj jak u siebie, Lauro - ciągnęła
Amelia. - Mam nadzieję, że gdy nie będziemy pracować nad
portretem, przepacerujesz się po posiadłości i nabierzesz
sympatii do tego domu. Mieszkam tu od sześćdziesięciu lat,
więc ten dom to ja. Odcisnęłam na nim moje piętno, od pod-
dasza po piwnicę. Ten dom wiele ci powie o tym, kim jestem.

- Nie wątpię - mruknęła Laura, delikatnie rozmazując kciukiem linię wyznaczającą kość policzkową Amelii.

Amelia mówiła bezustannie, wspominając czas spędzony w tym domu, przyjęcia urządzone tutaj w minionych latach, szczegółowe projektowanie ogrodów. Mówiła cicho, niemal delikatnie, rzadko wymagając odpowiedzi, a Laura była tak pochłonięta pracą, że gdy nagle starsza pani wydała z siebie zduszony śmiech i zapytała, czy zdaje sobie sprawę, że są tu już dwie godziny, spojrzała na nią zaskoczona.

- Przepraszam... - zaczęła się usprawiedliwiać.

- W porządku, moje dziecko, czuję się znakomicie. Ale chyba pójde i sprawdzę, czy lunch jest już gotowy, jeśli chcesz mi wybaczyć.

- Oczywiście. Zostanę i popracuję jeszcze trochę.

Amelia podniosła się z gracją, jakby wcale nie spędziła dwóch godzin, siedząc bez ruchu. Dzisiaj nie miała ze sobą laski.

- Mogę obejrzeć szkic? - zapytała.

Laura zawahała się.

- Jeśli pozwolisz, Amelio, wolałabym poczekać, aż zrobisz jeszcze parę. Zechcej łaskawie dać mi czas na wczucie się w temat.

- Oczywiście, moje dziecko. Wróć za kilka minut - odparta z uśmiechem Amelia i niemal wyfrunęła z oranżerii.

Pozostawiona Laura przyglądała się uważnie szkicowi, marszcząc czoło. W porządku, pomyślała. Może nie wspomniała, ale niezły. Poprawiła odrobinę, podcieniowując tu i ówdzie i starając się dobrze oddać ciemne oczy. W końcu z westchnieniem zamknęła szkicownik. Szkic nie był doskonały. Bo też nie miał taki być. Szkice służyły zaznajomieniu się artysty z tematem.

Spojrzała w głąb oranżerii, w stronę drzwi prowadzących na usytuowaną nad ogrodami werandę, ale niczego tak naprawdę nie widziała. Od momentu przybycia tutaj starała się nie myśleć zbyt wiele o czymkolwiek, koncentrując uwagę na Amelii i swoim malarskim zleceniu. Nie potrafiła jednak zignorować dziwnego spokoju, który wyczuwała w tym ogromnym domu. Wydawał się pusty, a wrażenie to potęgował fakt, że odkał tu przyjechała, widziała tylko Amelię. Starsza pani

otworzyła jej nawet drzwi i choć wyjaśniła, że kucharka-gospodyni pracuje w kuchni, a dwie dochodzące codziennie pokojówki sprzątają na górze, ich obecności nie zdradzał żaden odgłos.

Amelia nie wspomiała o Danielu. Czy był tutaj? Czy człowiek, który rozporządzał finansami rozległej rodzinnej firmy, musiał Jeździć do miasta", by pracować w dni powszednie, czy też to wielkie biurko w bibliotece było przeznaczone dla niego? Laura sądziła, że mieszkał tu prawie cały czas, choć często wyjeżdżał z Atlanty w interesach i niekiedy nie pokazywał się przez wiele tygodni lub miesięcy.

Czy był tutaj?

Oczywiście wszelkie informacje na ten temat pochodziły od Cassidy i z jej brukowych źródeł i ich dokładność wzbudzała pewne wątpliwości. Daniel był kawalerem, to wydawało się pewne, i nie wspomniano o żadnej konkretnej przyjaciółce. Miał trzydziści dwa lata, choć wyglądał na więcej. Mówiono, że to finansowy geniusz, człowiek nieugięty.

Czy był tutaj?

- Już pracujesz w pocie czoła?

Jego głęboki głos tak nagle wdarł się w jej tęskne rozmyślenia, że Laura drgnęła gwałtownie i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Daniel stał cicho niczym kot i stał teraz niespełna metr od niej, ubrany mniej oficjalnie niż ostatnim razem - w ciemne spodnie oraz białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i niedbale podwiniętymi rękawami.

Wyglądał... jeszcze lepiej niż w jej wspomnieniach, choć to wydawało się niemożliwe. Był większy, potężniejszy, intensywniej działał na jej zmysły. Patrząc na niego, Laura poczuła dziwny zawrót głowy, jakby się podniosła zbyt gwałtownie. To uczucie było znajome, a zarazem obce, niczym echo czegoś, co czuła w innym, odległym momencie życia.

Uświadomiwszy sobie, że Daniel czeka na odpowiedź, wzięła się w garść.

- Czemu nie? Amelia chce swego portretu.

Daniel wsunął ręce do kieszeni i pokiwał lekko głową.

- Owszem. A ty chcesz się przekonać, czy jesteś prawdziwą malarką. I jak brzmi werdykt?

- Za wcześniej na ocenę. Wykonałam tylko jeden szkic. -

Mimo wysiłku nie potrafiła odgadnąć, co kryło się za jasnym blaskiem jego oczu, a surowa twarz Daniela nie zdradzała jego myśli. Czy nadal sądził, że była kochanką jego brata?

- Prasa przestała cię niepokoić? - zapytał.

Laura wzruszyła ramionami.

- Właściwie tak. Policja również. Choćby stawali na głowie, nie mogą dowieść moich związków z twoim bratem przed dniem zabójstwa.

Daniel uśmiechnął się blade.

- Nadal zapewniasz mnie o swojej niewinności?

Przycisnęła szkicownik do piersi, żałując, że to nie tarcza.

- Nie chcę myśleć, że mi nie wierzysz. Zwłaszcza teraz. Będę spędzała tutaj, pod twoim dachem, tyle czasu...

- To dach Amelii - wtrącił Daniel. - Dopóki żyje, ten dom jest jej domem. Czemu więc moja opinia ma takie znaczenie?

Laura patrzyła nań zakłopotana swoimi uczuciami, swym pragnieniem, by - niesiona czystą siłą przyciągania niczym żelazne opilki - przylgnąć do niego jak do magnesu. Mimo to wystrzegła się go; nie bała się, była jednak ostrożna i niepokojna, wyczuwając w nim jeszcze raz napięcie ukryte tuż pod maską spokoju. Skoro tak niewiele ujawniał, skąd mogła wiedzieć, co czuje?

- Lauro? Dlaczego moja opinia ma takie znaczenie? - zapytał bardzo cicho.

- Dlatego, że ma - odpowiedziała szeptem.

- Czemu? Czemu przejmujesz się tym, co myślę?

Czuła uderzenia serca. Biło bardzo mocno. I mogłaby przysiąc, że również je słyszy; walące głucho w ścianę klatki piętrowej, uderzające w szkicownik, który trzymała tak mocno przy piersi.

Jego oczy się nie zmieniły. Było w nich ciepło, żar iskrzący się niczym płynne srebro. Pragnienie. Nie, coś więcej, znacznie więcej. Ta sama tęsknota, jaką czuła ona, ta sama bolesna potrzeba, uczucie tak potężne, że nie mógłby bez niego istnieć. Żyło w nim tak, jak żyło w niej, usiłując uciec, znaleźć spełnienie. Nęciło ją niczym syreni śpiew.

Laura nie miała pojęcia, co mogłaby powiedzieć lub zro-

bić, gdyby w tym momencie Amelia nie wróciła do oranżerii, jej energiczny głos przeciął ciszę.

Telefon do ciebie, Danielu. Lauro, lunch jest gotowy. Laura spojrzała na nią, mrugając powiekami, jakby się właśnie przebudziła z głębokiego snu. Potem popatrzyła z wrotem na Daniela; jego oczy znowu miały zagadkowy wyraz. *Czy też zawsze tak było? Czyżbym wyobrażała sobie to, co chcę zobaczyć?*

- Dziękuję, Amelio - odparł grzeczenie. - Mogę zjeść razem z wami?

- Oczywiście. - Starsza pani była równie grzeczna jak on.

- W takim razie wkrótce się zobaczymy. - Daniel odwrócił się i wszedł do domu, poruszając się swobodnie i jak na tak wysokiego mężczyznę ze sporą gracją.

Laura nie potrafiła oderwać od niego oczu. W końcu zniknął jej z pola widzenia.

- Gotowa do lunchu? - zapytała pogodnie Amelia.

Wciąż przyciskając szkicownik do piersi, Laura powoli wstała. Bolało ją całe ciało i to nie z powodu długiego siedzenia. Ruszyła Amelii na spotkanie, niezbyt świadoma jej obecności, dopóki nie poczuła na ręce mocnego uścisku szczupłych palców starej kobiety.

- Moje dziecko... muszę cię ostrzec.

Laura zatrzymała się i spojrzała w zmartwione piwne oczy.

- Ostrzec mnie? Przed czym?

Amelia rozejrzała się nerwowo, po czym ściszyła głos niemal do szeptu.

- Uważaj na Daniela. To niebezpieczny człowiek. Bardzo niebezpieczny. - Pusiła rękę Laury i szybko, prawie biegiem ruszyła w stronę domu, jakby ogamnął ją popłoch.

Laura patrzyła za nią zmieszana.

Rozdział 5

Dogoniła Amelię w chwili, gdy starsza pani szła do salonu korytarzem prowadzącym z oranżerii. Choć rozpaczliwie tego pragnęła, na razie nie mogła jej zmusić do rozmowy o Danielu, bo w salonie ktoś był.

- Lauro - powiedziała Amelia, znowu pogodna i na pozór beztraska - chciałabym, żebyś poznała Kerry, żonę Petera. Kerry, to Laura Sutherland.

Spotkanie z Kerry Kilbourne było dla Laury ogromnym wstrząsem i dość skutecznie oderwało jej gorączkowe myśli od Daniela. Po pierwsze, Kerry była młoda, prawdopodobnie miała nie więcej niż dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata. Ale to nie jej wiek tak zaszokował Laurę, lecz wygląd. Ze swą chudą, bladą twarzą o mało wyrazistych rysach, w oczach większości ludzi uchodziłaby w najlepszym razie za kobietę zwyczajną. Zdecydowanie największy atut stanowiły jej włosy - gęste, lśniące, w pięknym kremowozłotym odcieniu, który na pewno był naturalny. Nosiła je po prostu ściągnięte do tyłu i związane na karku ciemną wstążką. Dorywnywała Laurze wzrostem, ale ważyła zbyt mało i w źle skrojonej bluzce i za długiej spódnicy wydawała się po prostu koścista.

Zupełnie na to nieprzygotowana, lecz z natury wrażliwa Laura zdołała się nie skrzywić, gdy Kerry odwróciła w jej stronę głowę, ukazując lewą, okropnie pokiereszowaną stronę twarzy. Spod oka aż co najmniej po kołnierzyk bluzki jej blada skóra była pomarszczona i pokryta głębokimi bruzdami, będącymi efektem jakiegoś straszego oparzenia.

Zarówno oko, jak i usta były nietknięte, i gdy Kerry

posłała Laurze niepewny uśmiech, wydawało się, że pokryta bliznami połowa jej twarzy wykrzywiła się i pociemniała, jakby drwiła z tego uśmiechu.

- Jak się pani miewa - powiedziała łagodnie uprzejmym tonem dziecka nauczonego dobrych manier.

Na to grzeczne powitanie Laura mogła jedynie odpowiedzieć:

- Dziękuję, świetnie, pani Kilbourne. Przykro mi z powodu śmierci pani męża.

Uśmiech Kerry był niezmiernie subtelny, a w wyrazie jej piwnych oczu nie było nic, nawet śladu ogólnego napięcia, które na pewno odczuwała, co pozwoliłoby Laurze zrozumieć, co żona Petera myśli o jej obecności.

- Dziękuję.

- W tym domu jest zbyt dużo „pań Kilbourne”, Lauro - zauważyła stanowczym tonem Amelia. - Jeżeli będziesz używała imion, unikniemy pomyłek.

Laura zauważyła niemal niedostrzegalne skimnięcie głową Kerry i odparła:

- Dobrze, Amelio.

- Świetnie, Kerry, gdzie się podziewa Madeline?

- Nie widziałam jej, Amelio.

- A Annę?

- Też nie. Pewnie jest jeszcze na zakupach.

Amelia była wyraźnie niezadowolona, ale powiedziała tylko:

- No cóż, zaczniemy bez nich. Tędy, Lauro.

Kerry poruszała się z niezwykłym wdziękiem, jej kanciaste ciało zdawało się płynąć i przybierać niemal zmysłową powierchowność. Laura, wychodząc z salonu za młodą kobietą i Amelią, mimowolnie zastanawiała się, czy los w swej próbie zrównoważenia szpetoty i piękna kieruje się poczuciem sprawiedliwości, czy tylko okrucieństwem.

Nie mogło jej również nie zastanowić to, jak dziwną parę tworzyli Kerry i Peter. Musieli się pobrać nie dalej jak parę lat temu, a ponieważ wyglądało na to, że Peter w dniu swej śmierci niemal na pewno był w motelu z inną kobietą, najwyraźniej nie dochowywał żonie wierności. Dlaczego więc

się z nią ożenił? Czyżby, na swój sposób, ją kochał? Współczuł jej?

A Kerry? Zameżna z niewiarygodnie przystojnym i czarującym kobieciarzem -jakie było jej życie?

Laura przypomniała sobie słowa Cassidy, która roześmiana powtarzała plotki rozsiewane przez brukowce: *Nie wspominałam jeszcze o żonie Petera, Kerry. Nie chcesz postuchać o niej i o ich szoferze?*

Nie mogła jakoś uwierzyć, że ta uśmiechająca się słodko, oszpecona młoda kobieta flirtowała z szoferem, ale przecież nigdy nic nie wiadomo. Może znalazła sobie kochanka, gdy mąż przestał się o nią troszczyć. Może ich małżeństwo opierało się na umowie, że każdemu wolno szukać przyjemności gdzie indziej, a może pobrali się z czysto praktycznych powodów i uczucia nie wchodziły w grę.

Pomyślała, że tak naprawdę nikt z zewnątrz nie może wiedzieć, co łączy dwoje ludzi, i że krzywdzi Petera i Kerry, stając się zrozumiem ich małżeństwo; w końcu tak niewiele wiedziała o nich obojgu. Lecz była to kolejna dziwna sprawa i Laura w żaden sposób nie mogła się powstrzymać od spekulacji. Odłożyła je jednak na bok, bo oto znalazła się w jadalni, w której czekał już Daniel. Albo rozmowa telefoniczna wymagała zaledwie paru minut, albo uznał obecność tutaj za ważniejszą; Laura nie wiedziała, co zdecydowało, ale mogłaby się założyć, że to drugie, choćby dlatego, że nic w tym domu nie uchodziło jego uwagi.

- Szpicownik możesz zostawić na kredensie - powiedział i dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma go niczym tarczę. Kiedy go odłożyła, spostrzegła, jak Amelia nieznanym ruchem ręki wskazuje, że ma usiąść po jej prawej stronie. Daniel natychmiast wysunął dla niej krzesło. Laura była tak roztrzęsiona, że zajęła swe miejsce z niezdatną, ociężałością.

- Normalnie to miejsce Alexa - wyjaśniła Amelia, czekając po królewsku, aż wnuk przytrzyma jej krzesło - ale chyba przesadzę go na miejsce Petera.

Kerry spokojnie siadała po przeciwnej stronie stołu, po lewej ręce Amelii, nie czekając, aż Daniel ją usadowi, najwyraźniej niewzruszona słowami starszej pani. Odezwał się

natomiast, tonem pozornie obojętnym, ale z nutką sarkazmu, Daniel:

- Ten dom jest pełen rytuałów, Lauro, w większości ustanowionych przez Amelię.

- W ustalonych formach nie ma nic złego - odcięła się Amelia. - Lubię, gdy rzeczy są na swoim miejscu.

- I ludzie też - zauważył Daniel, w taki sposób jednak, jakby było mu to obojętne.

Wydaje się, że wszyscy tu mają wyznaczone miejsce, przynajmniej przy stole, pomyślała Laura.

Przed pustym teraz krzesłem obok Kerry, na lewo od Amelii, stało jedno nakrycie; nie było ich natomiast przy pozostałych trzech krzesłach. Po stronie Laury stały dwa nakrycia: jedno tuż obok niej, a drugie dwa krzesła dalej.

Daniel podszedł do swego miejsca, pozostawiając między nimi dwa puste krzesła. Gdy siadał, Laura odwróciła się nieznacznie, by na niego spojrzeć. Niestety nie zdołała widać ukryć wyrazu rozczarowania, gdyż - mogłaby przysiąc - w jego jasnych oczach pojawił się cień rozbawienia. *To bardzo niebezpieczny chwilek.*

Prawda czy tylko kolejny pionek szachowy przesunięty w subtelnej grze między Amelią i Danielem? Czy starsza pani szczerze niepokoiła się o jej bezpieczeństwo i pomyślność, czy też koniecznie chciała się upewnić, że Laura będzie jej pionkiem, a nie Daniela?

Laura nie mogła tego wiedzieć, lecz po tym na pozór poddyktowanym paniką „ostrzeżeniu” czuła wyraźniej niż kiedykolwiek, że dała się wplątać w coś zupełnie dla niej niepojętego. W coś groźnego.

- Gdzie jest Josie? - zapytała Amelia.

- Już idzie - odparł Daniel. - Gdy wychodziłem z biblioteki, zatrzymał ją telefon.

- A Madeline?

- Spi. Lekarz zostawił mi parę tabletek i uznałem, że teraz bardziej potrzebuje snu niż lunchu.

Głos Daniela brzmiał rzeczowo i z pewnością nie był prowokujący, a mimo to Amelia zrobiła się bardziej oziębła i spojona na niego przez stół tak, jakby ją rozmyślnie obrzucił. ~

Chciałam, żeby poznała Laure.

Daniel uśmiechnął się serdecznie.

- Przecież nie chciałaś awantury, prawda? Matka jest blińska, rozstroju nerwowego i chyba oboje o tym wiemy. Sen jej pomoże. Laurę pozna jutro.

Zanim Amelia zdołała coś odpowiedzieć, do jadalni pospiesznie weszła skruszona i nieco zaniepokojona Josie.

- Przepraszam cię, Amelio, znowu dzwonił ten przekłębny hydraulik. Przepraszał, że nie dotrzymał obietnicy i nie przyszedł dzisiaj. Tym razem przysięga, że przyjdzie jutro. Witaj, Lauro.

- Witaj, Josie. - Laura jeszcze wyraźniej niż dotąd czuła, że jest podstępnie wciągana w sprawy tego domu i tej rodziny. Niepokoilo ją to. Bezwarunkowa akceptacja ze strony Kerry i Josie skłaniała ją raczej do ostrożności, niż rozwiewała obawy i Laura w głębi duszy była wdzięczna, że przy najmniej jedna osoba w tym domu - nieobecna Madeline - normalnie reagowała na śmierć Petera. Ta biedna kobieta była bez wątpienia wytracona z równowagi także i jej obecnością co Laura w pełni rozumiała.

Prawdę mówiąc, czułaby się lepiej, gdyby jedna lub dwie z siedzących przy tym stole osób patrzyły na nią z jawną podejrzliwością lub nawet z wyniosłą niechęcią. To przynajmniej wydawałoby się bardziej normalne. Bardziej naturalne. Wiedziałyby wtedy, jak próbować się bronić i dlaczego czuje się tak zaniepokojona i zagrożona. Tymczasem jednak, mimo akceptacji otaczających ją osób, czuła się bardzo nieswojo.

Tylko Daniel nie krył wobec niej podejrzeń i miał wątpliwości co do jej wyjaśnień dotyczących znajomości z Peterem, chociaż teraz nawet on wydawał się obojętnie akceptować jej obecność. „Wydawał się” było odpowiednim wyrażeniem; Laura dobrze zdawała sobie sprawę, że nie przekonała go o swej całkowitej niewinności.

Gdy tylko Josie wślizgnęła się na swoje miejsce i rozłożyła serwetkę, otworzyły się wahałkowe drzwi i służąca zaczęła podawać lunch. Jedzenie było smaczne, choć niewyszukane, a rozmowa przy stole najczęściej zdawkowa i na obojętne tematy, mimo to Laura nie potrafiła się odprężyć.

Z jednej strony miała przytłaczającą świadomość obecności Daniela, czego efektem były wytrącające z równowagi,

lecz dość przyjemne chaotyczne uczucia oraz wzmożona wrażliwość na każdy dźwięk i ruch wokół niej; z drugiej strony w domu tym czuła się skrepowana i wystrzegająca się rozmowy o sprawach, których nie rozumiała. Tak więc jej stan emocjonalny najlepiej można było określić jako zażenowanie i lękliwość. Bywała już w lepszej formie.

- Jak idzie szkicowanie? - zapytała Josie przy zupie.

- Chyba zgodnie z oczekiwaniami. - Laura uśmiechnęła się błado.

- Nie czujesz się pewnie? - domyśliła się Josie, uśmiechając się wyrozumiale.

- Właśnie.

- Przypuszczam, że w sztuce ciężko się wybić. Mimo to zazdroszczę każdemu, kto jest twórczy. Sama nie potrafię narysować linii prostej, która wyglądałaby jak linia prosta, i nawet zdjęcia, które robie, nigdy nie przypominają tego, na co kierowałam obiektyw.

- A ja zawsze chciałam komponować - powiedziała cicho Kerry. - Ale tak bardzo lubiłam grać kompozycje innych, że nigdy sama nie spróbowałam nic stworzyć. Chyba się bałam, że nie zdołam im dorównać.

- Na czym grasz? - zapytała Laura.

- Na fortepianie.

- Jest bardzo dobra - zauważyła Amelia.

- Można być dobrym niemal we wszystkim, gdy się poświęci temu wystarczająco dużo czasu - odparła Kerry.

- Jeżeli tylko ma się talent - powiedziała z uśmiechem Josie.

Laura przyznała jej w duchu rację, lecz słowa Kerry sprawiły, że zaczęła się zastanawiać, czy wdowa po Peterze stała się samotnicą z powodu swoich bliźni. Czy ten dom i zaciszne, strzeżone tereny wokół niego były jej więzieniem? Laura pamiętała z relacji w wiadomościach telewizyjnych, że Kerry pojechała na pogrzeb Petera, tyle że była w grubej woalce. Nie mogła sobie przypomnieć żadnej wzmianki o jej okaleczeniu ani w relacjach gazetowych po morderstwie, ani w sprawozdaniach Cassidy z artykułów w brukowcach. Czyżby nie było o tym powszechnie wiadomo, czy może nawet

prasa bulwarowa wykazywała niezwykłą życzliwość, po prostu nie wspominając o tym?

- Kerry grywa dla nas niekiedy wieczorami - wyjaśniła Amelia. - Może pracując nad portretem, zdecydujesz się zostawić parę razy na noc i wtedy Kerry mogłaby wystąpić z recitalem.

- Z największą przyjemnością - oświadczyła Kerry tonem osoby o wycudzonych manierach, nie zdradzając w niczym swoich prawdziwych uczuć w tej kwestii.

Laura uśmiechnęła się do niej szybko, ale powiedziała tylko:

- Może zostanie, Amelio. Lecz zamierzam, tak jak mówiłyśmy, wyjechać każdego popołudnia. Nie chcę się narzucać twojej rodzinie bardziej niż to konieczne.

- A ja ci powiedziała, że to nie byłoby narzucanie się - delikatnie przypomniała jej Amelia. - Jesteś w tym domu bardziej niż milę widziana, Lauro. I mówiłam poważnie o twoim pobycie tu nawet wtedy, gdy nie pracujesz nad obrazem.

- Oczywiście nie chcesz przecieżyć, by Laura spędzała tu cały swój czas, Amelio - zauważył beznamiętnym tonem Daniel. - To zlecenie, jak każda praca, wymaga pewnej liczby godzin, ale sądzę, że Laura oprócz pracy ma również życie osobiste. Własną rodzinę. Przyjaciół. Nie możesz prosić, by zrezygnowała z całej reszty tylko po to, by namalować twój portret.

Zamiast się zachnąć na słowa zawołowanej krytyki wnuczka, Amelia wykorzystywała je jako wygodny wstęp do dalszej rozmowy; uśmiechając się do Laury, zapytała:

- Masz rodzinę w Atlancie, moje dziecko?

Laura pokręciła głową.

- Nie, w mieście nie mam.

Zwięzła odpowiedź nie powstrzymała Amelii.

- A w Georgii?

- Moi rodzice mieszkają w małym mieście na wybrzeżu, niedaleko Savannah. Młodsza siostra także tam mieszka. - Laura wzruszyła ramionami. - Nie utrzymujemy zbyt bliskich kontaktów.

- To wstyd - zauważyła poważnie Amelia. - Rodzina jest bardzo ważna, Lauro. Więzy krwi nie są obojętne.

A jednak sprawiasz wrażenie niewzruszonej śmiercią swojego wnuka. Dlaczego ta więź była obojętna, Amelio?

- Ja wyznaję inną filozofię - oświadczyła z bladym uśmiechem. - Członkowie niektórych rodzin nie powinni próbować nawiązywać bliskich stosunków, ponieważ są albo zbyt podobni, albo zbyt się różnią. A może dlatego, że w ogóle nie powinni tworzyć rodziny. - Pożałowała tych słów w chwili, gdy wyszły z jej ust, i mogła jedynie mieć nadzieję, że nie zabrzmiąły one tak zjadliwie, jak jej się wydawało.

- Wrogów i przyjaciół sobie wybieramy - rzekł Daniel. - Rodzinę, czasem na nasze nieszczęście, wybiera za nas los.

Laura spojrzała na niego, zastanawiając się, czy były to słowa współczucia, czy też niewyraźna aluzja do własnej rodziny. Nie sposób było się zorientować. Zanim jednak zdążyła to skomentować i zanim Daniel zdążył coś dodać, znówu odezwała się Amelia:

- Chyba nie jesteś zupełnie sama w tym mieście, Lauro?

- Mam przyjaciół. Współpracowników. Nie jestem sama. Po prostu... nie mam tu rodziny. Co mi bardzo odpowiada.

- Czy w twoim życiu jest jakiś mężczyzna? - To Josie zadawała to pytanie i niemal natychmiast potem zrobiła taką miną, jakby tego żałowała.

Lecz Laura odpowiedziała spokojnie, pełnym milczeniem pomijając domniemanie policji i prasy, że była związana z Peterem.

- Nikt szczególny. Umawiam się od czasu do czasu, ale raczej bywam u przyjaciół lub wychodzimy całą grupą. Szczerze mówiąc, moje życie towarzyskie jest niewiarygodnie nudne.

Josie uśmiechnęła się do niej szeroko, wyraźnie uspokojona faktem, że Laura tak zgrabnie odpowiedziała na jej nieprzemyslane pytanie.

- Czy kiedyś, będąc w dołku, przyłapałaś się na tym, że cieszysz się na samą myśl o spotkaniu klasowym? Mnie przydarzyło się to kilka lat temu.

- Nie, ale gdy przed paroma miesiącami do Atlanty przyjechał mój kolega z dzieciństwa, poważnie myślałam, by się gdzieś z nim wybrać. A jako mały chłopiec był zupełnie nie do zniesienia.

- Może z wiekiem się poprawił? - zasugerowała Josie.
- Niestety nie. Jest zwykłym policjantem i właśnie wygłosił mowę w jakimś klubie ogrodowym, do którego należała moja przyjaciółka. Powiedziała, że gdyby kiedyś udało mu się zrobić karierę w polityce, cofnęłoby to Południe o dobre dwadzieścia lat.
- Cofnęłoby nas pod jakim względem? Gospodarczym? Przemysłowym czy biznesowym? Stosunków międzyrasowych? Szacunku ze strony reszty kraju?
- Pod każdym z wymienionych.
- Josie zachichotała.
- Uch! U mnie nie miałby żadnych szans.
- U mnie też. Ale za to zrezygnowałam ze spotkania w dziesiątą rocznicę matury, więc może nie wszystko jeszcze dla mnie stracone.
- No cóż, zawsze myślałam, że wszystko dzieje się w swoim czasie i z określonego powodu - oświadczyła Josie. - Toteż stale sobie powtarzam, że los ma dla mnie jakiś plan.
- Problem tylko w tym - zauważyła Laura - że mogłabys nie poznać, gdzie ów plan się zaczyna. Bo niby skąd, podejmując te wszystkie decyzje w swoim życiu, mamy wiedzieć, czy nie skręciliśmy w lewo, gdy los chciał, byśmy skręcili w prawo?
- Słusznie - przyznała ponuro Josie.
- I wtedy odezwał się Daniel. Spoglądał przy tym na Laure, a w jego głosie pobrzmiwała zaduma.
- Sądzisz, że jesteś panią swego losu? Że tylko twoje decyzje określają bieg twojego życia?
- Popatrzyła na niego, zaniepokojona tym, jak silny wpływ wywierał na nią jego głos i jak bardzo poruszał ją sam widok Daniela. Go do pytania, to niewiele na ten temat myślała, więc zdziwiła się nieco, uświadomiwszy sobie, że ma wyrażone wyobrażenia w tej kwestii.
- Nie, nie tylko moje. Jeżeli ktoś inny podejmuje decyzję, która mnie dotyczy, to jasne, że wpłynie ona w jakiś sposób na bieg mojego życia. Nikt z nas nie może być naprawdę panem własnego losu.
- Wierysz w przeznaczenie?

- Laura znowu zadziwiła samą siebie.
- Tak... chyba tak. Podobnie jak Josie, sądzę, że niektóre rzeczy mają się zdarzyć - w swoim czasie i na swój sposób. - Usiłowała mówić swobodnie. - Zwłaszcza w krótkim czasie. Każdy katalizator uruchamia ciąg zdarzeń i czasami te zdarzenia wydają się nieuniknione. To rodzaj przeznaczenia, prawda?
 - Tak bym to nazwała - oświadczyła Josie. - Muszę przyznać, że trudno mi uwierzyć, iż moje życie zostało zaplanowane, zanim przyszedł na świat.
 - Laura przytaknęła.
 - Mnie także. Ale sądzę, że pewne rzeczy są poniekąd zaplanowane, ponieważ zostały zakodowane w naszych genach. Weźmy moje zajęcia. Zawsze, od wczesnego dzieciństwa chciałam być malarką, mimo że jako dziecko nigdy się nie zetknęłam ze sztuką. To się wzięło ni stąd, ni zowąd, a z tego co wiem, wśród wszystkich moich przodków nie ma ani jednego malarza. Mogę więc tylko założyć, że doszło do niespodziewanej kombinacji genów i chromosomów i to ona wytworzyła we mnie artystyczne skłonności. Malowanie stało się w rezultacie moim przeznaczeniem.
 - Nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób - powiedziała z zadumą Josie. - Ale wiesz, to ma sens.
 - Amelia, która dotąd w milczeniu przysłuchiwała się dyskusji, zauważyła:
 - Przypuścimy jednak, że nie mogłaś się w ogóle kształcić w tym kierunku, że musiałas zrobić coś zupełnie innego, żeby po prostu przeżyć, i w ogóle nie miałas czasu na zgłębianie swojej artystycznej natury.
 - Laura skinęła głową.
 - Wtedy te okoliczności zmieniłyby moje przeznaczenie. Albo by je odroczyły.
 - Teraz z kolei Amelia pokiwała głową z wyrazem zadumy w ciemnych oczach.
 - Ciekawe. A więc żywisz... ograniczoną wiarę w przeznaczenie. Pewne rzeczy mają się zdarzyć, lecz nasze środowisko i nasze decyzje mogą zmienić ich kształt.
 - Laura nie mogła powstrzymać uśmiechu.
 - To cała ja, jak zwykle niezdecydowana.

Amelia uśmiechnęła się do niej.

- Jeżeli czegoś się w swoim życiu nauczyłam, moje dziecko, to tego, że możemy być pewni - czy też zupełnie pewni - bardzo niewiele rzeczy.

Rozmowa przy stole znów stała się błaha, co raczej uspokoiło Laurę. Dyskusja o przeznaczeniu sprawiła jej przyjemność, ale Laura nie mogła się wyzbyc niepokojącego wrażenia, że w jej trakcie kolejny pionek szachowy został przesunięty albo przez Amelię, albo przez Daniela.

Pomyślała, że Josie nie jest wplątana w tę grę o władzę, wątpliwe też, by uczestniczyła w niej Kerry. Nie, toczyli ją tylko Amelia i Daniel; była tak subtelna, tak głęboko ukryta pod powierzchnią uprzejmości i rodzinnej swobody, że Laura wątpiła, by pozostałe dwie kobiety w ogóle zdawały sobie z niej sprawę. Ciekawe, czy ktoś jeszcze w rodzinie Kilbourne'ów był świadom tej walki.

Gdy wszyscy już zjedli, Amelia, wstając, zasygnalizowała koniec posiłku i Laura przyłapała się na tym, że podnosi się razem z innymi. Potem rozegrała się drobna scena, którą Laura była tego absolutnie pewna - z góry zaplanowano.

- Lauro - powiedziała Amelia - po lunchu zawsze odpoczywam przez parę godzin. Gdy wrócę na dół, możemy dalej pracować nad portretem. Może tymczasem obejrzysz dom i teren wokół niego?

- Z radością oprowadzę Laurę, Amelio - powiedziała natchmniast Josie. - Moje biurko jest puste, więc nie mam nic do roboty.

Laura spojrzała na Daniela w samą porę, by dostrzec, jak zaciśka nieznacznie usta. Nie mogła nie zadać sobie pytania, czy chciał wykorzystać czas, gdy Laura będzie sama, do... ale do czego? Żeby zrealizować własny plan?

- Będziesz w dobrych rękach, moje dziecko - powiedziała Amelia, uśmiechając się do Josie. - Ona dość dobrze zna to miejsce i tę rodzinę. Zobaczymy się za parę godzin, zgoda?

- Oczywiście, Amelio. - Cóż innego mogła powiedzieć? Że wolałaby zostać sama, na wypadek, gdyby Daniel zaprzęgnął zrealizować swój plan? *Jeżeli naprawdę jest niebezpieczny*, pomyślała, *to jestem w tarapatkach*.

Daniel nie został jednak w pobliżu, lecz z uprzejmym:

"Moje panie" - skinął głową Josie, Kerry i Laurze i wyszedł z jadalni.

Kerry również nie zwlekała; uśmiechnęła się do nich i opuściła pokój zaledwie kilka sekund po Danielu i Amelii.

- Pospacerowaliśmy w ogrodzie - powiedziała Josie. - A ty? To dobry punkt wyjścia.

Laura pomyślała, że świeże powietrze mogłoby trochę rozjaśnić jej w głowie, więc chętnie się zgodziła. Wzięła szcownik z kredensu i wyszła za Josie z jadalni.

Żeby dostać się do oranżerii, wróciły przez wschodnie skrzydło i część główną budynku. Laura zaczęła się już orientować w rozkładzie pomieszczeń, nie było to trudne, bo liczne duże pomieszczenia tworzyły logiczne ciągi korytarzy; nie było tu mnóstwa małych pokoiików i dziwnych sal, tak typowych dla wielkich rezydencji.

Dom był imponujący. W stolarce, dywanach, draperiach oraz w wyposażeniu z łatwością można było dostrzec dbałość i pieniądze inwestowane weń na przestrzeni lat. Nawet jego piękno miało w sobie jednak dziwną melancholię, a przynajmniej Laura odniosła takie wrażenie. Ciemne kolory sprawiały, że duże pokoje wydawały się mniejsze i ciemniejsze, a ciężkie kotary oraz gęste wzory na tapetach, że panował w nich jakiś posępny nastrój.

W tym właśnie rzecz, pomyślała Laura. W tym domu czuła się dziwnie odcięta od otaczającego go świata, odizolowana w miejscu dla niej wyjątkowym; zupełnie jakby znalazła się w pułapce.

- Jest trochę ponury - powiedziała Josie, blade się uśmiechając. Widząc minę Laury, roześmiała się. - Nie czytałam w twoich myślach. Po prostu na początku wszyscy odnoszą takie wrażenie. Amelia lubi ciemne kolory i to są tego efekty - niestety nie najlepsze.

- To piękny dom - odparła Laura, po czym dodała szczerze: - ale przygnębiający.

- Nieraz slyszalam to slowo. Chyba juz do niego przywyklam, aczkolwiek codziennie spaceruje po ogrodzie, wiec moze odczuwam to bardziej podswiadomie niz swiadomie.

Gdy znalazly sie wzrod jasnycy barw, w zielonej atmosferze oranzerii, Laura odetchnęła z ulgą, a potem, gdy dotarły

na werandę - z ogromną wprost radością. Jak na koniec września było chłodno, rześkość i przejrzystość powietrza sygnalizowały nadejście jesieni. Niektóre z drzew w rozległych ogrodach zaczynały zmieniać kolor, dodając czerwone i złote cienie do soczystej zieleni ociągających się liści, a tu i ówdzie pojawiały się plamy błękitu, szkarłatu i jaskrawej żółci, gdy ostatnie z letnich kwiatów rozkwitały w rozpaczliwym wysięgu z nadchodzącym pierwszym jesiennym przymrozkiem.

- No, to mi się podoba - powiedziała Laura, gdy przystały na werandzie, by spojrzeć na rozciągające się daleko ogrody.

- Moje najulubieńsze miejsce na świecie - wyznała Josie. - Doprowadzenie tych ogrodów do stanu doskonałości trwało pięćdziesiąt lat i sędzę, że było warte codziennego trudu. Naczelny ogrodnik pracuje tu od trzydziestu lat, to prawdziwy artysta.

Przeglądając się pilnie wielu akrom ukształtowanego przez ogrodników terenu, w południowo-zachodniej części Laura dojrzała coś zadziwiającego.

- Czy to, co widzę, to labirynt?

Josie skinęła z radością głową.

- Owszem, i jest wspaniały. Mąż Amelii, David, kazał go zaprojektować jeszcze w latach pięćdziesiątych; był ponoć wielkim entuzjastą łamigłówek. A ta jest isticie diabelska. Za nim znalazłam klucz do niej, próbowałam prawie rok. Teraz potrafię dojść prosto do środka - gdzie, nawiasem mówiąc, znajduje się uroczą altana - i wyjść, nie popełniając żadnych błędów. Ale sama już nie wiem, ile razy się w nim gubiłam i w końcu musiałam wolać o pomoc.

Laura, która również była wielką miłośniczką łamigłówek, powiedziała pospiesznie:

- Tylko mi nie mów, jaki jest klucz. Może będę miała czas, żeby go poszukać.

- Jasne, że będziesz miała. Amelia codziennie odpoczywa po lunchu, toteż czasu na pewno ci nie zabraknie.

- Czy to znaczy, że będziesz się mną opiekowała codziennie? - zapytała Laura z uśmiechem łagodzącym uszczypliwość jej słów.

Josie roześmiała się.

- Zapewniam cię, że nie jest aż tak źle. Amelia prosiła mnie bym zatroszczyła się o ciebie, bo chce, żebyś dobrze się tutaj czuła. Poza tym mogę odpowiedzieć na wiele pytań naszą rodzinę, jakie bez wątpienia masz. No, pójdziemy ścieżką do labiryntu.

Laury nie trzeba było dwa razy prosić. Kiedy jednak szły przez długi, wypiełgnowany trawnik, żeby dotrzeć do ścieżki, powiedziała:

- Jakoś nie widzę tu basenu pływakiego?

- Spacerujesz po nim... dosłownie - odparta Josie. - Czterdziści lat temu Amelia kazała go zasypać, zaraz po tym, jak utonął w nim David.

Przypominając sobie, że coś na ten temat słyszała, Laura zapytała:

- Był kiepskim pływakiem?

- Nie, bardzo dobrym. Ale najwyraźniej poślizgnął się na kafelkach otaczających basen i padając, uderzył głową o krzew. Tak przynajmniej stwierdzili śledczy. Nie było żadnych świadków. - Josie pokręciła lekko głową. - W rodzinie Kilbourne'ów nie brakowało nieszczęść.

Laura wiedziała, że Josie sama jest wdową, lecz chyba nie była to właściwa pora na zgłębianie tej sprawy, więc zauważyła tylko:

- Chyba często tak bywa w dużych, znanych rodach.

Josie potwierdziła skimieniem głowy.

- Jak gdyby los zabierał równie dużo, jak dużo daje. Proszę, oto ścieżka prowadząca do labiryntu.

Ścieżka była żwirowa, starannie utrzymana i wila się leniwie wśród krzewów azalii, które już dawno straciły wiosenne kwiaty, krzewów różanych, nadal wspaniale kolorowych, oraz kłombów kwiatowych i soczyste zielonych roślin najróżniejszych gatunków. Nie zabrakło nawet szemrzącego strumyka, nad którym przerzucono wygiętą w łuk drewnianą kładkę.

Laura chłonęła piękno okolicy, bezwiednie zestawiając owe rozległe, kwinaące, pulsujące życiem miejsce z mrocznym bezruchem domu, ale zapytała o coś innego:

- Więc Amelia spodziewa się, że będę wypytywała o waszą rodzinę?

- No cóż, wyraziła to trochę inaczej - odparła szczerze Josie. - Ale ja nie uważam, że to coś złego. Słuchaj, nie widzę powodu, by się wzbraniać przed rozmowami o tym wszystkim i mam nadzieję, że się ze mną zgadzasz.

- Zgadzasz się. - Laura spojrzała na idącą obok niej kochankę, zastanawiając się, co jest ważniejsze: jej jawna chęć otwartej rozmowy czy fakt, że ma kasztanować włosy.

- To dobrze. Obie wiemy, że policja uważała cię, przynajmniej przez pewien czas, za podejrzaną w sprawie zamordowania Petera i że gazety w niezbyt subtelnym sposób sugerują, iż byłaś jego kochanką.

- Nie byłam - odparła stanowczo Laura. - Spotkałam go pierwszy i jedyny raz w dniu jego śmierci, gdy przyszedł do mojego mieszkania, aby spróbować odkupić lusterko, które kupiłam tutaj tamtego dnia.

Josie spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- To samo mówiła Amelia. Jednak z tym lusterkiem to dziwna sprawa.

Laura poczuła przyspieszone bicie serca.

- Wiesz coś o nim?

- O samym lusterku? Nie. Prawdę powiedziawszy, nie przypominam go sobie. Właśnie dlatego dziwi mnie, że Peter chciał je od ciebie odkupić. Bo przecież gdyby było ono ważne dla rodziny, chyba bym o tym wiedziała.

- Właśnie dlatego przyszedł do mojego mieszkania - oświadczyła Laura.

Josie szybko się uśmiechnęła.

- Wierzę ci. A przynajmniej wierzę, że to właśnie ci powiedział.

Laura zmarszczyła brwi.

- Co mi powiedział?

- Peter był kobieciarzem - wyjaśniła z bladym uśmiechem Josie. - A dokładniej, sądę, że był typem seryjnego kochanka. Kobieta za kobietą, podobój za podobojem. Karmit tym swoje ego, a może coś jeszcze, nie wiem. Jeżeli widział cię na aukcji - a to zupełnie możliwe - to przypuszczalnie

tropił cię na wszelkie możliwe sposoby. Zwierciadło mogło być wygodnym pretekstem do spotkania się z tobą. Tej ewentualności Laura nie rozważała, ale po chwili namysłu pokręciła głową.

- Nie, nie sądzę, że o to chodziło. On naprawdę chciał odkupić lusterko.

- Nie przystawiał się do ciebie?

Laura zawałała się.

- Trochę, w słowach. Ale przyszedł po lusterko, tego jestem pewna.

- No cóż, jeżeli masz rację, to jestem w kropce. - Tym razem to Josie zmarszczyła brwi. - Jeżeli chcesz znać prawdę, czytałam przed aukcją spis rzeczy, sprawdzając niejako Petera, i nawet nie zauważyłam w nim tego lusterka.

- Peter kierował inwentaryzacją?

Josie przytaknęła.

- Amelia powierzyła mu to zadanie, gdy postanowiła urządzić aukcję - zanim Daniel wrócił do domu. Peter miał się przyrządzić każdemu przedmiotowi i sprawdzić, czy rzeczywiście chcemy go sprzedać. Ta praca nie powinna być przyzrycz mu większych problemów, ponieważ większość rzeczy na poddaszu i w piwnicy znajdowała się tam od bardzo wielu lat. Tak naprawdę musiał jedynie ściągnąć rzeczoznawcę, by ten wszystko obejrzał. Co też uczynił. Wszystko, co zostało uznane za szczególnie cenne, opatrzone ceną minimalną, a reszta - informacją, by trafiły do oferującego najwyższą sumę.

- Daniel nie brał udziału w aukcji? - zapytała Laura, pamiętając uwagę Cassidy na ten temat.

- No cóż... i tak, i nie. Do czasu, gdy dowiedział się o niej i przyjechał do domu, większość szczegółów została ustalona. Sprawdził jednak, czy Peter zatrudnił naprawdę dobrego taksatora, i wiem, że przejrzał listę rzeczy, które taksator uznał za zbyt cenne, jak na sprzedaż po dowolnej, wylicytowanej cenie. - Zawałała się, po czym dodała: - Prawdę powiedziawszy, pełny inwentarz zobaczył dopiero po aukcji. Późnym popołudniem. Pamiętam, że pytał o to Petera.

- Ale nie styszałaś, jak omawiali spis.

Josie pokręciła głową.

- Nie, poszłam na kilka minut na górę. Kiedy wróciłam do biblioteki, żadnego z nich już tam nie było.

Laura zastanawiała się, czy to Daniel zauważył lusterko w wykazie i czy to on kazał Peterowi je odkupić. Skoro jednak wiedział, że jej wersja wydarzeń jest prawdziwa, czemu odniósł się do niej z takim niedowierzaniem? Z jakiego powodu miałby udawać, że nic nie wie o lusterku?

To nie miało sensu.

Josie także milczała; szły ścieżką obok wierzby płaczącej, wśród bujnych roślin przypominających paprocie i w końcu dotarły do długiej drewnianej ławki umieszczonej na wzgórzu wznoszącym się nad ogromnym labiryntem. Wtedy powiedziała:

- Jeżeli zatrzymasz się tu wystarczająco długo i skupisz się, mozesz znaleźć klucz do labiryntu. Może posiedzimy tutaj parę minut?

- Dobry pomysł. - Laura z radością siedziała w chłodnym, skapanym w słońcu ogrodzie i spoglądała na starannie przycięte żywopłoty tworzące labirynt. Nie próbowała rozwiązać zagadki, a tylko podziwiała pełne cztery akry tej żywej łamiągówki. W środku widziała przypominający pagodę dach altany, sterczący nad zielenią - widoczny, lecz wymykający się cel.

Obróciła się i spojrzała na swą towarzyszkę, po czym impulsywnie odpięła woreczek z ołówkami i otworzyła szkicownik na czystszej stronie.

- Pozwolisz? - zapytała. - Mogłabym poćwiczyć.

Josie wyglądała na zaskoczoną, ale potem wzruszyła ramionami i odparła:

- No pewnie, nie krepuj się. Mam usiąść w inny sposób albo...

- Nie, po prostu się odpręż. I mów dalej. Opowiedz mi o Amelii.

- Amelia... Cóż mogę o niej powiedzieć? Przyjęła mnie i dała mi pracę, gdy nie miałam gdzie się podziać. Zawsze była mi życzliwa. Przy niej nigdy nie czułam się jak... uboga krewna, żyjąca z jałmużny. Ma umysł niczym stalowa pułapka i niesamowitą pamięć.

- Przeżyła w swoim życiu wielu tragedii - zauważyła

Laura, szkicując pospiesznie i zerkając znad szkicownika na uroczą twarz Josie.

Josie potwierdziła skinieniem głowy, spoglądając niewiażącymi oczyma na labirynt.

- Owszem. Przeżyli z Davidem dwadzieścia lat, ale jego śmierć była tak nagła i niespodziewana... Nadal go oplakuje. To miejsce u szczytu stołu należało do niego. I nadal nosi żalobę. - Zmarszczyła lekko brwi.

Zastanawiając się, co jest powodem tego krótkotrwałego zdenewrowania, Laura zauważyła obojętnie:

- Czterdzieści lat żaloby to szmat czasu.

- Owszem. - Josie pokręciła głową, jakby odpędziła nieprzyjemną, dręczącą ją myśl. - Ale w ciągu tych lat poniosła też inne straty. Jej syn, John, ojciec Daniela i Petera, zginął w 1976 roku w wypadku na polowaniu. Był z grupą przyjadźców i dwaj z nich przez tragiczny - i niewyjaśniony - przypadek go postrzelili.

- Tragedia - zauważyła Laura.

- Typowa dla dziejów rodu Kilbourne'ów. Weźmy na przykład córkę Amelii, Julię. Była matką Anny, poznał ją później. W każdym razie Julia zginęła w 1986 roku, w kolejnym wypadku związanym z użyciem broni. Pewnej nocy Julii i jej mężowi, Philipowi, zdawało się, że usłyszeli włamywacza, więc Philip wstał i wyjął rewolwer. Zamiast zostać w łóżku, gdzie ją zostawił, Julia poszła za nim. Gdyby go uprzedziła... ale najwyraźniej tego nie uczyniła. Wzięła ją za włamywacza i zastrzeliła.

Laura przestała szkicować i spojrzała na Josie.

- Mój Boże.

- Tak. Naturalnie, było wtedy trochę gadania, ale w śledztwie okazało się, że zastrzelił ją nieumyślnie. Philip załamał się podobno i w końcu przeniósł do Europy. Od tamtej pory nie odwiedził nikogo z rodziny, nawet Anny.

- No cóż, broń i Kilbourne'owie to nie jest chyba dobre zestawienie - powiedziała Laura.

- Żarty na bok. - Uśmiech Josie nagle stał się wymuszony.

- Mój mąż, Jeremy, został zabity pięć lat temu. Jednego wieczora znalazł się w samoobsługowym sklepie spożywczym akurat podczas napadu. Był tam policjant, który za-

strzelił rabusia. Lecz dziwnym trafem, którego nikt nie zdolał wyjaśnić, jedna z kul odbiła się rykoszetem od żelaznego słupa i trafiła Jeremego prosto w serce.

Laura nie potrafiła wymyślić nic oprócz powtórnego:

- Mój Boże.

- Jeszcze jeden dziwny rozdział w dziejach rodu Kilbourne'ów. - Josie znowu się uśmiechnęła, tym razem z większą swobodą. - Wiesz, parę lat temu z czystej ciekawości prześledziłam drzewo genealogiczne tej rodziny i najciekawszą rzecz, jaką odkryłam, było to, że w ciągu prawie dwustu pięćdziesięciu lat żaden Kilbourne nie zmarł wskutek choroby. Wszystkie zgony były w jakimś sensie gwałtowne i przypadkowe. Ojciec Jeremego na przykład zginął w wypadku na łodzi, a jego wuj upadł tak nieszczęśliwie, że zmarł.

- A teraz Peter - mruknęła Laura.

Josie skinęła głową.

- Właśnie. Spytałam kiedyś Daniela, czy nie boi się kłąt wy ciążącej nad rodem Kilbourne'ów. Stwierdził, że na kłątynie może nic poradzić i że dbałość o własną skórę wydaje mu się niewiarygodnie nudna.

Po chwili Laura wróciła spojrzeniem na szkie i w rozrządzeniu podcieniowała trochę obrys szczęki Josie. Rysunek okazał się nadszpejdzanie dobry i Laura zastanawiała się, czy nie powinna przestać myśleć tyle o tym, co robi, tylko po prostu to robić. Wydawało się, że jej palce pracują lepiej, gdy umysł zajęty jest czymś innym.

A jej umysł z pewnością był zajęty.

- Wierysz, że istnieje jakaś kłątwa? - zapytała.

Josie zacisnęła w zadumie usta.

- Mój logiczny umysł podpowiada, że kłątwy nie istnieją. Ale nie można zaprzeczyć, że w dziejach tej rodziny jest dziwny okres. Nie wiem, Lauro. Może los po prostu wyznaczył Kilbourne'om osobliwy model życia. Może płacą za złą karwę. A może tylko mają pecha.

- A co Peter o tym sądzi?

- Szczerze mówiąc, wątpię, by w ogóle o tym myślał. Nie należał do szczególnie rozważnych ludzi, jeśli wiesz, co mam na myśli. - Gdy Laura uniosła pytająco brwi, Josie dodała po zwoli: - Petera zawsze bardziej interesowały sprawy ciała niż

ducha. Nie chodzi mi tylko o jego kobiety, choć z pewnością były one częścią tych spraw. Miał silny apetyt również pod innym względem. Lubił dobre jedzenie i wino i wprawdzie był z gruntu leniwy, podobała mu się jednak aktywność fizyczna. Grał nieźle w tenisa i squasha, pobiegł w paru maratonach. Ale dyskusje i rozmowy go nie interesowały. - A Kerry?

Josie nie prosiła o sprecyzowanie pytania. Westchnęła.

- Po prostu nie wiem. Nigdy nie widziałam u nich gestów świadczących o przywiązaniu, mimo że od ślubu mieszkali tutaj razem przez blisko cztery lata. Kerry jest taka miła i łagodna, że można by sądzić, iż każdy mężczyzna byłby dla niej przynajmniej życzliwy, lecz Peter zawsze sprawiał wrażenie obojętnego. Bardziej dbał o konwenanse niż o cokolwiek innego, jakby należała się jej wyłącznie uprzejmość. Nie wiem nawet, jak się poznali ani dłaczego wzięli ślub. Mieszkałam tu, gdy Peter przywiózł ją do domu - pobrali się w biurze sędziego pokoju - ale wtedy wciąż bolałam nad śmiercią Jeremego i tak naprawdę nie interesowało mnie to, co dzieje się w domu.

- Pobrali się, zanim ją tutaj przywiózł?

- Tak. I nie sądzę, by Amelia była tym zachwycona. Ona lubi Kerry, ale pamiętam, jak atakowała Petera za to. Nie przypominam sobie, co dokładnie mówili, wiem tylko, że jej zdaniem Peter popełnił błąd, nie informując jej, co się dzieje.

- A co się działo?

Josie zmarszczyła brwi.

- No cóż, pewnie chodziło o to, że poznał Kerry i postanowił się z nią ożenić.

Laura zastanawiała się, czy tylko o to, ale było rzeczą oczywistą, że Josie nie znabyła odpowiedzi, nawet gdyby z Peterem „działo się” coś jeszcze.

- Czy Kerry w ogóle z nim wchodziła? - zapytała ciekawie.

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Jak gdyby małżeństwem byli tylko formalnie, jeżeli można w to uwierzyć w dzisiejszych czasach. Mieli nawet oddzielne sypialnie i to bez drzwi łączących. A ponieważ moja miłość się w tym samym skrzydle, mogę zapewnić, że nie zauważyłam żadnego ruchu mię-

dzy nimi, choć zaraz po ślubie rzeczywiście parę razy wdziałam, jak Peter rano wychodził z sypialni Kerry. Lecz później przez lata nie wskazywało na to, by tam bywał.

Laura przypomniała sobie łagodny głos i uśmiech Kerry nieodgadniony wyraz jej piwnych oczu oraz chude ciało i pokrytą bliznami twarz, i nie mogła powstrzymać zdumienia. Przecież w tym układzie musiały gdzieś tkwić gniew i gorczyz - czyż nie? Gniew kruchej, bezbronnej kobiety, zamężnej z obojętnym jej człowiekiem, który szukał przyjemności w ramionach innych. Gorczyz męczyzny, który kochał piękne kobiety, żonatego z kobietą nieskorą do pokazywania swjej okaleczonej twarzy publicznie. Czy między tą bardzo dziwną parą i w tym bardzo dziwnym małżeństwie nie mogło się narodzić wystarczająco dużo furii, by popełniono morderstwo?

- Gdy Peter został zabity, nie było jej w mieście - usłyszała własny głos.

Josie spojrzęła na nią ze zrozumieniem.

- Zgadza się. Ale... Podróżując, Kerry jest zawsze bardzo dobrze zamaskowana. Okutana szalikami i ukryta za dużymi szklami okularów przeciwsłonecznych, w specjalnym makiżażu, który zasłania blizny. Więc przypuszczam...

- Policja na pewno sprawdziła jej alibi - zauważyła Laura. Josie roześmiała się nagle; jej śmiech zabrzmiał ponuro.

- Tak, oczywiście. To zresztą absurd. Kerry nawet muchy nie potrafiłaby skrzywdzić.

Rozdział 6

Laura również odrzuciła tę myśl, przynajmniej na razie, i odsunęła szkiełko na długość ręki, by mu się dokładnie przyjrzeć. Niezły, stwierdziła.

- Mogę zobaczyć?

Po chwili wahania Laura odwróciła rysunek, tak aby Josie mogła obejrzeć swoją podobiznę.

- Hej... jesteś całkiem dobra - powiedziała powoli Josie, wpatrując się w szkiełko szeroko otwartymi oczami.

- Nie dość dobra. - Laura uśmiechnęła się. - Uchwyciłam kształt twojej twarzy, łuki i kąty, cienie. Ale nie życie. Nie tę iskrę, która odróżnia twoją twarz od wszystkich innych twarzy. Dopóki nie zdołam tego zrobić, dopóty nie będę dość dobra.

Josie skinęła po chwili głową.

- Chyba jesteś już tego bliska. Bardzo bliska.

- Dzięki. - Laura zamknęła szkiełko i schowała ołówki.

Josie wstała, proponując:

- Może wrócimy do domu inną ścieżką, prowadzącą drugą stroną ogrodów.

- Mnie to odpowiada. Sluchaj, jeżeli zdecyduję się spróbować swoich sił w labiryncie...

- To uprzedź kogoś, że tam będziesz - powiedziała stanowczo Josie. - I zawsze tak rób. Krzewy w labiryncie dziwnie tłumią głos, więc wołanie o pomoc nic nie da, chyba że ktoś będzie w pobliżu. - Uśmiechnęła się szeroko. - Jeżeli jednak zaginiesz, najpierw sprawdź w labiryncie.

- Dzięki.

- Nie ma za co. - Josie wskazała inną ścieżkę, która prowadziła od punktu widokowego, i ruszyły z powrotem. - Wzdłuż tej ścieżki rozciąga się część japońska z zacisznym stawem, trzema kratowanymi altankami porośniętymi różnymi-medalistkami, fantastycznym ogródkiem skalnym...

- Oraz przepiórką na gruszy?

Josie zachichotała.

- Moglibyśmy to załatwić. Zasugeruj Avery'emu - jest u nas naczelnym ogrodnikiem - że dwanaście dni między Bożym Narodzeniem a Trzech Króli może stanowić świetny temat, a zaprojektuje coś niesamowitego.

Laura pokręciła głową.

- Już to co widziałam, jest niezwykle. Nie sądziłam, że takie ogrody istnieją; nie w prywatnym domu.

- Jest ich niewiele. To przede wszystkim sprawa kosztów; jeśli nie masz pieniędzy na zbyciu, nie ma o czym myśleć. Ale Kilbourne'owie, mimo swych dziwnych losów, mają je. Zwłaszcza teraz. Kilbourne Data to jedna z największych w tym kraju firm projektujących i produkujących sprzęt komputerowy oraz podzespoły elektroniczne do samolotów wojсковych i satelitów. A dzięki przezorności Daniela powstał oddział firmy zajmujący się wyłącznie badaniami i rozwojem, prawdziwie nowatorską technologią. Daniel to geniusz finansowy, że nie wspomnę o jego autentycznym wyczuciu przyszłych potrzeb.

- Słyszałam o tym. - Laura spojrzała na Josie. - Słyszałam również, że on i Amelia nie zawsze się zgadzają w sprawach finansów.

Po chwili wahania Josie wzniosła ramionami.

- Doprawdy trudno mi powiedzieć, bo jestem tylko osobą biłą asystentką Amelii i rzadko mam do czynienia ze sprawami rodzinnej firmy. Wiem jednak, że choć Amelia może wetować niektóre decyzje finansowe, w innych kwestiach nie ma głosu - tak mi się przynajmniej wydaje. Najwyraźniej David zamroził rodzinne pieniądze w jakiś dziwny, skomplikowany sposób, którego zrozumienie wymagałoby zespołu prawników. - Znowu się zawahała. - Od czasu do czasu stosunki między nimi są napięte, ale przypuszczam, że tego ro-

dzaju sytuacja jest normalna w takiej rodzinie. Czasem ktoś się sprzeciwi.

Laura aż nadto dobrze wiedziała, że Josie ma rację: każdemu zdarzało się mieć odmienne zdanie, a w rodzinach - szczególnie w rodzinach wpływowych - niezgoda prawdopodobnie bywała raczej regułą niż wyjątkiem. Ciekawe, czy osobiście podział władzy w rodzinie Kilbourne'ów wpłynął na dwie silne dominujące osobowości, czyniąc z nich przeciwników.

- W jaki sposób Peter był związany z rodzinną firmą? - zapytała.

- No cóż, w gruncie rzeczy nie był związany. Posiadał oczywiście trochę rodzinnych akcji, ale bez prawa głosu, nie miał też wiele do powiedzenia na temat tego, co się działo. Robił różne rzeczy dla Amelii, sprawdzał stan inwestycji i załatwiał tym podobne sprawy. Bo widzisz, ona oprócz portfela akcji rodzinnej firmy ma jeszcze własne pieniądze.

Laura była bardzo zdziwiona, że Josie tak chętnie udziela informacji, ale to chyba sprawiły polecenia Amelii, a nie jej własna wola. Nie rozumiała natomiast, dlaczego Amelii zależało, by Laura otrzymała odpowiedzi na wszystkie swoje pytania o rodzinę Kilbourne'ów. Żeby jej umożliwić namalowanie lepszego portretu? To wydawało się nieprawdopodobne. Więc dlaczego?

- Niechże się wreszcie dowiedzą, kto zabił Petera - powiedziała nagle Josie niespokojnym tonem. - Niewiedza jest taka okropna.

- Kiedyś czytałam książkę o morderstwie i o tym, że wszyscy niewinni ludzie strasznie się tym dręczyli - powiedziała Laura, kiwając głową. - W ich wyobraźni sprawcą mógł być każdy z nich, więc podejrzewali się wzajemnie. W tej historii chodziło o to, że niewinni cierpią bardziej niż winni, gdy nie znają prawdy.

Josie spojrzała na nią szybko.

- Nie sądzę, by zrobił to ktoś z rodziny. Jakże bym mogła to sądzić? - Ponieważ Laura milczała, dodała: - To pewnie to rudowłosa kobieta. Tak myśli policja.

Laura, wyczuwając dręczącą niepewność w głosie drugiej kobiety, potwierdziła skinieniem głowy; Josie miała mnóstwo wątpliwości i podejrzeń.

- Prawdopodobnie.

Gdy przechodziły przez uroczy ogródek skalny, Josie rozglądała się z roztargnieniem, nie okazując w tym momencie radości z kontaktu z pięknem.

- Nie znoszę niewiedzy. Po prostu nie znoszę - powie-działa niemal bezgłośnie.

- Ja też. Nie znoszę także, gdy się mnie podejrzewa o coś okropnego, czego nie zrobiłam - odparła spokojnie Laura. - Właśnie dlatego zadaję wścibskie pytania o waszą rodzinę. Mówię to na wypadek, gdybyś się temu dziwiła.

- No cóż, rzeczywiście dziwiłam się - odparła po chwili Josie. - Ale rozumiem, że mogłaś sądzić, iż warto dowiedzieć się jak najwięcej o rodzinie Kilbourne'ów.

- To jedyne, co mogę zrobić. Zostałam w to wciągnięta gdyż kupiłam tutaj lusterko, a później rozmawiałam o nim z Peterem. I choć policja nie może mnie powiązać z tym morderstwem, prasa dobrze się bawi, próbując to uczynić. Jeżeli prawda nie wyjdzie na jaw, już zawsze będą nosiła czarne piętno podejrzeń i wątpliwości.

Josie zatrzymała się i spojrziała na Laurę.

- Nie myślałam o tym w ten sposób. Ale oczywiście masz rację. Jeżeli prawda nie wyjdzie na jaw... już nigdy nie będziemy mogli być pewni wielu rzeczy. Z niewinnością ota czających nas ludzi łącznie. - Westchnęła. - Ale czy naprawdę sądzisz, że coś, czego się dowiesz o rodzinie Petera, po może ci odkryć tę prawdę?

Laura zawałała się, po czym odparła:

- Sądzę, że Peter został zamordowany ze względu na to, jakim był człowiekiem. W którymś momencie zrobił sobie z kogoś groźnego wroga i ten wróg go zabił. Oczywiście wyglądało to na zbrodnię w afekcie. Ale może jego śmierć po prostu miała tak wyglądać. Może wszyscy czynimy błędne założenia. Nie wiem, Josie. Nie jestem detektywem.

- A jednak nie możesz zostawić tego detektywom, policji?

- Nie. Muszę się sama dowiedzieć, dlaczego Peter zginął. I dlaczego byłam jedną z ostatnich osób, które widziały go żywego.

Josie pokiwała spokojnie głową.

- Nie mogę mieć ci tego za złe, ale bądź ostrożna, Lauro.

We wszystkich książkach amator prawie zawsze pakuje się w kłopoty po same uszy.

To życzliwa przestroga, pomyślała Laura.

przynajmniej taką miała nadzieję.

Szły dalej ścieżką przez ogrody do domu, nie mając sobie teraz wiele do powiedzenia. Laura toczyła w duchu spór o to, czy powinna zapytać, gdzie Josie była w wieczór zabójstwa. Musiała to wiedzieć, choćby po to, żeby wykluczyć tę subtelną rudowłosą kobietę z grona potencjalnych kochanek Petera, ale zarazem nie chciała naruszać beztrudnej harmonii panującej między nimi.

A szanse, że pytanie nie spodoba się Josie, były spore.

Wechodząc po stopniach werandy, nadal milczały. Obie zatrzymały się niemal machinalnie, gdy z oranżerii wyszedł im na spotkanie jakiś wysoki, urzekająco przystojny blondyn o zielonkawych oczach i leniwym uśmiechu. Wyglądał na rówieśnika Laury, a dyskretną elegancję jego garnituru równoważył nieco rozluźniony krawat w jaskrawych kolorach z postaciami z kreskówek.

- Cześć, Josie - rzekł uprzejmie, uśmiechnąwszy się błado do rudowłosej, po czym patrząc na Laurę, dodał:

- Ty pewnie jesteś Laura. Alex Kilbourne.

Ten prawnik, uświadomiła sobie Laura, kiwając głową na powitanie.

- A ty... krewniakiem Amelii? - odważyła się zapytać.

- Tak, ale tylko w określonym, „południowym” sensie. Mój dziadek był najmłodszym bratem świętej pamięci męża Amelii, a miał dwóch braci. Wszyscy w tej rodzinie pochodzą od tych trzech albo są z nimi spowinowaceni.

Laura westchnęła.

- Chyba muszę obejrzeć wasze drzewo genealogiczne - Powiedziała pod nosem.

- Amelia zaczęła je tworzyć wiele lat temu - odezwała się, zwracając bezpośrednio do Laury, Josie - więc istmieje w miarę pełny diagram sięgający kilka pokoleń wstecz. Poka-żę ci go później, jeżeli mi o tym przypominasz.

- Dobrze, dzięki. - Laura uświadomiła sobie nagle, że rodzinie Kilbourne'ów drzemie jeszcze jedno skrywane uczucie - łączące Josie i Alexa. On wydawał się odprężony,

jego spojrzenia rzucane Josie były jednak dziwnie błagalne. I choć twarz Josie pozostała bez wyrazu, Laura wyczuwała w niej napięcie.

- Jak ci się podobały ogrody? - zapytał, wciąż przyjemnym tonem, Alex.
- Bardzo. To piękne miejsce.
- Ma swój urok. - Uśmiechnął się. - Amelia chyba właśnie zeszła na dół i czeka na ciebie w salonie.
- Zaprowadzę cię, Lauro - zaproponowała natychmiast Josie.

Laura, przekonana, że Alex chce zostać sam na sam z rudowłosą, miała ochotę powiedzieć, że trafi, ale nie mając pojęcia, co naprawdę ich łączy, postanowiła się nie wtrącać. Było to jednak interesujące. Bardzo interesujące.

- Miło było cię poznać, Alex - powiedziała.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Do zobaczenia. Zostawiły go na werandzie. Gdy szły przez oranżerię, Laura spojrzała na Josie; jej mina wyrażała niezadowolnienie.
- Wydaje się bardzo sympatyczny. Mieszka tu? Josie potwierdziła skinieniem głowy.
- Odkąd parę lat temu dołączył do rodzinnej kancelarii prawniczej. Amelia lubi mieć rodzinę przy sobie, a w tym domu jest z pewnością wystarczająco dużo miejsca. - Mówiła z roztargnieniem, a wyraz jej twarzy się nie zmienił.
- Czy Alex i Peter żyli w zgodzie? - zastanawiała się głośno Laura.

Josie nie odpowiedziała od razu, a gdy już zaczęła mówić, w jej głosie nie było śladu roztargnienia.

- Nie. - Zanim Laura zdążyła zareagować, Josie szybko dodała: - Ale wieczorem, w dniu zabójstwa, Alex był tutaj. Poza tym to nie była nienawiść, po prostu nie darzyli się szczególną sympatią.
- Rozumiem.
- A Petera zabiła kobieta. Tak przecież twierdzono, prawda?
- Prawda. Tak twierdzono. - *Ale tylko dlatego, że widziała go z kobietą w motelu. W rzeczywistości nie wiemy na pewno, że zginął z jej ręki. Mógł go zabić jakiś mężczyzna, który zjawił się później.*

Josie zrobiła jeszcze bardziej zmartwioną minę, jakby czytała w myślach Laury, lecz powiedziała tylko:

- Proszę, to salon Amelii. Zobaczymy się później, Lauro. Idąc dalej korytarzem ku frontowi domu, nie przyspieszyła wprawdzie kroku, lecz jej pragnienie ucieczki było dość oczywiste.

Laura wahała się chwilę, po czym weszła do małego salonu, gdzie wcześniej poznała Kerry. Teraz, gdy już wiedziała, że nazywa się go „salonem Amelii”, wydał się jej charakterystyczny dla starszej pani. Niemal wiktoriański w stylu, umeblovany był antykami i mieścił tyle stolików, zdjęć i roślinieckich ozdób, że ktoś niezyczliwy określiłby go jako zagracony. Zasłony były z grubego aksamitu, tapeta ciemna, a na parkiecie leżał gobelin w niezwykłe ciemnych kolorach.

Podczas swej pierwszej porannej wizyty ledwie miała czas się rozejrzeć, ale teraz wnetrze zrobiło na Laurze duże wrażenie. Mimowolnie zastanawiała się, co w przeszłości lub w osobowości Amelii było źródłem owego niemal obsesyjnego upodobania do ciemnych barw i grubych tkanin. Utrata tyłu bliskich? Wiele okresów smutku? Czy życie dało Amelii mroczne i ponure wyobrażenia otaczającego ją świata?

Amelia siedziała na delikatnym krześle z okresu królowej Anny. Uśmiechnęła się na widok Laury.

- Mam nadzieję, że Josie dobrze się tobą opiekowała, mo- je dziecko.
- Bardzo dobrze, Amelio. Przespacerowałyśmy się po ogrodach.

- Cieszę się. W takim razie pracujemy dalej? Pomyślałam, że może zechcesz zrobić jeden szkiec w tym pokoju. Spędzam tu wiele czasu.

Patrząc na Amelię w błyszczącej wdowiej czerni, Laura Pomyślała, że przytłaczające barwy jej pokoju i zagrączające go meble stanowią idealne tło. Wybrała kąć ustawienia, znalazła krzesło i zaczęła szkicować.

Alex wszedł do biblioteki i energicznie zamknął za sobą drzwi.

Josie uniosła wzrok, zeszywniała na jego widok i natychmiast powiedziała:

- Daniel tu wróci...
- Dopiero za jakieś pół godziny - odparł Alex. - Proszem go, by dał nam trochę czasu.
Josie odsunęła krzesło i wstała, rzucając mu piorunujące spojrzenie.
- Nie miałeś prawa tego robić. Niech cię diabli, Alex...
Podszedł do biurka, ale nie próbował go obejść, żeby dotknąć Josie.
- Od sobotniej nocy unikasz mnie. Uciekasz, gdy się zbliżam, wychodzisz z pokoju, gdy do niego wchodzi, i zamykasz się na klucz w swojej sypialni zaraz po kolacji.
- Pojajesz? - zapytała oschle.
Alex uśmiechnął się blade.
- Musiałbym być dumiem, żeby nie pojąć. Unikasz mnie. W porządku, więc porozmawiajmy o tym.
- Nie ma o czym.
- Sądzę, że jest. Posłuchaj, wiem, że cię zdenerwowałem.
- Zdenerwowałeś? Najpierw przekonujesz mnie, bym spędziła z tobą noc, a potem drażnisz, żebym się rozmyśliła. Czemuż by miało mnie to zdenerwować?
- Josie...
Wykonała gniewny ruch ręką przerywając mu.
- Jeżeli chcesz to zakończyć, po prostu powiedz. Może mężczyźni w twoim wieku lubią gry, ale ja jestem na to za stara, więc przejdźmy do rzeczy, dobrze?
Alex westchnął i skrzyżował ręce na piersi.
- Wiek nie ma z tym nic wspólnego - ani twój, ani mój. Nie pozwolę ci wykorzystywać tego jako usprawiedliwienia.
- Nie pozwolisz mi? A od kiedy to jest moja wina? Psia-krew, przecież to ty mnie wygoniłeś w sobotę w nocy - i nie próbuj temu zaprzeczać.
- W porządku, nie będę.
Jego potulna zgoda wytrąciła Josie broń z ręki, wywołując niespodziewane uczucie otepienia.
- No więc dlaczego? - zapytała.
Wzruszył ramionami.
- Dlatego... że nie chciałaś zostać. Och, zgodziłaś się, ale tylko dlatego, że właściwie cię zmusiłem. I wtedy zdałem sobie sprawę, że chciałem to załatwić w inny sposób. Nie mia-

łem ochoty obudzić się rano i zobaczyć, że żałujesz wspólnie spędzonej nocy.

Josie spojrzała na niego krzywo.

- Więc dlaczego nie powiedziałeś o tym, zamiast... być okrutnym i mnie wypędząć?

- Czy byłem okrutny? Nie, Josie... chyba że prawda jest okrutna. - Uśmiechnął się lekko, jego zielonkawe oczy wpały na nią, się zawzięcie w jej twarz. - Wiem, że pewnie wydałem się opryskliwy i było to chyba zamierzone. Po prostu wydaję mi się, że nadeszła pora, byś pożegnała się z Jeremym. Chyba że naprawdę chcesz skończyć jak Amelia, wciąż nosząca żalobę i od czterdziestu lat mieszkająca w mauzeoleum. Tego właśnie chcesz?

Nie! Lecz Josie nie mogła tego powiedzieć, choć tak strasznie pragnęła. Coś ją powstrzymało.

- Moje uczucia do Jeremego to nie twoja sprawa.

- Są moją sprawą, gdy on sypia między nami w moim łóżku - odparł bez ogródek. - Nie byłem przygotowany na *menage a trois*.

Josie poczuła, że oczy ją szczypią od gorących łez, i nawet nie miała pewności, dlaczego tak się dzieje.

- Na początku nie narzekałeś - powiedziała drżącym głosem. - Dlatego teraz zaczynasz?

Alex zawałał się, po czym odparł:

- Może dlatego, że oglądamie, jak piękna młoda kobieta grzebie siebie razem ze zmarłym mężem, obraża moje poczucie sprawiedliwości. Albo... może po prostu czuję się dotknięty, wiedząc, że w moim łóżku jest duch. Wybieraj, Josie. To naprawdę nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma.

- Naprawdę? - Alex znowu wzruszył ramionami. - Więc dobrze. Nie podoba mi się to, kochanie. Po prostu nie podoba. Ilekroć biorę cię w ramiona, cholernie dobrze wiem, że myślisz, iż zdradzasz Jeremego. A ja naprawdę nie lubię się czuć tym drugim. Znosiłem to, jak długo mogłem, a teraz po prostu już nie potrafię.

Josie westchnęła.

- Nic nie poradzę na to, że tak czuję.

- Ja też. - Pochylił się do przodu, zaciskając dłonie na

brzegu biurka i spokojnie wytrzymał jej spojrzenie. - Nie popełnij błędu... nadal chcę z tobą spędzać noc. Ale dopiero wtedy, gdy będziemy tylko we dwoje. Zostaw Jeremiego w swoim sanktuarium, jeśli musisz, a jego zdjęcie na swojej toalecie. Przeprasza go tam, jeżeli musisz, za to, że jesteś z innym mężczyzną, i odpraw pokutę, jeżeli żąda tego od ciebie - lub jeżeli ty zażadasz tego od siebie. Ale kiedy przyjdiesz do mnie następnym razem, przyjdź sama.

Josie nie powiedziała ani słowa, przyglądając się w milczeniu, jak Alex prostuje się, odwraca i rusza do drzwi. Nie zawołała go, choć bardzo tego pragnęła.

Osunęła się na krzesło i spojrzała dość bezmyślnie na harmonogram zbliżających się imprez dobroczynnych. Mogła jednak myśleć jedynie o ultimatum Alexa i własnych sprzecznych uczuciach.

Odzyskawszy po długich minutach zdolność myślenia, uświadomiła sobie, że zupełnie zapomniała zapytać go, co robił w pokoju Petera tamtej sobotniej nocy i czym się zajmował wraz z Danielem. Teraz te wątpliwości dręczyły ją z równą siłą jak ultimatum.

Gdy wyszła wtedy z sypialni, Alex wstał i ubrał się, i Josie musiała zadać sobie pytanie, czy zrobił to po raz pierwszy. A może poprzedniej soboty, kiedy ona wróciła do swojej sypialni, również wyszedł z pokoju - możliwe, że także z domu?

...*Petera zabiła kobieta. Tak przecież twierdzono, prawda?*

Pamiętała, że Laura zgodziła się z nią, lecz jej wyrazista twarz powiedziała wówczas jasno to, co przyszło też na myśl Josie - że sądzono tak tylko dlatego, iż tamtego wieczora widziano go z kobietą.

Ta myśl nie przywróciła zaufania. Nasunęła jedynie wątpliwości.

Zbyt wiele wątpliwości.

- Więc to jest Amelia Kilbourne. - Kręcąc niemal podświadomie głową, Cassidy przyglądała się pilnie drugiemu szkicowi. - Wygląda niczym dama z ubiegłego stulecia.

Laura, skulona w swoim fotelu w salonie, popijała gorącą czekoladę, którą właśnie przyrządziła - w geście prowoka-

cyjnego pożegnania z latem, obojętnie czy naprawdę odeszło, czy nie - i potakiwała.

- Właśnie taka jest - z wyglądu. W podobny sposób również mówi. Ale mam wrażenie, że po prostu woli wytworzyć inną epokę... i wie, że dobrze wygląda w takiej oprawie.

Cassidy odłożyła szkicownik i troskliwie przyjrzała się przyjaciółce.

- To wydaje się okropnie... wyrachowane.

Laura była przez chwilę zaskoczona, ale potem potwierdziła skinieniem głowy.

- Chyba masz rację. Sądzę, że Amelia dobrze zdaje sobie sprawę, jak wszystko wygląda. Nie chodzi tylko o pozory, ale o kryjące się za nimi znaczenia. To... interesująca kobieta.

- Hm. A pozostali? Nawiasem mówiąc, ten szkic Josie jest znakomity. Teraz gdzieś na ulicy na pewno bym ją poznała. To twoja najlepsza praca.

Laura uśmiechnęła się, ale zignorowała komplement.

- Lubię Josie. Prawdopodobnie nic nie łączyło jej z Peterem, bo coś łączy ją z Alexem Kilbourne'em. Pamiętaj, że to tylko przypuszczenia, nie wiem tego na pewno, ale wyczułam między nimi sporo napięcia, i to takiego męsko-damskiego. Rzecz w tym, że właśnie dzisiaj Josie zrozumiała - fakt, iż w wieczór morderstwa Petera widziano z nim jakąś kobietę, nie musi wykluczać mężczyzny z grona potencjalnych morderców. Jest zmartwiona. Nie wiem, czy martwi ją coś konkretnego, czy też dręczy świadomość, że nie wiadomo, kto go zabił, ale jest dość niespokojna.

- Sądysz, że może podejrzewać Alexa?

- Niewykluczone. Powiedziała, że w sobotni wieczór był w domu, ale strasznie szybko zaczęła go bronić, twierdząc, że wprawdzie on i Peter nie darzyli się sympatią, ale nie była to nienawiść. Ergo, Alex nie zamordowałby kuzyna. - Laura pokręciła głową. - Nie wiem, może podejrzewa, że miał z tym coś wspólnego.

- A jak ty uważasz?

- Rozmawiałam z tym człowiekiem zaledwie przez minutę, za krótko, by snuć tego rodzaju domysły.

- Tak czy owak spróbuj - zaproponowała Cassidy.

Laura zmarszczyła brwi.

- Wydawał się bardzo miły, czarujący. Sądząc po krawacie - z postaciami z kreskówek - niezupełnie w typie prawnika w koszuli z kołnierzykiem na guziki. Ale jest prawnikiem i nie wyobrażam sobie, by akurat ten prawnik zasztyletował człowieka w motelu.

- W porządku. A Daniel?

Pierwszą reakcją Laury na to pytanie było natychmiastowe i zdecydowane zaprzeczenie. *Nie*. Nie Daniel. On nie zabił Petera. To niemożliwe. Nie miał w sobie takiej nienawiści. Nie stał nad bratem w tym obscurnym pokoju i nie wbijał mu noża raz za razem...

- Lauro? Hej, co się stało?

- Zimno tu - mruknęła. - To wszystko.

- Nieprawda. Pobladaś. O co chodzi?

- Stałe zapominam o realiach - odparła po chwili Laura. - O tym, że brutalnie zamordowano człowieka. Potem zaś, nagłe, coś sprawia, że znowu to do mnie dociera.

Cassidy pokiwała ze zrozumieniem głową, ale zapytała:

- Co tym razem było przyczyną? Moje pytanie o Daniela?

- Nie tyle pytanie, ile... Właśnie sobie wyobraziłam, jak to się musiało stać. Mówiłam ci, że wyobraźnia jest przekleństwem.

- Chyba tak. - Cassidy przyjrzała się jej z zadumą i dodała: - Przykro mi, że muszę je powtórzyć, ale...?

- Daniel? - Laura starała się myśleć obiektywnie, a gdy okazało się to niemożliwe, próbowała przynajmniej przekonać Cassidy, że jest do tego zdolna. - Nie wiem, Cass. Wydaje się strasznie spokojny i... opanowany. I zdecydowanie zbyt sprytny, by zrobić coś tak nieprzemysłanego i szaleńczego, nie mówiąc o czymś niezgodnym z prawem i niemoralnym. Po prostu nie mogę uwierzyć, że poszedł do jakiegoś nędznego motelu i zasztyletował własnego brata.

- Bez względu na to, co go spowodowało?

Laura wzruszyła bezradnie ramionami.

- Nie wiem o żadnej prowokacji, mam na myśli coś poza zwykłą braterską rywalizacją. Peter najwyraźniej nie miał wiele wspólnego z rodzinną firmą, więc wątpię, by uczestniżył w tej grze o władzę, która -jak sądzę - toczy się między

Danielem i Amelią. I jak dotąd nikt nie wspominał ani słowo-

wem niesnaskach między Danielem i Peterem.

Cassidy skinęła głową, wyraźnie nie przekonana; chciała jednak iść dalej.

- W porządku. A wdowa Kilbourne? Poznałaś ją, prawda?

Uświadomiwszy to sobie dopiero w tej chwili, Laura powiedziała powoli:

- Wiesz, w tym domu wszystkie kobiety noszące nazwisko Kilbourne są wdowami. Amelia i Josie, Madeline - i Kerry. Każda z nich jest wdową.

- Nie świadczy to najlepiej o długowieczności Kilbourne'ów płci męskiej, prawda?

Laura już miała wspomnieć o uwagach Josie na temat dziejów rodziny, pełnych przykładów przedwczesnej śmierci wskutek wypadków lub przemocy, lecz postanowiła w ogóle się w to nie wdawać.

- Intryguje cię Kerry, prawda? Wdowa po Peterze?

- Zgadza się.

- Była w Kalifornii, pamiętasz? A przynajmniej nie wiem o niczym, co by temu przeczyło. Josie twierdzi, że Kerry zwykle podróżuje okutana szalikami i z grubym makijażem, ale chyba nie ma żadnych wątpliwości, iż to właśnie ona...

- Chwileczkę. Mówisz: szaliki i gruby makijaż?

- Sądziłam, że twoje brukowe źródła wspominały o tym - odparła nieco oschle Laura. - Kerry jest okropnie okaleczona. Jedna, prawie cała strona twarzy. Wygląda to na oparzenie lub coś w tym rodzaju.

Cassidy była wyraźnie zaszokowana.

- Okaleczona? Żona Petera? W jaki sposób?

- No cóż, nie wiem. Szczerze mówiąc, nawet nie zamierzalam pytać Josie, a Amelia nie jest osobą, której mogłabym zadać to pytanie. Blizny nie wyglądają jednak na świeże, a to, w jaki sposób Kerry mówi i zachowuje się, dowodzi, że ma je od dość dawna.

Teraz z kolei Cassidy wzruszyła bezradnie ramionami.

- Czy to ma jakikolwiek znaczenie w kontekście śmierci Petera?

- Bóg jeden wie. - Laura westchnęła, czując nagłe zmęczenie. - Spędziłam w tym domu cały dzień i jestem bardziej

skolowana, niż bylam. Wydaje się, że nikt nie boleje nad śmiercią Petera - oprócz jego matki, naturalnie, a jej jeszcze nie poznałam - ale też nikt nie przyznał, że go nienawidzi! Czuję się bardzo dziwnie, pytając, gdzie byli w wieczór morderstwa, a poza tym policja na pewno pytała ich już o to. Mogę więc tylko dalej robić szkice do portretu Amelii i wyławiać, co się da.

- Udało ci się dowiedzieć czegoś o lusterku?
- Nadal mam więcej pytań niż odpowiedzi. Josie nie rozumie, jak mogło być cenne dla rodziny, skoro nic o nim nie wiedziała, i prawdopodobnie ma rację. Ale powiedziała też, że Peter nadzorował inwentaryzację przed aukcją, a Daniel zobaczył cały spis tamtego popołudnia dopiero po jej zakończeniu. Tuż przed wizytą Petera u mnie.

- Więc... sądzisz, że to Daniel mógł chcieć odzyskać zwierciadło? Wydawało mi się, że powiedział, iż nic o nim nie wie.

- Owszem. Ale już wtedy sądziłam, a czułam to bardzo wyraźnie, że kłamie. Że w rzeczywistości coś wie o lusterku. Nie wiem jednak, dlaczego miałby kłamać. Rzecz również w tym, że wciąż nie mam pojęcia, czemu Peter próbował je odkupić. Czy był to jego pomysł, czy kogoś innego.

Cassidy zacisnęła usta w zadumie.

- To, że zwierciadło miało coś wspólnego z morderstwem, z dnia na dzień wydaje się coraz mniej prawdopodobne.

- Wiem.

- A jednak nadal sądzisz, że istnieje jakiś związek?

- Sądzę, że muszę się tego dowiedzieć.

- Mmm. Więc wracasz do tego -jak go nazwałaś? - tego mrocznego i przytłaczającego domu?

Laura potwierdziła skinięciem głowy.

- Jutro rano o dziewiątej.

- Bądź ostrożna, dobrze? - powiedziała Cassidy z niezwyczajnie poważną miną. - Nie wiem, czy któraś z tych osób zamordowała Petera Kilbourne'a, ale odnoszę wrażenie, że większość ma coś do ukrycia. A ludzie chronią swoje tajemnice.

- Wiem - odparła Laura.

- Więc to ty jesteś Laura. - Młoda, nieco tylko starsza od Tury kobieta, bardzo przypominająca Amelię z lat młodości, weszła do gabinetu w zachodnim skrzydle, gdzie Laura czekała w ów pochmurny wtorkowy ranek, aż Amelia wróci od telefonu. - Anna Ralston. Wnuczka Amelii.

Laura skinęła głową na powitanie.

- Bardzo ją przypominasz - oświadczyła.

Chyba nie ucieszyło to zbytnio Anny.

- Tak mówią. - Wnuczka Amelii, marszcząc brwi, zmierzyla Laurę wzrokiem i nagle dodała: - A ty wyglądasz mi na kobietę, którą Peter usiłowałby poderwać.

Laurę zatkało, ale tylko na chwilę. Popatrzyła na najnowszą szkie do portretu Amelii, po czym uniosła wzrok, napotykając niemal wyzywające spojrzenie Anny.

- Doprawdy? - zapytała łagodnym tonem.

Anna podeszła do fotela i opadła nań ociążale.

- Och, tak przypuszczam. Lubił rude. Ale ty już o tym wiesz, prawda?

- Powiedziano mi. - Laura postanowiła nie dać się zepchnąć tej rozłoszczonej kobiecie do obrony. - Wyobraź sobie jednak, że podobno po prostu lubił kobiety. Wszelkiego rodzaju. - Dyskretnie przewróciła kartkę i szybkimi, oszczędnymi ruchami zaczęła szkicować postać Anny.

Anna zacisnęła wargi.

- Mówisz tak samo jak dziennikarze, przedstawiający go jako napałonego sukinsyna, który korzystał z każdej nadarzającej się okazji. - Chyba nie zdawała sobie sprawy, że Laura szkicuje jej portret.

- Czy taki właśnie był? - Jej krótkie, niemal najężone włosy, przeciwieństwo pięknych i długich włosów Amelii, pasowały do wąskiej twarzy i ostrych rysów i łatwo było je oddać, stwierdziła z roztagnieniem Laura.

- Był w porządku - oświadczyła Anna, zadzierając głowę. - Dziennikarze mogą uważać, że był kobiecizmem i niczym więcej, a pewni członkowie tej rodziny mogą go skreślać bez namysłu, ale Peter był w porządku. Zapewniam cię, że był bardziej rozgarnięty, niż niektórzy sądzą.

- W jakim sensie?

- Miał plany. Zamierzał zwrócić na siebie uwagę. - Głos

Anny był agresywny. - Daniel pewnie myśli, że tylko on po-
trafi zarabiaci forszę dla rodziny, ale...

- Anno, dziś rano miałaś chyba być u Moretonów - po-
wiedziała Amelia, wchodząc do gabinetu.

- Odwołali spotkanie. - Anna wzruszyła ramionami, przy-
bierając nadąsany wyraz twarzy, który upodobnił ją do skar-
conej nastolatki.

- Może więc wykorzystasz wolny czas i zaczniesz se-
gregować swoje ubrania? Zimne dni nadejdą szybciej, niż
myślisz.

- Czy musimy powtarzać to dwa razy do roku? - zapytała
Anna, wznosząc oczy. - Wiosną pakujemy zimowe ubrania,
a jesienią letnie. W mojej garderobie starczy miejsca na jedne
i drugie, więc nie rozumiem...

- Nie musisz rozumieć. Musisz tylko przyjąć do wiado-
mości, że w tym domu wszystko robi się w pewien sposób.

*Ten dom jest pełen rytuałów, w większości ustanowionych
przez Amelię* - powiedział Daniel. Wyglądało na to, że to se-
zonowe sortowanie ubrań jest jednym z nich. Laura słuchała
i szybko szkicowała, starając się uchwycić niezadowolone na
twarzy Anny, zanim ta wyjdzie z pokoju. A Anna najwyraź-
niej miała właśnie zamiar to uczynić.

Stojąc teraz, powiedziała:

- W tym domu i w tej rodzinie wszystko zawsze robiono
w pewien sposób i mam już tego dosyć. To przytłaczające.
I niebezpieczne, Amelio. Myślisz, że nie wiem, iż Peter zgi-
nął z powodu pewnego sposobu, w jaki ta rodzina prowadzi
interesy?

- Anno. - Głos Amelii brzmiał lodowato. - Peter zginął,
bo był żonatym mężczyzną romansującym w nikczemny spo-
sób. I ten romans nie miał nic wspólnego z interesami. -
Przez długą chwilę wytrzymała spojrzenie wnuczki, po czym
podeszła do fotela, w którym wcześniej pozowała Laurze, i
usiadła. - A teraz, jeśli pozwolisz...

Nie spojrzawszy nawet w stronę Laury, z palącym rumień-
cem na policzkach, Anna odwróciła się i wyszła dumnym
krokiem z pokoju.

Amelia westchnęła i posłała Laurze nieco znużony
uśmiech.

- Przykro mi, że musiałaś być świadkiem tej małej sceny.
Staram się być tolerancyjna wobec tego dziecka. Josie powie-
działa ci, co się stało z jej matką?

Laura skinęła głową.

- Tak. To straszne.

- Anna była już wtedy dorosła, niemniej oczywiście bar-
dzo to nią wstrząsnęło. Staram się o tym pamiętać, ale ona ma
trudny charakter. Ciągłe się buntuje, nawet teraz. Właśnie
skończyła trzydziści jeden lat, choć z pewnością nie zacho-
wuje się jak trzydziestolatka. No i oczywiście to ja zawsze je-
stem wszystkiemu winna.

- Faktycznie wygląda na zagniewaną - zaryzykowała
Laura, powracając od wykonanego w pośpiechu szkicu Anny
do szkicu Amelii, nad którym wcześniej pracowała.

- Nie powiedziała ci chyba nic okropnego, moje dziec-
ko? - Amelia była niespokojna.

- Nie, nic takiego nie mówiła. - *Miał plany*. Co Anna
chciała przez to powiedzieć? I dlaczego była tak głęboko
przekonana, że Peter zginął z powodu sposobu, w jaki rodzi-
na Kilbourne'ów prowadziła interesy?

- To dobrze. Bo widzisz, ona często plecie bez zastano-
wienia. Na przykład ta uwaga o Peterze i rodzinnych intere-
sach. Anna bardzo dobrze wie, że Peter nigdy nie był w nie-
uwikłany. Przypuszczalnie jednak po prostu trudno jej pogo-
dzić się z faktem, że zabiło go własne niemoralne prowadze-
nie. - Amelia pokiwiała ze smutkiem głową, jakby do siebie.
- Byli sobie bliscy.

*Anna nie powiedziała: „rodzinne interesy”, Amelio. Po-
wiedziała: „sposobu, w jaki ta rodzina prowadzi interesy”.
I sądzę, że to dwie zupełnie różne sprawy.*

Laura tylko potwierdziła skinieniem głowy i skupiła spoj-
rzenie na szkicu, nie mając ochoty wypytywać Amelii o spra-
wy, które nawet jej wydawały się trudne do określenia. Jej
Palce poruszały się szybko, myślami była jednak gdzie in-
dziej. Anna należała zapewne do osób, na które szkodliwie
wpłynęła rodzinna tragedia - w jej wypadku nieumyślnie za-
strzeżenie matki przez ojca. Każdemu by to zaszkodziło.
Mogło to wprawdzie tłumaczyć jej nadąsanie i niezadowolone-

nie, ale nie tłumaczyło zjadliwych uwag o „pewnym sposobie”, w jaki rodzina Kilbourne’ów prowadzi interesy.

Najważniejsze, czy Anna wiedziała coś o zamordowaniu Petera, czy tylko snuła domysły? A w każdym razie, jak zbrodnia na pozór popełniona w afekcie mogła mieć cokolwiek wspólnego z interesami?

Laura spojrzała na Amelię znad szkicownika, przekonując się, że starsza pani jest jak zwykle w znakomitej formie i jak zwykle uśmiecha się błado. Chcąc nie chcąc, zadawała sobie pytanie, czy zbyła uwagi wnuczki spontanicznie, czy tylko tak się wydawało? Czy istotnie była przekonana, że Peter zginął z rąk kochanki? Czy też było jednak coś dziwnego w sposobie, w jaki Kilbourne’owie prowadzili swoje interesy, coś, co mogło przyczynić się do jego śmierci?

Uśmiechnęła się.

- Amelio, gdybyś tak mogła unieść nieco brodę, właśnie. Doskonale - powiedziała i skupiła się na rysowaniu tych ciemnych oczu.

Zgodnie ze swym zwyczajem, tuż przed dwunastą Amelia zostawiła Laurę, aby „doglądać” lunchu. Dla Laury fakt, że starsza pani chce osobiście sprawdzić stan przygotowań, za nim posiłek zostanie podany gościowi, był kolejną oznaką dbałości, z jaką prowadziła dom. Z drugiej strony prawdopodobnie robiła to nawet wtedy, gdy nie miała żadnych gości, po prostu była perfekcjonistką.

Uprzytomniejszy to sobie, Laura przyjrzała się z niepokojem swojemu szkicowi. Czy pasował do postaci perfekcjonistki? Chyba nie. Na szczęście Amelia nie prosiła już o pokazanie szkiców i Laura miała nadzieję, że więcej tego nie zrobi. Wystarczająco deprymująco działała na nią perspektywa pokazywania właściwego obrazu, z chwilą gdy zacznie nad nim pracować; nie chciała, by te wstępne próby, wprawdzie coraz lepsze, były oceniane przez perfekcjonistkę.

Zamknęła z westchnieniem szkicownik, po czym, usławszy parę smutnych dźwięków fortepianu, uniosła wzrok. Przypomniała sobie, że pokój muzyczny znajduje się po drugiej stronie korytarza i domyśliła się, że to Kerry ćwiczy.

Zostawiła szkicownik na krześle i wyszła na korytarz

myśląc tylko o tym, że muzyka brzmi strasznie przynębiająco i że nikt nie powinien być aż tak samotny. Jednak dopiero parę kroków za progiem pokoju muzycznego zdała sobie sprawę, że to nie Kerry siedzi na wysłanym krześle przy fortepianie i tak smutno gra.

Była to zapewne Madeline Kilbourne.

Szeroko otwarte bładoniebieskie oczy, które skierowała na Laurę, były zaczerwienione i trochę opuchnięte od płaczu, miały też ów nieprzytomny wyraz, efekt zażywania środków uspokajających. Leki nie przeskoczyły jej jednak ubrać się nienagannie w elegancką czarną suknię z perłami i zadbać o idealne ułożenie ciemnych włosów, którym pierwsze ślady swizny dodawały tylko uroku. Równie nienaganny był jej makijaż.

- Och, proszę wybaczyć - powiedziała półgłosem Laura, nie mając odwagi wejść głębiej, zupełnie nieprzygotowana na to spotkanie. - Spodziewałam się zastać tu Kerry.

- Ty jesteś Laura. - Długie, wspaniałe palce oderwały się od klawiatury i przesunęły na kolana, a Madeline przechyliła głowę w bok, przyglądając się obcej. - Amelia chce, żebyś tu była.

- Tak. Bardzo mi przykro z powodu pani syna - odparła niepewnie Laura.

Nieprzytomne niebieskie oczy kobiety wypełniły się łzami, a głos drżał.

- Był moim dzieckiem. Taki śliczny chłopak, taki miły, pełen uroku. Przypominał swego ojca. Był wszystkim, co mi zostało po Johnie.

Laura nie miała zamiaru się odzywać, ale bezwiednie dodała:

- Ma pani jeszcze Daniela.

Madeline skrzywiła się nieco. Przez chwilę sprawiała wrażenie zmieszanej, po czym pokręciła głową.

- Nie, on w ogóle nie przypomina Johna. I nigdy nie był mój, nie tak jak Peter. Nigdy nie siadał wieczorem na moim

łóżku, żeby mi opowiedzieć, co się zdarzyło w ciągu dnia. A Peter, owszem. Daniel nigdy nie wyjawiał mi swoich sekretów. A Peter, tak.

I znowu Laura odezwała się wbrew swoim intencjom.

- Czy powiedział pani o lusterku? - Nie mogła się jakoś zdobyć na to, by zwracać się do matki Petera po imieniu.

Wydawało się, że to pytanie oderwało uwagę Madeline od jakiegoś odległego wspomnienia. Znowu zmarszczyła brwi.

- O lusterku? Powiedziałaś, że właśnie dlatego cię odwiedził. Z powodu jakiegoś lusterka.

- Tak. Lusterka, które kupiłam tu na aukcji. Chciał je odkupić. Wie pani dlaczego?

- Peter nie interesował się lustrami. Nie był próżny - wyjaśniła niespokojnie Madeline.

Wyciąganie informacji od tej nieprzytomnej kobiety było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła Laura, ale jakoś nie potrafiła się powstrzymać.

- Powiedział, że lusterko było w waszej rodzinie od pokoleń, pani Kilbourne. Ręczne lusterko z mosiądzu. Przypomina je pani sobie?

- Nic nie wiem o żadnym lusterku. - Głos Madeline był teraz stłumiony, ale gdy patrzyła na Laurę, jej zamglone dotychczas oczy stały się przenikliwe, a ich spojrzenie ostre jak sztylet. - Zabiłaś mojego syna? - zapytała tonem osoby rozpaczliwie spragnionej odpowiedzi.

- Nie. - Laura odchrząknęła. - Nie, pani Kilbourne, przysięgam, że nie. Nie miałam nic wspólnego z jego śmiercią.

Natarczywe niebieskie oczy jeszcze przez chwilę wpatrywały się w twarz Laury, po czym nagle pobięły w bok i otworzyły się szeroko.

- Och - powiedziała łagodnie.

- Mamo, powinnaś odpoczywać.

Laura nawet nie drgnęła na dźwięk cichego głosu Daniela, gdyż podświadomie była przygotowana. Czuliła go za sobą. Zaparło jej jednak dech, gdy po raz pierwszy jej dotknął, kładąc mocną dłoń na ramieniu i delikatnie odsuwając ją o krok, chcąc przejść. Nie spojrział przy tym na Laurę, lecz podszedł do matki i wziął ją za rękę, przekonując, by wstała. Wydawało się, że Daniel robi to delikatnie, lecz Madeline podniosła się natychmiast, z wyrazem błagania w oczach.

- Powinnaś odpoczywać - powtórzył równie cicho, jak przedtem.

- Tak, oczywiście. - Posłała Laurze swoje znowu mętne spojrzenie i powiedziała grzecznie: - Proszę mi wybaczyć. Nie ufając swemu głosowi, Laura skinęła jedynie głową.

Daniel wyprowadził Madeline z pokoju, tylko raz, przelotnie i zagadkowo spoglądając w oczy Laurze.

Laura stała jeszcze przez chwilę nieruchomo, zanim zdała sobie sprawę, jak bardzo jest spięta. Uniosła ręce i wpatrywała się w dłonie, dopiero teraz uswiadamiąjąc sobie, że zacisnęła je tak mocno, iż paznokcie odcisnęły się głęboko. Powoli pomasaowała ręce.

Było jej wstyd, że wypytywała Madeline, tym bardziej że jej odpowiedzi niczego jej nie dały. Obawiała się również, że z tego powodu po raz kolejny straciła w oczach Daniela.

Zanim zdażyła wyciągnąć wnioski z owych smutnych rozważań, wyrzywał ją z nich błysk; promień światła przedostał się przez szparę w zasłonach i odbił od lustra ściennego wiszącego nad stolikiem. Błysk był krótkotrwały, gdyż słońce zaraz skryło się z powrotem za szarymi chmurami, przez cały dzień zasnuwającymi niebo, lecz Laura nie zwróciła na to uwagi. Wcześniej nie widziała zwierciadła, teraz, jak zawsze w takich sytuacjach, przyciągnęło jej wzrok.

Nie myśląc nawet o tym, podeszła do lustra. Było duże, jakieś sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów, w złocistej ramie; wszystkie szczegóły Laura zauważała jedynie mimochodem. Jak zawsze zignorowała własne odbicie, przyglądała się pokojowi za sobą. I jak zawsze to, co zobaczyła, pozostawiło w niej poczucie zawodu, ponieważ nie znalazła tego, czego szukała.

- Cholera - powiedziała szeptem.

Madeline nie zjawiała się na lunchu.

Daniel również nie przyszedł.

Rozdział 7

- To naprawdę zaczyna być interesujące - powiedziała Dena, gdy we wtorek wieczorem wstąpiła do Laury ze swoim drugim raportem. - By nie powiedzieć tragiczne.

Laura skrzywiła się mimo woli.

- Niech zgodzę. Lusterko jest przekłębte?

Dena usiadła na kanapie i wykonała nieznaczny ruch ręką.

- Tego bym nie powiedziała. Przynajmniej na razie. - Otworzyła notes. - W porządku. Jak powiedziałaś poprzednio, lusterko zostało kupione od syna złotnika, który je zrobił, przez Faith Broderick, która później poślubiła sprzedawcę. Jesteś gotowa wysłuchać ich historii?

Laura rozparła się w fotelu.

- Mów.

- Dobrze. Stuart Kenley, syn złotnika, urodził się w 1833 roku; Faith Broderick przyszła na świat trzy lata później. Oboje mieszkali w Filadelfii, ale do czasu gdy Faith, sporsirzejszy lustro na wystawie, weszła do sklepu, najwyraźniej nie mieli ze sobą kontaktu.

- Jesteś tego pewna?

- Tak. Faith zostawiła dziennik. Znajduje się w archiwach w Filadelfii, ale usłużył bibliotekarz skopował kilka istotnych stron i przesłał mi je faksem. Według Faith i dla niej, i dla Stuarta była to miłość od pierwszego wejrzenia. Pisała o tym w dość poetyczny sposób, wspominając o zmiennych kolejach losu - takie tam rzeczy. Zrobiłam dla ciebie kopię, więc możesz później sama to przeczytać.

Laura pokiwiała głową bez komentarza.

- Mamy zatem dwoje zakochanych młodych ludzi - ciągnęła dalej Dena. - Sęk w tym, że ona jest już zaręczona, a w tamtych czasach zaręczyn nie zrywało się tak łatwo. Faith zrywa je jednak natychmiast. W dzienniku niewiele jest uwag o tym, co zapewne było strasznym skandalem, parę tylko słów wyrażających żal, że krzywdzi dobrego człowieka. Tak czy owak zamierzają się pobrać ze Stuartem po paru tygodniach od pierwszego spotkania. Dzień przed ślubem Faith otrzymuje od dawnego narzeczonego liścik z prośbą, by przysłała do jego domu. Nadal dręczona poczuciem winy, idzie tam. I znajduje jego ciało. Powiesił się, zostawiwszy kolejny list, w którym obarczył ją odpowiedzialnością. Nie mógł jej mieć, ale zadbał o to, by nigdy go nie zapomniała. - Dena wzruszyła ramionami. - Z drugiej strony może naprawdę miał złamane serce i po prostu pragnął, żeby o tym wiedziała. W każdym razie w swoim dzienniku Faith wyraża jedynie żal, iż jej narzeczony nie potrafił znaleźć nic, dla czego miałby żyć.

- Wyszła za Stuarta?

- Następnego dnia, bez rozgłosu, choć ślub kościelny został odwołany. Niemal natychmiast wyjechali z Filadelfii do Waszyngtonu. Mieszkali tam, gdy wybuchła wojna secesyjna. Stuart wstąpił do armii Unii i zginął na polu walki, mając trzydzieści lat, w 1863 roku. Pięć miesięcy później, w 1864, dwudziestoosmioletnia Faith zmarła podczas porodu. Dziecko zmarło razem z nią.

- Prawdziwa tragedia. Mam na myśli całą tę historię.

Dena potwierdziła skinięciem głowy.

- Słusznie. Jedyną pozytywną rzeczą w całej tej historii była miłość, którą Faith darzyła Stuarta, i którą on, najwyraźniej, żywił do niej. Napisała... zresztą, sama przeczytasz. To naprawdę wzruszające. - Przewróciła kartkę w notesie i do data: - Po śmierci Faith lusterko trafiło do jej siostry, która najwyraźniej zachowała je aż do swej śmierci, która nastąpiła Ponad trzydzieści lat później. W końcu majątek siostry został sprzedany na aukcji w Nowym Jorku w 1897 lub 1898 roku. Obecnie tropię ślady lusterka w zapiskach z aukcji.

Laura przyjęła teczkę z rąk Dena, ale tę część raportu przeczytała później sama. Powiedziała za to:

- Jeszcze raz powtórzę - jestem pod wrażeniem. Poważ-nie, Dena, świetnie się spisujesz.

- Dzięki, ale nadal twierdzę, że mamy szczęście, bo jak dotąd każdy właściciel lusterka odnotowywał, co się z nim działo. Mam na myśli fakt, że Faith pozostawiła testament i wyraźnie zapisała lusterko swojej siostrze. Siostra zaś była znaną w towarzystwie bezdzietną wdową, więc o jej majątku mówiono oficjalnie. - Dena sprawiała wrażenie zadumanej. - Ale zafrapowały mnie informacje z wcześniejszego okresu Odnalezienie śladów tego lusterka aż w 1800 roku, potem zaś zdobycie bez większego trudu informacji o nim i jego właścicielach to nie tylko kwestia szczęścia. Zabawne. Czuję nie-mal, jakby...

- Jakby co?

- No cóż, jakbyś miała się dowiedzieć o lusterko - od-parła Dena i uśmiechnęła się szeroko. - Oczywiście odszeze-kam to, jeżeli trop urwie się w owym nowojorskim domu aukcyjnym.

Laura uśmiechnęła się.

- Ufam, że potrafisz zrekonstruować dzieje lusterka aż do 1897 roku i momentu, w którym trafiło na poddasze rezyden-cji Kilbourne'ów.

Dena wstała, chichocząc.

- Zrobię, co w mojej mocy. A tymczasem muszę się do-stać do domu i przygotować do jutrzejszego kolokwium. Mam nadzieję, że pod koniec tygodnia znowu się z tobą skontaktuję.

- Dzięki, Dena.

- Nie ma za co.

Gdy Laura została sama, otworzyła teczkę i przeczytała krótkie sprawozdanie Deny. I znowu był to suchy wykaz fak-tów i dat, tym razem o parze młodych ludzi, którzy spędzili ze sobą znacznie mniej lat niż pierwsza para i mieli jeszcze większego pecha. Potem poszukała kserokopii stron dzienni-ka i natychmiast rzuciło się jej w oczy zamaszyste pismo.

Nie umiem tego wyjaśnić nawet sobie samej. Zwabiło mnie, jak zawsze, lusterko leżące na wystawie, które, wychwytyjąc światło, przykuło mą uwagę. Kiedy jed-

nak weszłam do środka zapytać o cenę i ujrzałam go, poczułam, jakby sam los zaplanował nasze spotkanie. Bo inaczej po cóż bym się tam znalazła tego dnia, w tej części miasta, której nigdy przedtem nie widziałam? Bo inaczej po cóż on by pracował tego dnia w sklepie, sko-ro zawsze przebywał na zapleczu? Oboje czuliśmy, że los chce, byśmy byli razem.

I na kolejnej stronie, kolejnego dnia:

Powinnam czuć, że zgżeszylam, krzywdząc dobrego człowieka, i jest mi przykro, ale cóż innego mogłam uczynić? Kocham Stuarta.

I wreszcie:

Jesteśmy dwiema połowami tej samej duszy, całkowi-cie zadowoleni i pogodzeni z sobą. Nasze uczucie jest niczym węgle ogniska jarzącego się do późnej nocy, ogrzewającego jednocześnie nasze serca i łóżko. Jeżeli spędzimy razem tylko tę noc, ten tydzień, tę zimę, to i tak wystarczy.

Ów ostatni zapis był opatrzony datą 1859, powstał podczas ich pierwszej wspólnie spędzonej zimy i ktoś - najwyraźniej usłużny bibliotekarz - zanotował, że to końcowy zapis w dzienniku. Albo więc życie Faith stało się zbyt pracowite, by mogła systematycznie odnotowywać zdarzenia każdego dnia, albo po prostu tym ostatnim zapisem wyraziła wszy-stko, co chciała wyrazić. Niemal dokładnie pięć lat później nie było jej już w gronie żywych.

Laura zamknęła teczkę i pochyliła się, by ją położyć na stoliku. Kolejnych dwoje ludzi, przez których ręce przeszło lusterko. Kolejnych dwoje ludzi, których wzajemna miłość wydawała się niezwykle silna. I... co? Co to znaczyło, jeśli w ogóle coś znaczyło?

Dumała nad tym przez resztę wieczoru, wykonując zwykle prace, jakich wymagało codzienne życie. Zmieniła pościel, zeszła do pralni i bez przekonania odkurzyła salon. Przy-

rządziła sobie kolację i obejrzała wiadomości w telewizji, po czym dla odprężenia wzięła kąpiel i przygotowała się do snu

Nie mogła jednak zasnąć. Zbyt wiele miejsca w jej myślach zajmowało wspomnienie gorzkiego gniewu Anny i przytłaczającego smutku Madeline. Zbyt wiele pojawiło się pytań. Ilekroć zamykała oczy, widziała te dwa spotkania odtworzone w jej pamięci, a każda najdrobniejsza zmiana wyrazu twarzy i tonu głosu była niewiarygodnie wyraźna, jakby jej podświadomość nie bez powodu zarejestrowała wszystkie szczegóły. Mimo usilnych starań analiza tych szczegółów nie ułatwiła Laurze zrozumienia sytuacji. Poznała dzisiaj gniewną i rozgoryczoną kobietę tuż po trzydziestce, której nadąsanie i niezadowolona mina powodowały, że sprawiała wrażenie dużo młodszej i niedojrzałej. Spotkała też oszołomioną i zasmuconą matkę, która najwyraźniej darzyła uwielbieniem zmarłego młodszego syna i wydawała się dziwnie nieczuła dla starszego potomka.

Każda z nich powiedziała coś, o czym Laura nie mogła przestać myśleć. Uwagi Anny o „planach” Petera i jej twierdzenie, że zginął z powodu sposobu, w jaki rodzina robiła interesy, oraz wyznanie Madeline, że Peter wyjawiał jej wszystkie swoje sekrety. Czy któraś z tych kobiet wiedziała o czymś, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu morderstwa Petera Kilbourne’a?

Czy też Laura doszukiwała się tylko zawilości w bardzo prostej w istocie i zwyczajnej zbrodni w afekcie?

Środa była ponura i pochmurna, choć deszcz spadł dopiero po południu. Zaczął się październik, miesiąc, w którym zgodnie z zapowiedziami synoptyków pogoda miała być wyjątkowo kapryśna i burzliwa. Nie wiadomo, czy na podenerwowanie Laury miała wpływ pogoda, ale po ranku spędzonym sam na sam z Amelią i lunchu, podczas którego towarzyszyła im Josie, marzyła o wyrwaniu się na pewien czas z tego domu.

Zanim Amelia zdolała przekazać ją Josie na czas swojej sjeisty, jak dzień i dwa dni wcześniej, Laura uprzedziła ją mówiąc, że chce pospacerować sama po posiadłości. Jeżeli oczywiście Amelia nie ma nic przeciwko temu.

- Ależ nie, moje dziecko, oczywiście, że nie mam - od-

parła po chwili niemal niedostrzegalnego wahania. - Ale lada moment może spaść deszcz, więc nie wypuszczaj się zbyt daleko - dodała, odchodząc.

Laura obiecała jej to, ale gdy starsza pani wyszła już z jej dalni, wyjaśniła Josie:

- Korci mnie, żeby spróbować przejść przez labirynt.

Josie uśmiechnęła się szybko; zatroskanie, które okazywała podczas posiłku, nie było teraz tak wyraźne.

- Tak też myślałam. Pamiętaj jednak, że dopóki nie do-
trzesz do altany, nie ma się tam gdzie schronić. Może na
wszelki wypadek weźmiesz parasol? Znajdziesz je w stojaku
na końcu korytarza.

- Dobrze, dziękuję.

- W porządku. Zobaczymy się później.

Laura postanowiła nie brać ze sobą szkicownika, zostawiła go więc na szezlongu w oranżerii. W domu było bardzo cicho i zastanawiała się, gdzie się podziewają wszyscy domownicy. Nie widziała nikogo z wyjątkiem Amelii i Josie, a one o nikim więcej nie wspominały.

Deszcz jeszcze nie padał, lecz było wilgotno i chłodno, tak że nawet marzyła w swojej lekkiej kurtce. Była pewna, że za moment lunie; czuła tępy ból w lewej ręce, jak zawsze, gdy padało lub zanośiło się na deszcz. Właściwie nie miała pojęcia, dlaczego tak reagowała. Matka nazywała ją rodzinnym synoptykiem, bardziej wiarygodnym niż ci, którym płacono za prognozy, i genezy tej zdolności córki doszukiwała się u jej dziadka, który także potrafił przewidywać pogodę na podstawie bólu w kościach. Laury tak naprawdę nie obchodziło, po kim odziedziczyła talent, po prostu czuła, że spadnie deszcz, i to niebawem.

Szła szybko ścieżką do labiryntu, wiedząc, że ma tylko Parę godzin, zanim Amelia wróci na dół, gotowa pozować do kolejnego szkicu; w tym czasie z pewnością mogłaby dopiąć swego i zgubić się w labiryncie.

W ogrodzie nie spotkała nikogo. Panowała taka cisza, że zaniepokojona Laura zaczęła się rozglądać. Nie żeby się bała, rzecz jasna, ale cisza aż dzwoniła w uszach. Wydawało się, że nawet piaki ucichły. Przystanąła na wzgórzu z widokiem na labirynt i spoglądała nań przez parę chwil, nie starając

się znaleźć klucza, lecz po prostu zapamiętując układ korytarzy. Potem ruszyła ścieżką w dół wzgórza do wejścia do labiryntu.

Nie spodziewała się, że wzbudzi on w niej... taki niepokój. Żywopłoty tworzące labirynt miały co najmniej dwa i pół metra wysokości i były równo przycięte. Żwirowana ścieżka kończyła się u wejścia; metrowy korytarz między żywopłotami porastała trawa, więc każdy wchodzący do labiryntu był po prostu otoczony zielenią.

Laura na szczęście nie cierpiała na klaustrofobię. Mimo pochmurnego dnia nie brakowało światła, lecz... pokryte liśćmi nieruchomości i nieco wilgotne ściany wznosiły się z obu stron, krótka trawa miękko ścieliła się pod jej moksasynami, panowała niesamowita cisza - i z łatwością można by było poczuć się schwytanym w pułapkę.

Otrąsając się z tego pierwszego, nieprzyjemnego uczucia, Laura skupiła się, chcąc wykorzystać zmysł orientacji w wyborze drogi przez labirynt. Po niespełna kilku minutach trafiła w ślepa uliczkę i z rozbawieniem zauważyła, że w ścianie zieleni blokującej drogę wycięto dowcipną podobiznę leniwego pudła, który wydawał się zerkać na nią. Wycofawszy się, wybrała inną zieloną aleję i tym razem posunęła się na przód.

Przez pewien czas była całkowicie pochłonięta wędrówką przez labirynt; z rozbawieniem odnajdywała w ślepych uliczkach kolejne dzieła sztuki ozdobnego strzyżenia krzewów - za każdym razem były to zwierzęta, w większości przedstawione w komiczny sposób. W miarę jednak jak zapuszczała się coraz głębiej i głębiej, poczucie odizolowania stawało się coraz przenikliwsze, a macki początkowego przerażenia wily się wokół niej. Przylapała się na tym, że częściej spogląda w górę, aby się upewnić, iż szare jak ołów niebo nadal znajduje się nad jej głową, że w rzeczywistości nie jest całkowicie odizolowana ścianami zieleni.

Gdy chmury groźnie pociemniały, światło dnia przygasało i Laura niespokojnie zerknęła na zegarek, przekonując się, że błądzi w labiryncie od przeszło godziny. I nie miała pojęcia, czy w ogóle się zbliżyła do środka. Kiedy całkowicie już zdeorientowana stanęła przed kolejnym wyborem ścieżki, nagle

rozbłysło jej wprost w twarz światło, powodując, że aż podskoczyła z wrażenia.

po pierwszej chwili zaskoczenia nie mogła pohamować nerwowego śmiechu. Zdała sobie sprawę, że to najzwyczajniejsze światło. Sprytnie ukryte w żywopłotach, równomiernie rozstawione lampy rozświetliły wprawdzie mrok labiryntu nie wyjaśniające jednak ani na jotę jego tajemnicy. Najwyraźniej były podłączone do czujnika optycznego; zapadająca wcześniej w ten pochmurny dzień ciemność po prostu zmusiła je do przejścia na nocny tryb pracy.

Wyjaśnienie było rozsądne i Laura na chwilę nabrała otuchy. Poruszyła się jednak niepewnie, żałując niemal, iż nie zostawiła tropu z okruszków chleba, tak żeby mogła odnaleźć drogę powrotną; było oczywiste, że nie znajdzie środka labiryntu, a przynajmniej nie podczas tej pierwszej próby. Choć Josie ostrzegala ją, że próby znalezienia klucza do zagadki zajęły jej prawie rok, Laura liczyła jednak na więcej szczęścia. Zwykle dobrze radziła sobie z łamigłówkami.

Co mam teraz zrobić? Schować moją dumę do kieszeni i zawołać, czy po prostu dalej błąkać się tutaj, dopóki nie odnajdzie mnie Josie?

Przeszła nieco dalej i trafiła na skrzyżowanie z trzema możliwymi ścieżkami.

- Psiakrew - mruknęła.

- Lauro?

Jego głos zabrzmiał tak blisko, że Laura omal nie wyskoczyła po raz drugi ze skóry i przez chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa. Potem, odchrząknąwszy, zapytała: „Daniel?“, chociaż wiedziała, że to on.

- Zostań tam, gdzie jesteś. Przyjdę do ciebie.

Musiał być niedaleko, gdyż po kilku zaledwie sekundach ukazał się na ścieżce z prawej strony. Miał na sobie ciemne spodnie i czarną skórzaną kurtkę, a pod nią widać było rozpiętą pod szyją białą koszulę. Wyraz jego surowej twarzy był nieodgadniony i przez chwilę Laura czuła nagle pragnienie, by rzucić się biegiem i uciec. Jak długo przebywali w labiryncie, poruszając się w milczeniu, gdy on stąpał po znajomych ścieżkach, a ona starała się znaleźć drogę? Czy Daniel wiedział, że ona tutaj jest? Czyją śledził?

To niebezpieczny człowiek, Lauro. Bardzo niebezpieczny. Czy o to chodziło? Czy uwierzyła Amelii? Czy też po prostu miejsce było zbyt niesamowite i odizolowane jak na spotkanie z mężczyzną, który ją przerażał? Gdy się zbliżał, usłyszała grzmot i odniosła wrażenie, że nagle zrobiło się duszno. Dotarłszy do niej, zmruczył nieco oczy, ale jego niski głos brzmiał łagodnie i rzeczowo.

- Zobaczyłem twój szkicownik w oranżerii i pomyślałem że pewnie poszłaś do labiryntu.

Laura skinęła niepewnie głową.

- Chciałam spróbować swoich sił.

- Jesteś już blisko środka. Wiedziałas o tym?

- Nie. Właściwie to zgubiłam drogę - wyznała.

- To trudne zadanie, jeżeli się nie zna klucza. - Spojrzał na wiszące na niebie chmury, a kiedy przetoczył się kolejny grzmot, rzekł:

- Niebo chyba zaraz się otworzy. Najbliższe schronienie to altana. Zaprowadzę cię do środka labiryntu. - Wyciągnął do niej rękę.

Laura zawahała się, kiedy jednak napotkała jego nieruchome spojrzenie, zdała sobie sprawę, że Daniel jest tak samo świadom znaczenia tego gestu jak ona. I że wykonał go z pełną medytacją. W jego oczekiwaniu wyczuwało się bezgraniczną cierpliwość, jak gdyby w razie potrzeby mógł tam stać cały dzień.

Trzymając w jednej dłoni parasol, Laura uniosła w końcu drugą rękę i wsunęła ją w dłoń Daniela. Sądziła, że jest na to przygotowana, lecz w zaskakującym momencie przeżyła tak potężny wstrząs, jakby dotknęła przewodu pod napięciem. I mimo woli zareagowała tak, jakby prawdziwy prąd elektryczny połączył ich w nierozwalny sposób - nie mogłaby oderwać się od niego nawet dla ratowania własnego życia.

Długie palce Daniela zamknęły się na jej dłoni w silnym, lecz bezbolesnym uścisku, a on uśmiechnął się nieznacznie. Powiedział jednak tylko: „Tędy” i skierował się w lewo.

Idąc obok niego, Laura milczała. Pragnienie ucieczki jeszcze jej nie opuściło, zarazem jednak miała dziwne poczucie fatalizmu, wielką pewność, że niektóre rzeczy są po prostu nieuniknione i że to spotkanie jest jedną z nich.

Tracę rozum, pomyślała z odrobiną rozpacz. A wszystko przez te zapiski w dzienniku Faith o tym, jak poznała Stuarta, właśnie przez nie. Zasugerowałam się nimi.

Lecz kiedy po raz pierwszy spotkała Daniela, nie знаła jeszcze fragmentów dziennika Faith, a mimo to miała tę samą bolesną świadomość, owo poczucie, że się znają, oraz niepokojące wrażenie, że jest wobec niego zupełnie bezbronna. Jakże więc mogła winić Faith i jej dziennik?

Daniel również milczał, bez słowa prowadząc ją przez trzy następne zakręty. Odezwał się dopiero wtedy, gdy nagle doszli do serca labiryntu. - Klejnot pośrodku łamigłówni.

Laura pomyślała, że to trafny opis. Serce labiryntu stanowił kwadrat o boku co najmniej dwudziestu metrów, obsadzony licznymi niskopiennymi krzewami. Dookoła stały ozdobne donice z późnymi odmianami kwiatów, była tu nawet piękna, pluskająca cicho fontanna. Płaskie kamienie tworzyły krętą ścieżkę, zatrzymującą się tu i ówdzie przy delikatnych białych ławeczkach z kutego żelaza, gdzie można było cieszyć oko nagrodą za trud rozwiązywania łamigłówni.

A ukoronowaniem tego wszystkiego była tajemnicza, a zarazem nęcąca altana: duża, co najmniej dwunastometrowa budowla rodem z francuskiej wsi ze spiczastym dachem z cedrowego gontu, pomalowanym na biało - co było zupełnie niepraktyczne. Siedem boków tworzyły niewysokie ścianki z delikatnymi słupkami wspierającymi dach, a do każdego słupka luźno przywiązano cienkie białe zasłony, przypominające draperie wytwornego łoża z baldachimem. Przez osmy bok, będący wejściem do altany, widać było delikatne, pomalowane na biało meble z kutego żelaza, pasujące do ławek na zewnątrz.

Wewnątrz Laura dostrzegła kilka niezwykłych przedmiotów, takich jak wazony z ciętymi kwiatami stojące na dwóch stołach z kutego żelaza i wygodne białe poduchy na krzesłach i szezlongu. Było nawet parę niebieskich poduszek zapewniających zarówno kontrast kolorystyczny, jak i dodatkowy komfort.

Ze środka altany dochodziło miękkie światło, które stwarzało tak kuszący efekt, że Laura była wprost zafascynowana.

- Miałeś rację - powiedziała. - To rzeczywiście klejnot.
Daniel zacisnął na chwilę palce na jej dłoni, po czym prowadził ją w stronę altany.

- Zaraz zmokniemy - oświadczył.

Puścił jej rękę dopiero wtedy, gdy Laura wspięła się po dwóch schodkach do środka. Straciwszy kontakt z ciepłem jego palców, poczuła smutek; próbowała nie zdradzić swych uczuć przed Danielem, starannie ustawiając parasol pod ścianką i badawczo przyglądając się wnętrzu. On pozostał na progu, z jedną stopą na podłodze altany, a drugą na pierwszym schodku, i wsparty o słupek obserwował Laurę. Czuliła na sobie jego wzrok, ale nie odwróciła się, dopóki nie obejrzała uroczego i wygodnego wnętrza. Gdy usiadła na brzegu szezlonga i napatkała jego baczne spojrzenie, o dach uderzyły głucho pierwsze krople deszczu.

- Kto się nią opiekuje? - zapytała Laura.

- Roślinami i kwiatami zajmują się oczywiście ogrodnicy. Kerry jest odpowiedzialna za utrzymanie wnętrza w tak... kuszącym stanie.

Laura pomyślała o Kerry, urządzającej tu dla siebie wygodne, piękne i ustronne miejsce i poczuła się jak intruz.

- Nie będzie miała nic przeciwko temu - powiedział po chwili Daniel, odgadując jej myśli lub odczytując je z wyrazu twarzy. - Kerry nie jest aż tak kruchą istotą, na jaką wygląda.

W tonie jego głosu nie było cienia niezyczliwości, lecz Laura, spoglądając nań spod oka, miała dziwne uczucie, że Daniel próbuje jej coś powiedzieć. Deszcz padał coraz mocniej, lecz w altanie odgłos kropel był nadal spokojny. Laura chciałaby czuć taki spokój.

- Dobra? -

Daniel pokręcił głową.

- Przeżyła wypadek, z którego niewiele uszłoby z życiem. Zostały jej blizny, ale jest też dzięki niemu silniejsza.

- Co się stało?

- To był wypadek samochodowy. Kerry miała około dzieściu lat, jechała na tylnym siedzeniu. Za kierownicą siedziała jej matka. Ten drugi samochód nie zatrzymał się przed znakiem „stop” i uderzył w nie z boku. Przygniótł je do dużego drzewa. Zanim ratownicy dotarli na miejsce, auto zaczęło

plonać. Wyciągnęli Kerry, ale była już mocno poparzona. Jej matka nie miała tyle szczęścia.

Laura chciała zapytać, jak doszło do małżeństwa Kerry i Petera, skoro oboje zachowywali się wobec siebie z wyjątkową rezerwą, ale bała się, że Daniel uzna to za dowód zbytniego zainteresowania jego bratem. - Troszczysz się o nią - zauważyła.

- Czy to takie dziwne? Jest moją szwagierką.

Laura znów się zaważała.

- Ale nie żoną... ukochanego brata.

Daniel wydawał się zaskoczony.

- Nie. - Uśmiechnął się nieznacznie w odpowiedzi na jej reakcję. - Zaskokowałam cię.

- Nie. Czuję, że tak jest. Po prostu, nie spodziewałam się, że to przyznasz - odparła szczerze.

- Albowiem powinniśmy kochać naszych krewnych bezwarunkowo? Powiedz mi, Lauro, kochasz wszystkich w twojej rodzinie?

Pytanie zaskoczyło ją, toteż odpowiedziała szczerzej, niż zrobiłaby to w innej sytuacji.

- Nie. Niektórych kocham, ale wszystkich... nie.

- I czujesz się winna z tego powodu?

- Czasami.

- A nie powinias. - Daniel wzruszył szerokimi ramionami. - Pamiętasz naszą dyskusję przy lunchu parę dni temu? Nie wybieramy naszych krewnych, a czasem tak bardzo się od nas różnią, że trudno ich nawet tolerować.

- Czy tak właśnie było między tobą a Peterem?

Daniel znów zareagował wzruszeniem ramion.

- Mniej więcej.

- Gdzie byłeś, gdy zginął? - wyrwało się Laurze, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Wyraz twarzy Daniela zmienił się nieco, aczkolwiek Laura nie była pewna, w jaki sposób ani dlaczego. Wiedziała tylko, że pytanie nie przypadło mu do gustu.

- Aż do północy byłem poza domem. Na przyjęciu charytatywnym. Z setką świadków.

- Przepraszam. - Laura znów odezwała się bez zastano-

wienia, świadoma jedynie tego, że musi sprawić, by Daniel zapomniał o jej pytaniu.

- Za co, Lauro? Że musiałaś zapytać, gdzie wtedy byłem? Że sądziłaś, iż mogłem zamordować mojego brata? - zapytał spoglądając na nią surowo.

Uparcie patrząc mu w oczy, odpowiedziała:

- Dlaczego wątpliwości nie miałyby dotyczyć obu stron? Nie powiedziałeś przecież, że twoim zdaniem go nie zabiłam.

- Naprawdę?

- Wiesz, że nie.

Po chwili skinął głową.

- Słusznie. W porządku. Nie sądzę, byś zabiła Petera. Wątpię nawet - na przekór temu, co wiem o moim bracie - byś była jego kochanką.

Zamiast poczuć spodziewaną ulgę, Laura stała się ostrożna.

- Skąd ta zmiana zdania?

- Nie sądzę, byś go zabiła, ponieważ zdałem sobie sprawę, iż nie masz morderczych skłonności. Nikt, kto potrafił naszkicować portret Kerry i Anny z takim zrozumieniem, a portret Amelii w tak bardzo zbijający z tropu sposób, nie jest zdolny do morderstwa.

- Oglądałeś moje szkice?

Daniel bez żenady potwierdził skimieniem głowy.

Laura poczuła, jak jej policzki robią się gorące na samą myśl o szkicu Daniela, który ukryła - oby skutecznie - na końcu szkicownika. Nie wspominał o nim, mogła więc mieć nadzieję, że go nie widział.

- Portret Kerry szkicowałam z pamięci - wyjaśniła.

- I ze współczuciem - zauważył Daniel. - I to właśnie każe mi wątpić, byś mogła sypiać z jej mężem.

Laura myślała o tym przez chwilę, z roztańmieniem przysłuchując się bębnienu deszczu o dach altany i odległym grzmotom. - ...a portret Amelii w tak bardzo zbijający z tropu sposób... - Co chciał przez to powiedzieć? Czyżby kompletnie nie udało jej się uchwycić w szkicach charakteru Amelii? Zanim jednak odważyła się zapytać go o to, Daniel odwrócił jej uwagę od tematu szkiców.

- Ja natomiast jestem prawdopodobnie zdolny do po-

pełnienia morderstwa, o ile tylko zostanie wystarczająco sprowokowany - powiedział rzeczowo.

Laura spoglądała na niego niepewnie.

Daniel uśmiechnął się i dodał łagodnie:

- Ale nie zabiłem Petera.

- A wiesz, kto to zabił?

- Zakładam, że owa tajemnicza rudowłosa.

Znowu kłamie. Laura czuła to tak samo mocno, jak wtedy, gdy oświadczył, że nie wie, dlaczego Peter chciał odkupić lustro. Mogł jej wtedy odpowiedzieć. I niezależnie od tego, co myślał o śmierci swojego brata, wcale nie sądził, by zabiła go jakaś „tajemnicza rudowłosa”.

Znowu więc Laura miała mieszane uczucia. Cieszyło ją, że teraz był już chyba przekonany, iż nie ma ona na sumieniu ani morderstwa, ani cudzołóstwa z Peterem. Daniel nie zdradzał jednak całej swej wiedzy i wszystkich podejrzeń i to ją głęboko niepokoiło. Czemu skłamał? O czym wiedział i dlaczego tak bardzo wzbraniał się wyjawiać jej prawdę?

- Boczysz się - zauważył tym samym, łagodnym tonem.

Odpowiedziała bez namysłu:

- Pomysślałam sobie, że Amelia będzie na mnie czekała w domu.

- Powiedziałem Josie, że idę cię szukać - odparł. - Na pewno powie Amelii, gdzie jesteście.

I właśnie tego chcesz, prawda, Danielu? Chcesz, żeby Amelia wiedziała, że jesteś tu ze mną. Że jesteście sami. Ale dlaczego? Dlaczego? Czy jestem dla ciebie jedynie pionkiem szachowym, przestawianym w twojej grze z Amelią?

Laura patrzyła w jego surową twarz i nieodgadnione oczy i zastanawiała się, jak u licha mogła czuć, że łączy ją tak wielka zażyłość z mężczyzną, którego przecież zupełnie nie znała. Wiedziała, jak wygląda i chodzi, jak trzyma szklankę, w jaki sposób przechyla nieznacznie głowę w wyrazie lekkiej drwiny. Znała rytm jego głosu, wyczuwała jego obecność i sądziła, że nawet w ciemności poznałaby dotyk jego ręki. Wiedziała, kiedy ją okłamywał. A mimo to w ogóle go nie znała. Nie miała pojęcia, jak funkcjonuje umysł Daniela Kilbourne'a. Nie wiedziała, czy jest skłonny jej zaufać, czy też nie, czy zdaje sobie sprawę, że jego brat był ulubieńcem mat-

ki, ani czy w ogóle go to obchodzi. Nie wiedziała, jakie książki czyta, jaką lubi muzykę, jakiego rodzaju kobiety preferuje. Nie wiedziała, czy jest dobrym człowiekiem, czy też skrywa swoje negatywne cechy z taką samą łatwością, z jaką Peter skrywał swoje pod maską uroku osobistego. Nie miała nawet pojęcia, czy Daniel lubi deszcz.

O dziwo, w głębi jej świadomości tkwiło poczucie zawodu, miała niejasne, lecz dokuczliwe wrażenie, że powinna to wszystko o nim wiedzieć. Nie rozumiała tego, nie potrafiła wyłumaczyć, nie zmieniło to jednak jej uczuć.

- Lauro?

Zamrugała oczami, uświadamiając sobie, że wpatrywała się w Daniela o kilka sekund za długo.

- Och... przepraszam - wymamrotała. - Byłam daleko stąd.

- Myślałaś o mnie.

Po chwilowym szoku Laura zdołała, aczkolwiek trochę niepewnie, powiedzieć:

- Nie pochlebiaj sobie.

- Nie pochlebiaj. Wiem, że tak było. - Głos Daniela brzmiał spokojnie.

Laura wiedziała, że kolejne zaprzeczenie zabrzmi fałszywie, lecz niepokój, jaki Daniel w niej wzbudzał, i to, jak reagowała na jego obecność, nie pozwalały wyjawić prawdy. Tak więc z przerażeniem i poczuciem, że pali za sobą co najmniej jeden z mostów, odparła beztrosko:

- No dobrze, chyba myślałam. Amelia ostrzegła mnie przed tobą i po prostu starałam się zdecydować, czyjej wierzę. Daniel zmrugał oczy.

- Ostrzegła cię przede mną - powiedział cicho. - A co mówiła?

- Ze jesteś niebezpiecznym człowiekiem. To prawda? - Laura starała się, by w jej głosie slychać było tylko zaciekania, jakby szukała odpowiedzi na błahe i nieistotne pytania.

- Tylko dla moich wrogów. - W głosie Daniela zadźwięczała nuta lekkiego zatoskania, a jego spojrzenie przez chwilę wydawało się nieobecne. Potem jednak znowu spojrzął na Laurę, a między jego brwiami pojawiła się zmarszczka. -

Dlaczego Amelia uznała, że musi cię ostrzec? - zastanawiał się głośno.

- Nie mam pojęcia. - Laura zawahała się, po czym powiedziała z premedytacją: - Nie masz zamiaru odważemnic przysługi i ostrzec mnie przed nią? A tak w ogóle, to co się między wami dzieje?

Daniel jakby nie słyszał drugiego pytania.

- Dlaczego miałbym chcieć cię ostrzec przed Amelią? - W jego głosie można było jednak wyczuć cień niepewności.

Wzbudziło to wyraźny niepokój Laury; żeby zmienić temat, nerwowo szukała w myślach czegoś szokującego.

- Och, nie wiem. Chodzą słuchy, że zabiła swojego męża, a twojego dziadka. Czy to prawda?

- Zawsze tak uważałam - odparł spokojnie.

Laura wyprostowała się na szeszlangu i obrzuciła Daniela surowym spojrzeniem.

- Zartujesz.

- Nie. - Daniel wzruszył ramionami. - Nie było świadków tego... wypadku. I choć coś najwyraźniej spowodowało pęknięcie czaszki, w pobliżu basenu nie znaleziono żadnego zakrwawionego przedmiotu. Według mojego ojca, który powiedział mi o tym, ponieważ dziadek zginął, zanim przyszedłem na świat, policja zawsze podejrzewała Amelię. Mój ojciec też.

- Mówisz tak tylko dlatego, że cię sprowokowałam... prawda?

- Czyżby? - Uśmiech Daniela był ledwie widoczny, a oczy równie nieodgadnione jak zawsze. - W śmierci mojego ojca też było coś dziwnego. Rzekomo został przypadkowo postrzelony na polowaniu przez przyjaciół. Lecz owi przyjaciele faktycznie byli przyjaciółmi Amelii.

- Nie sugerujesz chyba...

- Niczego nie sugeruję. Wspominam tylko, w jak dziwnych okolicznościach zginął mój ojciec.

Laura poczuła nagły dreszcz i w toz targnieniu ciasniej otuliła się kurtką. Chyba nie mówił tego poważnie? W jego słowach nie wyczuwała kłamstwa, ale chyba nie wierzył, że jego babka zabiła męża, a potem jakoś zaaranżowała śmierć syna?

- Próbujesz mnie przestraszyć - powiedziała w końcu półgłosem.

- Przepraszam, jeżeli się przestraszyłaś - odparł po chwili znacznie łagodniejszym tonem. - Nie masz się czego bać z jej strony. To zupełnie niemożliwe, byś... weszła jej w drogę.

- Nie rozumiem dlaczego, ale to mnie nie uspokoiło - oświadczyła Laura, aż nadto świadoma, że łatwiej było jej uwierzyć w „ostrzeżenie” Daniela niż w przestrożę Amelii. I wtedy przysłała jej do głowy nagła myśl. - Peter - dodała. - Chyba nie sądzisz, że...

Daniel pokręcił głową.

- Ona ma osiemdziesiąt lat i jest bardzo wątła. Nie mogłaby go zabić.

- Ma alibi?

- Niemal do samej północy rozmawiała ponoć przez telefon ze swoją przyjaciółką z Zachodniego Wybrzeża, co potwierdził wykaz połączeń z firmy telefonicznej oraz przyjaciółka.

- Wydajesz się tym rozczarowany - zauważyła Laura.

- No cóż, gdyby to zrobiła, byłoby prościej. Jeden morderca w rodzinie całkowicie wystarczy. - Daniel urwał i spojrzął na Laurę wyraźnie zaskoczony. - Trudno cię rozgryźć, Lauro.

Nie słuchala go.

- Myślisz, że Petera zabił ktoś z rodziny?

- Myślę - odparł, spoglądając na zegarek - że Amelia prawdopodobnie czeka na ciebie i że deszcz nieprędko przestanie padać. Zechciej więc wziąć parasol. Wrócimy pomimo deszczu.

Laura niemal machinalnie wstała z szezlonga i chwyciła za parasol.

- Ty naprawdę sądzisz, że to zrobił ktoś z rodziny. Kto? I dlaczego?

- Niezależnie od moich podejrzeń nie mam żadnego do wodu - odparł Daniel, wziął parasol od Laury, a potem bez pytania chwycił jej dłoń.

Chowając się pod parasol, Laura spojrzała na ich ręce, zmieszana tym, jak skwapliwie jej palce splotyły się z jego palcami. To oraz gwałtowny wstrząs, który stawał się uczu-

ciem znajomym, oszołomiły ją na kilka minut. Odezwała się dopiero wtedy, gdy weszli w wąskie korytarze labiryntu. - Nie wyjawiliś chyba swoich podejrzeń policji?

- Nie.

Popatrzyła na jego niewyraźną w cieniu parasola twarz i z żalem stwierdziła, że nie wie, czy ma mu wierzyć. Szli tak blisko siebie, że przytłaczająca świadomość obecności Daniela mąciła jej myśli. Czują jego ciepłą i twardą dłoń i musiała walczyć z niedorzecznym pragnieniem, by otrzeć się o nią policzkiem.

Daniel zacisnął lekko palce, jak gdyby znowu czytał w jej myślach, ale powiedział tylko:

- Zostaw to, Lauro. Rob to, po co tu przyjechałaś. Namaluj portret Amelii. Niech policja prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa.

- Łatwo ci to mówić. Nie byłeś podejrzanym.

- Byłem nim w twoich oczach.

- Nie. Niezupełnie - odparła mimo woli.

Daniel znowu ścisnął jej dłoń.

- Naprawdę trudno cię rozgryźć.

- Może więc powinnam to wykorzystać. Opowiedz mi o lusterku, Danielu. - Tym razem Laura nie spojrzała na niego.

- Nie mam nic do powiedzenia na jego temat. - Najwyraźniej spodziewał się, że prędzej czy później padnie to pytanie, bo nawet się nie zastanawiał nad odpowiedzią.

- W takim razie powiedz mi, dlaczego nigdy nie chciałeś go obejrzeć.

Milczał przez kilka sekund.

- Pewnie mnie to nie zainteresowało.

- Wiesz, to zabawne. Przecież powinno cię to zaciiekawić. Obca kobieta przychodzi do twojego domu i mówi, że twój brat na parę godzin przed śmiercią usiłował odkupić od niej zwierciadło, które kupiła tego dnia na aukcji urządzonej przez waszą rodzinę. I że zaproponował jej niewiarygodnie wysoką sumę. A ty nawet nie chcesz go zobaczyć.

- Więc?

- Więc to nie jest... normalne. Powinieneś być ciekaw, dlaczego nie byłeś, Danielu?

- Dopiero co pochowałem brata. Nie obchodziły mnie zwierciadła. - W jego głosie pojawiła się teraz odrobina niecierpliwienia. - Poza tym wszystkiego, co musiałem wiedzieć, dowiedziałem się z inwentarza. Lusterko nie należało do rodzinnego dziedzictwa Kilbourne'ów i dlatego mnie nie interesowało.

Znowu skłamała. Laura chciała drażyć temat, lecz było oczywiste, że Daniel nie ma zamiaru wyjawić jej, co wie o lusterku. Poza tym w jej głowie kłębiło się tyle myśli, że trudno było je zebrać.

Umilkła, idąc obok Daniela, z ręką w jego dłoni, i niezbyt zwracając uwagę na to, gdzie skręca. I właśnie dlatego zdziwiła się niezwykłą szybkością, z jaką wyszli z labiryntu.

- Chyba powinienam zapytać o klucz, ale nie zrobię tego - powiedziała, wdychając.
- Dlaczego mam wrażenie, że to było pytanie retoryczne? Uniosła wzrok i zobaczyła, jak Daniel się uśmiecha. Wolałaby, żeby jego uśmiech nie wzbudzał w niej tak niedo-rzecznego zadowolenia.

Deszcz był drobny, lecz nie ustawał, uderzając rytmicznie w parasol. Kiedy zbliżali się do werandy i przechodzili po płaskim skrawku ziemi, na którym niegdyś mieścił się basen, Laura musiała zapytać:

- Ale tak naprawdę nie myślisz, że ona zabiła twojego dziadka?

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedział po chwili. Kłamał.

Zatując, że zadała to pytanie, weszła wraz z nim na werandę i do oranżerii. Dopiero wtedy Daniel puścił jej rękę.

- Amelia jest pewnie w swoim salonie - powiedział, zostawiając parasol przy drzwiach.

- Też tak przypuszczam. - Laura sięgnęła po swój szkie-cownik leżący na szezlongu i trzymała go przy ciele niczym tarczę. - Dzięki za ratunek - dodała beztrząsko.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Daniel spojrzął na nią tak, jakby w rzeczywistości chciał powiedzieć coś innego, ale w końcu pokręcił nieco głową i ruszył ku drzwiom.

Laura wahała się przez chwilę, po czym otworzyła szkie-

cownik i pospiesznie przerzuciła kartki, stwierdzając, że wszystko jest na swoim miejscu. Z wyjątkiem jednej rzeczy.

Ukryty na końcu szkie-cownik przedstawiający Daniela, zniknął, wyrwany starannie z notatnika.

Nie wiedziała, która ewentualność deprymowała ją bardziej: to, że zabrał go Daniel, czy też, że zrobił to ktoś inny.

Rozdział 8

O tym, że Laura przebywała w towarzystwie Daniela, Amelia wspomniała dopiero późnym popołudniem, gdy Laura kończyła właśnie szkic przedstawiający starszą panią na tle wytwornego marmurowego kominka we frontowym salonie.

- Podobało ci się w labiryncie, moje dziecko?

Laura, która usiłowała bezskutecznie nie myśleć o swoim modelu jak o ewentualnej morderczyni, odpowiedziała bez chwili wahania.

- Bardzo. A środek jest przepiękny.

- Tak szybko znalazłaś drogę?

- No cóż, właściwie to się zgubiłam.

- I wtedy Daniel doprowadził cię do celu? - Choć głos Amelii miał przyjemne brzmienie, sposób, w jaki zadawała to pytanie, świadczył o jej wyraźnym niezadowoleniu.

- Zanościło się na deszcz. Altana była najbliższym schronieniem - powiedziała Laura i świadoma, że zabrzało to zbyt asekurancko, pospiesznie dodała: - Muszę znaleźć klucz do labiryntu. Wprawdzie błakanie się po nim sprawiło mi przyjemność, ale samodzielnie przejście prosto do środka na pewno ma swoje zalety. To wspaniały labirynt, Amelio.

- Owszem, David bardzo go lubił - odparła Amelia. - Ja, niestety, nie byłam tam od lat.

Wniosek był jasny - starsza pani nie mogła znieść przebywania w miejscu, które jej zmarły mąż darzył taką sympatią. Laura patrzyła na Amelię z szkicownika, przyglądając się bacznie tej postarzałej, lecz wciąż wspaniałej twarzy, tym nieodgadnionym ciemnym oczom i smutnemu, blademu uśmiechowi, i próbowała sobie wyobrazić, jak Amelia wyglądała przed czterdziestu laty. Czy mogła mieć w sobie coś z usidlo-

nego gniewu i niezadowolonia Anny? Czy mogła mieć w sobie dosyć furii, żeby pod jej wpływem uderzyć męża czymś dostatecznie ciężkim, by go zabić?

Czy mogłaby potem oplakiwać go z takim oddaniem przez całe dziesięciolecie?

Zamknęła szkicownik i nagle, póki nie straciła odwagi, zapytała:

- Dlaczego ostrzegałaś mnie przed Danielem?

- Dlatego, że niepokoję się o ciebie, moje dziecko. - Odpowiedź padła szybko, a Amelia rzeczywiście sprawiała wrażenie zaniepokojonej. - Jesteś piękną młodą kobietą, a Daniel nie potrafi się oprzeć kobiecym wdziękom. Ale to brutalny człowiek. On... wykorzystuje ludzi. A ja nie chcę, żeby wykorzystał ciebie.

Z pozoru wydawało się to dość logiczne: troska starszej pani o podatne na zranienie serce młodej przyjaciółki. Lecz Laura nie całkiem w to uwierzyła. Pierwsze ostrzeżenie Amelii było zbyt emocjonalne, a jej zachowanie zbyt nerwowe, bliskie przerażeniu, co wskazywało raczej na obawę o zdrowie Laury niż na troskę o jej życie miłosne. Teraz jednak starała się twierdzić tylko, że obawia się, iż jej wnuk może uwięzić i przypuszczaćalnie rzucić Laure. Trafiło to fałszem. Jak gdyby Amelia przemyślała sprawę i doszła do wniosku, niezależnie od powodu, że mniej nerwowa i bardziej konkretna przestroga może prędzej trafić do przekonania.

- Dziękuję za troskę, Amelio, ale mam dwadzieścia osiem lat, a nie osiemnaście - powiedziała po chwili łagodnym tonem. - I nie jestem naiwna.

Jeżeli słowa Laury w ogóle trafiły do Amelii, to teraz wydawała się jeszcze bardziej niespokojna.

- Na pewno tak myślisz, moje dziecko, ale wątpię, byś wcześniej spotkała takiego mężczyznę jak Daniel. On jest na swój sposób niebezpieczny. Nic go nie powstrzyma w drodze do celu i jest mu obojętne, kogo przy okazji skrzywdzi. Po prostu... bądź ostrożna, tylko tyle ci radzę. Nie wierz we wszystko, co ci mówi. - Wyraz twarzy Amelii zmienił się nieco i dodała cicho: - Peter torował sobie w życiu drogę urokiem osobistym, Daniel jest o wiele bardziej bezlistosny. Nie Pozwala, by ktokolwiek wchodził mu w drogę.

To zupełnie niemożliwe, byś... weszła jej w drogą - powiedział wcześniej Daniel.

Tak duże podobieństwo ich słów nie zdziwiło Laury, była bowiem pewna, że oboje czegoś chcą, że po cichu, w wyrafinowanym sposób walczą o to ze sobą i że każde z nich w pewnym sensie już posługuje się nią w tej walce.

Ze względu na wyrafinowanie, z jakim postępowali, nie mogła tylko ocenić, co dokładnie się dzieje i w jaki sposób ona, właściwie obca osoba, może być w to wplątana. W jaki sposób może zostać wykorzystana, jako broń lub pionek, skoro nie była w żaden sposób zaangażowana w ich walkę?

A może była?

- Będę ostrożna - odrzekła w końcu, uśmiechając się. Ale sądzę, że wyolbrzymiasz zarówno mój urok, jak i zainteresowanie Daniela, nie mówiąc już o moim zainteresowaniu. Jestem tu, żeby namalować twój portret, to wszystko.

Amelia skinęła głową, choć najwyraźniej nie była o tym przekonana.

Laura miała właśnie powiedzieć, że chyba powinna się zbierać do domu, gdy burza, która czała się całe popołudnie, w tym właśnie momencie zaatakowała. I tak to właśnie brzmiało, jak atak. Łoskot pioruna był tak potężny, że ściany i okna dużego domu zdrząły wyrażnie; niesiony wiatrem deszcz zabębnił o szyby, a jaskrawy błysk rozświetlił pokój.

- Nie możesz jechać do domu w taką nawałnicę - powiedziała Amelia, marszcząc brwi. - Teraz na drogach byłoby zbyt niebezpiecznie. Może po prostu zostaniesz na noc? Pokój dla ciebie jest przygotowany.

- Dziękuję, Amelio, ale burza na pewno niedługo osłabnie...

Kolejny dudniący grzmot powstrzymał Amelię na chwilę od odpowiedzi, potem jednak zauważyła:

- Zgodnie z prognozą, burze będą szalały cały wieczór. Zostań, Lauro. Choćby dla mojego spokoju.

Laura nie lubiła jeździć samochodem w deszcz, a tym bardziej podczas burzy. Poza tym odrzucenie grzecznego, i będącego jej na rękę zaproszenia byłoby niesłychanie obraźliwe. Wprawdzie uważała, że w domu Kilbourne'ów jest zbyt

ciemno i duszno, by mogła się tu czuć dobrze, nie chciała jednak uswiadamić tego faktu Amelii.

- Dziękuję, Amelio, to bardzo uprzejme z twojej strony - powiedziała, kiwając głową.

- Ależ moje dziecko. Jak dobrze wiesz, od początku chciałam, żebyś tu nocowała. - Amelia wstała trochę żwawiej niż zwykle, najwyraźniej wcale nie zesztywniała od tak długiego siedzenia. - Może więc zaprowadzę cię do twojego pokoju? Możesz trochę odpocząć, jeśli masz ochotę. Kolację jemy o szóstej.

Podnosząc się, Laura spojrzała na swoje spodnie, koszulę z dzianiny oraz lniany blezer i pomyślała, że jej strój, choć w miarę elegancki, bez wątpienia jest zbyt niedbały jak na kolację w domu Kilbourne'ów. Nim zdążyła to jednak skomentować, Amelia kontynuowała rzeczowym tonem:

- Ty i Kerry nosicie chyba ten sam rozmiar, więc powinno się znaleźć coś do spania dla ciebie. Jeśli chodzi o kolację, to na moją prośbę wszyscy ubierają się jak do posiłku w porządnej restauracji. Jestem pewna, że Kerry znajdzie ci jakąś ładną sukienkę lub spódnicę.

Pomyśl korzystania z garderoby wdowy po Peterze dość poważnie zaniepokoił Laurę, ale wy tłumaczyła sobie dobitnie, że to tylko niedorzeczne skrupuły. O ile oczywiście Kerry nie miała nic przeciwko temu.

- Nie będzie jej to przeszkadzało? - zapytała.

- Wcale. To bardzo miła dziewczyna. Zobaczą się z nią potem.

Laura przyłapała się na tym, że potulnie drepcze za Amelią. Dziesięć minut później stała w największym z czterech apartamentów gościnnych na drugim piętrze w głównej części budynku, rozglądając się wokół z dziwnym poczuciem oderwania od rzeczywistości. Apartament składał się z sypialni, salonu i łazienki, a wszystkie pomieszczenia były połączonych rozmiarów. Amelia wyjaśniła, że dla wygody gości zainstalowano osobną linię telefoniczną, a telewizor w salonie był oczywiście podłączony do sieci kablowej.

Był to najładniejszy ciąg pomieszczeń, jakie Laura widziała w tym domu, znacznie jaśniejszy od większości pozostałych. Tapeta miała kwiatowy wzór, a nad łóżkiem wisiał

baldachim z kunsztownie udrapowanymi zasłonami, ale za to przejrzyste firanki w dużych oknach wpuszczały mnóstwo światła, meble nie były masywne, a na kominku płonął ogień,

- Nie powinniśmy zabierać ze sobą bagaży, lecz kufry - mruknęła pod nosem. Nigdy w życiu nie była w prywatnym domu z tak eleganckimi i okazałymi pokojami dla gości. Prawdę mówiąc, nie zdawała sobie sprawy, że takie miejsca jeszcze istnieją.

Z drugiej strony ile prywatnych domów otaczały rozległe ogrody z labiryntem o powierzchni czterech akrów?

Kręcąc głową, przytapała się na tym, że jak zawsze zważyła ją lustro wiszące nad stolikiem po drugiej stronie salonu. I jak zawsze, gdy już do niego dotarła, stała, spoglądając na odbicie pokoju za nią. Nie było w nim jednak tego, czego szukała, a pokój wydawał się dziwnie pusty.

W końcu odwróciła się od zwierciadła i spojrzała na zegarek. Było wpół do piątej. Po chwili namysłu skorzystała z telefonu, żeby zadzwonić do Cassidy i zostawić jej wiadomość na automatycznej sekretarce.

- Cześć, Cass, to ja. Zgadnij, gdzie dzisiaj nocuję?

Była piąta, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi salonu. Otworzywszy, Laura ujrzała Kerry ubraną w ciemny frotowy szlafrok i dźwigającą narecze ubrań; kobieta uśmiechnęła się niepewnie na powitanie.

- Cześć, Lauro.

- Witaj. - Laura cofnęła się zapraszająco, a gdy Kerry wyszła do salonu, dodała: - Słuchaj, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, ale Amelia...

- Oczywiście, że nie. - Kerry ułożyła ubrania na oparciu krzesła i odwróciła się do Laury z bardziej zdecydowanym uśmiechem. - Przypuszczam, że Amelia tak czy owak nie dała ci zbytniego wyboru - mam na myśli noszenie moich rzeczy. Potrafi być nieco... przytłaczająca.

- To prawda.

- Lubi, gdy wszystko tutaj robi się w określony sposób, ale na pewno już to zauważyłaś. Życie płynie... spokojniej - gdy się z tym godzimy.

Laura spojrzała na nieładną, pokrytą bliznami twarz Kerry

i nagle poczuła żal, że nie może spędzać więcej czasu z tą kobietą o bystrych i łagodnych piwnych oczach. Miała wrażenie, że spośród wszystkich kobiet w tym domu Kerry okazałaby się tą o najbardziej złożonej osobowości. I tą najbardziej interesującą.

- Spotkamy się na dole we frontowym salonie - wyjaśniła Laurze. - Kolacja jest tak naprawdę o wpół do siódmej. Zanim jednak zasiądziemy do stołu, Amelia lubi się dowiedzieć, co każde z nas robiło w ciągu dnia. I lubi, jak się dobrze ubieramy, niezależnie od tego, czy w eleganckich rzeczach jest nam do twarzy.

- Rozumiem i dziękuję - odparła Laura, zastanawiając się w rozróżnieniu, jakiego rodzaju stroj wolałaby Kerry, gdyby mogła o tym decydować.

- Przyniosłam ci parę rzeczy do wyboru - ciągnęła Kerry, spoglądając na ułożone na krześle ubrania. - Z długimi spódnicami, bo pomyślałam, że będą lepiej pasowały do twoich butów. Moje byłyby o dwa numery za duże.

Laura spojrzała w dół i pomyślała, że Kerry rzeczywiście nosi buty o jeden lub dwa numery większe niż jej szóstka.

- To bardzo ładnie z twojej strony - powiedziała z wdzięcznością. - Własnie uswiadomiłam sobie, że moksasyny nie są zbyt sztywne.

Kerry uśmiechnęła się.

- W dzisiejszych czasach, gdy kobiety noszą niezgrabne bucioro do cienkich spódnic, chyba nie miałoby to większe znaczenia. Ale te powinny wyglądać bardzo dobrze. I nie bądź zbyttnio skrepowana. Amelia już od lat usiluje mnie własciwie ubrac i chyba nie potrafię jej zadowolic. Jestem jej niezrealizowanym projektem.

W cichym głosie Kerry nie było cienia skrepowania; jezeli juz, to sprawiala wrazenie rozbawionej swą niezdolnoscia sprostanja wymaganiom starszej pani. Laura znowu pomyslala, ze bardzo chetnie pozna tę kobietę. Ale przeciez ona musiala mnie podejrzewac o zamordowanie swojego meza. I o to, ze bylam jego ostatnią kochanką.

- Przypuszczalnie większość osób zawodzi oczekiwania Amelii - zauwazyła nieco cierpko.

- Przedzej czy później - przyznała Kerry, znowu z lekkim

rozbawieniem. - A teraz powinienam dokończyć moje przygotowania i pozwolić ci zrobić to samo. Jeżeli będziesz jeszcze czegoś potrzebowała, prosz śmiało. Mieszkam w zachodnim skrzydle - pierwszy pokój po prawej.

- Dzięki, Kerry.

- Nie ma o czym mówić.

Gdy została sama, obejrzała rzeczy, które zostawiła jej Kerry: bardzo ładną długą koszulę nocną i pasujący do niej szlafrok; prostą czarną suknię do kostek; ciemnozieloną spódnicę i bluzkę oraz suknię w ciemnoniebieskim kolorze. Wszystko w najlepszym guście, stroje zostały wybrane starym, z myślą o kolorze jej skóry i włosów. Wiedziała, że w tych fasonach będzie jej bardzo do twarzy.

Ciekawe, pomyślała. Kerry wyciągnęła bowiem ze swojej garderoby rzeczy, w których doskonale wyglądałaby Laura, a które wyraźnie nie pasowały do kościstego ciała Kerry i jej bladej cery. Innymi słowy, wdowa po Peterze wykazała się doskonałym wyczuciem w ubieraniu innej kobiety w swoje własne rzeczy.

Laura zaczęła podejrzewać, że ta niemożność zadowolenia Amelii jest bardziej wynikiem łagodnego buntu niż faktycznej nieudolności. Każda kobieta poruszająca się ze zmysłowym wdziękiem Kerry potrafi się dobrze ubrać, nawet jeżeli nie chce tego robić. Była to kolejna oznaka ciekawej i złożonej osobowości.

Rozmyślając o tym, Laura poszła wziąć prysznic i stwierdziła z niewesołym rozbawieniem, że w łazience jest koszyk kosmetyków i przyborów toaletowych, który zawierał wszystko, od nowej szczoteczki do zębów, opakowanej w folię, poprzez zestaw szamponów i płynów do pielęgnacji skóry, po komplet bardzo ładnych grzebieni i szczotek. Albo Kilbourne'owie - czyli Amelia - byli zwolenikami przygotowania się na wizyty nieprzygotowanych gości, albo starsza pani spodziewała się, że Laura prędzej czy później spędzi tu noc.

Postanowiła nie myśleć o tym za dużo. Wzięła prysznic i ubrała się, wybierając czarną suknię, gdyż jej mokusyny też były czarne, oraz dlatego że uważała czerń za jeden z najbardziej twarzowych kolorów; uznała, że odrobina dodatkowej pewności siebie nie zaszkodzi.

Rozwiała wstążkę, rozpuściła włosy i rozczesła je. Były tak gęste - jej fryzjerka twierdziła, że starczyłoby dla trzech osób - iż rzadko je rozpuszczała, uczyniła to jednak teraz, bo taka fryzura wydawała się pasować do prostego, niemal orientального fasonu sukni. W forebce miała tylko podkład i szminkę, ponieważ jednak właśnie z nich składał się jej normalny makijaż, niczego więcej nie potrzebowała.

Była za dziesięć szóstą, gdy zdobyła się na odwagę i opuściła apartament. Natychmiast uderzyła ją cisza, szczególnie że wcześniej włączyła telewizor w salonie. Czy ta cisza stanowiła konsekwencję kolejnego z wyobrażeń Amelii o tym, jak należy się zachowywać?

Zeszła po szerokich schodach i przez foyer dotarła do salonu, który mieścił się naprzeciw biblioteki. Spodziewała się zastać tam przynajmniej kilkoro członków rodziny, ale był tylko jeden.

Daniel.

Stał przy marmurowym kominku gazowym, w którym ogień wesoło trząskał na kłodach sztucznego drewna, usiłując ogrzać dość chłodne wnętrze i mając być pokrzepiającym kontrastem dla szalejącej za oknem burzy. Dopiero po pewnym czasie Daniel zdał sobie sprawę z jej obecności i Laura wykorzystala tę rzadką okazję, by mu się dokładnie przyjrzeć.

Ciemny garnitur Daniela był stonowany, a klasyczny kravat gustowny, nie zdołało to jednak osłabić ani zamaskować siły drzemającej w jego ciele; Daniel Kilbourne zawsze rzucał się w oczy. Zwłaszcza, pomyślała, kobietom, Tym przynajmniej tłumaczyła sobie ową ogarniającą ją żądzę, którą zawsze czuła na jego widok.

To musiał być powód.

Daniel spoglądał w ogień; w migoczącym świetle na jego twarz padał od czasu do czasu cień upodabniający ją do maski. Teraz jednak już nie wydawał się Laurze zagadkową postacią. Po raz pierwszy dostrzegła ślad napięcia wokół jego ust, a mars na czole ściągnął brwi świadczący o autentycznym zatroskaniu. Patrząc na niego, pomyślała, że zaczyna od czuwać brzemień, które dźwigał na swych barkach.

Wtedy uniósł wzrok i zauważył Laure; poczuła, tak samo jak w labiryncie, że nagle brak jej tchu. Nie mogła oderwać

od niego oczu, serce tłuło się jej w piersi. Działał na nią z potężną, prawie magnetyczną siłą. Mogłaby przysiąc, że widzi w jego jasnych, błyszczących oczach odzew, żar tak żywy i prawdziwy jak płonący z trzaskiem ogień. Mogłaby przysiąc, że - niemal - wyciąga do niej dłoń. Potem jednak poruszył nieco głową i czar przysł.

- Dobry wieczór, Lauro. - Daniel był uprzejmy, a jego głos miły i obojętny.

Muszę skończyć z tym fantazjowaniem! Muszę...

- Dobry wieczór. - Laurze wydawało się, że powiedziała to spokojnie, więc przynajmniej nie robiła z siebie kompletnej idiotki.

- Niedługo powinni się zjawić pozostali. Masz ochotę na drinka? - Wskazał głową na barek przy drzwiach.

- Nie, dziękuję. - Laura ruszyła w głąb salonu, okrążając stolik, fotel i sofę zgrupowane przed kominkiem, by zająć miejsce w pobliżu okien. Na wpeł światłomie stanęła plecami do ściany i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak bardzo jest ostrożna i zaniepokojona.

Wydawało się, że Daniel tego nie zauważył, a jeżeli nawet, wolał nie komentować.

- Postąpiłaś rozsądnie, decydując się na nocleg - rzekł, gdy za oknem przetoczył się kolejny grzmot i rozległ się szum wiatru.

Laura była ciekawa, czy dowiedział się o tym od Amelii, czy też po prostu tak założył, gdy pojawiła się przebrana do kolacji, nie zapytała jednak o to.

- Nie znoszę być poza domem podczas burzy - odparła. - To znaczy prowadzić samochoду.

- Jak większość ludzi. - Nadal patrzył na nią obojętnie.

Poczuła lekkie rozdrażnienie, zastanawiając się, czy Daniel ma zamiar wyjść poza banalną rozmowę o niczym; nic jednak na to nie wskazywało. Patrząc teraz na niego, nie bardzo mogła uwierzyć, że zaledwie parę godzin wcześniej powiedział jej, iż sądzi, że jego babka zamordowała swego męża.

Do diabła, może to również wytwór mojej fantazji...

- No, już myślałem, że przyjdę ostatni. Gdzie reszta? - Alex wszedł bez pośpiechu do pokoju; ubrany był w ciemny stonowany garnitur i krawat w drobne jaskrawozielone żaby

różnych fazach skoku. Skinął głową Laurze, najwidoczniej wcale nie zdziwiony jej obecnością. Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Daniel zapytał: - Zechcesz pełnić funkcję barmana?

- Jasne. Czego się napijesz?

- Szkockiej.

Alex pokiwiał głową.

- A ty, Lauro?

- Dziękuję.

Alex przyrządził drinki dla siebie i kuzyna. Właśnie za miost szklanek Danielowi i wrócił do barku, gdy do salonu weszły Josie i Kerry.

- Moje panie? - zapytał, zaznaczając swą rolę zamaszy stym ruchem ręki.

Josie pokręciła głową, a Kerry poprosiła o małą whiskey. Anna, która zjawiała się chwilę później, zażywała sobie szkockiej.

- Twoja matka przyjdzie? - zapytał Alex.

- Sądzę, że tak. Dzisiaj chyba... czuje się lepiej - odparł Daniel.

Josie usiadła na sofie stojącej najbliżej Laury, po chwili dosiadła się do niej Kerry, natomiast Anna ciężko opadła na kanapę po przeciwnej stronie. W porównaniu z pozostałymi ubrana była niedbale, w kusy podkoszulek i długą spódnice z drukowanej tkaniny, oraz w niezgrabne buty do kostek, o których wcześniej wspominała Kerry. Josie miała na sobie piękną ciemnozieloną długą suknię z głębokim dekoltem w szpic, a kasztanowate włosy upięła z niedbałą elegancją na czubku głowy.

Kerry ubrała się w długą spódnice z czarnego atlasu i ciemnoniebieską jedwabną bluzkę; wyglądałaby świetnie w tym stroju, gdyby nie dziwny bezrękawnik.

- Wiedziałam, że w tej sukience będzie ci do twarzy - za uważyła cicho, spojrzawszy przez ramię na Laurę.

Nie mogąc odwzajemnić komplementu, Laura powiedziała tylko:

- Jeszcze raz dziękuję.

- No i co myślisz o labiryncie? - zapytała Josie, odwracając się, by popatrzeć na nią z uśmiechem.

- Sądzę, że to wymysł diabła. - Laura uważała, by nie pa-
trzeć w stronę Daniela, ale wiedziała, że jej słucha. - Lecz je-
stem nim zafascynowana. A środek jest po prostu uroczy...
Spojrzała na Kerry. - Zwłaszcza altana.

- Wiosną i późną jesienią, a więc już niedługo, zmianom
wystrój wnętrza - powiedziała Kerry, wyraźnie zadowolo-
na z komplementu. - Kolory na zimę będą ciemniejsze i cie-
plejsze.

- Gdybym mogła, codziennie przesiadywałabym tam ca-
łymi godzinami - wyznała z westchnieniem Josie. - Nawet
wtedy, gdy już znasz drogę, przyjemnie jest odbyć orzeź-
wiający spacer do środka labiryntu, a potem już nie masz
ochoty wracać.

- Dla mnie to najwspanialsze miejsce na ziemi - powie-
działa Kerry.

- Zwykle krzaki i tyle - zauważyła z rozdrażnieniem An-
na, grzebiejąc kostkami lodu w szklance. - Powinniśmy
zrobić w tym miejscu kort tenisowy.

Patrząc na tę ciemnowłosą kobietę, Laura mimowolnie za-
stanawiała się, czy Anna zawsze była taka kłótliwą, czy też to
śmierć Petera i jej następstwa poruszyły ją bardziej niż pozost-
stałych członków rodziny. Wyraźnie sprawiała wrażenie nie-
spokojnej, całe jej ciało było napięte, a ruchy gwałtowne.
Słowa Anny brzmiały tak napastliwie, że ucięła nimi nawet
próbę podtrzymania rozmowy przez resztę domowników.

W panującej ciszy do salonu weszła Madeline. Ubrana w
prostą, czarną, długą suknię, nieskazitelnie umalowana,
uśmiechnęła się do zebranych.

- Jakież miły widok. Amelii jeszcze nie ma? - Oczy Made-
line były bardziej przenikliwe niż poprzedniego dnia, więc
można było odnieść wrażenie, że zachowuje się normalniej
i nie jest już pod tak silnym wpływem środków uspokaj-
jących, lecz Laura, chcąc nie chcąc, zastanawiała się, czy
jej uwaga i pytanie oznaczały to, co wydawały się oznaczać.

To Alex postanowił udzielić jej odpowiedzi - tonem lek-
kim i nieco bez troskim.

- Teraz, gdy widzowie są na swoim miejscu, na pewno
przyjdzie. Mogę ci podać coś do picia?

- Nie, kochanie, doktor zabronił - odparła, podchodząc do

drugiego końca sofy, na której siedziała Anna. - Ale dziękuję
ci. - Po czym, tym samym słodkim tonem dodała: - Napraw-
dę, nie powinieneś tak mówić o Amelii. To by się jej nie
spodobalo.

- Nic nie szkodzi, Madeline. Ja i Amelia dobrze się rozu-
miemy-

Amelia - elegancka i władcza w swej zwykłej czerni -
weszła do salonu, tylko trochę wspierając się na lasce ze
srebrną galką.

- Naprawdę? Znowu mnie obrażałeś?

- Ależ skąd. Jestem jak zawsze pełen podziwu, Amelio.
Jak zawsze. Może sherry?

- Tak, proszę. - Podeszła do fotela stojącego przed ko-
minkiem i usiadła, uśmiechając się miło do pozostałych. -
Wszyscy bardzo ładnie wyglądacie - zauważyła z satysfakcją
i choć wyraźnie zignorowała strój Anny, dodała: - Kerry, moja
droga, ten bezrękawnik...

- Przepraszam, Amelio - odparła potulnie Kerry.

Alex przyniósł Amelii drinka i akurat zwracał do barku,
gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi.

- Kogóż to niesie w taki wieczór? - mruknął. - Mam
otworzyć, Amelio, czy nie zwracać uwagi?

Laura uznała to pytanie za dziwne, ale nikt inny nie był
chyba zaskoczony. Amelia zmarszczyła nieco brwi i wygła-
dała na raczej zrezygnowaną niż miłosierną, gdy mówiła:

- Stróż przepuścił tego człowika, więc chyba nie mamy
wyboru. Sprawdź, kto to.

Natychmiast ruszył do drzwi, a pozostali czekali w milcze-
niu. Usłyszeli ciche męskie głosy i chwilę później Alex wró-
cił do salonu z kwaśną, a zarazem ostrożną miną. Za nim
wszedł jakiś mężczyzna i Alex powiedział do wszystkich:

- Niestety, nie jest to wizyta towarzyska.

Przybył był wysoki i barczysty, choć niezbyt mocno zbu-
dowany, a jego czarne włosy łśniły od deszczu. Imponująco
przystojny, miał jastrzębie rysy i przenikliwe szare oczy. Naj-
wyraźniej zrzucił z siebie deszczowiec, bo marynarka jego
bardzo eleganckiego garnituru była sucha. Chyba ani trochę
nie był poruszony faktem, że wszedł do pokoju pełnego Kil-
bourne'ów.

- Witaj, Brent - rzekł Daniel.
- Danielu. Drogie panie. - Brent spojrział na Laurę i dodał: - Witam ponownie, panno Sutherland. Nie wiem, czy mnie pani pamięta, ale...

- Pamiętam pana bardzo dobrze, poruczniku. - Jakżeby mogła zapomnieć? Rozmawiała przez chwilę z tym człowiekiem w poniedziałek, usiłując zetrzeć z palców tusz po złożeniu odcisków. Brent Landry, porucznik z wydziału zabójstw, zadał jej wtedy grzecznie kilka pytań, ale nie okazywał zbyt-nej wiary w niewinność Laury.

Amelia, która siedziała plecami do drzwi, a więc i gościa, i która nie rzącała się nawet odwrócić, powiedziała ostrym tonem:

- Nie noszę tego nowoczesnego zwyczaju składania lu-dziom wizyt w porze kolacji, aby tylko mieć pewność, że się ich zastanie w domu.

Wyglądało na to, że nikt nie jest zaskoczony irytacją star-szej pani. Obserwując z zaciekawieniem tę scenę, Laura spo-strzegła, że Brent Landry spogląda pytająco na Daniela. Da-niel nieznanym ruchem dłoni wskazał mu swoje miejsce, a sam stanął za sofą obok Laury. Landry podszedł do komin-ka, skąd widział wszystkich zgromadzonych w salonie, a Amelia nie musiała się odwracać, żeby go zobaczyć.

- Więc? - zapytała, patrząc krzywo na porucznika.
- Przepraszam za porę wizyty, pani Kilbourne - odparł ponuro. - Ale policjanci czasami muszą być nieuprzejmi.
- Twoja babka przewróciłaby się w grobie. Uczyła cię lep-szych manier. Jak się miewa twoja matka?
- Świetnie, pani Kilbourne. Jak już wyjaśnił Alex, to nie jest wizyta towarzyska.

Z tej krótkiej wymiany słów Laura wyciągnęła kilka wnio-sków: że Amelia najwidoczniej uważa Brenta Landry nie za zwykłego policjanta, ale za człowieka ze swojej sfery, że Brent dość dobrze zna tę rodzinę i że delikatnie, lecz stanow-czo oparł się wyraźnej próbie sprowadzenia go do pozycji chłopca. Nie zamierzał zrezygnować z panowania nad sytuac-ją na rzecz starszej pani, niezależnie od tego, jak dobrze znała jego babkę.

Swoim zdecydowaniem zrobił chyba wrażenie na Amelii,

a przynajmniej zyskał jej niechętny szacunek, gdyż jej głos brzmiał łagodnie, gdy powiedziała:

- No więc dobrze. Skoro to sprawa oficjalna, załatwmy ją. Czego od nas chcesz?

- Mam parę pytań, pani Kilbourne, i to wszystko. Pomyś-lalam, że będzie lepiej i dyskretnej, jeżeli zadam je tu.

- Rozumiem, że chodzi o śmierć Petera?

Madeline wydała z siebie ciche westchnienie, które usły-szeli tylko dlatego, że w pokoju zapadła grobowa cisza, i utkwiała w Landrym boleśnie natarczywe spojrzenie niebies-kich oczu.

- Wiecie, kto...?

Landry zawałał się w niedostrzegalny niemal sposób, po czym odparł łagodnym tonem:

- Jeszcze nie. Mam tylko kilka pytań.

- To je zadaj - rozkazała niecierpliwie Amelia. - Choć Bóg świadkiem, że już zadalście nam ich wystarczająco du-żo. Ale jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym otrzymać odpowiedź na parę moich własnych.

Nie zobowiązując się, do niczego, porucznik tylko uniósł pytająco brwi.

- Czemu nagle ty bierzesz w tym udział? Po zamordowa-niu Petera bywali tu różni policjanci, ale ciebie widzimy po raz pierwszy.

- Przydzielono mi to śledztwo parę dni temu - wyjaśnił ochocho. - Musiałaby pani zapytać o to moich przełożonych.

W tym momencie Laura spojrziała na Amelię i widząc, jak jej wąskie wargi rozciągają się leciutko w uśmiechu Mony Lisy, nagle zaczęła się zastanawiać, czy udział Landry'ego w dochodzeniu ma coś wspólnego z przyjacią Amelii z ko-misarzem. Czyżby Amelia doszła do wniosku, że przyjaciel rodziny będzie lepszym śledczym? Czy liczyła, że zdoła kon-trolować Landry'ego lub przynajmniej wpłynąć nań w wy-padku, gdyby skupił swe podejrzenia na kimś z rodziny? Je-zeli zaś rzeczywiście postarała się o przydzielenie mu tej sprawy, czy miała podstawy sądzić, że podejrzenie padnie na kogoś z rodzinnego grona?

- Więc dobrze - powiedziała Amelia, reagując skinięciem

głowy na wyjaśnienie porucznika. - Skoro kierujesz docho-
dzeniem, dlaczego nie szukasz zabójcy Petera?

- Szukam, pani Kilbourne. Zapewniam panią. I w trakcie
tych poszukiwań... wyszły na jaw pewne świadectwa. Prze-
cież chce pani, żebym je prowadził dokładnie, prawda?

- Tak - potwierdziła Amelia, ale teraz jej oczy były zmru-
żone, a usta zacisnięte.

- Świetnie. - Landry powiódł spojrzeniem po salonie, za-
trzymując je na chwilę na każdej osobie, i przemówił z roz-
myślnym opanowaniem. - W pokoju motelu, gdzie zginął Pe-
ter, znaleźliśmy kilka kosmyków rudych włosów. Jeden z
nich został w jego palcach. Wydaje się, że to kolejny dowód,
iż rudowłosa kobieta, z którą widział Petera kierownik
motelu, mogła być zabójczynią.

- Jak dotąd to żadna nowość - zauważył Daniel.

Landry pokręcił lekko głową, nadal przyglądając się ba-
dawczo zbranym w salonie. Dobrze panował nad swoją pu-
blicznością. Bardzo dobrze. Wydawało się, że nawet burza
czuła respekt przed porucznikiem i ucichła, tak iż w pokoju
słychać było wyłącznie jego głos.

- To prawda. Nowością są za to wyniki badania laborato-
ryjnego. Okazuje się, że włosy pochodzą z peruki.

Pierwszą reakcją Laury była zwyczajna ulga, a przelotne
spojrzenie Landry'ego zdawało się potwierdzać jej własną
myśl: po co ruda miałaby nosić rudą perukę? Nie było ku
temu powodu, chyba że miała zniszczone włosy, a włosom
Laury niczego nie brakowało. Teraz nawet teoretycznie nie
mogła być podejrzaną, czyż nie?

Lecz wraz z tą ulgą natychmiast pojawiły się inne pytania.
Skoro kobieta, którą kierownik motelu widział z Peterem,
miała rudą perukę, to pole podejrzeń powiększyło się, za-
miast zmaleć. No i dlaczego ta kobieta nosiła perukę? Jako
maskę, żeby ukryć naturalne włosy? Dlatego, że Peter chciał
uprawiać seks z rudą?

Alex, który rozsiadł się w nonszalanckiej pozie między
Madeline a Anną, powiedział cicho:

- W porządku, zamieniliśmy się w słuch, ale nie usłysz-
liśmy jeszcze żadnych pytań.

- Usłyszycie. - Landry nie miał zamiaru pozwolić, by go

ponagliano. Nadal mówił spokojnie i zgodnie z ustalonym
planem. - Włosy pochodzą z bardzo kosztownej peruki, W
tym akurat odcieniu zrobiono ich niewiele, a jeszcze mniej
sprzedano tu, w Atlancie. Trochę to trwało, ale zdołaliśmy
dotrzeć do trzech nabywczyń. Dwie wykluczono z grona po-
tencjalnych podejrzanych.

- A trzecia? - zapytał Daniel.

Landry pozwolił, by napięcie wzrosło o parę uderzeń ser-
ca, po czym dodał:

- Trzecią perukę sprzedano zaledwie przed miesiącem
Annie Ralston.

Przecież to jego kuzynka, pomyślała w pierwszej chwili
Laura. Kiedy jednak spojrziała w błądą twarz Anny i jej ciem-
ne, rozbiegane oczy, uświadomiła sobie, że ta kobieta na
pewno coś wie i jest przerażona.

- A na cóż by mi była peruka? - zapytała nerwowo, wpa-
trzona w swoją szklankę.

- Kupiłaś ją, Anno. Właściciel sklepu rozpoznał cię na
zdjęciu.

Anna usiłowała się roześmiać. Bezskutecznie.

- No dobra, więc kupiłam perukę. I co z tego?

- Jako jeden z rodzinnych prawników - powiedział Alex,
marszcząc brwi - powinienem powiadomić Annę, że nie
musi odpowiadać na twoje pytania. Prawdę mówiąc, powi-
nieniem jej zalecić, by nie mówiła nic więcej. Nie słyszałem,
byś poinformował ją o przysługujących jej prawach.

- Anna nie jest aresztowana - odparł Landry. - Zadam jej
tylko kilka pytań pomocnych w prowadzeniu śledztwa.

- W każdym razie wiesz, co robisz, Brent.

Porucznik popatrzył na prawnika, po czym skierował spoj-
rzenie na Amelię i spokojnie powiedział:

- Im szybciej wyjaśnimy tę sprawę, tym szybciej będę
mógł... przejść do następnego dowodu.

Amelia utkwiała wzrok w swojej wnuczce.

- Czy ty coś wiesz na ten temat, Anno? Odpowiedz.

- Amelio - ostrzegł Alex.

- Usłyszymy to teraz - odparła oschle Amelia. - W tej
chwili. Anno, czy zabiłaś Petera?

- Nie! - Z trudem wymówiła Anna. - O Boże, Amelio. Przysięgam, że nie!

- Gdzie byłaś wieczorem w dniu, gdy zginął Peter? - zapytał porucznik nieco surowszym teraz, bardziej rozkazującym tonem.

Anna siedziała zgarbiona i spięta, ze szklanką w dłoniach, z rozbieganymi oczyma. Przypominała Laurze dzikie zwierzę w klatce, rozpaczliwie pragnące z niej uciec.

- Byłam poza domem - odparła szeptem. - Już to mówiłam policji, byłam poza domem. Poszłam na przyjęcie. Mówiłam im...

- Przyjęcie zaczęło się o dziewiątej - rzekł Landry. - Wszyscy twierdzą, że zjawiała się dopiero koło północy.

Wtedy został zabity Peter, przypomniała sobie Laura. Anna zachłysnęła się powietrzem, po jej poszarzałych policzkach zaczęły ściekać łzy.

- Nie zabiłam go! Nie zabiłam! - jęczała.

- Ale byłaś z nim tamtego wieczoru, prawda? - Landry nie ustępował. - To ty siedziałaś w jego samochodzie, to ciebie rozpoznał kierownik motelu. Pokazałem mu twoje zdjęcie, Anno. Jak myślisz, co powiedział?

Anna spojrzała na niego w końcu, poruszona, z poczuciem winy wypisanym na twarzy tak wyraźnie, jakby użyto do tego tuszu.

- Byłam z nim - powiedziała drżącym, niewiele głośniejszym niż szept głosem. - Przyznaję, byłam... byłam z Peterem. Ale go nie zabiłam!

Laura odetchnęła głęboko i natychmiast przeniosła spojrzenie na Kerry. Ale wdowa po Peterze była zupełnie spokojna i patrząc przez stolik na Annę, nie okazywała żadnych emocji. I właśnie wtedy Laura poczuła się jak intruz. Nie powinna tu być, nie powinna tego słuchać...

W głowie zaświtała jej myśl, by po prostu wymknąć się z salonu, zostawić Kilbourne'ów z ich cierpieniem, lecz zanim zdążyła się poruszyć, poczuła, że dłoń Daniela zaciska się na jej nadgarstku. Drgnęła zaskoczona i posłała mu poniesione spojrzenie; okazało się, że patrzył na Annę z równie obojętnym wyrazem twarzy jak Kerry. Ponieważ ich ręce były ukryte za oparciem sofy, i tak nikt nie mógł tego spo-

strzec, a Laura nie chciała ściągać na siebie uwagi szarpaniem się z Danielem. Tak przynajmniej to sobie tłumaczyła. Wiedziała natomiast, że ten stalowy uścisk, choć bezbolesny, jest nierozzerwalny.

Głos Amelii przeszył pustkę tej nagłej ciszy niczym spadające sople lodu.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że uprawiałaś seks ze swoim kuzynem? Swoim żonatym kuzynem?

Gorączkowy rumieniec jawnego upokorzenia zaróżowił blade policzki Anny, która posłała babce spojrzenie przepelnione urazą i wstydem.

- Na litość boską, przecież go nie zgwałciłam! Nie uwiodłam go nawet. Dlaczego jego za to nie winisz? To on zrobił pierwszy krok, mówiąc, że zakazany owoc ma słodszy smak. Dlaczego...

- Peter nie żyje, Anno - przypomniała jej Amelia z nadal lodowatym spokojem. - Bez względu na to, jakie grzechy mógł mieć na sumieniu, chyba już za nie zapłacił.

- Jak długo trwał ten romans? - zapytał Landry z obojętnością dorównującą odrazie Amelii.

- To nie był romans. - Teraz, gdy Anna już patrzyła na porucznika, pragnęła umniejszyć znaczenie faktu, że spędziła tamten wieczór z Peterem. - To było dopiero nasze drugie spotkanie, przysięgam. I Peter żył, gdy o wpół do dwunastej wychodziłam z motelu. Właśnie wziął prysznic i... taksówkarz na pewno go widział, bo podszedł do drzwi, a miał na sobie tylko ręcznik...

- Czy dzwoniłaś po taksówkę? - zapytał Landry, przerywając relację zdyszanej Anny.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Nie pamiętam, do której firmy, ale była pierwsza w książce telefonicznej. Kierowca musiał widzieć, że Peter stał tam żywy, gdy wychodziłam...

- W porządku, Anno. Sprawdzę twoją wersję. - Trudno było ocenić po głosie policjanta, czyjej uwierzył. Spojrzał na milczących ludzi przed sobą, po czym grzecznie dodał: - Sądzę jednak, że już i tak wystarczająco opóźniłem waszą kolicję. Sam trafię do wyjścia.

Gdy mijał Alexa, prawnik zaproponował oschle:

- Wpadnij znowu, gdy będziesz miał dla nas kolejną bombową wiadomość.

Landry rzucił tylko w odpowiedzi ogólne „dobranoc”, a potem opuścił salon. Nikt się nie ruszył ani nie odezwał, dopóki nie usłyszeli, jak chwilę później drzwi frontowe otwierają się i zamykają. O dziwo, pierwsza odezwała się Madeline.

- No cóż, to z pewnością... nie było przyjemne. - Nie patrzyła na Annę.

- Moim zdaniem to obrzydliwe - powiedziała bez ogródek Amelia, przygważdżając Annę wzrokiem do sofy. - Jak mogłaś zrobić coś takiego...

Anna splonęła rumieńcem, najwyraźniej nie znając odpowiedzi, która zadowoliłaby jej babkę.

- Muszę wiedzieć - wycedził Alex - dlaczego w peruce?

- A dlaczego nie? - zapytała wojowniczo Anna. - Dobrze mnie maskowała i... to było podniecające. A Peter lubi - lubił rude.

- Dobry Boże - mruknęła dość głośno Josie.

Podnosząc się niezdamie, Anna zauważyła:

- Gapić się na mnie wszyscy, jakbym była...

- Na twoim miejscu nie kończyłbym tego zdania - powiedział półgłosem Alex.

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie, a potem takie samo pozostałym.

- Nie rozumiecie. Nikt z was nie rozumie, jak to wyglądało. Dzięki Peterowi czułam...

- Proszę, oszczędź nam szczegółów - powiedziała lodowato Amelia. - Jeżeli nie masz w sobie ani grama wstydu, to przynajmniej uważaj, by nie obrazić nas, a zwłaszcza matki Petera i wdowy po nim.

Laura obserwowała, jak stopniowo dociera do Anny to, że stoi na straconej pozycji, jak dociera do jej świadomości przekonanie, że w pokoju nie ma ani jednej życiowej jej osoby. Fakt, iż było to dla niej szokiem, wskazywał, jak wielką jest w istocie egocentryczką.

Anna roztrzaskała swą ciężką szklankę o marmurowe paleńsko i ze zdławionym, cichym krzykiem wybiegła z salonu. Głuchy stuk jej niezgrabnych butów cichł stopniowo.

- Przyniosę miotłę - powiedziała Josie, podnosząc się z sofy

- Zostaw to. - Amelia również wstała, wspierając się na swej lasce trochę mocniej niż dotychczas. - Teraz idziemy na kolację.

Laura wąpiła, by ktokolwiek miał apetyt, ale wcale się nie zdziwiła, widząc, jak inni członkowie rodziny posłusznie ruszają za Amelią. Wszyscy oprócz Daniela. On nie poruszył się i nie puścił jej ręki. Stali więc oboje za sofą i przyglądali się wychodzącym; tylko Alex posłał im zaciekawione spojrzenie, zanim opuścił salon.

- Dlaczego nie pozwoliłeś mi wyjść? - zapytała Laura. - Wcześniej, gdy chciałam to zrobić?

Daniel popatrzył na nią i rysy jego twarzy nieco stężały.

- Chcesz się dowiedzieć, kto zabił Petera, prawda? Wtedy nie możesz wyjść. Nie możesz od tego uciec.

Nadal trzymał ją za rękę, a ona nawet nie próbowała się wyrwać. Po prostu stała i patrzyła mu prosto w twarz.

- Myślałeś, że to Anna? Czy to ją podejrzewałeś?

Daniel zawahał się, po czym odparł:

- Wiedziałem, że jest z nim związana.

- I wiedziałeś, że jest zdolna do morderstwa?

- Nie wykluczałem tego. Jak już mówiłem, podejrzenie to jeszcze nie dowód.

Laura czuła, jak dłoń Daniela sunie po jej ręce, jak palce splatają się z jej palcami, i usiłowała się skupić na tym, co wyczytała w jego twarzy.

- Ale nie zrobiło ci się lżej na sercu na wieść o tym, że przypuszczalnie jest niewinna. Dlaczego?

- Bo to jeszcze nie koniec. - Ucisnął delikatnie, a potem puścił jej rękę. - Dołącz do nich, Lauro. Jeżeli Amelia zapyta o mnie, powiedz, że zostałem, aby uprzątnąć szkło.

- Danielu...

- Idź.

Usłuchała, wahając się w drzwiach wystarczająco długo, by się obejrzeć i stwierdzić, że Daniel obserwuje ją z tym samym wyrazem twarzy, jaki miał w labiryncie, gdy czekał, aż poda mu rękę. Cierpliwość. Niezmierna cierpliwość.

Nie bardzo wiedząc, dlaczego tak ją to wytrąciło z równo-

wagi, pospiesznie wyszła z salonu; miała nadzieję, że dogoni resztę towarzystwa, nim Amelia zda sobie sprawę, iż zostali z Danielem w tyle.

Tuż po północy przez okolicę przetoczyła się jeszcze jedna burza. Laura, obudzona z niespokojnego snu, wstała z łóżka by oglądać ją z okna. Sypialnia znajdowała się z tyłu domu i wychodziła na ogród; wcześniej Laura zauważyła, że jest tam sporo lamp, oświetlających ścieżki oraz niektóre krzewy i drzewa. Gdy lunął deszcz, a wiatr targał złośliwie drzewami na wszystkie strony, w świetle latarni ogród wyglądał wprost niesamowicie. Cienie skakały i pelzały niczym żywe istoty, drżące z przerażenia, gdy huczały gromoty i po niebie przelatywały błyskawice.

Choć Laura nie znosiła w takich warunkach jeździć samochodem, zawsze lubiła obserwować burzę, toteż oparła się o ościennicę i patrzyła, rozcierając w rozłzgnięciu lewą rękę, żeby uśmierzyć ból. Przypuszczała, że nawałnica nie potrwa długo i rzeczywiście, po niespełna kilku minutach deszcz przeszedł w niepewną mżawkę, a wicher zmienił się w kapryśną bryzę. W oddali nadal grzmiało, a ciemne niebo od czasu do czasu przecinała smuga, ale było oczywiste, że burza straciła niemal cały swój impet.

Laura miała właśnie wpelznąć z powrotem do wygodnego łóżka, gdy uwagę jej przyciągnął nieznaczny ruch tuż przed oranżerią. Zdała sobie sprawę, że ktoś opuszcza dom, przechodząc w pośpiechu przez werandę. Nie mogła mieć pewności, ale doszła do wniosku, że to kobieta.

Tajemnicza postać miała na sobie długi nieforemny płaszcz i było zbyt ciemno, żeby Laura zdołała dostrzec jakieś znaki rozpoznawcze, mogła więc tylko spekulować, przyglądając się, jak idzie szybkim krokiem po ogrodowej ścieżce i znika wśród drzew.

Wyglądało na to, że ktoś umówił się na późne spotkanie. Lecz kto to był? I dokąd szedł?

Rozdział 9

- Chcesz powiedzieć, że wszystko po prostu... potoczyło się zwykłym trybem? - zapytała z niedowierzaniem Cassidy.

- Jak gdyby w ogóle nic się nie stało. - Laura wręczyła przyjaciółce filiżankę gorącej czekolady, a potem skuliła się w fotelu z własną filiżanką. - Nikt nie wspominał już więcej o tym nawet słowem. Najpierw odbyła się bardzo grzeczna rozmowa przy stole o drobiazgach, a potem Kerry zagrała nam na fortepianie. Nawiasem mówiąc, pięknie. Ale zachowywali się tak, jakby tego policjanta nigdy tam nie było, jak by nikt z nas nie wiedział, kto znajdował się z Peterem w motelu, zanim go zabito. Wczorajszego wieczoru Anna nie ze szła już więcej na dół, a dzisiaj nie widziałam jej ani razu.

- A Daniel?

Laura spojrzała na filiżankę.

- Jego też nie widziałam. Josie powiedziała przy śniadaniu, że pojechał z Alexem do miasta.

- Więc nie miałaś okazji porozmawiać z nim po tym, jak powiedział w salonie, że to jeszcze nie koniec?

- Nie. Zjawił się na kolacji parę minut po mnie, ale nie wiele mówił, a później, gdy Kerry dla nas grała, w pewnym momencie się wymknął. - Laura wzruszyła ramionami. - Z mojego punktu widzenia jedyna pozytywna rzecz to to, że Madeline najwyraźniej postanowiła zaakceptować moją obecność. Była bardzo uprzejma, wręcz miła. Traktowała mnie niemal tak, jak traktuje Josie, jak byśmy byli jej dwiema sympatycznymi bratanicami.

- No cóż - zauważyła Cassidy - po spowiedzi Anny Ma-

deline przypuszczalnie nabrała pewności, że nie byłaś związana z Peterem.

Kiwając głową na potwierdzenie słów przyjaciółki, Laura powiedziała:

- I nasuwa się doniosłe pytanie: kto go zabił? Jeżeli ten glina zdoła potwierdzić, że Anna opuściła motel o wpół do dwunastej, kiedy Peter jeszcze żył, i istotnie pojechała na swoje przyjęcie, to w takim razie jest niewinna. Jego ciało znaleziono około pierwszej nad ranem, a według lekarza śmierć nastąpiła niemal dokładnie o północy. Anna nie zdążyłaby wrócić, żeby go zabić, a poza tym świadkowie widzieli ją na przyjęciu około dwunastej. Więc... kto wszedł do pokoju Petera parę minut po odejściu Anny i zaszytował go?

- Sądzisz, że był to jeden z Kilbourne'ów?

- Nie wiem. I Amelia, i Daniel mają chyba niepodważalne alibi. Madeline tego nie zrobiła; absolutnie nie wierzę, by matki, a już na pewno nie ta matka, zabijały swoich dorosłych synów. Anna może być niewinna. Kerry wyjechała wówczas do Kalifornii. Zostają Alex i Josie, a ona powiedziała, że Alex spędził tamten wieczór w domu.

- Ale mówiłaś, że Josie czymś się niepokoiła?

- Owszem. I nadal jest spięta i zatroskana. Albo o czymś wie, albo coś podejrzewa. Alex... Nie wiem. Nie wyobrażam sobie, by zaszytował człowieka, ale prawie z nim nie rozmawiałam.

Cassidy zmarszczyła brwi.

- Wspominałaś, że zdaniem Anny Peter zginął z powodu sposobu, w jaki rodzina prowadzi interesy. Wiesz coś o tym?

- Nie daje mi to spokoju - przyznała Laura. - Anna mogła po prostu płeść trzy po trzy. Moim zdaniem jest do tego zdolna, ale sprawiała wrażenie całkownie pewnej. Powiedziała też, że Peter miał plany i że nie tylko Daniel potrafi zarabiać forszę dla rodziny.

- Co to znaczy?

- Nie wiem. Ale Anna znalazła się w tym motelu z Peterem i twierdziła, że było to ich drugie spotkanie. Skoro z nią sypiał, mógł jej coś powiedzieć. To znaczy... mógł być wymieszany w transakcję, która nie wypaliła. Może został w mote-

lu, bo miał zamiar spotkać się tam z kimś jeszcze. I ten ktoś go zabił.

- Czy to nie dowodzi prowadzenia dość podejrzanych interesów? - zastanawiała się Cassidy. - Czy któryś Kilbourne wpłatałby się w coś takiego? Peter chyba nie potrzebował pieniędzy?

Laura myślała o tym przez chwilę.

- Jeżeli dobrze rozumiem ich rodzinne układy, Peter był wykluczony z wszelkich znaczących interesów rodziny z wyjątkiem ochlapów, jakie rzucała mu Amelia. Moje informacje potwierdzają to, czego ty dowiedziałaś się z brukowców: gdy Amelia umrze, jedynym szefem zostanie Daniel. Peterowi zaczęło brakować czasu. Może rzeczywiście musiał dowieść rodzinie, że potrafi - nie wiem - doprowadzić do dużej transakcji lub czegoś w tym rodzaju. I może, aby to zrobić, musiał przekraczać dozwolone granice.

- Jak sprawdzisz, czy to prawda?

Laura wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak samo, jak dowiedziałam się tego, co już wiem. Węsząc i zadając pytania oraz słuchając, gdy do mnie mówią.

Cassidy spojrziała na nią z zaciekawieniem.

- Zdajesz sobie sprawę, że teraz... podchodzisz do tego inaczej?

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Kiedy pierwszy raz jechałaś do domu Kilbourne'ów... cały ten pomysł ci nie odpowiadał - powiedziała powoli Cassidy, wciąż przyglądając się przyjaciółce. - Nie chciałaś tam przebywać, bo opłakiwali - lub powinni byli opłakiwać - śmierć Petera i dlatego, że cię podejrzewano. Ale też czułaś się jak osoba podejrzana o to morderstwo i chciałaś się dowiedzieć, czy lusterko ma z nim coś wspólnego. Więc pojechałaś. A potem byłaś niespokojna, bo między Amelią a Daniłem toczyła się pewnego rodzaju walka o władzę i to sprawiało, że czułaś się jak pronek.

- Zgadza się. Więc?

- Więc teraz podchodzisz do tego inaczej. Zostałaś wciągnięta w sprawy rodziny, poznałaś osobowość i życie jej członków. Wydaje się jednak, że twoje priorytety uległy zmianie.

Przestałaś się czuć jak podejrzana. Wydajesz się niemal uni-
kać rozmów o lusterku. Mam na myśli to, że choć spytała o
nie Daniela, nie przyparłaś go do muru, nie zarzuciłaś mu
kłamstwa. Po prostu pozwoliłaś, by wszystkim zaprzeczył.
Chyba zdajesz sobie sprawę, Lauro, że w tej walce o władzę,
której nawet nie rozumiesz, opowiedziałas się już po jednej
stronie?

Laura milczała przez chwilę, w końcu jednak spojrzała na
Cassidy z bladym uśmiechem i odparła:

- Stałe sobie powtarzam, że Amelia prawdopodobnie ma
rację. Daniel to niebezpieczny człowiek. Nic o nim nie wiem
wzbudza we mnie zbyt wiele uczuć i nie potrafię wyzbyć się
przekonania, że jego... jego tajemnice mają coś wspólnego ze
mną. Raz mam ochotę od niego uciec, to znowu...

- Chcesz do niego biec?

- Właśnie - przyznała Laura, a z jej ust wyrwał się nerwo-
wy śmiech. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Przecież mnie
znasz. Jestem taka ostrożna w kontaktach z mężczyznami,
śmieszysz cię to od lat. Ale ten człowiek, którego znam zaled-
wie tydzień, jakoś zdołał zaleźć mi za skórę. I uczynił to nie-
mal na przekór sobie. Albo jest zupełnie bez wyrazu, albo
staje się zagadkowy, okazując tyle emocji co sfinks. Konse-
kwentnie mnie okłamywał. Sądził, przynajmniej przez pe-
wien czas, że byłam kochanką jego brata i być może jego
morderczynią. I dotknął mojej ręki. Tylko ręki. Czy tak wy-
gląda mężczyzna, który miałby opętać kobietę?

- Miałby? Może i nie, Lauro. Ale ty najwyraźniej już je-
steś opętana myślą o nim, więc po co ten tryb warunkowy?

Potwierdzając trafność tej diagnozy kolejnym wybuchem
udawanego rozbawienia, Laura odchyliła głowę na
poduszkę i zamknęła oczy. Po chwili spojrzała na
przyjaciółkę i wyznała:

- Amelia zaprosiła mnie na ten weekend. Zastanawiam się
nad tym.

- Wiem, że nocowałaś tam wczoraj i nic strasznego się
nie wydarzyło, ale czy naprawdę uważasz, że dalsze noclegi
w tym domu to dobry pomysł? - zapytała Cassidy, zaniepo-
kojona. - Mówiłaś, że jest przytłaczający, że sam ten dom
wzbudza w tobie lęk. Nie wydaje mi się to najlepszą wróżbą.

A przecież nadal nie wiadomo, czy Petera nie zabił ktoś z ro-
dziny. W dodatku nie wiesz, czy Amelia nie uśmierciła
kogoś

przed laty. Daniel sam ci powiedział, że podejrzewa ją o
zamordowanie jego dziadka, a ty uznałaś, iż nie kłamał.

- Nie kłamał, ale podejrzenie to jeszcze nie dowód - od-
parła Laura, świadoma, że powtarza słowa Daniela.

- W porządku, zgoda. Może starsza pani w ogóle nie jest
winna śmierci swojego męża. Po czterdziestu latach, zwa-
żywszy na jej nienaganną reputację, powinniśmy chyba zin-
terpretować wątpliwości na jej korzyść. Być może również,
ale tylko być może, Petera nie zabił nikt z rodziny. Lecz jest
jeszcze ta gra, tocząca się między Danielem a Amelią, a pion-
ki się poświęca, Lauro. Właśnie dlatego biorą udział w grze.

- Wiem, wiem - mruknęła Laura.

- Czyżby? Chyba nie bardzo masz się czym bronić przed
Danielem i niezbyt umiesz maskować swoje uczucia. A jeśli
on rozpoznał zalażki obsesji? Naprawdę uważasz, że nocleg
w sypialni oddzielonej tylko krótkim korytarzem od jego po-
koju to dobry pomysł?

Laura zaczęła poprawiać przyjaciółkę, wyjaśniać, że sy-
pialnia Daniela jest oddzielona od apartamentu gościnnego
długim korytarzem, że w istocie mieści się w innym skrzydle
domu. Drugiego dnia Josie przeprowadziła ją przez całe
pierwsze piętro dużego budynku, więc Laura wiedziała, gdzie
kto śpi. Nagle uświadomiła sobie, że koncentruje się na bła-
hostkach, żeby uniknąć najważniejszej kwestii, toteż zamiast
dalej tłumaczyć, powiedziała:

- Chyba nie jest to dobry pomysł.

- W takim razie dlaczego zastanawiasz się, jaką podjąć
decyzję? - zapytała cierpliwie Cassidy.

- Pomyślisz, że zwarłowałam.

- Niech cię to nie powstrzymuje. Już tak myślę.

Laura westchnęła.

- W porządku. Zastanawiam się, czy nie zostać w domu
Kilbourne'ów na weekend, bo mam dziwne uczucie, że mu
szę tam być.

Cassidy obrzuciła ją surowym spojrzeniem.

- Dziwne uczucie. Czy to jedna z tych osobliwości twojej
natury, których nawet ty nie potrafisz wyjaśnić - jak fakt, że

święta Bożego Narodzenia wpędzają cię w straszne przynę-
bienie albo że nie możesz ściąć włosów?

Ta druga „osobliwość” ujawniła się, gdy Laura miała
około pięciu lat. W ich dziewięcioosobowej rodzinie z pie-
niędzmi zawsze było krucho, więc jej matka oszczędzała parę
dolarów, strzygąc swe dzieci własnoręcznie. Mniej więcej raz
w miesiącu ustawiała je w kolejce do kuchennego krzesła.
Zasiadały na nim z ręcznikiem zawiązanym na szyi, a ona -
dość wprawnie - obcinała im włosy.

Jednak w wieku pięciu, sześciu lat Laura zaczęła się sprze-
ciewać matce. Wprawdzie jak przez mgłę, ale pamiętała to na-
wet teraz. Pamiętała swój szloch i uczucie straszego żalu i
ból, którego nie potrafiłaby wyrazić słowami, nawet gdyby
doprowadzona do rozpaczki dziewczynka miała dość słów na
wytlumaczenie tego, co niewytłumaczalne. Ich starcia sta-
wały się coraz ostrzejsze, a Laura wpadała niemal w histериę,
ilekroć przychodziła kolej na nią, aż wreszcie wyczerpana i
zbita z tropu matka postanowiła pozwolić dziewczynce nosić
długie włosy.

Laura, niezwykle świadoma, że mówi to na głos, mruk-
nęła:

- Ściąłam je krótko raz, kiedy miałam szesnaście lat i się
buntowałam. Omal nie złamało mi to serca. Czulałam się tak,
jakbym kogoś zdradziła. W dodatku nie wiedziałam kogo i
dlaczego.

- Pamiętam, opowiadałaś mi o tym - odparła Cassidy, od-
rywając uwagę Laury od przeszłości. - Więc potrzeba spę-
dzenia weekendu w rezydencji Kilbourne'ów należy do tego
samego rodzaju uczuć?

- Tak... nie. Nie wiem, Cass. Ilekroć wchodzić do tego do-
mu, przepelnia mnie tyle uczuć, że trudno jest je odróżnić. Po
prostu... po prostu sądzę, że muszę tam być w ten weekend.

- Więc jutro pojedziesz tam spakowana? Laura
zawahała się, po czym skinęła głową.

- Chyba tak.

Cassidy pochyliła się, by odstawić filizankę na stolik, a na-
stępnie podniosła lusterko, w które Laura wpatrywała się
przed jej przyjściem.

- Masz zamiar zabrać je ze sobą? - zapytała.

- Tak. - Laura zdała sobie sprawę z tego zamiaru
dopiero

w chwili, gdy to powiedziała.

-Po co? Mam wrażenie, że jesteś niemal pewna, iż nie ma
ono nic wspólnego z tym, jak i dlaczego zginął Peter. To
prawda, czyż nie, Lauro? To lusterko... teraz to sprawa mię-
dzy tobą a Danielem?

-Kłamał, twierdząc, że nic o nim nie wie.

Cassidy odłożyła delikatnie zwierciadło i odchyliła się do
tyłu, patrząc krzywo na przyjaciółkę.

- Chyba byłam w błędzie. Wcale nie ignorowałaś proble-
mu lusterka, prawda? Teraz jest ono dla ciebie ważniejsze niż
na początku. Dlaczego? Dlatego, że Daniel skłamał?

Laura zdobyła się na uśmiech.

- Przystań zadawać mi pytania, na które nie umiem odpo-
wiedzieć.

- Jako przyjaciółka bardzo mnie rozczarowujesz, wiesz o
tym?

- Dziwię się, że znosiłaś mnie tak długo - mruknęła ponuro
Laura.

- Tak, no cóż, ja również. - Ale słowom Cassidy towarzy-
szył smutny uśmiech. - Dzwonił do mnie co wieczór, dobrze?
Mów mi, co się dzieje, niech wiem, że chodzenie we śnie tym
korytarzem do sypialni Daniela nie stało się twoim nawy-
kiem. Zgoda?

- Wydaje mi się, że to dobry pomysł - odparła Laura.

- Trochę późno, jak na przesiadywanie tutaj, nie sądzisz? -
zapytał Alex, wchodząc do altany.

Zaskoczona Josie uniosła wzrok i patrzyła na niego przez
chwilę, nim rozejrzała się po altanie, jakby spodziewała się
zobaczyć zegar.

- Naprawdę?

- Już prawie jedenasta. - Alex zdjął już oficjalny strój,
który nosił do kolacji i miał teraz na sobie dżinsy i bluzę od
dresu. Josie mimo woli zastanawiała się, czy przyszedł tu w
poszukiwaniu jej, czy też była to kolejna z jego nocnych
eskapad.

- Jeżeli Amelia mnie potrzebuje...

- Nie jestem jej chłopcem na posyłki - rzekł nieco ostrym tonem.

Swoim rozdrażnieniem jeszcze bardziej ją zirytował i Josie spojrziała na niego krzywo.

- Przepraszam.

Alex odetchnął głęboko i wetknął ręce do kieszeni spodni.

- To ja przepraszam. Nie chciałem być opryskliwy. Zobaczyłem z okna, jak idziesz przez werandę i pomyślałem... - Wzruszył ramionami. - Ponieważ cholernie męczą mnie te grzeszne pląsy, które wykonujemy cały tydzień, pomyślałem, że przyjdę tu i... spróbuję zmienić melodię.

- W jaki sposób? - Josie czuła, że to, iż on stoi, a ona na wół leży, daje mu nieznaczną przewagę, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Czy pomogłoby, gdybym przeprosił?

Josie nadal nie wstawała z szezlonga. Usiłowała zachować obojętny wyraz twarzy.

- To zależy. Zrobiłbyś to szczerze?

Otworzył usta, jakby gotów był szybko potwierdzić, zaważał się jednak, a w końcu pokręcił głową.

- Nie, psiaakrew, chyba nie. Nadal nie chcę sypiać we trójkę.

- A ja nic nie poradzę na to, że nadal tak czuję - powiedział spokojnym tonem. - Ja... nie wiem, dlaczego nie potrafię o nim zapomnieć.

- Może dlatego, że go kochałaś - odparł równie spokojnie Alex.

Josie potwierdziła nieznacznym skinieniem głowy, mimo że kiedyś rozumiała inną prawdę. Nie dlatego nie mogła zapomnieć o zmarłym mężu, że go kochała. Chodziło o to, że wspomnienie o nim, teraz już bezbolesne, było bezpieczne i jak tarcza osłaniało jej serce, i gdyby je zatarła, nic by jej nie chroniło przed ponownym zranieniem.

- Josie?

Spojrzała na Alexa, na tę piękną twarz, w bystre, spostrzegawcze zielonkawce oczy i czując w sercu gwałtowny ból, zrozumiała, że w końcu może nie mieć wyboru. Wydawało się, iż jej tarcza tak czy owak osłania ją coraz słabiej. Nagle bowiem silniejsze okazało się co innego.

- Josie... - Alex podszedł do szezlonga i przyklęknął na jedno kolano, nakrywając obiema dłońmi jej ręce. - Byłem dumnie, wiesz? Ponaglałem cię, a nie powinienem. Więcej nie popełnię tego błędu.

Josie uwołniła jedną rękę i dotknęła jego twarzy niemal z zaciekawieniem, marszcząc nieco brwi i zastanawiając się, kiedy to się stało.

- Mówiłeś, że masz prawo - przypomniała półgłosem.

- Myliłem się, Josie, możemy wrócić do dawnego układu.

To mi wystarczy.

- Naprawdę?

Twarz Alexa stężała pod jej palcami, ale zachowała spokojny wyraz.

- Tak.

Czubkiem palca wodziła powoli po jego dolnej wardze.

- Przecież mówiłeś, że następnym razem będę musiała przyjść do ciebie sama.

- Jak pewnie zauważyłaś, to nie ty przyszałaś do mnie, lecz ja do ciebie. - Alex zaśmiał się cicho, po czym przytrzymał rękę Josie przy swoim policzku i przycisnął usta do jej dłoni. - Ultimatum wycofane, duma ukorzona. I to po zaledwie paru dniach. Powinnaś być z siebie dumna, kochanie. Niełatwo rzucić Kilbourne'a na kolana.

- Wcale nie chcę, by na nich pozostał.

Szezlong był wąski, a noc chłodna, ale nie ostudziło to zbyttno ich namietności. Jeżeli nawet oboje zdawali sobie sprawę, że ktoś inny może błąkać się po labiryncie i natrafić na bardzo intymną scenę w jego centrum, to również ich nie powstrzymało.

Odzież ciskana w pośpiechu na posadzkę altany. Buty odsuwane kopnięciem na bok, poduszki rozrzucone na wszystkie strony. Pożądali siebie tak zapamiętane, że nie mieli czasu ani cierpliwości na grę wstępna; nie była potrzebna. Po niespełna paru minutach Josie leżała na szezlongu, obejmując udami kochanka i zaciskając palce na jego ramionach przy każdym, niemal brutalnym pchnięciu.

Zachowywali się tak, jakby rozstali się na całe miesiące, jakby pożądanie rosło w nich obojgu niczym ciśnienie pary

w rozgrzanym kotle. Liczyło się tylko to, by uwolnić się od tego pożądania, i uczynili to w swoich ramionach.

Leżąc bezwładnie, Josie znalazła w końcu dość siły, by powiedzieć półgłosem:

- Nawet nie spuściliśmy zasłon.

Alex wsparł się na łokciach i spojrzął na nią.

- Naprawdę przywiązujesz do tego wagę? - zapytał, uśmiechając się lekko.

W odpowiedzi Josie uniosła głowę na tyle wysoko, żeby go pocałować.

- Chyba jednak powinniśmy się ubrać - zauważyła. - Robi się coraz zimniej.

- Hmm. Proponuję, abyśmy oszklili to miejsce i zainstalowali tu jakiś grzejnik przed zimą.

- Wtedy nie byłaby to już altana.

- Może i nie, ale byłoby tu przyjemniej w chłodne październikowe noce. - Pocałował Josie i uwolnił się z jej ramion, sięgając po ubranie.

Dopiero gdy oboje się ubrali i byli gotowi wracać do domu, Josie powiedziała, spoglądając na Alexa:

- Dziękuję.

- Za co? - zapytał, zdziwiony.

- Że nie zmuszasz mnie do...

Alex dotknął palcem ust kochanki, żeby jej przerwać.

- Zapomnisz o nim, gdy będziesz gotowa. Teraz to rozumiem.

Josie chciała jeszcze coś dodać, rozproszony jakoś jego wątpliwości, ale Alex nie żądał zapewnień, więc skinęła tylko głową i wyszła z nim z altany. I dopiero gdy znajdowali się w połowie drogi przez oświetlony labirynt, wsunęła rękę w jego dłoń i zapytała:

- Czy odpowiesz szczerze na moje pytanie?

- Jeżeli potrafię.

- Czy ty i Daniel... coś kombinujecie?

Alex spojrzął na nią, znowu zaskoczony.

- Coś kombinujemy? Dziwnie to określasz. Jakbyśmy byli dwoma chłopcami podpalającymi papierosy gdzieś ukradkiem.

Spojrzała mu poważnie w oczy.

- To nie była odpowiedź.

Alex odwrócił wzrok i przez pewien czas szli w milczeniu. W końcu rzekł:

- Peter zostawił po sobie bałagan, kochanie. Staramy się po prostu to uprzątnąć.

- Jakiego rodzaju bałagan?

Alex pokręcił głową.

- Myślę, że to typowa sytuacja, w której czegoś oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Ufasz mi, prawda?

- Tak, ale...

- Żadnych ale. - Palce Alexa zacisnęły się na jej dłoni. - Okazuje się, że mój kochany zmarły kuzyn był większym sukkinsynem, niż nawet ja sądziłem, i jeżeli nie uda nam się naprawić szkód, które wyrządził... no cóż, rodzina bardzo na tym ucierpi.

- Ale nie powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

- Nie mogę, Josie. Jeszcze nie teraz.

Wyszli z labiryntu i ruszyli ścieżką prowadzącą z powrotem do domu. Światło zapewniło wystarczającą widoczność, lecz gdy Josie spojrzała na Alexa, wyraz jego twarzy był tajemniczy i nieodgadniony.

- Kilka dni temu powiedziałeś mi, że Amelia coś knuje - stwierdziła powoli. - Daniel też. W twoich ustach zabrzmiało to niczym przygotowanie do wojny, jakbyś uważał, że oboje ze sobą walczą. Zastanawiałeś się nawet, kto z nas pozostanie na placu boju, gdyż już będzie po wszystkim.

- Naprawdę tak powiedziałem? - Alex pokręcił głową.

Było to cholerne nieroztropne z mojej strony.

Josie nie dopuściła do tego, by lekki i bezzceremonialny ton kochanka ją powstrzymał.

- Daniel i Amelia zawsze się... ścierali. Ale od czasu śmierci Petera jest gorzej. O wiele gorzej. Niemal tak, jakby się nienawidzili. Więc jak, nienawidzą się?

- Nie wiem, kochanie.

- Czy... czy wiesz, kto zabił Petera?

- Nie.

Josie chciała zapytać, czy tamtej nocy, gdy go zostawiła, wychodził gdzieś, ale nie mogła się na to zdobyć. ~ To wszystko... się wiąże, prawda? Walka Amelii z Da-

nielem, morderstwo Petera i bałagan, który zostawił po sobie To wszystko się jakoś ze sobą kojarzy.

- Daj temu spokój, Josie. Tak będzie lepiej dla ciebie.

Powiedział to ostrzegawczym tonem, ale Josie nie mogła powstrzymać się od uwagi:

- Czemu mam wrażenie, że prędzej czy później będę musiała opowiedzieć się po czyjejsz stronie?

- Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne - odparł Alex. I nie dodał nic więcej.

Josie pozwoliła, by rozmowa zeszła na inny temat, nie chcąc go ponaglać, skoro on skłonny był dać jej tyle czasu, ile potrzebowała. A gdy dotarli na piętro cichego domu, na pytające spojrzenie Alexa odpowiedziała skinięciem głowy i weszła z nim do jego sypialni.

Laura zdecydowała się jednak zostać na weekend w domu Kilbourne'ów, toteż w piątek rano przyjechała z dużą torbą. Rozpakowała się w tym samym apartamencie, w którym spędziła środową noc, a potem zeszła na dół i stwierdziła, że Amelia gotowa jest pozować do kolejnego szkicu.

Laura jednak miała inny pomysł.

- Amelio, wiem, że masz co robić. Słyszałam, że Josie mówiła ci o korespondencji, która nadeszła. Ja natomiast na prawdę muszę się pobawić farbami. Przywiozłam ze sobą wszystko. Może więc zainstaluję się gdzieś na uboczu - chyba w oranżerii, bo jest tam mnóstwo światła - i zajmę się tym dzisiaj.

Amelia zawahała się, po czym skinęła głową.

- Myślę, że to doskonały pomysł, moje dziecko. Rzeczywiście mam odpowiedzieć na parę telefonów i odpisać na kilka listów. Powinam też pojechać dziś po południu do miasta, żeby doglądać kilku spraw służbowych. Jeżeli naprawdę nie przeszkadza ci dzisiaj samotność...

- Oczywiście, że nie. Poradzę sobie.

Starsza pani znowu skinęła głową.

- W takim razie zostawię cię.

Tak więc Laura wyjechała z samochodem walizczkę z farbami oraz sztalugi i rozłożyła je w oranżerii, podczas gdy Amelia i Josie zabrały się do pracy w bibliotece. W domu panowała

niczym nie zmacona cisza i, jak często się zdarzało, Laura nie widziała jak na razie nikogo więcej. Nie miała pojęcia, gdzie podziewają się pozostali domownicy.

Była niespokojna, dziwnie rozdrażniona, a ponieważ rano włókł się niemilosierdzie, coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że na coś czeka, że żywi nadzieję, której nie mogła sobie wytłumaczyć.

Ustawiła się ze sztalugami tak, by mieć widok na ogród, postanawiając w ramach ćwiczenia namalować fragment z wygięciem w łuk mostkiem. Robiła to niemal bezwiednie, zwąszywszy na klebiące się w jej głowie myśli. Dopiero gdy Josie przyszła ją zaprosić na lunch, Laura zorientowała się, że na płótnie wcale nie ma mostka.

- Hej, to jest urocze - powiedziała z podziwem Josie.

- Dziękuję. - Laura wrzuciła pędzel do puszki z terpentyną i zbita z tropu spojrzała na płótno. Delikatne barwne smugi ukazywały kwiaty i drzewa nad brzegiem jeziora, z górami wznoszącymi się w tle. Miejsce było piękne, lecz Laura nie wiedziała, gdzie ono się znajduje ani dlaczego je namalowała.

Josie uważała jednak, że wszystko jest w porządku.

- Gotowa do lunchu?

- Pozwól tylko, że umyję pędzel...

Na posilku zjawiała się zarówno Madeline, jak i Kerry, ale po Annie zaginał wszelki ślad. Nikt nie wyjaśnił też, gdzie są Daniel i Alex, a Laura nie miała odwagi o to pytać. Po lunchu Amelia, rezygnując ze zwykłego odpoczynku, wyjechała na swe popołudniowe spotkanie wraz z Madeline, która postanowiła zabrać się z nią, gdyż miała umówioną wizytę u lekarza.

Laurę zaskoczyło to, że szofer Kilbourne'ów jest szczupłym, wyprostowanym dżentelmenem o siwych włosach, który najwyraźniej przekroczył już sześćdziesiątkę.

Gdy wielki lincoln odjechał, Kerry poszła ćwiczyć grę na fortepianie, a Josie, upewniwszy się, że Laura nie chce do niej dołączyć, wybrała się na spacer po ogrodach.

Laura wróciła do sztalug, lecz im dłużej wpatrywała się w obraz, tym silniejsze odczuwała zniecierpliwienie i niepokój. Coś jej w nim nie pasowało, choć nie wiedziała co. Czegoś brakowało. Nie dawało jej to spokoju. Przytapała się na

ty, że chodzi tam i z powrotem po oranżerii, niczym uwięziony w klatce kot, i nagle doszła do wniosku, że co za dużo to niezdrowo. Musiała na pewien czas zająć się czymś innym. Przypomniała sobie radę Amelii o konieczności poznania domu, by lepiej ją zrozumieć, i zaczęła się zastanawiać, dokąd mogłaby pójść, nie naruszając niczyjej prywatności; nagłe uświadomiła sobie, że nie widziała jeszcze piwnic ani poddasza. Ponieważ przypuszczalnie zostały opróżnione przed aukcją, wąpiła, czy znajdzie tam coś interesującego, zanim jednak wdała się w głębsze rozważania, ruszyła w głąb domu.

Idąc po schodach na piętro, zastanawiała się, dlaczego właściwie zwabiło ją poddasze, a nie piwnice. Uznała, że być może wynikało to z ogólnej atmosfery tego domu. Myśl o tym, by zejść do „wnętrzości” rezydencji, tak ponurej i przytłaczającej, w ogóle jej nie pociągała.

Bez większego trudu znalazła schody na poddasze, usytuowane niedaleko jej apartamentu. Same schody były dość ciemne, ale na górze znajdował się przełącznik i gdy Laura nim pstryknęła, zapaliło się kilka żarówek zwisających z krokwii. Ukazała się rozległa przestrzeń byle jak wykończonych poddasza, z podłogą ze zwykłych, nieheblowanych desek i ścianami pokrytymi szarym tynkiem. Okien nie było i choć lampy zapewniły dostateczne oświetlenie, wśród stosów pudel i kufków, starych mebli i pakunków z niemożliwym do zidentyfikowania rodzinnym dobytkiem trafiły się zacieśniające miejsca.

Laura miała właśnie rozpocząć poszukiwania, gdy dostrzegła słaby błysk światła na drugim końcu poddasza. Nie odrywając od tego oczu, przeszła obok dwóch olbrzymich kofłów do gotowania na parze oraz kilku mebli, które z jakiegoś powodu ocalały ze sprzedaży. Na ścianie coś wisiało. Jeden róg koca zakrywającego ten przedmiot nie był umocowany i Laura ujrzała kawałek wymyślnej ramy i błysk czegoś lśniącego.

Lustro.

Choć dolna część ramy znajdowała się na wysokości jej udu, lustro było ogromne; musiała sięgnąć wysoko, żeby

szarpnąć za brzeg koca zawiniętego na górną krawędź zwierciadła. Bojąc się je stracić, ciągnęła ostrożnie, dopóki koc nie zaczął się zsuwać, potem zaś, gdy ukazało się lustro, odrzuciła go na bok i cofnęła się o krok.

Nie wiedziała, dlaczego nie trafiło na aukcję - może dlatego, że stanowiło dziedzictwo rodowe albo po prostu ktoś uznał, iż obecnie tak wielkie lustro nie cieszą się popytem.

Było jednak piękne. Lita dębowa rama została wyrzeźbiona w poprawną ręką artysty, a szkło idealnie wypolerowane. Lecz ona, jak zawsze, zwracała uwagę na te rzeczy jedynie mimochodem. Wpatrywała się w zwierciadło, spoglądając na odbite w nim pomieszczenie za sobą. Poddasze było tak ciemne, tak szczerlnie wypelnione dziwnymi kształtami, sylwetkami i łalami atramentowej czerni, że Laura miała wrażenie, iż patrzy na coś tajemniczego, jakby ze snu.

I niczym we śnie odbity obraz zamigotał i zmienił się.

Strefa mroku przesunęła się nieznacznie i serce Laury zaczęło gwałtownie się tłuc w piersiach. Mogłaby przysiąc, że widziała, jak poddasze się przeobraża, jak staje się najpierw oświetloną blaskiem świec sypialnią, a potem salonikiem, salonom i kolejną sypialnią. I przez te pokoje powoli szedł ku niej mężczyzna, zmieniający się wraz z otoczeniem, najpierw ciemnowłosy, potem blondwłosy, a za chwilę znów jego włosy były ciemne. Mężczyzna o różnych twarzach, w stroju zmieniającym się raz po raz.

Potem odbity obraz znów lekko zamigotał i Laura ujrzała za sobą wyłaniającego się z mroku Daniela. Pochwycił jej wzrok, utkwił spojrzenie w jej oczach i wzbudził w Laurze pewność silniejszą niż wszystko, co dotąd czuła w swoim życiu.

To ty. To ciebie szukałam.

Nie mogła się ruszać, nie mogła nawet oddychać. Obserwowała go, czuła go za sobą. Dotknął jej ręk, po czym powoli przesunął dłoń, dopóki nie spoczęły na jej ramionach. Wsunął palce pod kołnierzyk jedwabnej bluzki i pochyliwszy się, dotknął ustami odłoniętego karku. Laura wydała z siebie cichy, niewiarygodnie zmysłowy jęk i ujrzała w lustrze, jak jej głowa pochyla się na bok, by zrobić ustom Daniela więcej miejsca dla miłostnego odkrywania jej ciała. Daniel przesunął

drugą ręką po obojczyku i objął ją za szyję, odchylając nieco mocniej głowę Laury, jego kciuk i środkowy palec spoczęły na tętnicach szyjnych i Laura czuła pulsującą pod nimi krew. W pewnym momencie zamknęła oczy; odbity w zwierciadle obraz stał się mniej ważny i mniej realny niż doznania które Daniel wzbudzał w jej ciele. Rozpiął jej bluzkę i zsunął ją z ramion. Gdy dotknął jej piersi przez stanik, Laura oparła mu głowę na ramieniu. Wydała z siebie kolejny jęk, pełen tak niezmiernie bolesnej tęsknoty, że niemal ranit gardło, a jej ręce powędrowały do tyłu, szukając i odnajdując twarde uda Daniela, zaciskając się na nich z całej siły.

- Lauro... - Głos Daniela był cichy i ochrypły. Obrócił ją szybko w ramionach i ustami opadł pożądliwie na jej wargi, miażdżąc je niemal swą siłą.

Miała wrażenie, iż rozplywa się, zlewa z nim w jakiś dziwny sposób, a całe jej ciało płonie. Jego usta uwodziły ją i zniewały, przyciągały tak, jak księżyc przyciąga wody oceanów. Na oślep, w desperacji, rozpinając guziki jego koszuli i czuła jego palce przy zapięciu swoich spodni; nagle owionął ją chłód zsuwającego się materiału i strąciwszy mokasyny, machinalnie uwolniła stopy z nogawek.

W końcu guziki koszuli ustąpiły i Laura ściągnęła ją Danielowi z ramion. Sprężyste włosy na jego muskularnej piersi drażniły opuszki jej gaskających go palców, a chrapliwy jęk, który wyrwał mu się z ust, gdy uniósł głowę, by na nią spojrzeć, podziałał na jej zmysły jak pieścizna.

Daniel przestał być zagadkową postacią. Oczy mu płonęły, nieregularne rysy twarzy ściągnęły się w przypominającym maskę wyrazie silnego pragnienia, a ręce drżały, gdy ujmował jej twarz.

- Boże, Lauro...

Jej roznamienione usta rozchyliły się pod naporem warg Daniela, rękami nerwowo szarpała pasek jego spodni i jakimś cudem zdołała je rozpiąć i zsunąć z wąskich bioder. Jej stanik gdzieś zniknął. Gdy Daniel przyciągnął ją gwałtownie do siebie, Laura poczuła jego nabrzmiałą z podniecenia męskość i jęknięta; jej ciało odpowiedziało dreszczem pożądania.

Poruszając się bezwiednie, nagle znalazła się na podłodze, zupełnie naga, na łożu ze spletanego koca, zakrywającego

wcześniej lustro; Daniel leżał przy niej. Gładził jej piersi dłońmi, których kciuki ocierały się o stwardniałe sutki, parząc niczym ogień. Wepchnął kolano między jej uda w niewybrednej, prymitywnej pieścizocie i wpił się łapczywie w usta.

Laura sądziła, że poznała już całą gamę zmysłowych rozkoszy, teraz jednak zrozumiwała, iż to, co wcześniej czuła, było tylko reakcją młodego, zdrowego organizmu na zwyczajną cielesną podniecie. Jej ciało, podobnie jak ciało każdej zmysłowej istoty, miało reagować pozytywnie na męzczyznę, który ją pociągał; gdy dotykał jej i całował, odczuwała przyjemność. Lecz gdy dotykał jej Daniel, czuła znacznie więcej. Jak gdyby wszystkim komórkom jej ciała doskwierał brak czegoś, co tylko on mógł zapewnić, jak gdyby jej ciało miało stopić się z nim, jakby zostało stworzone, aby połączyć się z nim bez reszty, bo Daniel był jej drugą połową.

- Danielu... - Jego usta spoczęły na jej piersiach i Laura nie wiedziała, jak długo zdoła znieść palącą rozkosz tej pieścizoty. Wsunęła palce w gęste włosy kochanka i jęcząc, przycisnęła do siebie jego głowę. - Błagam...

Daniel sunął wargami po wzgórku piersi, potem po szyi, aż wreszcie dotarł do ust. Kolanem rozchylił szerzej jej uda i wszedł w nią głęboko jednym potężnym pchnięciem.

Przez chwilę oboje leżeli bez ruchu, oszołomieni; ich ciała nie mogły już być bliżej siebie. Później Daniel zaczął się poruszać, wbijając w nią w gwałtownym, coraz szybszym rytmie. Laura krzyknęła, bo uczucie rozkoszy eksplodowało w jej ciele bez ostrzeżenia, zupełnie inaczej niż kiedykolwiek. Oszołomiona i drżąca, trzymała Daniela resztkami sił, gdy jęczał, wstrząsany dreszczem własnego potężnego orgazmu.

Suche i stęchłe powietrze na poddaszu przytłaczało swym ciężarem. Tak przynajmniej Laura tłumaczyła sobie swą niechęć do ruszenia się z miejsca. Ich łożo było twarde, cienki koc prawie wcale nie łagodził kontaktu z surowymi deskami podłogi. Z głową wspartą na niemal równie twardym ramieniu Daniela spoglądała na ich porzucane bezładnie rzeczy, czując, że w niedorzeczny sposób oblewa się gorą-

cym rumieńcem na widok swoich majtek splątanych z jego szortami.

Mój Boże, co się ze mną stało?

To, co widziała - co chyba widziała - w lustrze, z perspektywy czasu wydawało się snem. Czynniki nierealnym. Całkowicie nierealnym. Lecz żadna miara rozsądku i żadne logiczne argumenty nie mogły zmniejszyć pewności, jaką czuła w głębi serca. Przez całe życie w niezliczonych lustrach szukała właśnie jego, wiedząc, że pewnego dnia się tam pojawi. Było to, jak tyle rzeczy w jej życiu, niewytłumaczalne. I Laura wystrzeżała się teraz myśli o tym, obawiając się trochę wniosków, do jakich mogłaby dojść.

Uświadomiwszy sobie nagle, że nie są w tym domu sami, że Josie mogła wrócić ze spaceru, a Amelia i Madeline z miasta, usiłowała się poruszyć, oderwać od ognistego żaru jego ciała i niepokojącej wygody jego uścisku. Ledwie jednak wychnął napicie w mięśniach Laury, zacisnął ramiona.

- Jeszcze nie - mruknął.

Laura czuła, jak jego ręka przesuwa się nieznacznie po jej ramieniu, a długie palce ugniatają bardzo delikatnie skórą i zastanawiała się, dlaczego pod wpływem tego dziwnego dotyku czuje zadowolenie niczym łasa na pieszczoły kotka.

- Drzwi nie są nawet zamknięte, prawda? - powiedziała cicho.

- Tutaj nikt nigdy nie przychodzi.

- Ty przyszedłeś.

- Śledziłem cię.

- Nie wiedziałam, że jesteś w domu.

- Wróciłem tuż po wyjeździe Amelii i mojej matki. - Milczał przez chwilę, po czym dodał: - Gdy znalazłem się na piętrze, usłyszałem, jak idziesz na poddasze, więc poszedłem za tobą.

Laura nie chciała zakłócać tych spokojnych chwil, szczególnie że była aż nadto pewna, iż nie potrwają długo, nie mogła jednak poskromić ciekawości.

- Bales się, że mogę tu coś znaleźć? - zapytała ozieble, unosząc głowę z jego ramienia.

Surowe rysy twarzy Daniela znowu stężyły w nieodgad-

niym wyrazie, jasne oczy skryły się za zasłoną powiek, a głos brzmiał rzeczowo:

- Jak mogłoby tu być cokolwiek, co chciałbym ukryć przed tobą?

Laura zamilkła, nie uszło jednak jej uwagi, że nie odpowiedział na pytanie.

- Nie wiem - przyznała w końcu. - Dlaczego mnie śledziliście?

Tym razem odpowiedział bez wahania.

- Bo wiedziałem, że to się stanie.

- Skąd wiedziałeś? - *To ty byłeś w lustrze. To cię szukałam przez te wszystkie lata. Wiedziałeś o tym?*

Daniel uniósł rękę i dotknął twarzy Laury, wodząc palcem po jej brwiach i łuku kości policzkowej. Jego kciuk musnął jej dolną wargę w powolnej pieszczocie.

- Chciałem tego - odpart wreszcie.

- A Daniel Kilbourne zawsze dostaje to, czego chce.

Skrzywił lekko usta.

- Nie sprowadzaj tego do kwestii władzy. Tak wiele w moim życiu można do tego sprowadzić. Ale nie to. Ty też tego chciałaś. Oboje tego chcieliśmy.

Nie mogła zaprzeczyć; nawet nie próbowała. I gdy Daniel przesuwał dłoń na jej kark i nacisnął delikatnie, Laura nie próbowała udawać, że nic nie czuje. Jego usta zaczęły pląsać po jej ustach - najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, natarczywiej, i Laurze było już obojętne, dlaczego przyszedł tu za nią. Nie obchodziło jej nic oprócz tego, co czuła.

Powoli zapinała bluzkę, starając się skupić na tym całej uwagę, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że dwa kroki dalej ubiera się Daniel. Dziwiło ją trochę i poważnie niepokoiło, iż nadal tak reaguje na jego bliskość. Parę godzin dynamicznego seksu tylko podsyciło jej apetyt, zamiast go zaspokoić, i nie wiedziała, czy zdoła znieść ów głód, jeżeli Daniel na tym poprzestanie.

- I co teraz będzie? - zapytała z nienaturalnym spokojem.

Podszedł do niej natychmiast i ujął jej twarz w dłonie, zmuszając do patrzenia mu w oczy. Był już ubrany, tylko poły

koszuli nie zdążył wetknąć za pasek spodni. Uśmiechał się nieznacznie, lecz jego głos brzmiał rzeczowo.

- To dopiero pierwszy krok. Jedno popołudnie mi nie wystarczy, Lauro. Bądź ze mną tej nocy.

Usiłowała zapanować nad sobą, rozważyć wszystko, nie dopuścić, by determinacja, jaką w nim wyczuwała, zaważyła na jej decyzji.

- A Amelia? - zapytała półgłosem.

- Co Amelia? To dotyczy tylko ciebie i mnie.

To nieprawda. Wiesz, że to nieprawda. Daniel gładził ją po policzkach i Laura pragnęła mu powiedzieć, by przestał, bo nie pozwalało jej to trzeźwo myśleć.

- Lauro?

W końcu pokręciła głową, licząc, że Daniel po prostu pogodzi się z odmową. Lecz kiedy zmrużył oczy, zrozumiiała, że nie będzie to takie proste.

- Nie próbuję udawać przesadnej skromności ani niczego takiego. Po prostu... czułabym się skrepowana, spędzając z tobą noc tutaj, w tym domu.

- Ze względu na Amelię?

- Na nią i na innych. To dom twojej rodziny. - Wzruszyła ramionami, nie potrafiąc wyjaśnić swoich uczuć w bardziej zrozumiałym sposób.

Daniel patrzył na nią przez chwilę, po czym skinął powoli głową.

- W porządku. Uszanuję twoje uczucia - na razie. Ale oboje wiemy, że to, co jest między nami, jest prawdziwe. Oboje wiemy, że to zaledwie początek.

- Tak - przyznała; była ciekawa, czy Daniel domyślił się, że obietnica dalszego ciągu tyleż ją cieszy, co przeraża.

Rozdział 10

- Amelia nie spodziewała się pewnie, że wrócisz przed wieczorem do domu - rzekła Laura, gdy schodzili po głównych schodach na parter. Z pokoju muzycznego dobiegały ciche i kojące nuty znanej sonaty, której tytułu nie mogła sobie jednak przypomnieć; przez myśl jej przemknęło, że Kerry rzeczywiście spędza sporo czasu przy fortepianie.

Daniel zatrzymał się u stóp schodów, patrząc na Laure, która przystanąła na pierwszym stopniu, i odparł:

- Chyba nie. Kazałem odwołać spotkanie. W przeciwnym razie byłbym w mieście do późna. Dlaczego pytasz? - Jego oczy miały nieodgadniony wyraz.

- Po prostu jestem ciekawa. - Obojętność Laury była nieprzekonująca nawet dla niej.

Jeżeli jednak jej słowa nie przekonały Daniela, najwyraźniej nie był wystarczająco ciekawy, by dalej dociekać przyczyn. Wziął ją za rękę i zapytał zdawkowo:

- Co robiłaś, zanim wyruszyłaś na poszukiwania na poddaszu? Malowałaś?

- Tak. W oranżerii.

- Portret Amelii?

- Nie. Pomyślałam, że mogłabym się trochę wprawić, zanim zacznę.

- Pozwolisz chyba, że zobaczę?

Ponieważ Daniel zmierzał już w stronę korytarza prowadzącego do oranżerii, odpowiedź Laury był nieco oschła:

- Oczywiście.

Spojrzał na nią, a jego twarz rozjaśnił nagle szczyry uśmiech rozbawienia.

- Czyżbym był arogancki? Zbyt wiele przesądzam?

Laura nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- Nie wiem. Co takiego przesądzasz? Że możesz obejrzeć moją pracę? To nie jest wielka tajemnica, zostawiłam ją w oranżerii i każdy może ją zobaczyć. Josie widziała już ten obraz. Poza tym widziałeś już niektóre z moich szkiców.

- I to cię zaniepokoiło - stwierdził spostrzegawczo Daniel.

- Być może. - Laura wzruszyła ramionami. - Ale jak każdy artysta przywykłam już do tego, że moje prace ogląda się i ocenia.

- Twoje prace użytkowe na pewno. Ale w przypadku malarstwa jesteś bardzo niepewna siebie, prawda?

- Przecież wiesz o tym. - Daniel stał tuż za nią, gdy to samo wyznała podczas swojej pierwszej wizyty. - Ale jeżeli mam odnieść sukces w dziedzinie sztuki nieużytkowej...

Daniel zatrzymał się w drzwiach oranżerii i spojrzął na Laurę.

- To będziesz musiała przywyknąć do jeszcze częstszych ocen?

- I pewnie bardziej się na nie uodpornić. - Uśmiechnęła się. - Krytycy sztuki nie słyną ze zbytniej litości.

- Jeżeli wotum zaufania pomaga, to masz moje. Dostrzegłem w tych szkiecach prawdziwy talent. - Nie dając Laurze czasu na odpowiedź, złożył na jej ustach krótki, ale wcale nie beznamietny pocałunek. Gdy uniosł głowę, uśmiechał się do niej. - Czy mogę obejrzeć twój obraz?

Skinęła głową, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdola mu czegoś odmówić. Chyba jednak znała odpowiedź. Szła obok Daniela, z ręką wciąż w jego dloni, a kiedy dotarli do obrazu przedstawiającego miejsce, którego nie potrafiła nazwać, nadal stała u jego boku. Milcząc, uważnie przyglądał się płótnu, a jego myśli były jak zwykle nieodgadnione. Ciska zdawała się trwać zbyt długo i Laura miała właśnie przysnąć, że nie wie, dlaczego namalowała akurat ten pejzaż, gdy Daniel oświadczył:

- Piękny. Uchwyciłaś spokój i majestat tego miejsca. Ale zapomniałaś o domu.

Laura spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Domu?

Daniel potwierdził skinieniem głowy i wolną ręką wskazał dolny róg obrazu, miejsce w pobliżu jeziora.

- Tutaj. Dom stał tutaj.

- Ty... znasz to miejsce? To znaczy, ono istnieje?

- A myślałaś, że nie? - Uśmiechnął się nieznacznie, gdy na nią spojrział.

- Cóż, skoro malowałam je z wyobraźni... - Laura patrzyła na obraz, marszcząc czoło.

- Pewnie widziałaś gdzieś zdjęcie - rzekł po chwili Daniel. - Może w jakimś magazynie. Takie rzeczy czasami zapadają w pamięć. Czy to ma jakies znaczenie?

Laura nie była pewna, lecz wydawało się jej, że ma.

- To miejsce - gdzie ono się znajduje?

- W Szkocji.

Zaskoczył ją.

- Byłeś tam?

- Tak. Jak powiedziałem, pięknie je uchwyciłaś. To jedno z moich ulubionych miejsc na ziemi. - Odwrócił się i delikatnie przyciągnął Laurę do siebie, puszczać jej rękę, żeby móc wciąć ją w ramiona. - Masz niewątpliwy talent, dokładnie tak, jak myślałem.

Straciwszy pod wpływem jego dotknięcia zainteresowanie obrazem, Laura uświadomiła sobie, że obejmuje Daniela w pasie, i spojrzała nań nieco bezradnie.

- Danielu, nie powinniśmy...

Pocałował ją; jego usta przyłgnęły do warg Laury z leniwą pewnością, która błyskawicznie zmieniła się w natręctwo. Tak szybko i z taką łatwością jeszcze raz rozpalili w niej nieprzyparte emocje i uczucia, jakich doznała na poddaszu. Pragnęła go mocno i bezgranicznie, spychając wszystko inne poza obszar świadomości, i gdyby pociągnął ją na kafelki podłogi u stóp jej intrygującego obrazu, pośród bujnej zieleni oranżerii, nawet słowem by nie zaprotestowała. Lecz Daniel uniosł w końcu głowę, spoglądając na Laurę roznamietnionymi oczyma, z wyrazem napięcia na twarzy. „Chryste” mruknął i zabrzmiało to niczym inwokacja. Przesunął dłońmi po jej pośladkach i przytulił ją mocniej do siebie. Laura wydała z siebie wprawdzie zmysłowy jęk, lecz jednocześnie pokrę-

ciała głową, usiłując stłumić to, co nagle poczuła - i co wy-
czuła w nim.

- Danielu... nie możemy tego zrobić. Nie tutaj. Nie teraz
Josie pewnie wróciła już ze spaceru. Kerry została w pokoju
muzycznym. Amelia i twoja matka mogą wrócić w każdej
chwili. Nie możemy...

Daniel milczał przez pewien czas, jego ręce wciąż wędro-
wały powoli, pieszczotliwie po ciele Laury; czuła znajomy,
łatwy do rozpoznania dotyk wprawnego kochanka.

- Jak dyskretni twoim zdaniem powinniśmy być? - za-
pytał.

Laura uświadomiła sobie, jak często będzie przebywać
w towarzystwie Amelii, dopóki nie ukończy portretu i jak
rzadko zdarzy się jej zostać w domu sam na sam z Danielem,
i dopiero wtedy zrozumiiała, jak trudno będzie im spędzać
wspólnie czas - zwłaszcza biorąc pod uwagę jej niechęć do
sypiania w jego łóżku. Zanim zdołała wymyślić odpowiedź,
Daniel ciągnął dalej.

- Przygodna noc w twoim mieszkaniu? Od czasu do czasu
wykradzione chwile na poddaszu? Spotkania gdzieś w ogro-
dzie, o ile czas pozwoli i będzie sprzyjająca pogoda? Na
prawdę uważasz, że to wystarczy, Lauro? Tobie i mnie?

Laura odetchnęła głęboko.

- Jeśli się nie mylę, Amelia nie będzie zachwycona, jeżeli
dowie się o nas. Zgadza się?

- Dlaczego miałaby nie być?

- Ostrzegęła mnie przed tobą. Dwukrotnie. Wydaje mi się
jasne, że obojętne z jakiego powodu, ale chciała, bym trzy-
mała się od ciebie z daleka. Nigdy by mnie tu nie zostawiła,
gdyby spodziewała się twego wcześniejszego powrotu do do-
mu. I nie udawaj, że o tym nie wiesz.

- Przypuszczalnie masz rację..

- A więc? To oczywiste, że się nie ucieszysz.

Daniel wciąż na nią patrzył, lecz przez moment jego spoj-
rzenie stało się jakies dalekie, a gdy odpowiedział, w jego
głosie pobrzmiewała zaduma.

- Nie wiem. Może się ucieszysz. Ostrzeżenie pod twoim ad-
resem mogło służyć... wywabieniu zwierzyni, że tak powiem.
Trzymaniu nas z daleka od siebie jak najdłużej, żeby wzmóc

napięcie. Podwyższyć je. Pewnie sądziła, że przynajmniej
na pewien czas oderwie moją uwagę, jeżeli będzie cię
trzymać ode mnie z daleka. Laura doznała lekkiego
wstrząsu.

- Oderwie od czego?

Daniel uśmiechnął się lekko.

- Od gier, które prowadzimy. Tylko mi nie mów, że nie
zauważyłaś. - To są gry? Tylko gry?

- A czymże innym mogłyby być?

- Walkę o władzę - powiedziała Laura. - Prawdziwą
walką.

Daniel cofnął się trochę, przesuając dłonie w mniej in-
tymną strefę jej ramion, jakby poskromiono jego namietność
albo też sam chciał ją poskromić. Laura opuściła ręce i spłotła
palece, przypatrując mu się uważnie. Przez chwilę sprawiał
wrażenie człowieka pogrążonego w domysłach, potem zaś je-
go twarz przybrała beznamiętny wyraz.

- Czy to takie zaskakujące? Stan finansów tej rodziny de-
cyduje o wielu rzeczach, z przyszłością wszystkich, którzy tu
mieszkają, łącznie.

- A twoim zdaniem Amelia naraziłaby tę przyszłość na
szwank?

Wydawało się, że Daniel się zawahał, po czym rzekł bez
ogródek:

- Kiedy jedenaście lat temu osiągnąłem pełnoletność, oka-
zało się, że Amelia doprowadziła naszą rodzinę na krawędź
bankructwa. Teoretycznie wszystko wyglądało dobrze, ale
w rzeczywistości za parę lat musielibyśmy wyprzedawać
majątek, żeby nadażyć ze spłatą pożyczek i zobowiązań po
datkowych. Odkąd zmarł mój ojciec, wydała fortunę i niewie-
le zyskała. Jakaś niewiarygodnie kosztowna biżuteria, którą
trzyma w sejfie, wspomnienia z paru podróży dokoła świata,
kilka koni wyścigowych, które nigdy nie wygrały i już nigdy
nie wygrają żadnej gonitwy. Zaniedbała interesy albo podej-
mowała błędne decyzje, inwestowała w niedorzeczne projek-
ty oraz absurdalne wynalazki i wydawała pieniądze, jakby nie
miały żadnej wartości. Nie pozostało mi nic innego, jak una-
ocnić jej fakty.

Laura bez trudu wyobraziła sobie, jak emocjonujące musiało być to odsłonięcie kart, zważywszy na dumę Amelii oraz jej obsesyjną potrzebę panowania nad ludźmi i nad tym co działo się wokół niej, i nie mogła nie skrzywić się dy-skretnie.

- Słyszałam, to znaczy czytałam gdzieś, że Amelia doży-wotnio sprawuje formalną kontrolę nad rodzinną firmą i fi-nansami. Jak mogłbyś ją zmusić do rezygnacji z części tej kontroli na twoją rzecz?

- Testament Davida był bardzo wyraźny; mój dziadek ustanowił swego rodzaju wieczny majątek powierniczy, któ-rym mieli zarządzać różni członkowie rodu, zamiast bezpo-średniej spuścizny, która po jego śmierci przeszłaby w posia-danie i pod całkowitą kontrolę jednego z potomków. Chciał, by Amelia kierowała wszystkim za życia, a po niej nadzór nad majątkiem przejęli potomkowie płci męskiej: mój ojciec, potem ja lub Peter, a następnie mój syn, gdybym go miał. Tak więc Amelii pozostawiono nadzór nad wszystkim, dopóki za-nden z potomków Davida nie zdolałby dowieść, że jest ona złym powiernikiem. Ten warunek stosuje się w równym stop-niu do każdego opiekuna rodzinnego majątku.

Mój ojciec nie interesował się rodzinną firmą i było mu obojętne, jak Amelia wszystkim kieruje. Aż do momentu mniej więcej na miesiąc przed jego śmiercią, gdy coś - nie wiem co - zaniepokoiło go na tyle, że zaczął badać rodzinne finanse. Przypuszczalnie znalazł dowody, że grozi katastrofa, co ja odkryłem dziesięć lat później, albo przynajmniej był tego bliski. Nigdy już się nie dowiem. Zginął. Prawdziwy zbieg okoliczności, nie sądzisz?

- Albo po prostu tragiczny wypadek - odparła spokojnie Laura.

Daniel potwierdził skinieniem głowy.

- Albo po prostu tragiczny wypadek. W każdym razie przedstawiłem Amelii całe mnóstwo dowodów na to, że byle mamym powiernikiem, i zaproponowałem jej wybór. Albo zażądał od sądu odebrania jej nadzoru nad majątkiem, albo sama odda mi stery, nadal, przynajmniej oficjalnie, wszyst-kiem kierując.

- Musiałeś wiedzieć, że będzie to oznaczało rozpoczęcie

walki - zauważyła Laura. - Nie życzyła sobie publicznego upokorzenia, sądowych przesłuchań w sprawie jej kwalifika-cji, ale równie irytująca musiała być dla niej świadomość, że faktycznie to ty sprawujesz nadzór nad rodzinną firmą i fi-nansami.

- Co sprowadza nas z powrotem do gier, które prowadzę z Amelią. Ona nadal posiada pełnomocnictwa, ponieważ nie kwestionowałem tego oficjalnie, i od jedenastu lat bada, jak daleko pozwolę jej się posunąć. Przeważnie drobne sprawy, drobne potyczki o władzę. Uchylanie przez nią stosunkowo mało istotnych decyzji. Pozowanie na szefa podczas posie-dzeń rady powierniczej. Świadome działania wbrew moim życzeniom w drugorzędnych sprawach, I oczywiście kie-rowanie wszystkim żelazną ręką tu, w domu, narzucanie swej woli, gustów i upodobań całej rodzinie.

- A pozostali członkowie? Czy wiedzą, jak naprawdę przedstawia się sytuacja?

- Alex wie. Josie chyba się domyśliła. Jeśli chodzi o resz-tę, to nie. Zakładają, że sprawuję czynny nadzór, gdyż Ame-lia się starzeje, ale mniej lub bardziej stosuje się do jej ży-czeń. Nie wiedzą, że w rzeczywistości sprawuję władzę. To pozór, który Amelia bardzo stara się zachować, aczkolwiek czyni to raczej poza domem. Matki i Kerry te sprawy nie inte-resują, a Anna dostrzega wyłącznie własne problemy, więc Amelia rzadko wojuje tu ze mną. Albo też ja nie wojuję z nią.

- Czy Peter o tym wiedział?

- Dowiedział się, próbując wyłudzić od niej importowany sportowy samochód na swe dwudzieste urodziny - odparł obojętnie Daniel.

- Czy... potem próbował wyłudzić go od ciebie?

- Nie. Wiedział, że i tak nic nie wskóra. Oczekiwałem, że będzie żył ze swojej bardzo wysokiej pensji, co dałem mu wyraźnie do zrozumienia.

Usiłując sobie to wszystko uporządkować, Laura powie-działa powoli:

- Skoro podejrzewasz, że Amelia miała coś wspólnego ze śmiercią swego męża i twojego ojca, czy nie obawiasz się, iż mogłaby spróbować pozbyć się również ciebie?

- Mówiłem ci już, że tak naprawdę nie sądzę, by zabiła Davida - przypomniał jej Daniel.

- Owszem. A ja ci nie uwierzyłam.

Ku zaskoczeniu Laury Daniel uśmiechnął się.

- W porządku. Powiedzmy zatem, że jestem zwolennikiem ostrożności, przynajmniej do pewnego stopnia. Amelia bardzo dobrze wie, iż zdeponowałam u moich prawników dużą kopertę, którą mają otworzyć w wypadku mojej śmierci - z przyczyn naturalnych bądź innych. W testamentcie Davida nie jest nigdzie napisane, że jego potomek nie może dowieść po swej śmierci, że Amelia źle opiekuje się powierzoną mi majątkiem, i ona o tym wie.

Na myśl o tym, że Daniel mógłby zginąć, Laurze aż ciarki przeszły po grzbiecie. Była wstrząśnięta siłą tego doznania. Usiłując nie myśleć o tym, zapytała:

- Co by się stało w takim wypadku?

- Chodzi ci o to, kto przejąłby kontrolę, gdybym umarł bezpotomnie? Wtedy jedynym żyjącym potomkiem Davida byłaby Anna. Nadzór nad majątkiem powierczym przeszedłby na linię kobiecą. Gdyby Anna nie chciała wszystkim zarządzać, a z pewnością nie chciałaby, decyzyje w sprawach firmy i finansów rodziny podejmowałby zespół doradców finansowych i rodzinnych prawników. Trwałoby to do czasu, aż dziecko Anny osiągnie pełnoletność i przejmie władzę. Jeżeli Anna umarłaby bezpotomnie, umowa powiercza wygasła i wszystko dziedziczy Alex.

- Jako jedyny żyjący Kilbourne?

- Tak zdecydował David. - Daniel wzruszył ramionami, dodając: - I w ten sposób wracamy do punktu wyjścia, czyli do tego, jak Amelia potraktowałaby nasz związek. Pamiętajtasz?

- Aż tak daleko nie odbiegliśmy od tematu - odparła półgłosem Laura.

Daniel zacisnął dłoń na jej ramionach, ale nie przyciągnął jej do siebie.

- Może i nie. Po prostu wyjaśnienie, dlaczego Amelia może być z tego zadowolona, trochę trwało. W każdym razie myślę, że nie jest to wykluczone.

- A jeżeli nie będzie zadowolona? - Laura spojrzała na

niego spokojnie. - No i co z resztą twojej rodziny? Wiesz, że moja sytuacja jest niezręczna. Jeżeli nawet pozostali wierzą, że nie zabiłam Petera, to przecież podejrzewano mnie o to oraz o to, że byłam jego kochanką. Po czym po kilku dniach... łąduję w twoim łóżku? Chryste, nawet mnie wydaje się to okropne.

W tym momencie Daniel jednak przyciągnął Laurę do siebie.

- Nieważne, jakie się wydaje. Ważne, jakie jest.

Laura wstrzymała oddech, unikając jego głębokiego spojrzenia.

- Przestań.

- Dlaczego? Bo nie potrafisz trzeźwo myśleć? Bo nie potrafisz być rozsądna i racjonalna? Ja też nie potrafię. - Tak jak wtedy, na poddaszu, Daniel ujął twarz Laury w dłoń, by zmusić ją do spojrzenia na niego. - Pragnę cię, Lauro. Pragnęłam cię od chwili, gdy na ciebie spojrziałem. I naprawdę wszystko mi jedno, kto o tym wie.

Laura bezwiednie wsparła dłoń na piersi Daniela. Czuliła intensywność jego uczuć, jego zdecydowanie, i siła owego doznania była niemal przytłaczająca. Niemal.

- Potrzebuję po prostu trochę czasu. - Mimo usilnych starań jej głos drżał i wiedziała, że to słychać. - Danielu, proszę cię. Wszystko stało się tak szybko, że...

Pocałował ją z zaskakującą delikatnością i kiedy znów uniosł głowę, zniknęła gdzieś intensywność uczuć - albo została zamaskowana. Uśmiechał się nieco ponuro.

- Chyba przychodzi mi płacić za jedenaście lat zmagania z Amelią. Jakos nie potrafię się powstrzymać od prób postawienia na swoim. Przepraszam. Oczywiście potrzebujesz czasu, żeby się z tym oswoić, wiem. Sądzę, że uda się nam za chwilę dyskrecję, przynajmniej przez pewien okres.

Laura była trochę zaskoczona, ale wdzięczna, że ustąpił.

- Myślę po prostu, że... każda następna kropla mogłaby przelać czarę goryczy w tej rodzinie. I nie chcę być tą kroplą.

Daniel pogładził ją pieszczotliwie po policzkach i puścił.

- Nie jesteśmy aż tak delikatni, jak myślisz, ale mniejsza o to. Zachowanie dyskrecji to przypuszczalnie dobry pomysł.

Sluchaj, robi się późno, a muszę jeszcze zadzwonić do paru osób. Może więc pozwolę ci spokojnie malować?

Laura skinęła głową, czując smutek, gdy odrywała dłonie od jego piersi. Dopiero gdy się odwrócił i ruszył do drzwi powiedziała:

- Danielu?

Zatrzymał się i obejrzał, unosząc pytająco brwi.

- Powiedziałeś, że Amelia mogła mnie ostrzec, żeby... wywabić zwierzyńnię. Żeby jak najdłużej trzymać nas z dala od siebie, żeby oderwać twoją uwagę. Skąd wiedziała? To znaczy, skąd mogła mieć taką pewność, że w ogóle mnie przagniesz? *Bo ja nie miałam o tym zielonego pojęcia.*

Daniel uśmiechnął się blade.

- W tym domu tajemnice mają krótki żywot. Warto o tym pamiętać. Zobaczymy się przy kolacji.

Patrzyła za nim, marszcząc brwi, zmagając się z niepokojącą świadomością, że być może tego popołudnia Daniel wykonał ruch najważniejszą figurą w całej grze. Czy po to właśnie poszedł za nią na poddasze? Pragnął jej, owszem, nie miała co do tego wątpliwości, ale nie byłby pierwszym mężczyzną łączącym przyjemny podbój erotyczny z osiągnięciem zamierzonego celu. I choć jego wyjaśnienie przyczyn walki o władzę z Amelią brzmiało szczerze, Laura była pewna, że chodzi o coś więcej. Między nimi działo się coś jeszcze, coś o wiele bardziej niebezpiecznego, niż Daniel był skłonny przyznać.

A Laura wciąż czuła się zwykłym pionkiem.

Gdyby się dowiedziała, iż miłosne interludium na poddaszu i wszystko, co stało się później, to tylko środek, by dotrzeć do celu, rozmyślnie posunięcie Daniela, zapewnijające Bóg jeden wie jaki wynik w jego walce z Amelią, byłaby zdruzgotana. Tego rodzaju historia mogła zniszczyć każdą kobietę, szczególnie jeżeli darzyła manipulującego nią mężczyznę zbyt silnym uczuciem...

Zepchnęła to wszystko w głąb świadomości i wróciła do malowania, rozpaczliwie spragniona czegoś - czegokolwiek - co chociaż na pewien czas odwróciłoby jej uwagę. Utkwiła spojrzenie w dolnym rogu płótna, gdzie Daniel wskazał miejsce zapomnianego domu, i po chwili sięgnęła

po farby i pędzel. Kiedy próbowała rozstrzygnąć, jaki dom pasuje do miejsca nad jeziorem, jej umysł był irytująco nieprzydatny. W końcu odetchnęła głęboko i na chwilę zamknęła oczy, po czym po prostu zanurzyła pędzel w farbie i zaczęła malować zupełnie bez zastanowienia.

Pod pędzlem mały szary dom nabierał kształtu. Dom z kamienia. Miał kryty strzechą dach, a z kamiennego komina snuł się dym. Zdąła sobie sprawę, że jest tam mały ogród, niemal całkowicie ukryty za domkiem; widać było zaledwie jego skraj, a także stertę drewna z boku. Była też ścieżka biegnąca do jeziora, dokąd kilka razy dziennie chodziło się czerpać wodę. I druga, znacznie węższa, która prowadziła przez las do najbliższych, oddalonych o wiele mil sąsiadów. Z tej strony nie było też widać stajni, które znajdowały się za tą wielką skatą...

Laura potrząsnęła głową, nieco oszołomiona, i spojrzała na obraz. Znam to miejsce. Byłam tam. Ale jak to możliwe, skoro znajdowało się w Szkocji?

- Cześć, Lauro. Ejże, nie chciałam cię przestraszyć.

Laura spojrzała na Josie i zdolała się uśmiechnąć, opamiętując wzruszenie. *Robią się cholernie nerwowa.*

- Czasami moja wyobraźnia niesie mnie... bardzo daleko. Dopiero wracasz ze spaceru? Myślałam, że już dawno jesteś. Josie uśmiechnęła się.

- Musiałam przemyśleć parę spraw, więc po prostu siedziałam w altanie. Dopiero parę minut temu, gdy spojrzałam na zegarek, uświadomiłam sobie, jak długo tam byłam. Amelia już jest?

- Nie sędzę. Nie widziałam jej.

- To dobrze. Pewnie będę mieć sporo pracy, gdy już dotrze do domu. - Josie spojrzała na obraz. Jeźeli nawet pomyślała, że Laura, domalowując kamienny domek, niewiele zdziałała od lunchu, nic nie powiedziała. Zauważyła tylko:

- Podoba mi się ten dom. Wygląda na stary, ale solidny.

- Po... pomyślałam, że w tym rogu czegoś brakuje - zdołała tylko wyjąkać Laura.

- Chyba słusznie. Za to teraz obraz jest doskonały. - Josie uśmiechnęła się. - Moim zdaniem jesteś gotowa do rozpoczęcia portretu Amelii.

- Nie czuję się jeszcze gotowa - wyznała Laura.
- Josie roześmiała się.
- Wierz mi, kiedy masz do czynienia z Amelią, nie myślisz o tym - po prostu to robisz. Poradzisz sobie, Lauro. A portret będzie świetny.
- Dzięki.
- Nie ma za co. A teraz zechciej mi wybaczyć, pójdę do biblioteki, gdzie będę jakby nigdy nie pracować, gdy Amelia dotrze do domu.
- Rozumiem cię. - Laura nie miała zamiaru o nic pytać, ale zanim Josie zdążyła ją minąć, pytanie samo wyrwało jej się z ust. - Josie? Czy Daniel wyjeżdżał kiedyś za granicę? Josie stanęła, na jej wyrazistej twarzy malowało się przez chwilę zaskoczenie.
- Parę lat temu pojechał w interesach do Hongkongu. I to chyba wszystko.
- Nigdy nie był w Szkocji?
- Do wyrazu zaskoczenia na twarzy Josie dołączyło zaciekawienie. Pokręciła głową.
- Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Na pewno nie za mojej bytności tutaj. Czemu pytasz?
- Bez konkretnego powodu. Chodzi po prostu... o coś, co kiedyś powiedział. Nic ważnego.
- Josie nie wyglądała na szczególnie przekonaną tym ostatnim stwierdzeniem, ale wzięła je za dobrą monetę.
- W porządku. Do zobaczenia na kolacji.
- Do zobaczenia.
- Laura wróciła do obrazu, udając zaabsorbowanie, kiedy jednak znowu znalazła się sama w oranżerii, przestała grać. Była tak skolowana, że nawet nie potrafiła jasno myśleć, i całe jej zniechęcenie i niepokój znalazły ujście w jednym, wypowiedzianym półgłosem pytaniu:
- Niech cię diabli wezmą, Danielu Kilbourne. Co ty próbujesz mi zrobić?

technienia, trochę czasu, zanim delikatna równowaga panująca w tym domu znowu zostanie naruszona.

Z wyrazem dezaprobaty Daniel spoglądał na sterłą sprawozdań finansowych leżących na jego biurku, ledwie świadom obecności Josie pracującej spokojnie w drugim końcu pokoju. Czy wyjawiał Laurze zbyt wiele, mówiąc o swojej walce z Amelią? Trudno było to ocenić. Być może popełnił falstart, ale miał pewność, że Laura przeszła już na jego stronę - i to nie tylko dlatego, iż zostali kochankami.

Kochankowie. Czuł, że na samą myśl o tym oddycha głębiej, że serce łomocze mu w piersi. Zamknął oczy, wspominając odbicie Laury w lustrze w chwili, gdy obserwowała, jak do niej podchodzi. Była wstrząśnięta, wyczytał w jej oczach, że go poznaje i pragnie. Nie było w nich wahania. Zareagowała natychmiast, ujęła go swą słodką tęsknotą. Jej zmysłowość zaparła mu dech, zaćmiła umysł.

Oddychał powoli. Natrętny, podniecający zapach Laury był tak realny, jakby Daniel znalazł się z powrotem na poddaszu i czuł na ustach i pod palcami ciepły jedwab jej ciała. Spoglądał w zielone oczy, rozświetlone gorącym pragnieniem. Słyszał swoje imię wypowiedziane głosem ochryplym z namiętności.

Dobry Boże, to było tak dawno...

- Danielu?

Otworzył oczy i skupił wzrok na leżących przed nim dokumentach. Odetchnął powoli. Kiedy uniósł głowę i spojrzął na Josie, był już opanowany.

- Słucham? - Tylko Laura mogła wprowadzić go z równowagi. Tylko ona.

- Dobrze się czujesz? Wyglądałeś trochę... dziwnie.

Przez chwilę był ciekaw, co Josie dostrzegła w jego twarzy, ale nie chciał pytać. Nie obawiał się, że coś wie lub czegoś się domyśla. Josie była dyskretna i tak samo nie powiedziała o jego sprawach Amelii, jak nie zdradziła by spraw Amelii jemu. Zresztą miała teraz swoje własne zmartwienia i własne sekrety.

- Nic mi nie jest - odparł.

Josie skinęła trochę niepewnie głową, po czym odsunęła krzesło od biurka i wstała.

- Postanowiłam po prostu ci przypomnieć, że jest już prawie piąta. Ponieważ Amelia odpoczywa na górze, obiecałam jej, iż dopilnuję przygotowań do kolacji.

Daniel pokiwał głową.

- W porządku. Ja chyba też skończę na dzisiaj. - Nie żeby zrobił cokolwiek przez cały ten czas, gdy tu siedział, ale bycie szefem miało kilka zalet i jedną z nich było to, że nikt nie zaglądał człowiekowi przez ramię, by sprawdzić, czy wydatnie pracuje.

Odczekał kilka minut, dając Josie czas na sprawdzenie stanu przygotowań do wieczornego posiłku i przejście do sypialni, po czym zamknął sprawozdania w środkowej szufladzie biurka i wyszedł z biblioteki. W przeciwieństwie do Josie nie wyszedł powitać matki i Amelii, gdy wróciły przed godziną, a powitanie z Alexem, który przyjechał niedawno, było bardzo krótkie. Ponieważ z pokoju muzycznego nie dolatywały żadne dźwięki, założył, że Kerry przygotowuje się na górze, podobnie jak pozostali domownicy.

Szedł po schodach, zastanawiając się, czy Anna pokaże się tego wieczoru, czy też nadal będzie się pojawiać i znikać niczym nieszcześliwe widmo, unikając ich wszystkich. Daniel współczuł jej trochę, ale wiedział, że sama wpędziła się w większą kłopotów. Czasami gniew i oburzenie pozbały ją rozsądku i nie było chyba nic zaskakującego w tym, że kąsała każdą wyciąganą ku niej dłoń. Z wyjątkiem ręki Petera, którą najwyraźniej przyjęła...

Dotarłszy na piętro, Daniel zatrzymał się i spojrzął na drzwi apartamentu Laury. W części głównej domu mieszcili się cztery apartamenty gościnne, a Amelia ulokowała Laurą w tym, który musiał mijać, ilekroć szedł do swojej sypialni. Zbieg okoliczności? Chyba nie. Kilkaset lat temu ta starszka byłaby świetnym inkwizytorem, pomyślał z ponurym rozważeniem. Doskonale rozumiała, jak torturować swoje ofiary, nie przelewając ani kropli krwi.

Daniel zamierzał tylko przejść obok apartamentu Laury i udać się do siebie, ale kierowany impulesem zapukał cicho do jej drzwi.

Laura otworzyła po chwili, nieco zarumieniona i mokra; właśnie wyszła spod prysznicza. Jej wspaniałe włosy zwisały

luźno wokół ramion, a jedwabny zielony szlafrok lgnął czule do szczupłego ciała. Zanim Daniel zdążył wykrztusić choć słowo, serce zabiło mu pospiesznie kilka razy. Gdy się odezwał, nie był wcale zaskoczony, że jego głos brzmiał chrapliwie.

- Dobrze się czujesz?

Laurę zdziwiła jego obecność i to pytanie. Zerknęła przeczornie na korytarz i dopiero potem zapytała:

- A czemu miałoby być inaczej?

Słuszne pytanie.

- Mogę wejść na chwilę? - Widząc, że się waha, Daniel dodał cicho: - Nikt się nie dowie. Wszyscy ubierają się w swoich pokojach.

Laura cofnęła się, otwierając drzwi dostatecznie szeroko, by wszedł do salonu, a potem zamknęła je za nim. Nie odsunęła się od drzwi, tylko stała przy nich, nieco sztywna. Była zdenerwowana i to nie spodobało się Danielowi.

Zbliżywszy się do niej, uniósł rękę, by dotknąć jej policzka, i rzekł:

- Nie patrz tak na mnie. Czemu się mnie boisz? Co ja ta kiego zrobiłem?

Laura zawahała się, w jej zielonych oczach, utkwionych badawczo w twarz Daniela, kryła się niepewność.

- Nic - odparła, kręcąc głową. - Odkład wszyscy wrócili do domu, zrobiłam się jakaś nerwowa. - Uwolniła się od Daniela i przeszła na drugi koniec salonu, zatrzymując się dopiero przed złoconym zwierciadłem, wiszącym nad gustownym stolikiem.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze i Daniel ruszył bezwiednie w jej kierunku. Gdy znalazł się przy niej, położył ręce na jej biodrach i powoli przyciągnął do siebie. Jego dłonie sunęły po jej płaskim brzuchu, czuła ciepłe i zmysłowe muśnięcia jedwabiu na swej skórze. Daniel obserwował, jak jej odbite w zwierciadle oczy ciemnieją, jak rozchylają się wargi; był ciekaw, czy Laura wyczuwa bicie jego serca. Wiedział, że czuje jego pożądanie.

Pochylił głowę i przywarł ustami do jej ramienia, a potem zbliżył twarz do szyi, wdychając jej niepowtarzalny zapach. Zapytał półgłosem:

- Czy jesteś na mnie zła, bo kochał się bez zabezpieczeń? - Gdy uniósł głowę, dostrzegł iskrę zaskoczenia w pościelonych oczach Laury i pomyślał, że w ogóle nie brała tego faktu pod uwagę.

- Stosuję pigułkę - odparła po chwili, nieco ochryplym głosem.

- Nie odpowiedział na moje pytanie. - Daniel powoli ocierał brodą o puszyste włosy Laury, obserwując uważnie jej twarz w lustrze.

- Nie jestem zła - powiedziała w końcu. - W ogóle... o tym nie myślałam.

- A teraz, gdy już pomyślałaś? Jeśli chcesz, możemy stosować dodatkowe zabezpieczenie. Ale i tak nie masz powodów do obaw. Nie jestem niczym zarażony. Poza toba.

Jej oczy znowu się roziskrzyły, ale tym razem Laura nakryła dłońmi ręce Daniela, spoczywające tuż pod jej biustem.

- Ja też jestem zdrowa, więc chyba oboje możemy spać spokojnie.

- To dobrze. - Daniel nie musiał patrzeć na zegar na gzymsie kominka, by widzieć, że czas ucieka, nie chciał jednak puścić Laury.

- Pewnie zależy ci na punktualnym pojawieniu się na kolarcji? - zapytał z wymuszoną beztróską.

Laura uśmiechnęła się.

- Nie, nie zależy. Ale przypuszczalnie Amelia nabrałaby podejrzeń, gdybyśmy oboje się spóźnili, nie sądzisz?

- Niech to szlag. - Daniel obrócił Laurę tak, by móc ją pocałować. Nie zdołał zaspokoić tym żądy; smak ust chanki tylko nasilił ból niespełnienia. Nie wiedział jednak, kiedy znowu będzie mógł ją trzymać w ramionach i całować, i nie mógł przepuścić takiej okazji.

Gdy wreszcie uniósł głowę, oboje oddychali w nierównym rytmie; ujrawszy blask pożądania w jej oczach, omal nie zaniósł jej do sypialni i nie odesłał Amelii do wszystkich diabłów. Lecz właśnie wtedy zegar cicho wybił połowę godziny i ów odgłos rzeczywistości przywrócił Danielowi przytomność umysłu.

Z trudem uwolnił się z objęć Laury.

- Lepiej już sobie pójdę. Upewnij się, czy nikogo nie ma na korytarzu.

Laura skinęła głową i podeszła do drzwi. Otworzyła je ostrożnie i wyjrzała na zewnątrz, by się przekonać, że nikt nie zobaczy, jak wychodzi z jej pokoju, po czym cofnęła się i powiedziała nieco ochryplym głosem:

- Pusto.

- Wykradać się, i to w moim wieku. Gdyby ktoś inny zażądał tego ode mnie... - Pocałował Laurę po raz ostatni, niechętnie poddając się konieczności, po czym wymknął się na korytarz i ruszył do swojego mieszkania.

Kiedy mijał mieszkanie Alexa, drzwi się otworzyły i prawnik wyszedł na korytarz. Nieco zaskoczony spojrzął na Daniela i rzekł:

- Spóźniłeś się. Już prawie szósta.

- Straciłem rachubę czasu - odparł Daniel.

Alex rozejrzał się szybko i powiedział ścisłym głosem:

- Dobrze, że cię spotkałem. Musimy pogadać.

- Odkryłeś coś?

- Być może. Sam będziesz musiał ocenić.

- Czy to pilne?

Alex w zadumie zacisnął usta.

- No cóż, nie bardziej niż nasz problem. Sądzę, że można by z tym poczekać do jutra.

- W porządku. Możesz się stąd wyrwać jutro rano?

- Jasne. A ty? - zapytał Alex.

Daniel postanowił uznać, że kuzynowi chodzi o harmonogram jego zwykle pracowitych sobotnich ranków, a nie o bardziej osobiste plany - choć ni to uśmiech, ni to grymas Alexa uswiadomił mu, że najwyraźniej nie umie skrywać swych uczuć tak dobrze, jak mu się wydawało. Albo też Laura zostawiła na jego twarzy jakiś widoczny dla wszystkich ślad.

- Mam trochę czasu koło dziesiątej - odparł spokojnie. - Gdzie możemy się spotkać?

- Najlepiej w moim biurze. Chciałbym ci coś pokazać.

Daniel poczuł przyspieszone bicie serca i spojrzął na Alexa zmużonymi oczyma.

- Coś, co możemy wykorzystać?

Alex nie był skory do wyjaśnień.

- Jak mówilem, sam będziesz musiał to ocenić.

Daniel zbyt dobrze znał młodszego kuzyna, by nalegać, więc tylko skinął głową i poszedł do siebie. Rozebrał się pospiesznie i wszedł pod prysznic; trząsał się pod niemal lodowatą wodą, lecz nie próbował regulować temperatury. W jego wieku zimny prysznic i tak niewiele pomógł.

Kąpiel i ubieranie się zajęły mu niespełna dziesięć minut, Przy okazji jeszcze się ogolił; miał dość gęsty zarost i nie chciał, żeby Amelia zauważyła, iż wyjątkowo nie pozbył się popołudniowego cienia na swej twarzy. Zrobił to jednak na tyle szybko, że gdy wchodził do salonu na parterze, stary zegar szafkowy w foyer właśnie wybijał godzinę.

Przyszedł ostatni, nie licząc Anny, która według wszelkiego prawdopodobieństwa w ogóle nie miała zamiaru się zjawić.

- Napijesz się? - Alex znów odgrywał rolę barmana.

- Szkołkiej. - Wziął szklankę i podziękował skinięciem głowy, wodząc wzrokiem po pokoju. Nie zatrzymał go na Laurze, chociaż wymagało to ogromnego wysiłku. Rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że Laura stoi za sofą w pobliżu okna, zwrócona, jak poprzednio, twarzą do reszty obecnych i jak poprzednio ostrożna. I że nosi zaskakującą u rudowłosej kobiety, lecz świetnie wyglądającą ognistoczerwoną suknię o dość orientalny kroju - tubę z wysokim kołnierzem i bez rękawów. Sądząc po tym, jak tkanina mieniła się przy każdym ruchu Laury, musiała być uszyta z jedwabiu, a egzotycznym w wzorze absolutnie zmysłowego. Włosy miała upięte, a perły w uszach były jedyną ozdobą.

Nie potrzebowała niczego więcej.

Daniel stanął jak zwykle przy kominku. Zamienił parę słów z matką i Amelią, przywitał się ogólnie z resztą domowników. Jakże to niezwykle, pomyślał, że potrafię sensownie składać słowa, a w dodatku zachowuję się na tyle normalnie, że chyba nikt nie zauważył we mnie żadnej zmiany.

- Wszyscy opowiedzieli mi już, jak minął im dzień, Da nielu - powiedziała Amelia. - A jak ty spędziłeś swój?

Nie miał pojęcia, czy babka dowiedziała się, że wrócił do domu nadspodziewanie wcześniej, i rzekł tylko:

- Jak zwykle pracowicie. Prawdę mówiąc, jutro rano znowu muszę pojechać do miasta.

- Pracowujesz się, mój drogi - zauważyła machinalnie Madeline.

- Czuję się świetnie, mamo. - Daniel spojrział na nią, po raz kolejny zastanawiając się, jak mogła być tak stereotypowa i zarazem tak zagadkowa. Rolę matki grała bardzo dobrze, wypowiadając właściwe słowa we właściwych momentach i bolejąc gwałtownie nad śmiercią swego syna. Nie zauważył jednak, by bolała nad utratą męża. Mnie też by nie optakowała, gdybym odszedł z grona żywych, pomyślał obojętnie. O ile się orientował, Madeline Kilbourne nikogo w swym życiu nie darzyła głęboką miłością - z wyjątkiem Petera.

Wiedział o tym od dzieciństwa i to nieskrywane odrzucenie mogło pozostawić zadrgę w jego sercu, lecz już w bardzo młodym wieku zdał sobie sprawę, że to nie jemu czegoś brakuje. Z jakiegoś powodu w sercu Madeline starczało miejsca tylko na jedną miłość, poza miłością własną, i z jakiegoś powodu tym wybrańcem okazał się jej młodszy syn. Mąż i Daniel słyszeli z jej ust wszystkie należne im słowa i widzieli na jej twarzy wszystkie należne im uśmiechy, lecz żaden nie brał ich za dobrą monetę.

- Przynajmniej weekendy powinien mieć wolne - powiedziała teraz, spoglądając nań z niespokojnym uśmiechem; gdyby nie mglistość jej spojrzenia, wywołana zażywaniem środków uspokajających, ich oczy byłyby identyczne.

- Będę pracował tylko do południa - obiecał. Wiedział, że matce to wystarczy, i tak też się stało; z powrotem zapadła w milczenie i pogrążyła się w spokojnym narkotycznym odrętwieniu.

Daniel popatrzył w kierunku drugiej sofy, gdzie siedzieli Kerry i Josie. Nawet ukradkowe spojrzenie na przypominającą nieruchomy płomień Laurę wystarczyło, by poczuł, jak trawi go ogień podniecenia. Zupełnie daremny był zimny prysznic.

W tym momencie usłyszał głos Laury, bardziej ochryple niż zwykle, a może tylko tak go odbierał w swej rozgorączkowanej wyobraźni.

- Kerry, co to był za utwór, nad którym pracowałaś całe

popołudnie? Znam go, ale nie mogłam sobie przypomnieć tytułu.

- Głównie *Sonata księżycowa* Beethovena - odparła Kerry - Piękna. Dom był taki cichy i miałam wrażenie, że muzyka go wypełnia. Bardzo spokojna.

- Pomogła ci w malowaniu? - zapytała Josie, spoglądając z uśmiechem przez ramie.

- Nie wiem, czy cokolwiek mogłoby mi w tym pomóc - odparła Laura, śmiejąc się cicho. - Ale dzięki niej moja... frustracja była trochę mniej dotkliwa.

- Możesz zagrać dla nas po kolacji - oświadczyła Amelia.
- Oczywiście, Amelio. - Jeżeli nawet Kerry nie lubiła, gdy obarczano ją zapewnieniem wieczornej rozrywki, w jej pozabawionym wyrazu miłym uśmiechu i łagodnym głosie nie było oznak niezadowolenia.

- Czy ktoś ma jakieś wieści od Anny? - zapytał Alex, wsparty o kanapę koło Madeline.

Twarz Amelii wyglądała niczym wykuta z kamienia, ale starsza pani nie zganiała Alexa.

- Dziś po południu widziałam, jak wchodziła, a potem wychodziła z domu - odważyła się odpowiedzieć Kerry. - Biedactwo, jest bardzo nieszczyśliwa.

Amelia spojrzała na nią i powiedziała trochę oschle:

- Przyznam, że jesteś bardzo wielkoduszna.

- Dlatego, że nie obwiniam Anny? - Uśmiech Kerry nie zmienił się, pozostał delikatny i spokojny. - Cokolwiek zaśzło między Anną a Peterem, nie było w tym jej winy.

Daniel popatrzył na swą bratową z pewnym zaskoczeniem, ponieważ po raz pierwszy, odkąd pamiętał, Kerry zarzuciła coś mężowi. Prawdę mówiąc, w tym domu rzadko słyszało się krytyczne opinie o Peterze i Daniel był przekonany, że Amelia nie zignoruje tej uwagi. Nie mylił się.

- Sądzisz, że Peter ją uwiódł? - warknęła.

Kerry nie podniosła głosu nawet o jeden ton.

- To oczywiście, Amelio.

- Dlaczego tak uważasz?

- Dlatego, że zawsze uwodził kobiety. Był typem łowcy. Lubił kolekcjonować trofea. Nigdy nie posługiwał się bronią palną, ale przypuszczalnie nieraz zadawał rany. Anna była dla

niego tylko kolejnym trofeum. Kobieta, która go zabiła, tak-że - Kerry zawahała się, po czym dodała: - Jeżeli oczywiście to była kobieta.

Po tym druzgocącym podsumowaniu chyba nikt w salonie nie był w stanie nic więcej powiedzieć, nawet Amelia nie odważyła się podjąć takiej próby. Jeśli chodzi o Madeline, po prostu niczego nie słyszała - czy to z powodu środków uspokajających, czy dlatego, że po prostu postanowiła nie słuchać.

Daniela zaskoczyło powtórzone dwukrotnie przez Kerry słowo trofeum, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Usłyszeli głuchy stuk zatraskiwanych drzwi frontowych, pospieszne kroki i w drzwiach ukazała się Anna. Natychmiast weszła do środka i stanęła koło Daniela, skąd mogła wszystkich widzieć i gdzie była dla wszystkich widoczna.

Rozejrzała się, unosząc wyzywająco podbródek, i oznajmiła:

- Właśnie widziałam się z Brentem Landrym. Twierdzi, że nie ma żadnych dowodów przeciwko mnie. Słyszycie? Taksówkarz zeznał, że widział Petera żywego i w dobrym zdrowiu, gdy wychodziłam z motelu, a Brent uważa, że nie mogłabym później wrócić tam w odpowiednim momencie. Jestem więc niewinna. Nie zabiłam Petera.

Szczerze mówiąc, Daniel nigdy nie sądził, by Anna była zdolna zabić, a przynajmniej nie w taki sposób, w jaki to zrobiono, i z ulgą dowiedział się, że wykluczono ją z grona podejrzanych. Potrafił jednak logicznie myśleć i nie mógł się oprzeć refleksji, iż wobec zeznań taksówkarza krąg potencjalnych zabójców bardzo się zmniejszył. Któż zatem zjawił się w motelu po odjeździe Anny i zaszytował ubranego już Petera?

- Możecie więc przestać gadać o mnie za moimi plecami - powiedziała zapalczywie Anna.

Daniel czekał, aż Amelia zwróci jej uwagę, że to wykluczyło tylko jeden z grzechów, o których popelnienie ją podejrzewano, ale jak się okazało, starsza pani nie była tego dnia w nastroju do awantur. Jej odpowiedź była stonowana.

- Nie rozmawialiśmy o tobie, Anno, ale cieszy mnie fakt, że już cię nie podejrzewają. Może teraz przestaniesz nas unikać. Mam nadzieję, że chcesz zasiąść z nami do kolacji.

- Nie jestem odpowiednio ubrana - odparła Anna, zaskoczona słowami babki.

Wzrost Daniela wyglądała tak jak zawsze, toteż nie zdziwił się, gdy Amelia zbyła ów wymuszony sprzeciw machnięciem ręki i powiedziała:

- Wyglądasz świetnie. Idziemy?

Oto, jak bezbolesnie dokonał się powrót Anny na łono rodziny. Nikt nie zgłaszał zastrzeżeń. Nikt nawet tego nie skomentował.

Pozostali, z ujarzmioną Anną włącznie, poszli za przykładem Amelii, wstając i opuszczając salon. Ponieważ Laura wychodziła razem z Josie i Kerry, Daniel nie miał okazji porozmawiać z nią na osobności. Nie żeby wiedział, co jej powie. Zapewne palnąłby jakieś głupstwo, na przykład pytając bez powodu, czy dobrze się czuje.

Aż do końca kolacji miał przytłaczającą świadomość, że Laura siedzi dwa krzesła dalej. Prawie nie zauważał podejmowanych przez Annę prób nawiązania rozmowy z uśmiechniętą, lecz sztywną Kerry. Ledwie słyszał Alexa, Josie lub Madeline. Kiedy jednak Laura odpowiedziała na jakieś pytanie Amelii, słyszał każde słowo, każdą modulację głosu.

A gdy potem wszyscy przenieśli się do pokoju muzycznego, aby posłuchać gry Kerry, znalazł kąt, w którym Amelia nie mogła go zobaczyć, a pozostali nie zwracali nań uwagi, a z którego mógł bez trudu obserwować Laurę. Widział, że ona czuje jego wzrok, choć nie spojrzała nań ani razu. Gdy powolny rytm *Sonaty Księżycowej* wypełnił pokój, patrzył na nią i wspominał miłosne interludium na poddaszu.

Laura oczywiście wyczuwała wzrok Daniela. Może nawet wyczuwała jego myśli. Widział, jak jedwab na jej piersiach migocze przy każdym coraz szybszym oddechu, widział, jak twarz nabiera rumieńców. Obserwował, jak rozchylają się jej usta i jak spłata dłonie na kolanach. Znajdował się zbyt daleko, żeby to dostrzec, ale wiedział, że pod bładą skórą na jej szyi krew pulsuje coraz szybciej.

Skoro do dzisiaj z trudem opierał się chęci kontaktu z Laurą, to jak można było teraz oczekiwać, że wyprze się pożądania, jakie w nim budziła, lub je zignoruje? Ten dzień pozwolił mu tylko zaznać smaku, a to nie mogło go zadowolic.

Dyskrecja? Chryście, jak długo będę w stanie to ukrywać?
Niedługo.

Zastanawiał się, czy Laura w ogóle zdaje sobie sprawę, jak trudno mu było nie wyciągać do niej ręki, ilekroć ją widział, nie dotykać jej dłoni, twarzy lub lśniących włosów. Jak trudno było usiedzieć w jednym pokoju, gdy wiedział, że ona jest gdzieś w domu. Pragnął, by była przy nim, chciał na nią patrzeć i dotykać jej. Musiał. Właśnie dlatego pozwolił Amelii wprowadzić Laurę do ich domu, chociaż rozsądek ostrzegał go przed ceną, jaką chcąc nie chcąc, może zapłacić za lekkomyślne pragnienie bliskiego kontaktu z tą kobietą.

Z trudem oderwał wzrok od Laury i spojrzał na Amelię, jak zawsze wyprostowaną i opanowaną, niewrażliwą na jego niepoahamowane emocje.

A ty, Amelio? Czy po prostu próbujesz odwrócić moją uwagę? Untemożliwić mi odkrycie prawdy? Czy dlatego ją tu sprawadziłaś? Czy też knujesz coś jeszcze? Co naprawdę wiesz o tym lusterku? Wszystko - czy tylko trochę? A jeżeli wiesz wszystko, jak masz zamiar wykorzystać tę wiedzę przeciw mnie?

Jak chcesz mnie zniszczyć, nie ryzykując utraty władzy, którą tak bardzo kochasz?

Daniel odetchnął bezgłośnie i niewidzącymi oczami spojrzął w stronę fortepianu. Przecież robił wszystko, co w jego mocy. Działal najszybciej, jak mógł. Cóż innego mu pozostało?

Staral się odsunąć na bok dręczące go pytania i usiłował skupić się na muzyce. Lecz to także nic nie dało. Laura raz za razem przyciągała jego wzrok i pod koniec występu Kerry zaczął się obawiać, że każdy, kto na niego spojrzy, z całą pewnością natychmiast zrozumie, jak słabo Daniel panuje nad sobą.

A jednak nikt chyba nic nie zauważył i gdy wszyscy przemieśli się - za „radą” Amelii - na drugą stronę korytarza do gabinetu, gdzie mieli grać w karty, oglądać telewizję lub rozmawiać dla zabicia czasu, wymówił się koniecznością przeprowadzenia kilku rozmów telefonicznych.

Amelia skinęła po krótkiejsku głową i zaczęła coś mówić do Kerry, która szła obok; Anna wysforowała się naprzód,

Madeline kroczyła za nimi, a Josie i Alex zostali przez chwilę w pokoju muzycznym i rozmawiali cicho. Kiedy więc Laura minęła go tuż za drzwiami, Daniel skorzystał z nadarżającej się sposobności. Na ułamek sekundy chwycił jej rękę i rzekł głosem tak ściszym, że nikt inny nie mógłby usłyszeć:

- Proszę, przyjdź do mnie dziś w nocy.

Gdy na niego spojrziała, dostrzegł błysk w jej zielonych oczach, ale nie próbował odczytać ich wyrazu. Odwrócił się i poszedł do biblioteki, wiedząc, że gdyby został przy niej chwilę dłużej, nikt z rodziny nie miałby żadnych wątpliwości co do jego uczuć.

Rozdział 11

Laura w rozrządzeniu pocierała lewą rękę, opierając się o ościeżnicę okna i spoglądając na ogrody Kilbourne'ów. Nie mogła zbyt wiele zobaczyć. Była dziesiąta wieczór i lampy tworzyły jedynie małe kałuże światła, zamazane i poprzetykane cieniami niespokojnych drzew. Od czasu do czasu dał się słyszeć cichy jęk wiatru, a naddciągające chmury burzowe dość skutecznie zakryły księżyc.

Nieprzyjemna noc.

Przed kwadrans Laura zostawiła resztę domowników na dole, wyjaśniając Amelii, że chce pójść do swojego salonu i popracować jeszcze trochę przy niektórych szkicach. Ponieważ Anna, nie wiedząc czemu, postanowiła towarzyszyć jej w drodze, Laura, nawet gdyby tego chciała, nie miała okazji szukać Daniela w bibliotece.

Wolała nie myśleć o tym, jak bardzo tego pragnie.

Usiłując oderwać swe myśli od Daniela, a nie będąc w nastroju do poprawiania szkiców, znalazła numer do Deny i usiadła wygodnie na sofie, żeby do niej zadzwonić. Zadowolony, że studentka college'u spędza piątkowy wieczór w mieście, oczekiwała, iż zgłosi się automatyczna sekretarka; ku jej zaskoczeniu Dena była w domu.

- Cześć, Lauro. Próbowalam wcześniej się do ciebie dozwonić, ale...

- Tak, wyjechałam na weekend, więc pomyślałam, że się zamelduję i sprawdzę, czy masz dla mnie kolejne informacje.

- Pewnie, że mam. Poczekaj chwilę, wezmę tylko moje notatki... - Po chwili Dena wróciła i zaczęła szybko mówić: - W porządku, znowu mieliśmy szczęście. Prawdę mówiąc, to

niewiarygodne, jak bardzo sprzyja nam los. Ale chyba już ci to mówiłam.

- Wspominałaś o tym. Mów dalej.
- Mmm... gdzie się podział, aha, tu jest. No cóż, jak ci mówiłam, siostra Faith Kenley, znana w towarzystwie wdowa, która odziedziczyła lusterko po Faith, zmarła w 1897 roku, a jej majątek sprzedano rok później na aukcji w Nowym Jorku. W owej aukcji uczestniczyła trzydziestoletnia mężatka, niejaka Shelby Hadden, która - pewnie cię to zainteresuje - kolekcjonowała lustra.
- Skąd o tym wiesz? - zapytała Laura.
- Jest wymieniona w zapiskach jako kolekcjonerka, wspomina się też o tym w paru listach. Wydaje się, że była dość znana, przynajmniej we wcześniejszym okresie życia. Później brak informacji o jej kolekcjonerskich zainteresowaniach. Musiała jednak być pasjonatką, gdyż z lektury jednego z listów jej męża, napisanego blisko rok wcześniej, można odnieść wrażenie, że był trochę zirytowany tą jej pasją. Najwyraźniej uważał zbieranie luster za niedorzeczną obsesję.

Laura zmarszczyła brwi, patrząc w przestrzeń, a potem zapytała:

- Czytałaś ich listy?
- Dzięki znajomemu z Nowego Jorku, który ma dostęp do odpowiednich archiwów. Mam dla ciebie stertę faksów do przejrzenia: niektóre z listów Shelby, jej męża oraz listy od kogoś, o kim zaraz ci opowiem, plus parę artykułów z gazet. To, co się wydarzyło, było wielkim skandalem, Laura.

- Poznała na aukcji jakiegoś mężczyznę? - zaryzykowała Laura.

Dena była zaskoczona.

- Jak się tego domyślałaś? Faktem jest, że poznała starszego o blisko rok mężczyznę nazwiskiem Galvin. Nie wiem, jak się zetknęli, skoro była tam w towarzystwie męża, ale zachował się jej list do Bretta Galvina, oznaczony późniejszą o parę dni datą, i jest oczywiste, że od czasu aukcji oboje spotykali się w tajemnicy.
- Rozumiem. - Laura odetchnęła głęboką. - Kto kupił lusterko? Shelby?
- Owszem. W tym pierwszym liście do Bretta wspomina,

że zapewne los tak zrządził, iż oboje szukali tego dnia lusterka, ale to ona je kupiła. W każdym razie nawiązali romans, który - jak wnioskuję z nielicznych listów ocalałych z tego okresu - był po prostu zbyt namiętny, by mogli utrzymać go w tajemnicy. Żaden z listów Bretta z tego okresu się nie zachował, przypuszczalnie dlatego, że zniszczył je mąż Shelby.

- Dowiedział się.

- A jakże. Ale nie od razu. Z listów Shelby do Bretta jasno wynika, że nalegał, by rozwiodła się z mężem i wyszła za niego, a ona rozpaczliwie tego pragnęła, to pewne. Shelby miała jednak małą córkę, którą uwielbiała, i doskonale zdawała sobie sprawę, że straci dziewczynkę, jeżeli jej mąż będzie mógł o tym decydować. Piszę, że byłaby skłonna zabrać małą i uciec z Brettem bez formalnego rozwodu, ale wie, że mąż by ich dopadł. Jest też rzeczą dość oczywistą, iż Brett chętnie co prawda wychowałby jej córkę, ale bardzo wyrażnie chciał, żeby Shelby żyła z nim jako żona, toteż przekonywał ją do zawarcia małżeństwa.

- Biedaczka - mruknęła Laura. - To musiało rozdzierać jej serce.

Dena westchnęła.

- Ten problem przewija się w jej listach. Gdyby nie dziecko, nie wahałaby się ani chwili, nie mogła jednak znieść myśli o utracie córki. Oczywiście w końcu odebrano jej możliwość wyboru. Mąż dowiedział się o romansie - nikt nie pisze skąd - i dosłownie wyrzucił ją z domu razem z garderobą i kilkoma przedmiotami z lusterkiem włącznie, które, nawiasem mówiąc, roztrzaskał o chodnik przed ich domem.

Więc to w taki sposób zostało sfuczone.

- Poszła do Bretta?

- A dokąd miałaby pójść? Rodzina mieszkała daleko, nie miała też przyjaciół, którzy by ją przygarnęli. Pamiętaj, że to się działo pod koniec ubiegłego wieku. Obcy nie ingerowali w sprawy małżeńskie. Brett starał się ją chronić na tyle, na ile mógł, przyjmując do swego domu, ale jednocześnie sprowadził swoją siostrę w charakterze przyzwrotni. Niestety nikt nie dał się zwieść pozorom. Jeżeli nawet nie dzielili łóża, dla Plotkarzy i tak nie miało to żadnego znaczenia. W opinii ludzi

Shelby była winna i zmusili ją do zapłaty za grzechy. Mąż również. Przyznano mu prawo do opieki nad dzieckiem, zupełnie zszargał jej reputację i wkrótce po orzeczeniu rozwodu wyjechał z Nowego Jorku, nie chcąc jej powiedzieć, dokąd zabiera córkę. Shelby już nigdy nie zobaczyła dziewczynki.

- Chryste. Która z nas powiedziała, że to lusterko jest przeklęte? - zastanawiała się Laura, spoglądając na zwierciadło, leżące na stoliku obok szkicownika.

- Nie pamiętam, ale to chyba były prorocze słowa. Chcesz wysłuchać reszty informacji?

- Powiedz mi tylko, że wszystko kończy się szczęśliwie, psiakrew!

- Hm... no cóż, i tak, i nie. Shelby i Brett przeprowadzili się do San Francisco, głównie po to, by uniknąć skandalu, i pobrali się tam w 1900 roku. Przez kilka lat sprawy toczyły się najlepiej, jak mogły: Shelby strasznie tęskniła za córką, ale uwielbiała męża i wkrótce sami dochowali się dwóch synów.

- Kilka lat? - Laura zmarszczyła brwi, usiłując pobudzić pamięć. - Zaraz, zaraz. Czy to nie wtedy wielkie trzęsienie ziemi omal nie obróciło San Francisco w ruinę?

- Niestety tak. W 1906. Ich dom został zniszczony, a młodszy syn zginął. Shelby doznała obrażeń - coś z ręką, ale dokładnie nie wiadomo, co jej się stało. Później w paru listach się skarżyła, że niekiedy nie może spać z powodu bólu, ale nie wspomina o tym, by straciła rękę albo była niepełnosprawna. W każdym razie zdołali oboje ułożyć na nowo swoje życie i wychować drugiego syna. Przeżyli wiele wzlotów i upadków, ale nigdy nie przestali się kochać. Brett musiał trochę podróżować w interesach, toteż pisali do siebie często. Mam tu parę listów dla ciebie. Są tak pełne oddania i namietności, że... ich lektura wzbudza niemal zażenowanie. Czulałam się jak intruz. To zabawne... nigdy wcześniej nie miałam takiego uczucia podczas zbierania informacji.

Laura milczała przez chwilę, po czym zapytała:

- A koniec ich historii?

- Żyli ze sobą prawie trzydzieści lat i zmarli w odstępie paru dni w 1928 roku, gdy przez miasto przetoczyła się epidemia grypy. Brett miał sześćdziesiąt jeden lat, Shelby sześć-

dziesiąt - Dena zawahała się. - Wiesz, muszę przyznać, że tak naprawdę nigdy dużo nie myślałam o romantycznej miłości. Chodziłam wprawdzie na randki, czulałam w swoim życiu namietność i pożądanie, ale miłości nigdy. Może nigdy naprawdę w nią nie wierzyłam. Tymczasem biografie ludzi, przez których ręce przeszło to lusterko, odkał zostało wykonane... po prostu mam wrażenie, że te pary kochały się tak, jak nie potrafię sobie nawet wyobrazić.

- Wiem, o co ci chodzi - odparła półgłosem Laura, świądoma bólu rodzającego się gdzieś w głębi swego serca.

Zapadła krótka cisza, po czym Dena zachichotała.

-Ejże, przecież ty nie poznałaś nikogo wyjątkowego, gdy kupowałaś lusterko na aukcji, prawda? Ręce sięgające na półkę, spojrzenia, w których kryje się tajemna wiedza...

Laura zdołała się roześmiać, zadowolona, że nie zapoznała Deny z żadnym ze szczegółów tamtego dnia: z wizytą Petera Kilbourne'a i późniejszym morderstwem - i bardzo zadowolona, że Dena nie pamiętała o bieżących wydarzeniach i zaglądała tylko do gazet sprzed co najmniej czterdziestu, pięćdziesięciu laty.

- Gdy znalazłam to lustro, w pobliżu nie było nikogo - odparła beztrasko.

- To fatalnie. Miałam nadzieję, że będziesz mogła kontynuować ów miłosny wątek, który chyba snuje się za sprawą tego lusterka.

To dzięki niemu poznałam Daniela. A to, jak się poczułam, widząc go po raz pierwszy...

Laura zepchnęła dręczące pytania w głąb świadomości i znowu zdobyła się na beztraską odpowiedź.

- Przecież nie wiesz, czy snuł się po ich śmierci - przypomniła młodej badaczce. - A może wiesz?

- Na razie nie - odparła Dena, na powrót pełna animuszu. - Syn Galvinów, Andrew, odziedziczył dobytek rodziców. Dalej mieszkał w San Francisco i nigdy się nie ożenił. Zginął w 1952 roku z własnej winy, po prostu utonął w wieku Pięćdziesięciu lat. Dotychczas dowiedziałam się tylko tyle, że jego majątek został podzielony, a znaczna jej część przypadła instytucjom dobroczynnym. Prześledzenie, dokąd trafiło lu-

sterko, może mi zabrać trochę czasu, ponieważ nie wspo-

mniano o nim w testamentcie Andrew Galvna ani w żadnych dyspozycjach dla jego wykonawcy.

- Dzięki, Dena. Spisałaś się znakomicie.
- Wstrzymaj się z pochwałami do czasu, aż prześledzę wędrowną lusterka do drzwi rezydencji Kilbourne'ów. A tymczasem zostawię te notatki i kopie dokumentów w korytarzu u portiera w twoim domu, dobrze?
- Świetnie.
- I zadzwonię do ciebie, gdy zdobędę następne informacje. Dobranoc.

- Dobranoc. - Laura odłożyła słuchawkę i przez pewien czas siedziała wpatrzona przed siebie. Potem przeniosła spojrzenie na lusterko. Śliczne, lecz bardzo zwyczajne i bardzo skromne jak na przedmiot, który najwyraźniej był sprawcą tylu dramatów w życiu wielu osób. To niemożliwe, by Daniel w ogóle zauważył lusterko, gdy był tu wcześniej; przecież nie odrywał od niej oczu. Pochyliła się i podniosła zwierciadło, obracając je na wszystkie strony. Przyglądała się swemu odbiciu, jak zawsze skupiając wzrok na odbitym obrazie pokoju za sobą.

Choć wiem, że to jego szukałam, nie potrafię przestać patrzeć. Mimowolnie spodziewam się go tam zobaczyć. Tak jakby powinien tam być. Tak jakby pokój był po prostu pusty, jeżeli nie ma w nim Daniela. A gdy go widzę w lustrze, mam wrażenie... że tkwię w siłach czegoś, na co nie mam żadnego wpływu.

Odłożyła lusterko na stolik, z trudem odrywając palce, którymi w rozstąpieniu wodziła po misternym wzorze wytłoczonym na odwrocie mosiężnej ramki. Westchnąwszy, odchyliła się do tyłu. *Mysł o tym, co logiczne.* Przeszedzenie historii zwierciadła, co prawda fascynującej i z pewnością wzruszającej, nie ujawniło dotychczas żadnego związku z Kilbourne'ami. Prawdę mówiąc, o ile zdołała się zorientować, badanie dziejów lustra pobudziło jedynie już i tak podnieconą wyobraźnię Laury i przepelniało umysł nieprawdopodobnymi*1 myślami.

Nieprawdopodobnymi...

Wstała i ruszyła z powrotem do okna, zbyt niespokojna,

żeby dłużej siedzieć. Potarla w rozstąpieniu rękę. Wiedziała, że nadciąga burza. I to potężna. Jeszcze godzina, może dwie. *Proszę, przyjdź do mnie dziś w nocy.* Czy skłamała, mówiąc, że był w Szkocji? Po cóż miałby to robić? Przecież to taka nieistotna sprawa. Laura najbardziej niepokoiła się tym, że mógł się mijać z prawdą w tak drobnej sprawie, bo w tylu ważniejszych już skłamała, i nagle przestała ufać swojej zdolności rozpoznawania, kiedy Daniel mówi nieprawdę. Uwierzyła mu, gdy powiedział, że był w Szkocji... Boże, tyle pytań.

Czy Daniel mówił prawdę o walce z Amelią? Czy miał rację, walcząc w obronie rodziny oraz o zachowanie jej stylu życia z obawy, że Amelia samolubnie i lekkomyślnie roztrwoniłaby rodzinne bogactwo? Czy był niepotrzebnie łaskawy, pozwalając Amelii stwarzać pozory władzy, choć dla niego oznaczało to frustrację i ciągłe konflikty? Jeżeli tak, jeżeli nie się za tym nie kryło, to dlaczego Laura miała taką pewnością, że Daniel jest wobec niej bardzo ostrożny i całkowicie świadomie zachowuje dystans? Czy dlatego, że udawał?

Proszę, przyjdź do mnie dziś w nocy. Nie. Jego pożądanie byłoby bez wątplenia prawdziwe. Twarz jak zawsze pozostała beznamietna, lecz Laura czuła tego wieczora jego wzrok, jego... zaabsorbowanie nią, wniknęła w jego świadomość. Parę razy odniosła nawet niepokojące wrażenie, że Daniel czyta w jej myślach, widząc w nich obraz chwil spędzonych wspólnie na poddaszu. Zachowanie milczenia i bezruchu, udawanie obojętności przed jego rodziną wymagało maksymalnego opanowania.

Laura nie miała jednak pojęcia, czy pożądanie Daniela nie jest czysto fizyczne, czyjego zaabsorbowanie nią nie wynika jedynie z seksualnego napięcia typowego dla każdego nowego romansu. Miłość... Powiedział, że się kochali. Ale przypuszczalnie użyłby tego zwrotu niezależnie od uczuć; zważywszy na jego wychowanie i wrodzoną powściągliwość, nigdy nie byłby ordynarny ani wulgarny, wątpliwe też, by podobał mu się bardziej kliniczny opis zblżenia. W pewnym momencie, pomyślała trzeźwo, z pewnością

nazwie ich kochankami i to także nie będzie nic znaczyć. Po-
winna o tym, pamiętać.

Przyjdź do mnie.

Słyszała w myślach jego głos, cichy i szorstki, pełen napię-
cia wywołanego głęboką tęsknotą, jaką sama też odczuwała
Czyż mogło to być nieszczerze? Czy mógłby tak dobrze uda-
wać, gdyby nie czuł nic z owej dręczącej ją potrzeby bliskoś-
ci, z przytłaczającego pragnienia, by być z nim bez względu
na ryzyko i cenę, czuć dotyk jego mocnych rąk i jego ciała
tak blisko jej ciała...

Przyjdź do mnie.

Laura odwróciła się nagle od okna i zaczęła niespokojnie
chodzić po salonie. Rzut oka na zegar na gzymsie kominka
uświadomił jej, że zbliża się jedenasta. Wciąż za wcześnie na
sen. Rozpaczliwie pragnąc zająć czymś umysł, wzięła kolej-
ny prysznic; tym razem umyła głowę. Zabrało jej to około
dziesięciu minut; wysuszenie długich i ciężkich włosów oraz
szczotkowanie ich, dopóki nie zaczęły lśnić, wymagało na-
stępnych dwudziestu.

Nasmarowała ciało pachnącym mleczkiem, którego uży-
wała od lat, po czym włożyła swą najładniejszą koszulą
nocną - długą, szmaragdową i jedwabistą, na nią zaś szlafrok
w identycznym kolorze, tak przejrysty, że niemal nie warto
było go zakładać.

I właśnie wtedy odważyła się przyznać, że ma zamiar pójść
do jego sypialni.

Teraz pozostało tylko czekać. Usiadła na kanapie w salonie
i nasłuchiwała podmuchów zwiastującego burzę wiatru. Co
najmniej dwa razy słysząc było kroki na korytarzu, gdy ktoś
mijał jej drzwi w drodze do swojego pokoju. W zwykły piąt-
kowy wieczór można by oczekiwać, że kilku członków rodzi-
ny będzie na nogach - przypuszczalnie poza domem - do
późnych godzin, ale pogarszająca się pogoda i brak planów
oznaczały, że wszyscy są w domu i przed północą trafią do
swoich pokoi.

Laura wiedziała od Amelii, że przynajmniej ona codzien-
nie kładzie się spać przed dwunastą. Nie żeby potrzebowała
dużo snu w tym wieku; zawsze jednak były do napisania ja-

kieś listy i dobra lektura, a ona lubiła samotność. Tak w każ-
dym razie twierdziła.

Mały zegar na kominku wybił północ, a parę sekund póź-
niej nad domem z całą gwałtownością rozprętała się burza. Po
niebie przetoczył się grzmot, błyskawica rozświetliła świat
i lunął deszcz.

Odczekała jeszcze parę minut, starając się uzbroić w cier-
pliwość i przypominając sobie, jak zenujące w takim stroju
byłoby spotkanie z kimś na korytarzu. Ale nawet ta ewentual-
ność nie mogła skłonić jej do ostrożności. Kwadrans po
północy, gdy burza wciąż szalała, wymknęła się na cichy i
opustoszały korytarz.

U schyłu schodów stała lampa oświetlająca tę część gór-
nego piętra domu. Gdy dotarła bezszelestnie do korytarza
w zachodnim skrzydle, ujrzała dwie następne lampki rzu-
cające przyćmione światło. Wstrzymawszy niemal całkowi-
cie oddech, utkwiała spojrzenie w drzwiach mieszkania Danie-
la i mijając inne pokoje, starała się poruszać jeszcze ciszej.

Zostało jej do pokonania jeszcze parę metrów, gdy Daniel
otworzył drzwi. Nie miała pojęcia, czy usłyszał jej kroki, czy
wyczuł, że nadchodzi, czy też po prostu zakładał, że przyj-
dzie, ale najwyraźniej nie był zaskoczony. Przeniósł szybko
ważne spojrzenie ze stóp Laury na twarz i zatrzymał na niej
lekkie zmużone oczy. Cofnął się, uchylając szerzej drzwi, po-
tem zamknął je za nią cicho.

Laura ledwie zauważyła lśniące mahoniowe meble i ty-
powo męski wystrój wnętrza, a nawet to, że jedyne światło
w pokoju daje lampka przy łóżku, a w gazowym kominku
płonie ogień. Zwracała uwagę wyłącznie na Daniela. Zdjął
marynarkę i krawat i podwinął rękawy białej koszuli. Jego
twarz była spięta, a lśniące czarne włosy trochę rozwichrzo-
ne, jakby przed chwilą przeczesał je palcami.

- Nie mogę zostać na całą noc - powiedziała ochryplym
głosem, zdecydowana choć trochę panować nad sytuacją.

Daniel przyciągnął ją do siebie.

- W takim razie powinniśmy wykorzystać czas, jakim
dysponujemy - mruknął, kładąc dłonie na jej pośladkach
i przyciągając jeszcze bliżej.

Laura wstrzymała oddech i objęła go za szyję.

- Wiedziałaś, że przyjdę, prawda?

- Skąd mogłem wiedzieć? Miałem tylko nadzieję. - Musnęła wargami jej policzek, a potem wpit się pożądliwie w jej usta.

Przerwał tym gonitwę jej myśli, wszystkie kłopotliwe pytania i niespokojne spekulacje. Laura nie myślała, nie chciała ani nie potrzebowała myśleć. Jedynie czuła. Wtuliła weń swoje ciało, jej wargi ożyły, by dopasować się do spragnionych ust Daniela, i ogień błyskawicznie ogarniający jej ciało wywołał wstrząsające, bolesne niemał, lecz odmiennie niż ból doznania.

Poczuła, jak Daniel ją podnosi, poczuła pod sobą miękkość łóżka, ale nie otworzyła oczu. Nadal zamykał jej usta namiętynymi pocałunkami, smakującymi niczym upragniony narkotyk, którego nigdy nie miała dosyć. Zdała sobie niewyraźnie sprawę, że zmienia posłusznie pozycję, żeby mu pomóc uwolnić swe ciało ze szlafroka, koszuli nocnej i pantofli, wiedziała też, że jej palce skwapliwie rozpinają guziki jego koszuli, a potem pasek i spodnie. Mimo to nie otwierała oczu i nic nie mówiła. Dopiero gdy Daniel oderwał w końcu wargi od jej ust, żeby wytyczyć parzącą ścieżkę wzdłuż szyi i obojczyka, wypowiedziała półgłosem jego imię.

Kiedy zamknęła usta na czubku jej piersi, wpiła się paznokciami w twarde, pulsujące mięśnie na grzbiecie kochanka i wydała z siebie kolejny z tych nie znanych jej dotąd zmysłowych jęków. Jego pieszczota dawała ogromną, przejmującą rozkosz, natychmiast wywołując napięcie w całym ciele. Pragnienie bycia jak najbliżej Daniela było tak potężne, że niemał przerażał. Po chwili oderwał usta od jej skóry i Laura poczuła nieznośny ból osamotnienia.

- Spójrz na mnie - rozkazał cichym i szorstkim głosem.

Laura zmusiła powieki do posłuszeństwa. Lampa przy łóżku oświetlała połowę twarzy Daniela ciepłym złotym blaskiem; druga połowa pozostawała w cieniu. Ow widok ją zaintrygował. Na wpół znany, na wpół obcy, wzbudzający w niej gwałtowny pociąg, a zarazem obawę, Daniel stanął zagadkę, którą ona starała się rozpaczliwie zrozumieć.

- Danielu - mruknęła, jakby w odpowiedzi na pytanie, które zadał albo które sama sobie postawiła.

Zamiast zbliżyć do niej usta, uniósł ją, by sama przyjęła kolejną pieszczotę. Ciało Laury wygięło się w łuk, a dziwna zmysłowość tego ruchu zaparła jej dech w piersiach. Czując znówu jego usta na bolesnie osamotnionym ciele, aż jęknęła z zadowolenia. Daniel podtrzymał ją jedną ręką, a drugą delikatnie dotykał jej piersi. Nie miała pojęcia, jak długo jeszcze będzie w stanie to znosić.

Sprawił, że musiała. Szarpał delikatnie ustami jej sutki, a dłonią piersi. Potem przesunął dłoń niżej, na brzuch, i jeszcze niżej, aż Laura krzyknęła cicho z niewymownej rozkoszy. Jej uda rozchyliły się na przyjęcie kochanka, biodra odruchowo dostosowały do rytmicznych dotknięć i poddała się bezradnie żądaniom własnego zdesperowanego ciała. Nie widziała, nie słyszała i nie czuła nic oprócz rozkosznego napięcia torturującego ją swą obietnicą.

Daniel poczekał, aż Laura zacznie się gorączkowo poruszać, aż chwyci go błagalnie za ramiona i wyda z siebie niekontrolowane jęki szalonego pożądania, po czym błyskawicznie wśliznął się między jej uda. Poczuła, jak wchodzi w nią głęboko, wypełniając okropną, bolesną pustkę, i zagryzła wargę, żeby powstrzymać dziki okrzyk nieopisanej rozkoszy.

Leżąc na niej ciężko, chwycił ją w ramiona i trzymał, jakby się bał, że może mu się wymknąć. Twarz miał napiętą, a jego głos przeszedł w zdławiony szept, gdy powiedział:

- Nie powstrzymuj się, kochanie. To stary dom. Ma grube ściany.

Laura ledwie zwracała uwagę na te czule słowa i jego spozostzegawczość, bo Daniel właśnie poruszał się w powolnym rytmie, wywołującym w jej ciele gorączkowe napięcie, które przypominało chyba przedśmiertne doznania. W jakiejś odległej i niezależnej części jej świadomości pojawiła się nawet myśl, że nic nie może być tak niewiarygodnie cudowne, jeżeli ceną, jakiej żąda za to los, nie jest śmierć.

Było jej wszystko jedno. Jej napięcie rosło coraz bardziej, sprawiając, że Laura miotła się i wyla pod ciężarem kochanka, z gardła wyrwały się jej dziwne, namiętne jęki, a oddech był słaby i urywany. I wtedy, z druzgocącą nagłością, napięcie rozładowało się w zalewających ją falach pulsującej rozkoszy.

W końcu, w chwili gdy Daniel dotarł na własny szczyt zmysłowego upojenia, Laura opadła z sił i dygocząc, sunęła palcami po jego grzbiecie w bezwiednej pieszczocie, a on jęczał i drżał w jej ramionach.

Poruszył się dopiero po dłuższej chwili, Laura mogła więc się delektować twardością jego ciała, tego ciężaru przyniatającego ją do materaca. O dziwo, jeśli wziąć pod uwagę posturę Daniela, wcale nie było jej niewygodnie. Chyba fakt, iż mężczyźni i kobiety tak dobrze do siebie pasują nawet przy dużych różnicach wzrostu i budowy ciała, stanowił część zamysłu matki natury. Tak czy owak uwielbiała jego ciało, uwielbiała jego ciepły oddech muskający szyję oraz wtulające się w nią usta; gdy uniósł głowę i wsparł się na łokciach, żeby na nią spojrzeć, bała się, by nie dostrzegł jej błogiego zadowolenia. Uśmiechał się nieco, twarz miał odprężoną a zwykle jasne oczy ściemniały.

- Chcę w tobie jeszcze zostać - powiedział półgłosem. Nadal trzymał ją w ramionach, włosy Laury i jego dłonie splotyły się ze sobą. - Ale jeżeli jestem za ciężki...
- Nie jesteś.

Przesuwał leniwie palcami po jej głowie, ich ciała wciąż były zespolone, a Laura czuła tak wielkie zadowolenie, że miała ochotę głośno mruzczeć. Słyszając grzmot, uswiadomiła sobie niejasno, że burza nadal trwa. A może zaczęła się kolejna?

- To dobrze. - Daniel pocałował ją delikatnie. - Może powiniennem cię tu zatrzymać na całą noc.

- Wiesz, że nie mogę zostać. - Oświadczenie Laury nie było ani tak jednoznaczne, ani tak rzeczowe, jak miało być, bo jednocześnie gładziła Daniela po karku.

Znowu ją pocałował, tym razem bardziej lubieżnie, i Laura poczuła w sobie jego budzące się na nowo pożądanie.

- Możesz jeszcze zostać kilka godzin - zauważył ochrypłym głosem, muskając wargami jej policzki.

Laura chciała mu przypomnieć, że rano ma jakieś sprawy do załatwienia, że jeśli ich wygląd zdradzi nieprzespaną noc, przynajmniej Amelia z pewnością nabierze podejrzeń. Chciała to powiedzieć, lecz usta Daniela sunęły po jej twarzy, złośliwie unikając jej własnych pożądliwych ust, a kiedy w końcu

zdolała położyć kres tej torturze, okazało się, że dalsze prowadzenie rozmowy nie ma większego sensu.

przebudziwszy się około wpół do czwartej, gdy kolejna burza dawała za oknem upust swej furii, Laura uswiadomiła sobie, że usnęła na chwilę. Spojrzała na zegar stojący przy łóżku. Uniosła się ostrożnie na łokciu i parę minut obserwowała śpiącego Daniela. Zupełnie odprężony wyglądał młodo, a nierregularne rysy jego twarzy wydawały się teraz łagodniejsze. Spostrzegła, że ma niezwykle długie rzęsy, co normalnie uchodziło jej uwagi, skupionej na uderzająco jasnych i nieodgadnionych oczach.

Daniel leżał na wznak, obejmując ją prawym ramieniem. Na jego płaskim i twardym brzuchu spoczywały ich splecione ręce. Laura zastanawiała się, które z nich tak bardzo pragnie trzymać się drugiego, że nawet we śnie nie rozluźniło uścisku. Miała nieprzyjemne wrażenie, że to jej bardziej na tym zależy. Gdy udało jej się bez trudu wysunąć delikatnie rękę z jego dłoni, utwierdziła się w tym przekonaniu.

Trzymam się go kurczowo. Muszę przestać. Nie była jeszcze gotowa opuścić Daniela i wrócić do swojego apartamentu, nie chciała również go budzić, gdyż wydawał się głęboko uspiiony. Czuli się jednak zbyt niespokojna, by leżeć tak w milczeniu. Doszła do wniosku, że ma zbyt wiele spraw do przemyślenia. Zbyt wiele obaw. Byłoby o wiele lepiej, gdyby zajęła czymś umysł do czasu, aż Daniel się obudzi albo zrobi się tak późno, że będzie musiała wrócić do siebie.

Zdołała wyslizgnąć się z objęć kochanka, nie budząc go, i ukłękła obok łóżka. Rozbawił ją nieco fakt, że ich ubrania znowu leżą splecione. Odsunęła na bok buty Daniela i swoje pantofle i ułożyła jego spodnie i szorty na krześle. Przez chwilę przesuwając palcami koszulę nocną i szlafrok, po czym rzuciła je na poręcz krzesła i włożyła białą koszulę Daniela.

W czasie studiów Laura wielokrotnie wykonywała akty i dzięki temu oraz dzięki wrodzonemu brakowi przesadnej wstydlivości przechadzała się nago po mrocznej sypialni wcale by jej nie krepowało. Tak więc fakt, że włożyła koszulę Daniela, rozbawił ją.

Kobiety zawsze to robią w powieściach i filmach. Ciekawe dlaczego. Nie przeżyła dotąd prawdziwego romansu, nie miała więc doświadczenia w takich sprawach, lecz wkładanie koszuli kochanka zamiast własnych rzeczy wydawało się jej regułą w literaturze i filmie i budziło pewne zaciekawienie. Potarła w rozłargnieniu brodą o kołnierzyk koszuli i natychmiast poczuła zapach Daniela. Teraz już rozumiała. Klęczała przez kilka minut z przykniętymi oczami, wdychając lekko pizmową woń. Mogłaby zostać w tej niedbalej pozie jakiś czas, gdyby nie trzask pioruna oraz twarda, niewygodna podłoga, które zmusiły ją do powstania.

Oglądała sypialnię Daniela dokładniej niż poprzednio, uważając przeważnie ciężkie meble z mahonu oraz dywany w stłumionych barwach, rozłożone tu i ówdzie na podłodze. Koło kominka stała otomana i miękki fotel w kolorze burgunda, a u stóp dużego łóżka wyściełana ława. Kotary i narzuta były ciemnozielone, tapeta miała dyskretne prążki. Z wyjątkiem półek z książkami z obu stron kominka niewiele było sprzętów ujawniających osobowość Daniela. Laura podeszła bliżej i studiowała tytuły widoczne w przyćmionym świetle, odnajdując wiele znanych jej od dawna powieści, liczne tomy poświęcone finansom i pokrewnym tematom. Dostrzegła też kilka figurek, które przypuszczalnie pochodziły z Hongkongu lub jakiegoś rejonu Dalekiego Wschodu.

Wędrowała dalej, spoglądając na skromne i gustowne obrazy olejne, z których dopiero portret wiszący koło okna wzbudził w niej większe zainteresowanie. John Kilbourne, ojciec Daniela. To pewnie jego wizerunek, pomyślała, gdyż ów mężczyzna o bardziej pomarszczonej twarzy i przyprószonych siwizną skroniach, wskazujących na wiek, którego jego syn jeszcze nie osiągnął, był nieco starszym wcieleniem Daniela.

Dziwne. Daniel to żywy obraz swego ojca, a jednak Madeline powiedziała, że John zostawił jej tylko Petera. A może Daniel odziedziczył po nim wygląd zewnętrzny, natomiast Peterowi przypadł w spadku charakter Johna Kilbourne'a?

Laura postanowiła później zapytać kogoś o to i ruszyła dalej, kończąc swą wędrowkę przy oknie. Dzięki temu, że mieszkanie Daniela mieściło się na końcu skrzydła, jego okna

znajdowały się na trzech ścianach budynku, ale najlepszy widok zapewniło właśnie to, wychodzące - podobnie jak okno w sypialni Laury - na ogródki.

Spojrzała w dół, chcąc sprawdzić, czy widać labirynt. Lampy, włączone tam zapewne na całą noc, nadal się paliły, a widok przesłaniało mniej drzew. Burzowa noc stworzyła dziwną, niemal upiorną scenę: światła wśród krzewów wyznaczały korytarze labiryntu, deszcz zamazywał i zmięczał kontury, a błyskawice wzmacniały od czasu do czasu akcenty w tym pokazie.

I nagle wyjątkowo jaskrawa błyskawica przyciągnęła uwagę Laury, choć trudno by jej było wytłumaczyć dlaczego. Albo była taka potężna, albo w chwilowym błysku dostrzegła coś, co rozbudziło jej świadomość...

- Lauro?

Odwróciła głowę i wstrzymała oddech. Daniel najwyraźniej tak samo nie krepował się nagością jak ona, bo siedł ku niej z kocią gracją. W napinających się mięśniach potężnych ramion i nóg oształamająco wyraźnie objawiała się jego siła. Postawny, o nierégulowanych rysach, prawdziwie męski, mógł być prawdziwym wyzwaniem dla każdej kobiety pragnącej się dowiedzieć, do jakich doznań zdolne jest jej ciało.

Właśnie tak mężczyzna powinien się zbliżyć do kobiety, pomyślała w oszołomieniu - nagi w świetle kominka. W tym widoku było coś wzruszającego prymitywnego i zanim jeszcze do niej dotarł, Laura poczuła, że łomocze jej serce i że nagle ma trudności z równomiernym oddychaniem. Tak jakby rozpoznawała pierwotną siłę, której nikt i nic nie mogłoby pokonać.

Tak, taki, jesteś. Zawsze taki byłeś. A ja zawsze byłam...

- Myślałem, że już wyszłaś - powiedział, gdy stanął obok niej, wypierając cichym głosem dziwne uczucie wywołane jego nadejściem. Położył dłoń na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie.

- Powinam iść. Jest prawie czwarta. - Laura miała dziwne wrażenie, że była u progu... czegoś. Że pewna potrzebna jej wiedza pukała do bram jej świadomości, była niemal w zasięgu ręki. Ale teraz przepadła.

Daniel pochylił głowę, zaczął ją całować, jak zawsze naj-

pierw delikatnie, a potem coraz mocniej, i z ustami przy jej ustach powiedział ochryplym głosem:

- Powiniennem cię puścić, ale nie chcę. Zostań jeszcze chwilę, kochanie. Proszę.

W chwili gdy Laura objęła go za szyję, zapomniała o wszystkim, co kołatało jej się w myślach i zdotała tylko odpowiedzieć:

- Chcę zostać.

Nic dziwnego, że po chwili znalazła się z powrotem w jego łóżku. Gdy ponownie spojrzała na zegar, nie zdziwiło ją również to, że dochodziła piąta. Burza w końcu odeszła i w sypialni było bardzo cicho.

- Wiem - rzekł Daniel, bawiąc się jej włosami, z lekkim uśmiechem wyginającym usta w łuk.

- Jest strasznie późno - zauważyła Laura. - A może wcześniej. Za parę godzin musisz być w mieście, prawda?

- Koło dziesiątej.

Laura skinęła głową i zawahała się. Nie chciała mącić nastroju spokojnego zadowolenia, ale też nie miała pojęcia, kiedy - a nawet czy w ogóle - nastąpi kolejna chwila, w której mogłaby oczekiwać, że intymność minionych godzin zachęci do prawdomówności albo przynajmniej zmniejszy wzajemną ostrożność.

- O co chodzi, Lauro? Co się stało?

- Nic. To znaczy... - Pokręciła lekko głową, po czym wyrzuciła z siebie: - Czy kłamałeś, mówiąc, że byłeś w Szkocij?

- Nie - odparł spokojnie Daniel. - Kto ci powiedział, że tam nie byłem?

- Spytałam Josie - wyznała, czując się nieswojo. - Według niej nie byłeś.

- W ciągu ostatnich pięciu lat. Byłem tam, zanim Josie tu zamieszkała. - Dotknął ręką jej policzka. - Czemu nie potrafiś mi uwierzyć? Chciałbym, żebyś nauczyła się mi ufać.

- Chcę ci ufać. Ale... ale przecież nie mówiłeś mi całej prawdy?

- O czym? - Pytanie Daniela świadczyło o szczerym zaintrygowaniu, lecz jego oczy pociemniały i nagle skryły się za zmrużonymi powiekami.

Jego zachowanie speszyło Laurę i wzbudziło jej ostroż-

ność. Odpiął jej atak, zabezpieczał się i ona musiała czynić to samo. Zniechęcona i zaniepokojona, znalazła oparcie w tym, dzięki czemu trafiła do tej rodziny.

- Na przykład o lusterku.

Daniel westchnął.

- Postuchaj, Lauro. Nie potrafisz ci nic powiedzieć o tym lusterku. Nie sądzę, by miało ono jakikolwiek związek z za mordowaniem Petera. O ile mi wiadomo, to tylko kolejny za pomniany rupież z poddasza. Dzięki niemu trafiłaś tu i jestem za to wdzięczny losowi, ale poza tym twoje zwierciadło mnie nie interesuje. I tak wygląda prawda.

Chciała mu wierzyć, rozpaczliwie tego pragnęła, ale była pewna, że w jego na pozór szczyrych słowach krył się podstęp. Daniel wiedział o lusterku więcej, niż twierdził. Czemu więc nadal kłamał? Nie chcąc jednak otwarcie zarzucać mu kłamstwa, odparła:

- W porządku.

Wsunął rękę w jej gęste włosy, objął ją za szyję i przyciągnął delikatnie do siebie.

- Nieprawda. - Głos Daniela zrobił się szorstki. - Oddałaś się ode mnie.

Najpierw ty oddałaś się ode mnie. Laura nie powiedziała tego na głos, nie chcąc przyznać, że jego odwrót ją dotknął.

- Nie wiem, czego ode mnie chcesz - oświadczyła. Usiłowała zapanować nad głosem. - Czego chcesz, Danielu? Jeźli chodzi ci tylko o to, o seks bez późniejszych zobowiązań i pytań, to mi powiedz. Nie mogę uczestniczyć w twojej grze, dopóki nie poznam jej zasad.

Daniel zacisnął palce na jej szyi, jego twarz stała się zacięta. Była to chwilowa reakcja, trwająca ułamek sekundy, ale wystarczyło, by Laura przeżyła szok wywołany nie tyle uczuciem strachu, ile respektem połączonym z obawą i osobliwym zrozumieniem. Nie umiała wyjaśnić, skąd czerpie to przekonanie, lecz była przekonana, iż ten człowiek jest zdolny do wielkiej przemocy, że owa wrodzona zdolność tkwi głęboko w jego naturze, a powstrzymują go tylko zasady i prawa, których postanowił przestrzegać. I że nigdy nie użyje tej przemocy wobec niej.

- To nie jest gra - rzekł bardzo cicho; po chwilowym na-

pięciu nie było już śladu. - Nie to, co dzieje się między nami
Wiesz o tym, Lauro. Musisz o tym wiedzieć.

Laura rzeczywiście wiedziała o tym, a przynajmniej czuła
nie mogła jednak się powstrzymać.

- Pewnie więc masz na to inną nazwę. Danielu... nie oczekuję od ciebie sypialnianych obietnic i o nic cię nie proszę. Ale liczę na szczerą. Jeżeli zatem zadaję pytanie, na które nie chcesz odpowiadać, po prostu powiedz. Jeżeli o czymś nie chcesz ze mną rozmawiać, nie kryj tego. Tylko mnie nie okłamuj.

Daniel długo patrzył na Laurę z nieodgadzionym wyrazem twarzy, wodząc delikatnie palcami po jej szyi, po czym westchnął.

- A jeżeli są sprawy, o których teraz nie chcę z tobą rozmawiać? Sfery mojego życia, w które w tej chwili wołałbym się nie zapuszczać? Czy wiedząc o tym, będziesz się trzymać ode mnie z daleka? Czy z tego powodu uznasz, że nie możesz mi ufać? Odpowiedz szczerze, Lauro.

Laura zawahała się.

- Nie wiem. Ale wiem, że wolę słyszeć prawdę niż kłamstwo - nawet jeżeli tą prawdą jest tylko to, że o pewnych sprawach nie chcesz mi mówić.

Teraz z kolei on się wahał, nawet trochę dłużej niż Laura. A gdy już się odezwał, każde słowo było przemyślane.

- Czy to by coś zmieniło, gdyby prawda była taka, że o pewnych sprawach nie chcę ci mówić w tej chwili? Gdy minie obecne napięcie, gdy znajdą zabójcę Petera i zakończy się moja... obecna walka z Amelią, nie będzie już między nami żadnych pytań, żadnych kłamstw i uników. Poznasz wszystkie odpowiedzi. Obiecuję ci to.

Słowa te były równie zwodnicze jak wszystko, co dotąd jej mówił, i Laura pomyślała, że może byłoby lepiej, gdyby nadal miała wątpliwości, czy Daniel jest wobec niej szczerzy, gdyż świadomość, że on nie chce, by wiedziała o pewnych sprawach, musiała prędzej czy później doprowadzić ją do szaleństwa.

- Wiem, że oczekiwałaś innej odpowiedzi. Ale przecież chciałaś znać prawdę. To wszystko, co mogę ci teraz wyjawiać.

po chwili Laura odsunęła się delikatnie od Daniela i usiadła, obejmując rękami podciągnięte do góry kolana i wpatrując się trochę nieprzytomnie w ogień na kominku.

- Szkoda, że nie wiem, co to znaczy - mruknęła. Łóżko ugięło się pod nią, gdy Daniel także usiadł. Poczuli, jak głaz dziło lekko jej nagie plecy, muskając ustami ramię.

- To nie jest kwestia braku zaufania - powiedział.

- Ale tak wygląda.

- Nie. Ufam ci. Lecz teraz muszę... panować nad sytuacją. I mogę to zrobić tylko po swojemu. W coś trzeba wierzyć. Proszę cię, byś mi zaufała. I żebyś okazała jeszcze trochę cierpliwości.

- Proszę o wiele.

- Wiem. Ale chyba nie o zbyt wiele?

- To zależy. - Odwróciła ku niemu głowę. - Jest coś, o czym... o czym muszę wiedzieć. Coś, co nie dawało mi spokoju od pierwszej wizyty w tym domu. Czy wykorzystujesz... wykorzystywałeś mnie jakoś w swojej walce z Amelią?

- Nie - odparł natychmiast.

Laura badała niepewnie jego twarz.

- Czuję, tamtego dnia i później, że mnie wykorzystujesz. Że oboje traktujecie mnie jak pionek w grze.

- Amelia oczywiście to robiła. I nadal robi. Może to tylko próba odwrócenia mojej uwagi, nie jestem pewien. Ale przysięgam, że ja nigdy cię nie wykorzystywałem. Probowałem jedynie... zatrzymać cię tu. Pozwoliłem Amelii cię ściągnąć, kiedy jeszcze mógłbym ją powstrzymać, ale uczyniłem tak wyłącznie dlatego, że chciałem, abys tu była.

- A gdy poszedłeś za mną na poddasze? Nie było to częścią... planu obmyślonego z zimną krwią?

Daniel wydał z siebie dziwny odgłos, ni to śmiech, ni to jęk.

- Planu? Pragnąłem cię tak bardzo, że nie mogłem trzeźwo myśleć, a tym bardziej planować czegośkolwiek. I do tego z zimną krwią? Wobec ciebie? Gdy chodzi o ciebie, moja krew bynajmniej nie jest zimna, a trzeźwość sądu okazuje się nieosiągalna. Pozostają mi tylko uczucia.

Laura spojrzała z powrotem w ogień, starając się to przemyśleć i nie pozwolić, by pokusa kryjąca się w słowach Daniela rządziła nią wbrew rozsądkowi. Prosił, by mu zaufała,

a jednocześnie przyznawał, że ma przed nią tajemnice, nie wiedziała więc, czy może spełnić jego prośbę. Czula wprawdzie, iż może mu zaufać, ale do głowy cisnęło się zbyt wiele pytań...

- Lauro?

Skinęła głową, zanim uswiadomiła sobie, jaka będzie jej odpowiedź.

- Zgoda. Jak powiedziałeś, chciałam prawdy. To o nią prosłam. Więc chyba nie prosisz w zamian o zbyt wiele. Ja... muszę teraz wrócić do mojego apartamentu.

Zanim Daniel zdążył się poruszyć lub coś powiedzieć Laura wymknęła się z łóżka. Musiała je obejść, żeby dotrzeć do krzesła, na którym leżały jej rzeczy, lecz spokojnie spojrze nie Daniela, które czuła na sobie, w ogóle jej nie krępowało ani nie przeszkadzało. Włożyła koszulę nocną i przeczczysty szlafrok, a potem, wsparta ręką o brzeg łóżka, schyliła się, by odnaleźć pantofle. Gdy się wyprostowała, Daniel nachylił się nagle nad łóżkiem i chwycił ją za rękę.

- Spójrz na mnie - rozkazał cicho.

Laura wiedziała, że Daniel odgadnie, iż cała ta sytuacja nadal ją niepokoi, ale nic na to nie mogła poradzić. Spojrzała.

Jego usta przybrały nieco surowy i dość ponury wyraz, ale kiedy przyciągnął Laurę wystarczająco blisko, by ją pocałować, były miękkie i ciepłe. Wędrował kusząco wargami po jej wargach i już po chwili, czując, że uginają się pod nią nogi, musiała usiąść na brzegu łóżka. Gdy wreszcie pozwolił Laurze trochę się cofnąć, nie przyszło jej to łatwo.

W spojrzeniu Daniela była teraz namietność, a usta zlagodniały i ułożyły się w zmysłowy łuk.

- W cokolwiek wątpisz - rzekł szorstkim głosem - nigdy nie wątp w szczerość i prawdziwość uczuć, które nas łączą. I nic tego nie zmieni.

Laura pokiwiała głową.

- Wiem. *Ale co takiego nas łączy, Danielu? Jak byś to nazwał?*

Wydawało się, że Daniel za chwilę coś doda, ale ostatecznie puścił jej rękę i opadł na łóżko, spoglądając niespokojnymi oczami.

- Idź, bo jeżeli teraz nie pozwolę ci odejść, zostaniemy tu do południa.

Laura najchętniej wślizgnęłaby się z powrotem do łóżka, zmusiła się jednak do tego, by wstać. Znalazłszy się przy drzwiach, zawahała się i raz jeszcze spojrzała na Daniela, po czym bezszelstnie wyszła z sypialni.

Burza ustala i w domu Kilbourne'ów panowała teraz grobowa cisza. Przemierzając szybko długi korytarz, Laura przyłapała się na tym, że stąpa na palcach. Miała dziwne uczucie, iż ktoś ją ściga, uczucie było tak silne, że gdy w końcu dotarła do drzwi swojego apartamentu i zamknęła je za sobą, sploszone serce łomotało jej w piersi w pospiesznym rytmie.

Czyżbym miała nieczyste sumienie? Laura nie zaprzętała sobie głowy odpowiedzią na to żalodne pytanie. Znała ją.

Wydawało się, że nie warto się kłasić, skoro już za parę godzin będzie musiała wstać, ale była zmęczona i wiedziała, że ów parogodzinny sen to lepsze niż nic. Była już na środku salonu, gdy nagle coś przyciągnęło jej uwagę. Zawróciła.

Lampa zapalona, tak jak ją zostawiła. Nietknięta. Kiedy jednak Laura znowu ruszyła w stronę sypialni, dostrzegła błysk światła i tym razem podeszła powoli do stolika. Szkiełeczko leżało na swoim miejscu. Lusterko także.

Zwierciadłem ku górze.

Ktoś był w tym pokoju.

Rozdział 12

Biura kancelarii prawnej Kennarda, Montgomery'ego i Kilbourae'a zajmowały dwie kondygnacje biurowca w śródmieściu Atlanty. W sobotni rano panowała tam cisza. Idąc wyłożonymi grubym dywanem korytarzami do narożnego gabinetu Alexa na dziewiątym piętrze, Daniel nikogo nie spotkał. Nie był tym zbytnio zdziwiony. Wprawdzie w ciągu tygodnia w firmie z pewnością panował spory ruch, ale sprawy jej jedynego klienta zazwyczaj nie wymagały pracy w godzinach nadliczbowych, w weekendy i święta.

Kiedy wszedł do gabinetu kuzyna, nie zdziwiło go również to, że Alex ma na sobie dżinsy i sportową koszulkę: choć bez trudu dostosował się już do obowiązującego zwyczaju i w dni powszednie nosił stonowane garnitury, to jednak upodobanie do komicznych i nieraz wręcz krzykliwych krawatów wymownie świadczyło o jego niezbyt zrównoważonej osobowości. Nawet gabinet Alexa, na pierwszy rzut oka dość gustowny, mieścił kilka dziwnych przedmiotów absurdalnie skonstruowanych z resztą wnętrza, takich jak wielobarwny posążek diabła tasmańskiego, przypuszczalnie naturalnej wielkości, wcisnięty między książki prawnicze na półce, oraz stojące na biurku srebrne trofeum dla „Najlepiej całującego gimnazjalisty 1987 roku”.

Alex pracował przy komputerze, błyskawicznie przebie-
rając palcami po klawiaturze.

- Chwileczkę - mruknął, ujrawszy swojego gościa.
- To nie moja sprawa? - zapytał Daniel.
Alex chrząknął.
- Twoja, ale o niej nie musimy dzisiaj rozmawiać. Chodzi

ten pozew o naruszenie posiadania. Za parę tygodni idziemy do sądu i chciałem to załatwić... Zaczekaj chwilę.

Daniel przyjął to do wiadomości i podszedł do okna wychodzącego na centrum Atlanty. Nie interesował go jednak krajobraz, po prostu patrzył w przestrzeń. W razie potrzeby potrafił funkcjonować, nie dosypiając, lecz po niezwykłe aktywnej nocy, pełen coraz większych obaw o Laurę, czuł dość spore zdenerwowanie. Z pewnością zaś był zbyt spięty, żeby spokojnie siedząc, czekać na Alexa, i zbyt spięty, żeby interesować się znanym mu krajobrazem.

Garbiąc się, wsunął rękę w kieszenie czarnej skórzanej kurtki. Pragnął, by cała ta cholerna sprawa znalazła wreszcie jakiś finał. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Podejrzał, i to go niepokoiło, że zaczyna również brakować czasu, aczkolwiek nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Może dlatego, że morderca Petera - nieznanymi i przypuszczalnie niebezpiecznymi czynnikami - był nadal na wolności, a może chodziło po prostu o to, że Amelia była ostatnio zbyt spokojna, zbyt zrównoważona. To dziwne zachowanie nie pasowało do niej i urucho-
miło dzwonki alarmowe w jego świadomości.

A w tej chwili była w domu, z Laurą, i Bóg jeden wiedział, co jej opowiadała. Prawdopodobnie sączyła słodką truciznę w serce jego kochanki. Wolał o tym nie myśleć, pamiętając o nieufności Laury wobec niego.

- Dwa piętra wyżej jest sala gimnastyczna z gruszką bokserską - rzekł Alex. - Na wypadek, gdybyś potrzebował.

- Ten, któremu z chęcią bym przyłożył, nie żyje - odparł Daniel, odwracając się. Pozostał jednak przy oknie. - Najgorsze, że Peter dał się zamordować, zanim zdołałem obić mu głowę.

- Sądzę, że możemy mu zarzucić gorsze rzeczy.

Wypowiedziane z poważną miną słowa kuzyna w niczym nie uspokoiły Daniela.

- Chryste. Czego się dowiedziałeś?
Alex odchylił się w fotelu i otworzył środkową szufladę biurka.

- ~ No cóż, w końcu odnalazłem skrytkę depozytową Petera.
- Dlaczego, u diabła, trwało to tak długo?
- Zaraz! Moim zdaniem spisałem się cholernie dobrze,

zważywszy na fakt, że założył ją w banku poza Atlantą
Dokładnie mówiąc - w Macon. Cały wczorajszy dzień spędziłem w podróży. I nie polecam tej wycieczki.

Daniel nie mógł się powstrzymać od lekkiego uśmiechu słysząc oburzenie w głosie Alexa.

- Przepraszam. Ostatnio trochę puszczają mi nerwy.
- Doprawdy?
- Daj spokój.
- No dobrze. Wiceprezes banku nie przejął się sytuacją i nie chciał mi udostępnić skrytki, ponieważ jednak przezornie przywoziłem ze sobą upoważnienie od ciebie i firmy oraz kopię testamentu Petera, w którym wyznaczył mnie na wykonawcę... A propos, jak to się u diabła stało? Miałem zamiar cię o to zapytać.

- Ze Peter uczynił cię wykonawcą testamentu? Dowiedziałem się o tym tuż przed pogrzebem, gdy Preston powiedział nam o istnieniu testamentu. Przypuszczalnie wybrał cię, bo nie chciał wybrać mnie.

Alex chrząknął.

- Sądzę, że zrobił to, by mnie wkurzyć. Pewnie wiedział, że grzebanie się w śmieciach, które zostawił, było ostatnią rzeczą, jakiej chciałbym poświecić swój czas.

- Znając Petera, bardzo wątpię, by w ogóle spodziewał się umrzeć, a tym bardziej przed trzydziestką. Powiesz mi wreszcie, co znalazłeś w skrytce?

Alex wyciągnął z szuflady dużą pękatą kopertę z szarego papieru i położył ją na biurku.

- Spójrz na to. - Otworzył kopertę i wysypał zawartość. Daniel podszedł, marszcząc brwi. Przed Alexem leżały dwa pliki banknotów, owinięte gumkami, klucz z przywieszką, przypominający klucz do skrytki bankowej, oraz pistolet.

Po chwili Daniel podniósł broń, sprawdził, czy jest zabezpieczona i wysunął magazynek na tyle, by zauważyć, że jest pełny. Wsunął go z powrotem, położył delikatnie pistolet na biurku i podniósł plik banknotów.

- Ile tu jest?
- W sumie sto kawałków - zameldował Alex. - Domyślasz się, jak Peter mógł zagarnąć taką forszę, skoro zawsze sprawiał wrażenie golca?

Odkładając gotówkę na biurko, Daniel spojrział jeszcze raz na pistolet i odparł:

- Nie.

- Moim zdaniem był zbyt nerwowy, żeby kraść - zauważył Alex. Jego twarz pozostawała bez wyrazu. - Mam na myśli kradzież z użyciem broni.

- Też tak uważam. Peter zawsze szukał łatwej zdobyczy, najszybszego i najmniej ryzykownego sposobu dopięcia swe-go. Napady na samoobsługowe sklepy spożywcze nie były chyba w jego stylu. Czy ta broń jest zarejestrowana?

- Nie. A ponieważ numer seryjny został spilotowany, nie mogę dotrzeć do źródła. Bóg jeden wie, kiedy ją zdobył.

Daniel pokiwiał głową.

- A klucz?

- Jeszcze jeden przeklepty klucz do skrytki - odparł po-sepnie Alex. - Na przywieszce, sam zobaczysz, jest tylko cyfra - dwa. Odnoszę przynębiające wrażenie, że będę się szwendał po całej Georgii, tropiąc jego skrytki. Nie wiesz czemu?

Zamiast odpowiedzieć na to zgrzytliwe pytanie, Daniel za-pytał:

- Kiedy założył tę skrytkę?

- Poł roku temu. Z dokumentów bankowych wynika, że potem już nigdy się tam nie zjawił.

- Jest jakiś sposób, by dotrzeć do źródła tej forsy, dowie-dzieć się, skąd pochodzi?

Alex pokręcił głową.

- Stare używane banknoty, niekolejne numery. Zleciłem nawet mojemu koleźce z policji sprawdzenie kilku z nich, żeby się upewnić, czy niczego nie przeoczyłem, czy nie są na przykład znaczone. Stwierdził, że nie sposób dowiedzieć się, skąd się wzięły.

- Kolega, któremu możesz ufać?

- Tak, jest mi winien parę przysług. Nie mówiłem mu, że to ma związek z Peterem, a on nie pytał. Nie martw się, pra-cuje w zupełnie innym wydziale niż Brent Landry.

Daniel skinął głową i obszedł biurko, by zasiąść w fotelu dla gości.

- I co o tym sądzisz?

- Sądzę, że Peter mógł nieźle nabroić - odpart zdecydowanym tonem Alex, wspierając się łokciami o blat biurka. - A jeśli chodzi o to, jak zdobył tę forszę... Wiemy, że uprawiał hazard, czego policja jeszcze nie wie, ale najprawdopodobniej odkryje. Mógł się narazić paru gościom, ale po co któryś z nich miałby zabijać kurę znoszącą złote jaja? Po śmierci Peter nie mógłby wyrównać swoich strat, a ludzie, którym wisił pieniądze, na pewno nie zgłosiliby się po zapłatę do jego spadkobierców.

- Racja - przyznał Daniel, marszcząc brwi. - A skoro nie zdolał się jeszcze ustalić, ile był winien i komu...

- To jesteśmy w martwym punkcie - wybach mi ten kalambur. - Alex nie uśmiechał się jednak. - Peter z całą pewnością nie był również zbyt uczciwy w swoich pozostałych interesach.

- Owszem. Ale brak uczciwości i zdrada to dwie różne sprawy.

- Czy plany pojawiły się w jakimś dogodnym miejscu, gdzie jeszcze nie szukaliśmy?

- Nie. Ale nie możemy mieć pewności, że nie zostały sprzedane.

- Więc nie zgłosiłeś ich kradzieży?

- Przecież nie mogę tego zrobić. Wystarczy jedna wzmianka na ten temat w mediach, a firma Kilbourne Data będzie nie do uratowania, nie wspominając o reputacji rodziny i mojej własnej. Przy braku dowodów zrujnują nas plotki, insynuacje i brak zaufania. Jeżeli zaś projekt pojawi się gdzieś na Bliskim Wschodzie, to mamy do czynienia ze zdradą.

- A na ciebie spada cała odpowiedzialność. Zwłaszcza teraz, gdy Peter nie żyje.

Daniel poruszył się niespokojnie na fotelu.

- Choć Peter był draniem, nadal nie potrafisz uwierzyć, że posunąłby się do tego.

Alex wzruszył ramionami.

- Może dla niego nie było to takie straszne. Może nie na zwałby tego zdradą. Nie podobało mu się, że ci podlegał. Nie podobało mu się, że miał pensję, która nie wystarczała na grę w pokera o wysokie stawki, podróże do Vegas i importowane sportowe samochody. Irytował go fakt, że wszyscy wiedzieli,

iż nie ma żadnej władzy w rodzinnej firmie. Postanowił więc pierwszy raz w życiu zaryzykować. Postawić wszystko na jedną kartę. Gdyby wygrał, mógłby przez resztę swoich dni żyć w luksusie na jakiejś wyspie. Gdyby przegrał... no cóż, spójrz na tę forszę. Według mnie świadczy ona o jednej z dwóch rzeczy: albo Peter musiał z jakiegoś powodu ukryć pieniądze i broń, albo trzymał je na wypadek, gdyby był zmuszony zniknąć.

- I skłaniasz się ku temu drugiemu wyjaśnieniu.

- Ono najbardziej trafia mi do przekonania, zważywszy na charakter Petera. Gdyby zaczęły się kłopoty, uciekłby, gdzie pieprz rośnie.

Daniel wiedział, że to prawda.

- A drugi klucz? Co, kolejna ukryta forsa?

- Być może. Nawet kiepskim hazardzistom czasami dopisuje szczęście. Jeżeli w ciągu ostatnich paru lat miał dobrą passę, mógłby zbierać kilkaset tysięcy. Albo...

- Albo?

Alex westchnął i zaczął wkładać pieniądze i broń z powrotem do koperty.

- Do diabła, przecież wiesz, o czym myślę. O tej miniaturowej kasce magnetofonowej, którą znalazłem w jego pokoju. Istnieje tylko jeden powód, dla którego człowiek taki jak Peter nagrałby swoje łóżkowe rozmowy z żoną, jednego z najbardziej wpływowych polityków w Georgii. Z pewnością nie zrobił tego dla potomności.

- Tego jeszcze nie wiemy - zastrzegł Daniel.

- Nie wiemy na pewno. Whitney Fremont przez parę ostatnich miesięcy przebywała ze swym mężem w Waszyngtonie i żaden z nas nie ma ochoty wybrać się tam i zapytać, czy Peter ją szantażował. Ponieważ w wieczór, gdy zamordowano Petera, uczestniczyła w przyjęciu dyplomatycznym w stolicy, możemy być pewni, że to nie ona go zasztyletowała, ale skąd mamy wiedzieć, czy te pieniądze nie trafiły z jej konta do rąk Petera jako zapłata za milczenie.

- Nadal miał tasmę - zauważył Daniel, nie rezygnując z roli adwokata diabła.

- Owszem. Ale to pewnie kopia. Albo też zamierzał skubiąc panią Fremont, jeszcze parę razy i dopiero potem oddać

jej nagraniu. Może nie była wystarczająco sprytna, by zająć zwrotu taśmy, a może skłamał, mówiąc, że ją zniszczył. Jakkolwiek by na to spojrzeć, Peter miał coś, za utrzymywanie w tajemnicy ta pani by zapłaciła. On sam przypuszczalnie widział w tym źródło łatwego zarobku. Pieniądze te mógłby odłożyć na czarną godzinę. - Alex umilkł, po czym dodał: - I chyba obaj wiemy, że jeżeli faktycznie uznał szantaż za źródło łatwego dochodu, to pani Fermont nie była jedyną jego ofiarą. Do licha, nie mamy nawet pojęcia, jak długo mogło to trwać. Zawsze z łatwością zaciągał kobiety do łóżka i pomysł połączenia interesów z przyjemnością uznał pewnie za zabawny. Tak więc równie dobrze jego ofiar może być więcej, a jedna z nich mogła mieć dość płacenia za milczenie.

Alex nie mówił nic, o czym by Daniel sam wcześniej nie pomyślał, lecz wypowiedzenie tych myśli na głos sprawiło, że stały się bardziej ponure.

- Duma Kilbourne'ów - rzekł dość pośpiesznie. - Rozpustnik, hazardzista, złodziej, szantażysta i przypuszczalnie zdrajca. To cud, że żył tak długo.

- Pytanie tylko, ile z jego sprawek wykryje policja, zanim znajdzie zabójcę. I, co ważniejsze, który ze złych nawyków Petera przyczynił się do jego śmierci?

- Przede wszystkim chodzi o to - dorzucił Daniel - jak poważnie jest w nie wplątana Amelia.

- Pozwolisz mi go obejrzeć, moje dziecko? - zapytała Amelia.

Laura spojrzała nad płótnem na starszą panią, siedzącą w wiklinowym fotelu z oparciem w kształcie wachlarza, i powiedziała nonszalantcko:

- Mogę przez chwilę wstrzymać się z odpowiedzią? Jak już mówiłam, to coś w rodzaju jazdy próbnej - właśnie dlatego robimy to tutaj, w oranżerii. Chcę po prostu popracować z farbami i przekonać się, czy wiem, co robię, a ty masz stanowić temat tego studium.

- A ja, jak już mówiłam, rozumiem różnicę między studium a dziełem końcowym. Obiecuję, że nie osądzę cię zbyt surowo.

Laura mogła na to odpowiedzieć tylko w jeden sposób:

- W porządku, Amelio. Wolalabym jednak, żebyś zaczęła przynajmniej do końca tej sesji. Daj mi szansę namalowania jak najwięcej.

Amelia uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

Laura skierowała wzrok z powrotem na płótno, gdzie blade ciało, włosy i pozbawione faktury i światłocienia czarne odzienie składały się na postać Amelii. Tak naprawdę nie miała nawet twarzy, a tylko jej pozbawiony rysów ował. Z jakiegoś powodu ten ostatni fakt zaniepokoił Laurę i natychmiast zaczęła malować ciemne oczy starszej pani.

- Sprawiasz dzisiaj wrażenie roztagonionej, moje dziecko.

I wyglądasz na zmęczoną.

Laura spodziewała się, że Amelia prędzej czy później skomentuje to, co było oczywiste, więc miała przygotowaną zdawkową odpowiedź.

- Kiedy szaleje burza, jestem jak kotka - niespokojna i czujna. Mało spałam tej nocy. Ale dojdę do siebie, Amelio.

- Widzę, że mamy pewne wspólne cechy. Mnie też burze przyprawiają o zdenerwowanie. O tej porze roku, gdy są takie częste, zwykle całą noc spaceruję po korytarzach domu. Tak jak wczoraj.

Laura popatrzyła na nią. *Jak, u diabła, mam namalować te oczy? Czy to ty byłaś w moim pokoju, Amelio? A skoro tak, to czemu o tym nie mówisz? Dlaczego bawisz się ze mną w kotka i myszkę? Czyżbyś po prostu lubiła to robić — bawić się ludźmi?* Powiedziała jednak tylko:

- Trzeba było zapukać do moich drzwi. Mogłybyśmy pograć w karty lub popracować nad szkicami.

Oczekiwała nawet, że Amelia ją zdemaskuje, ale starsza pani zauważyła jedynie:

- Teraz, gdy już wiem, że i tobie burze spędzają sen z powiek, będę o tym pamiętać. Przy następnej okazji.

Wracając do malowania, Laura mogła tylko mieć nadzieję, że wyraz jej twarzy był tak samo dobroliwie niewinny jak mina Amelii. Wątpiła w to jednak. Była zmęczona i w jasnym świetle dnia wydarzenia ubiegłej nocy - wszystkie bez Wyjątku - wydawały się snem. Kiedy teraz myślała o nich,

pozwalając, by wspomnienia przenikały jej świadomości sprawiały wrażenie jeszcze bardziej nierealnych. Ledwie mogła uwierzyć, że poszła do sypialni Daniela, że spędziła razem wiele godzin i kochali się tak zawzięcie, że jeszcze w tej chwili bolały ją mięśnie, a w całym ciele czuła dziwną i deprymującą zmysłową ospałość.

Ledwie też mogła uwierzyć, że zgodziła się, by zataił przed nią prawdę. Jakaż władzę miał nad nią ten człowiek, skoro zdołał ją przekonać do pogodzenia się z tą sytuacją na przekór zdrowemu rozsądkowi?

Tego ranka w ogóle go nie widziała. Gdy koło wpół do dziewiątej zeszła na śniadanie, Daniela nie było już w domu. Wątpliwe, by wrócił przed południem. Czyjego poranne spotkanie dotyczyło zwykłych spraw, czy też takich, o których wolałby z nią nie rozmawiać?

- Lauro?

Spojrzała krzywo na namalowane ciemne oczy, które wciąż nie wyglądały należycie, po czym uniosła wzrok, napotykając te prawdziwe.

- Hm?

- Muszę dopilnować lunchu, moje dziecko. Możesz przez pewien czas obejść się beze mnie?

Laura z lekkim zaskoczeniem zdała sobie sprawę, jak wiele minęło czasu, a jeszcze bardziej zaskoczyło ją, jak produktywnie go wykorzystwała, malując twarz Amelii. Jej palce wyraźnie miały własne pomysły i wydawało się, że kierowane - tak przypuszczała - jej podświadomą uwagą pracują sprawniej. Bóg tylko wiedział, że myślami była gdzie indziej.

- Tak, oczywiście - odparła półgłosem, przyglądając się światłocieniom, które pozwoliły uchwycić wyraziste kości policzkowe Amelii i wdzięczny, choć nieco zagadkowy uśmiech oraz wspaniały nos. Lecz oczy nadal nie wyglądały prawidłowo...

Amelia roześmiała się lekko, ale nic nie powiedziała, tylko wstała i weszła do domu. Laura, wiedząc, że wkrótce będzie musiała zaprzestać pracy z powodu lunchu, cofnęła się i przyglądając się obrazowi, automatycznie myślała pędzić.

- No, no, to całkiem dobre.

Tym razem nie była zaskoczona, usłyszała bowiem wcześniej stuk butów Anny na kafelkach.

- Dzięki - powiedziała, patrząc na starszą od siebie kobietę. - Czekam, ale jednak jeszcze wiele pracy.

W sposób typowy dla kogoś, kto nie wie, co począć z własnymi rękami, Anna wsunęła je do kieszeni długiej spódnicy i utkwiała spojrzenie w obrazie. Wątpliwe jednak, by naprawdę mu się przyglądała, bo to, co powiedziała, wcale nie dotyczyło portretu.

- Pewnie uważasz, że jestem okropna.

Więc teraz to ja mam przyjąć gałkę oliwną, co? Od wczorajszego wieczora Anna metodycznie i z determinacją jednała się ze wszystkimi członkami swojej rodziny. Laura nie sądziła wprawdzie, że są to tylko deklaracje bez pokrycia, ale jej zdaniem fakt, że Anna pragnęła odpuścić swych grzechów przez wszystkich, nawet przez gościa, wymownie świadczył o egocentryzmie wnuczki Amelii.

• Myślę, że Peter był czarującym mężczyzną i bardzo trudno było mu się oprzeć.

Anna splonęła rumieńcem i posłała Laurze szybkie, niemal gniewne spojrzenie. Potem jednak chyba przypomniała sobie, że przyszła tu odpokutować, i odetchnęła.

- Tak, to prawda. Wiedział, co powiedzieć kobiecie, żeby zapomniała... o różnych sprawach.

Laura nie zapytała, o jakie sprawy chodziło, wolać trzymać się z daleka od tematów łóżkowych.

- Powiedziałaś kiedyś, że Peter zginął ze względu na to, w jaki sposób ta rodzina prowadzi interesy. Co miałaś na myśli?

Anna zmarszczyła brwi, wzrok miała wciąż utkwiony w obrazie.

- Oni oboje, Daniel i Amelia, są bezliźni. Liczy się tylko wygrana. W taki właśnie sposób Kilbourne'owie zawsze prowadzili interesy.

- Więc Peter musiał wygrać?

- Daniel nie dopuszczał go do interesów. Traktował jak durnia, jakby to, co myślał, w ogóle się nie liczyło. Natomiast Amelia wyreczała się nim jak służącym w załatwianiu włas-

nych spraw. Czy mógł to dłużej znosić? Przecież był Kilbomnem.

Laura słyszała niemal łagodny i czarujący głos Petera, widziała jego niewiarygodnie piękną twarz, gdy zwierzał się kuzyńce ze swoich kłopotów, zyskując jej współczucie i lojalność. I w końcu zaciągnął ją do łóżka, co z pewnością uważał za sukces, jako że krótkotrwały romans z Anną musiał być dzięki ich pokrewieństwu, jeszcze bardziej podniecający dla mężczyzny jego pokroju. Ciekawe, czy Annie przyszło do głowy, że trudno liczyć na prawdomówność prawie trzydziestoletniego człowieka, który skarży się na złe traktowanie ze strony rodziny, uwodząc jednocześnie własną kuzynkę.

- I co zrobił? - zapytała cicho Laura. - Mówiłaś, że miał plany.

Anna wyjęła ręce z kieszeni i bezwiednie rozcierala ramiona, jakby było jej zimno.

- Bo miał. Wielkie plany. Powiedział mi, że gdy tylko nadejdą pieniądze, wszystkim pokaże.

- Jakie pieniądze?

- Pieniądze, na które liczył. Powiedział, że jego przyjacieli... inwestuje w jego przyszłość. Coś w tym stylu. Najpierw musiał załatwić jedną z bzdurnych spraw Amelii, zając się żalonymi ochlapami, które mu rzucała. A potem miał zamiar odebrać swoje pieniądze.

- I co zamierzał z nimi zrobić?

- Uruchościć własną firmę. - Patrzac na Laure, Anna zadarła wyzywająco głowę. - Firmę, która by konkurowała z rodziną. Miał już personel, menedżerów i specjalistów od informatyki i był przekonany, że zdoła przejąć część zamówień rządowych. Mógł zaferować w przetargu niższą cenę, przelicytować rodzinę, a gdyby już zdobył przyczółek, wszyscy przyszliby do niego z innymi zamówieniami. Miał to wszystko zaplanowane.

Laura słabo znała się na interesach, ale odniosła wrażenie, że „plany” Petera były w najlepszym razie mgliste. Niewykluczone oczywiście, że po prostu Anna wyrażała się niejasno, że Peter wyłożył swe zamiary bardziej szczegółowo, wyglądało to jednak na pompatyczne mrzonki rozgorączczone-

człowieka, który chciał prześcignąć odnoszącego większe sukcesy brata.

- Kiedy ci o tym mówił? - zapytała obojętnie. - Tamtej ostatniej nocy?

- Nie, parę dni wcześniej.

- Ale ty uważasz, że zginął, ponieważ wygrałby? Bo wy prowadziłby w pole swą rodzinę? I Daniela?

Anna potwierdziła stanowczym skinieniem głowy.

- Tak sądzę. Zatożę się, że pieniądze wcale nie dostał od przyjaciela, ale od jednego z tych podejrzanych typów, z którymi się zadawał. Myślał, że o nich nie wiem, ale ja wiedziałam. Parę razy widziałam go z nimi, gdy nie zdawał sobie sprawy, że jestem w pobliżu. Dam głowę, że pożyczyl od nich kupę forsy albo namówił ich do zainwestowania w tę jego firmę, a później z jakiegoś powodu zwrócili się przeciw niemu i zabili go.

Myśląc logiczniej niż Anna, Laura natychmiast spostrzegła fałszywość tej tezy. Po cóż wspólnicy Petera mieliby go zabić i tym samym niweczyć szanse na odzyskanie zainwestowanych lub pożyczonych pieniędzy w sytuacji, gdy przypuszczalnie zostały one już wydane? To nie miało sensu. Lecz świadomość, że Peter najwyraźniej zadawał się z kryminalistami, sprawiła, iż Laura zaczęła się zastanawiać, czy groźno ewentualnych morderców nie jest szersze, niż ktokolwiek podejrzewał.

- Może masz rację - powiedziała.

- Na pewno mam. Podejrzewanie, że Petera zabiła jakaś kobieta, to idiotyzm. Był bardzo silny i potrafiłby się obronić.

Laura nie zaprzętała sobie głowy tłumaczeniem, że według gazet Peter siedział na łóżku, gdy otrzymał pierwszy cios, a ponieważ nóż przebił mu serce, najprawdopodobniej zmarł, zanim zdołał choćby pomyśleć o obronie - stąd teoria, że mogła tego dokonać kobieta.

- Lauro... Och, tu jesteś, Anno. Dobrze. Lunch jest gotowy. - Amelia nadeszła, jak zwykle, cicho, a jej niespodziewane pojawienie się w wejściu do oranżerii zaskoczyło obie kobiety.

Doszedłszy szybko do siebie, Laura odłożyła pędzle i wraz z Anną ruszyła w towarzystwie Amelii w głąb domu. W ja-

dalni czekały na nie Madeline, Kerry i Josie. Gdy wszystkie zasiadały do stołu, Laura potrzebowała kilku sekund, by oce-nić, co się zmieniło.

Odłkąd pamiętała, Josie po raz pierwszy nie ubrała się na ciemno. Miała na sobie ładny, jasnozielony sweter oraz białe spodnie, dzięki czemu wyglądała nieco bezbronne, a zara- zem promiennie.

- Josie, moja droga, białe spodnie w paźdzerniku? - Amelia była zaskoczona, wyraźnie miała jej to trochę za złe.

- Jest już po Święcie Pracy - zgodziła się Madeline, lecz powiedziała to chyba bardziej z przyzwyczajenia niż z uwagi na prawdziwe zainteresowanie tematem.

Laura spostrzegła, jak Josie wzdraga się niemal niedostrze- galnie, wtrącała więc:

- Wyglądasz wspaniale. W jasnych kolorach jest ci bardzo do twarzy. - Doskonale zdawała sobie sprawę, że udaremniła w ten sposób próbę zdominowania Josie przez Amelię, ale było jej wszystko jedno. Jeżeli Amelia starała się ukstałto wać młodą wdowę na swój obraz i podobieństwo, o co Laura podejrzewała ją od czasu swojej drugiej wizyty w tym domu, to ktoś musiał jej w tym przeszkodzić.

Josie posłała pełne wdzięczności spojrzenie i powiedziała obojętnie:

- Chyba zaczęła nosić jaśniejsze kolory, Amelio.

I wtedy odezwała się, jak zwykle łagodna i delikatna, Kerry.

- Laura ma rację. Jest ci w nich do twarzy.

- I to mówi kobieta nosząca najokropniejszy sweter, jaki widziałam w swoim życiu - zauważyła zgryźliwie starsza pani.

Zaskoczyła tym nieco Laurę, bo zwykle, nawet krytykując Kerry, była słodka jak miód. Kerry jednak tylko uśmiechnęła się do Amelii i rozłożyła serwetkę.

Ona ma własny pancerz. Laura napatkała spojrzenie Josie i zrozumiała, że myślała tak samo. Potem do jadalni weszła po- kojówka, by podać lunch, a rozmowa przy stole zeszała na te- maty ogólne.

Laura zwracała tylko pobieżną uwagę na to, co mówiono. Umysł zaprzętała jej informacja o Peterze, którą podzieliła się z nią Anna. Te nowe fakty najwyższej tylko zaciemniały już

j tak niejasną sytuację. Może Peter rzeczywiście padł ofiarą jakichś mętów, ale w takim wypadku najprawdopodobniej zo- stałby zastrzelony, a jego ciała pewnie nigdy by nie znalazio- no. A jednak Peter najwyraźniej liczył na pieniądze i otrzy- mał je od kogoś przed śmiercią, to zaś mogło mieć jakiś związek z morderstwem.

Ludzi stale zabijano dla pieniędzy, to pewne. Tak więc Pe- ter także mógł zginąć z tego powodu. Jeżeli na przykład miał przy sobie dużą sumę pieniędzy, mógł zostać ograbiony i za- mordowany. To, co wyglądało na zbrodnię w afekcie, mogło stanowić rezultat nerwowego pośpiechu. Mógł go też okraść i zabić jakiś ćpun, na tyle szalony, że wielokrotnie pchnięcie nożem mogło mu się wydawać uzasadnione.

Laura zadrżała lekko, gdy jej żywa wyobraźnia natych- miast wyczarowała przyprawiający o mdłości obraz; rozej- rzała się więc po jadalni, żeby oderwać od niego uwagę. An- na niestety zachowywała się po staremu, czyniąc posępne uwagi na temat mdłego jedzenia i zastanawiając się na głos, dlaczego od czasu do czasu nie można spełnić jej kulinarnych życzeń.

- Jeżeli chcesz zjeść coś bardziej pikantnego - odparła zniecierpliwiona Amelia - to zamów sobie pizzę. Kucharka spełnia moje życzenia, Anno, i nadal będzie je spełniała.

Anna wybuchnęła nieprzyjemnym śmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że będzie je spełniała, dopóki Da- niel nie zdecyduje się przejąć władzy, prawda? Peter wyjawil mi wszystkie swoje sekrety oraz wszystkie tajemnice rodzin- ne. Jak choćby tę dawną pogłoskę, że zabiłaś swego własnego męża, uderzając go w głowę i wrzucając do basenu. Zrobiłaś to? Czy Daniel ma na to dowód? Czy tym właśnie trzyma cię w szachu? Oboje wiemy, że to on od lat kieruje firmą. Że to on naprawdę wszystkim zarządza. Tobie tylko pozwalał uda- wać, zachowywać pozory władzy. On ci pozwalał, Amelio.

- Anno - ostrzegła ją cicho Josie.

- Ty się do tego nie mieszaj - warknęła Anna. - Mam już dosyć twojego ciągłego wtrącania się, łagodzenia sporów, gdy nikt cię o to nie prosi, podlizywania się Amelii i Danielo- wi a teraz, dosłownie, Alexowi. Dobry jest w łóżku? Czy Je- remy zaaprobowałby to, że pieprzysz się z jego kuzynem?

Ten cios musiał być bolesny, gdyż Josie pobladła jak ściana, spuściła wzrok i nie odpowiedziała ani słowem.

Laura nie miała pojęcia, skąd wzięła się ta nagła zjadliwość i nie umiała odgadnąć, co Anna miała nadzieję uzyskać oprócz swego rodzaju zapłaty za upokorzenie, którego wcześniej doznała. Cokolwiek jednak sprowokowało tę zmianę oczy Anny były surowe i błyszczące, usta tworzyły cienką kreskę na jej bladej twarzy, a głos tak jej się łamał, że zamarby przy lada dotknięciu.

Laura załowała teraz, że nie przysłuchiwała się rozmowie od początku.

Amelia siedziała prosto, jakby polknęła kij, policzki płonęły jej rumieńcem, a jej oczy były tak ciemne, że przypominały czarne dziury. Kerry nadal spokojnie jadła, natomiast Josie przesuwała jedzenie na talerzu, nie unosząc wzroku. Tyłko Madeline i Laura patrzyły na Annę, a Madeline miała niezadowoloną minę, zamiast zwykłego, nieprzytomnego wyrazu twarzy.

- Przestań gadać takie rzeczy, Anno - powiedziała. - Przecież wiesz, że to same kłamstwa.

Anna uniosła kieliszek w ironicznym toaście.

- Za Madeline, która nie dopuściłaby do problemów w rodzinie, gdyby to jej zapewniło wstęp do nieba. Zobaczymy... w twojej rodzinie nazywają to *omerta*, prawda, Kerry? Słynną znową milezienia?

- Przestali, gdy wyjechalśmy z Włoch przed trzema pokoleniami - odparła nieco oschle Kerry, ledwie odrywając wzrok od talerza.

- No cóż, mimo to na pewno wiesz o niej wszystko. Słodka, cicha Kerry, która nigdy nie powiedziała nikomu przykrego słowa. Wdowa, która nigdy nie była żoną. Nie kłamie, prawda? Mam im wyjawiać kolejny z małych sekretów Petera?

Kerry spojrzała na Annę i pokryta bliznami strona jej twarzy pociemniała, zdradzając uczucia, jakich reszta oblicza nigdy nie okazywała.

- Najwyraźniej masz zamiar mówić, co ci ślina na język przyniesie - odparła spokojnie.

Zanim Anna zdążyła otworzyć usta, odezwała się Amelia.

sprawiająca wrażenie bardziej zatrwożonej niż kiedykolwiek, przynajmniej w obecności Laury.

- Jeżeli nie potrafisz się zachować w cywilizowany sposób, odejdz od stołu.

- Odejdz od stołu Daniela, Amelio? Czemu, u diabła, miałabym odchodzić od stołu Daniela? Nie słyszałam głosu pana, proszącego o to...

- Słyszysz go teraz. - Daniel powiedział to bardzo cicho, ale przerwał tyradę Anny tak nagle i skutecznie, jakby krzyknął. Wszedł do jadalni ze spojrzeniem utkwionym w Annę, jego twarz wydawała się twardsza niż granit. - Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale koniec z tym. Nie zmuszaj mnie, bym zrobił coś, czego oboje będziemy żalowali.

Nieależnie od tego, jak wielką pogardą Anna darzyła innych domowników, było rzeczą oczywistą, że zbyt szanuje albo boi się swojego kuzyna, by z nim walczyć. Z policzka- mi rozpalonymi rumieńcem gniewu odsunęła do tyłu krzesło, cisnęła serwetkę na stół i bez słowa mijając Daniela, wypadła z pokoju.

W głębiej ciszy, jaka zapanowała po jej wyjściu, Daniel obrzucił je wszystkie spojrzeniem, oznajmił: „Dopilnuję, by to się więcej nie powtórzyło” i opuścił jadalnię.

Kerry złożyła równo serwetkę i powiedziała bezbarwnym głosem:

- Amelio, chyba pójde trochę poćwiczyć. Wybacz mi, proszę.

Amelia nie sprzeciwiła się. Choć sama nie skończyła jeść, nie zaczęła nawet, aż Kerry wyjdzie z pokoju, i oświadczyła:

- A ja pójde odpocząć na górę. Lauro, moje dziecko, wybacz, ale chyba nie będę ci mogła dzisiaj ponownie pozować.

Ponieważ rzeczywście sprawiała wrażenie osłabionej, Laura pośpiesznie odparła:

- Nie przejmuj się tym. Potrafię znaleźć sobie zajęcie na resztę dnia.

- Dziękuję ci, moje dziecko. Madeline, zechcej mi podać rękę...

- Oczywiście, Amelio. - Obie kobiety mieszały razem w tym domu przez ponad trzydzieści lat i bez względu na to,

czy darzyły się miłością, na pewno dobrze się znały i rozumiwały. Madeline wstała z ponurą miną, podała tęściowej rękę i wyszły powoli z jadalni.

Laura odetchnęła głęboko i powoli.

- Co w nią wstąpiło? - zapytała. - Przez chwilę błędziłam myślami gdzie indziej i nie słyszałam, co ją sprowokowało?
- Chyba nic - odparła Josie, najwyraźniej speszona. - Słyszałam tylko, jak Amelia mówiła Annie, że nie ma powodu zmieniać tapety w jej pokoju. Taka błahostka, ale dla Anny była to chyba kropla, która przelała czarę, gdyż sytuacja szybko stała się krytyczna.

- I cała ta... złość... przez tapetę?

Josie wzruszyła ramionami.

- Tak przypuszczam. A może wciąż boleśnie odczuwa to, że ubiegłej soboty poznaliśmy jej mały sekret i chciała się ze mną zmścić.

Laura złożyła bezwiednie serwetkę obok talerza.

- Daniel powiedział, że dopilnuje, by to się więcej nie powtórzyło.

- Daniel podpisuje czeki - wyjaśniła Josie, odpowiadając na nie wypowiedziane pytanie. - Jeżeli ktokolwiek może zmusić Annę do posłuszeństwa, to właśnie on. Zawsze był dla niej wyrozumiały, chyba współczuł jej, że straciła matkę w takich okolicznościach. Lecz dzisiaj Anna posunęła się za daleko.

- Też tak uważam - mruknęła Laura, zastanawiając się, którą z jadowitych uwag Anny miała na myśli Josie.

Policzki Josie zarumieniły się słabo, lecz jej głos był dość spokojny, gdy powiedziała:

- Oczywiście, zawsze miała do mnie żal. Amelia twierdzi, że Anna jest o mnie zazdrosna, ale chyba chodzi o coś innego. Kiedy Alex przyjechał tu po raz pierwszy, Anna...

- Była nim zainteresowana? - dokończyła delikatnie Laura.
- Owszem. Nie wiem, czy on w ogóle zdawał sobie z tego sprawę, ale ja wiedziałam. Później, gdy ja i Alex...

Laura skinęła głową.

- Należy do osób, które źle znoszą rywalizację, a jeszcze gorzej odrzucenie. Hm... to nie moja sprawa, ale sądzę, że Alex na pewno dokonał właściwego wyboru.

Josie uśmiechnęła się do niej.

- Dzięki. Mówił mi, że wszyscy domownicy wiedzą o nas, ale ja nie chciałam w to wierzyć.

- W tym domu tajemnice mają krótki żywot - zauważyła Laura.

- Święta prawda. Zwłaszcza, według Anny, wszystkie tajemnice znane Peterowi. - Josie pokręciła głową i wstając, odrzuciła do tyłu włosy. - No cóż, chyba już pójdę i znajdę sobie jakąś robotę. A może potrzebujesz towarzystwa?

- Nie, ale tak czy owak dziękuję. - Laura także wstała od stołu. - Pospaceruję w ogrodach, zanim pogoda znowu zrobi się paskudna.

- Mam ci coś doradzić w sprawie labiryntu? - zapytała z uśmiechem Josie.

Laura zawahała się, po czym potwierdziła skinieniem głowy.

- Tak, raz kozie śmierć.

- Gdy masz trzy możliwości do wyboru, zawsze wybieraj środkową ścieżkę.

- To twoja rada? - zdziwiła się Laura.

Josie wybuchnęła śmiechem.

- Przydatna, jeżeli masz przyzwyczajenie poczucie kierunku.

Ile mam dać ci czasu, zanim wyślę ekipę poszukiwawczą?

- Och, przynajmniej parę godzin.

- Złatwione. Baw się dobrze.

- Postaram się.

Laura nie szukała jednak skomplikowanej drogi przez labirynt tylko z chęci zabawy. Musiała na pewien czas wy dostać się z tego domu, uwolnić spod wpływu jego niepokojącej atmosfery. Potrzebowała samotności, musiała przemyśleć parę spraw. Wobec pokusy, jaką Daniel stwarzał swą obecnością, tak bliską i tak kuszącą, potrzebny był jej dystans, żeby rozjaśnić umysł.

A przynajmniej miała nadzieję, że to wystarczy.

Po nocnych burzach ogród lśnił w chłodnym, październikowym słońcu, a powietrze tętnęło świeżością. Laura szła szybko ścieżką prowadzącą do labiryntu, dobrze się czując w spódnicy i długim swetrze. Po drodze nie spotkała nikogo, choć zauważyła ogrodnika, pracującego pilnie przy kłombie

wiecznozielonych azalii w odległości około dwudziestu metrów od wejścia do labiryntu. Nie uniósł wzroku, a ona nie zwracała na siebie uwagi w pokrytym liśćmi wejściu.

W to jasne popołudnie labirynt nie sprawiał tak przylatczającego wrażenia, jak za pierwszym razem, i Laura przekonała się, że wcale nie musi spoglądać w górę, by się upewnić, czy ma nad głową niebo. Tym razem, ufając podświadomości, która - jak się wydawało - tak dobrze kierowała jej ręką przy malowaniu, po prostu szła, nie obawiając się konsekwencji swoich wyborów. Wybierała środkową ścieżkę, ilekroć były trzy możliwości, lecz pozostawała decyzję podejmowała tak, jakby jakimś sposobem rozpoznawała korytarze.

Dopiero gdy dotarła do środka labiryntu, nie wykonując ani jednego błędnego skrętu, usłyszała w sobie, czego dokonała. W swej nie obciążonej niczym wyobraźni, cały czas idąc, wodziła palcem po wytłoczonym w mosiądku zawitym wzorze, którego linia prowadziła do umieszczonego w środku serca, zawierającego dwa inicjały. Lusterko.

Powoli przeszła do altany, nie dostrzegając otaczającego ją piękna. Znalazła się wewnątrz i usiadła w nogach szezlonga. Widziała jedynie zwierciadło, tak wyraźne w jej umyśle, jak na zdjęciu.

Ten wzór zawsze przywodził jej na myśl labirynt, ale dopiero teraz powiazała je ze sobą.

- Ale ze mnie idiotka - mruknęła pod nosem, zupełnie bez emocji. Cały czas miała go przed sobą i to dostownie. Dopiero jej podświadomość rozpoznała labirynt, ujrawszy go zeszłej nocy z okna sypialni Daniela. Był to jedyny dogodny punkt obserwacji, z którego wyraźnie widać go w całości.

Ale co to oznaczało? Ze lusterko stanowiło klucz do labiryntu... czy też, że labirynt został utworzony według niepotrzebnego wzoru na odwrocie lusterka? Lusterko powstało pierwsze, zamówiono je bowiem w odległej Filadelfii w 1800 roku. Według Josie labirynt został stworzony w latach pięćdziesiątych przez Davida Kilbourne'a. Czy właśnie wtedy Kilbourne'owie weszli w posiadanie zwierciadła? Czy David kupił je gdzieś dla żony, a potem kazał zaprojektować labirynt według wzoru na lusterku?

Czy Amelia umieściłaby prezent od ukochanego Davida na poddaszu?

Zrobiłaby to, jeżeli faktycznie utopiła go w basenie.

Laura nachyliła się i marszcząc brwi, wsparła łokcie na kolanach, a brodę na dłoniach. Jeżeli Amelia zabiła męża, najprawdopodobniej nie chciałaby się do tego przyznać, nie po czterdziestu latach. Czy jednak przyznałaby, że w rzeczywistości wie więcej o lusterku, dzięki któremu Laura trafiła do jej domu? Też pewnie nie. Przecież ono miało więcej niż czterdzieści lat.

A gdyby nawet potwierdziła, że to dawny prezent od Davida - to co z tego? Żyjąc w tak zamożnej rodzinie, Amelia prawdopodobnie otrzymała mnóstwo prezentów w ciągu czterech dziesięcioleci i jedno mosiężne zwierciadło mogło nie utkwić w jej pamięci.

Laura miała przynębiające wrażenie, że ostateczny raport Deny na temat historii lusterka zakończy się informacją, że David Kilbourne kupił je gdzieś na pchlim targu lub w sklepie z antykami, i tyle. Koniec bajki. Niczego, co wyjaśniłoby, czemu kilkadziesiąt lat później Peter próbował je odkupić. Żadnego śladu, który by wskazywał, że zwierciadło miało cokolwiek wspólnego z jego śmiercią. Niczego, co by tłumaczyło wymijające odpowiedzi Daniela na temat lusterka.

I z pewnością niczego, co wyjaśniłoby, czemu ona sama całe życie szukała zaśnieżonego lusterka z mosiądzu, które znalazła sobotniego ranka w garażu rezydencji Kilbourne'ów. Ślepa uliczka.

- Nie. To coś znaczy. Musi coś znaczyć!

- Co coś znaczy?

Daniel podszedł do niej niepostrzeżenie, co wymownie świadczyło, jak bardzo zwierciadło zaprzętało myśli i skupiało na sobie uczucia Laury. Wyprostowała się, spojrzała na Daniela i od razu zaczęła mieć trudności z myśleniem o czymkolwiek oprócz niego.

- Co coś znaczy? - powtórzył, wchodząc do altany. Głós miał ochryple. Napotkawszy wzrok Daniela, Laura natychmiast usłyszała sobie, ile długich godzin minęło od chwili, gdy wyszła z jego sypialni. Zbyt wiele. Powoli ogamęło

ją tęskne uniesienie, rozgrzewające i rozluźniające obolałe mięśnie, a jej serce zaczęło tłuc się mocno w piersi.

- Labirynt - powiedziała niemal bezwiednie. - Skąd David miał projekt labiryntu?

- Dostał od jakiegoś znajomego w barze - odparł w roz-targnieniu Daniel. - To ciekawa historia. Przypomnij, że- bym ci ją kiedyś opowiedział. - To powiedziałwszy, opadł na kolana.

Laura wstrzymała oddech, gdy duże i ciepłe dłonie Daniela dotknęły jej kostek i zaczęły sunąć w górę, odsuwając brzeg spódnicy. Chciała mu przypomnieć, że jest środek dnia, że ktoś mógłby się tutaj na nich natknąć, ale słowa ugrzęzły jej jakoś w gardle. Z trudem oddychała i nie mogła oderwać wzroku od jego roziskrzonych oczu.

- Cały dzień myślę o tym - dodał, trzymając ręce na udach Laury. - O tobie. Wspominałem wczorajszą noc. - Jego palce przesliznęły się po łukach jej bioder i chwyciły gumkę skąpych koronkowych majteczek.

Laura podniosła się nieco, by pomóc mu je ściągnąć. Nie dbając o to, gdzie upadły, Daniel uniósł wysoko spódnicą i rozchylił jej nogi. Gdy delikatnie pogładził przy tym skórę na udach, Laurze zaparło dech; jej usta rozsunęły się skwap- liwie pod pożądliwym naporem jego warg. Przysunęła doń biodra i objęła go rękami za szyję.

Miała wrażenie, że zalewa ją fala przyplywu zbyt potężna, by mogła się jej oprzeć. Pragnęła go, teraz, w tej chwili, i tyl- ko to miało dla niej znaczenie. Ledwie zdawała sobie sprawę z odgłosów wydobywających się z jej ust, cichych pomruków i jęków rozkoszy. Potrafiła jedynie czuć. Czuć drżące ręce Daniela na piersiach, nawet przez sweter i biustonosz; było to szalenie podniecające. Jego usta karmiące się jej ustami tak zachłannie, jakby od tego zależało jego życie. Puszystość jego włośów pod palcami, siłę jego ramion i mocne rozkosz- ne ciało.

Po chwili wypełnił ją sobą i Laura krzyknęła, oplatając go nogami i wyginając swe ciało w łuk, aby jeszcze bliżej przy- lgnąć do bioder kochanka, poczuć go jeszcze głębiej i przyjąć w całości. Rozkosz zalewała ją falami uniesienia i pulsującej

radości, narastając coraz bardziej, aż osiągnęła szczyt ekstazy tak nieprzepatwej, że Laura zatraciła się w niej zupełnie.

Kiedy wreszcie oprzytomniała, po twarzy płynęły jej łzy. Obnażając w ten sposób własne uczucia, pogodziła się z fak- tem, któremu nie mogła dłużej zaprzeczać: że zakochała się w Danielu Kilbournie.

Rozdział 13

Usłyszawszy odgłos otwierania i zamykania frontowych drzwi, Josie utkwiała wzrok w wejściu do biblioteki. Po chwili pojawił się Alex.

- Co ty, u licha, wyprawiasz? Pracujesz w sobotę? - zapytał znacznie bardziej obcesowo niż zwykle.

Słyszając jego ton, mogła się zjeżyć, ale spostrzegła, że coś go trapi, więc powiedziała tylko łagodnie:

- Właściwie to nie pracuję. Wypisywałam czeki na opłacenie paru moich rachunków.

Wyraz dezaprobaty jeszcze przez chwilę pozostał na jego twarzy, potem jednak Alex zaśmiał się krótko i wszedł do pokoju.

- Wybacz, kochanie. Miałem niezbyt przyjemny dzień. A ty?

- Och, mój był znośny, jeżeli pominąć fakt, że Anna doznała podczas lunchu rozstroju nerwowego i zapytała między innymi, czy Jeremy pochwaliby to, że... uprawiam seks z jego kuzynem.

Alex usiadł na brzegu biurka i spojrzał na Josie, unosząc brwi.

- Rozumiem, że wyraziła się w mniej kulturalny sposób?

- Można by tak powiedzieć. Można by również powiedzieć, że w ciągu paru minut zdołała obrazić, zdemaskować i odstręczyć od siebie wszystkich zgromadzonych przy stole, może z wyjątkiem Laury, którą tylko wprawiła w oszołomienie.

- Muszę zacząć przyjeżdżać do domu na lunch - zauważył Alex refleksyjnie.

Josie roześmiała się, kręcąc jednak głową.

- To było okropne. Napadła nawet na Kerry, mówiąc, że jest wdową, która nigdy nie była żoną... Jeszcze nigdy nie widziałam Amelii tak oziębłej jak w chwili, gdy Anna skończyła jej docinać, mówiąc, że tak naprawdę nie ona tu rządzi. Nie wiem, czym by się to skończyło, gdyby nie przyszedł Daniel i nie kazał jej się zamknąć.

Alex wziął Josie za ręce i pociągnął lekko, zmuszając do powstania.

- Nie powinnaś się nią przejmować. To zawzięta i nie-szczęśliwa kobieta, która czerpie przyjemność z przysparzania innym jak najwięcej kłopotów. Po prostu ją ignoruj.

- To trochę trudne, gdy oznajmia na całe gardło, że sypiamy ze sobą.

Alex patrzył na nią spokojnie.

- Więc zrobiła to. I co z tego? Czy świat się zawałił? Czy Amelia natchmiast zwolniła cię z pracy i kazała wynosić się z domu? Czy wszyscy patrzyli na ciebie z odrazą? - *Czy duch Jeremiego powstał z okrzykiem gniwnego potępienia?*

Alex nie zadał tego ostatniego pytania, ale Josie i tak je usłyszała.

- Nie. Ale czułam się taka... bezbronna. I zabołało mnie, że ktoś ujawnia wszystkim moje prywatne sprawy, nie pytając nawet o pozwolenie.

- Ale nie czułaś się winna? - pytał badawczo. - Ani za-wstydzona?

- Nie - powiedziała, trochę zaskoczona.

Alex uśmiechnął się.

- W takim razie robimy wyraźne postępy, kochanie. - Pocałował ją leniwie, lecz Josie wyczuła, że ten pocałunek jest inny niż zwykle, choć nie mogła określić, na czym polegała różnica. - Może jednak drobna scena urządzona przez Annę miała pewien zbawczy walor.

- Nie sądzę, by Daniel podzielał tę opinię - odparła z lekkim roztargnieniem Josie. - Jeszcze nigdy nie widziałam go takim.

- Jak wyglądał?

- Był twardy jak skała i równie nieugięty. Gdy Anna wybiegła z pokoju, powiedział, że to się więcej nie powtórzy, po

czym zapewne poszedł za nią. Nie widziałam od tamtej pory żadnego z nich, ale jestem skłonna się założyć, że poradził Annie, żeby odtąd zachowywała się przyzwoicie. Alex skrzywił się.

- Tego mu tylko brakowało. Coś ci powiem, kochanie, od powiedzialność za tę rodzinę to nie żarty.

Josie spojrzała na niego badawczo.

- Czy ty i Daniel nadal... sprzątaacie po Peterze?

- Tak jakby. To też nie jest zbyt zabawne.

- I nadal nie masz zamiaru o tym mówić?

- Nie mogłabyś w niczym pomóc i nie ma powodu, byś zamartwiała się razem ze mną i Danielem. Prędzej czy później dotrzemy do sedna sprawy i wtedy wszystko ci powiem. Zgoda?

Josie zmierzyla go wzrokiem.

- Wy Kilbourne'owie jesteście diabelnie tajemniczy. Oczywiście z wyjątkiem Petera, który, jak się okazuje, wyjawiał Annie wszystkie swoje najgłębsze sekrety.

- Doprawdy? To ciekawe. - Zielonkawe oczy Alexa przybrały na chwilę nieprzytomny wyraz, po czym znowu stały się przenikliwe. Uśmiechnął się do niej. - No cóż, nieważne. Może wyjdziemy na parę godzin z tego przynębiającego domu? Jestem pewien, że uda nam się znaleźć coś do roboty.

- Powinnam sprawdzić, może Amelia chce, żebym...

- Jest sobota. To, czego chce Amelia, może poczekać. - Alex wstał z biurka, nie puszczając jej rąk, i rzekł obojętnie: - Aha, nie miałem wprawdzie okazji, by wspomnieć o tym dziś rano, ale wyglądasz wspaniale.

Josie poczuła, że się rumieni jak uczennica, i pomyślała, iż w jej wieku to niedorzeczne.

- Dziękuję.

Alex uśmiechnął się i powiedział delikatnie:

- Nie sądzę, by Jeremy miał coś przeciwko temu. O ile sobie przypominam, nigdy nie przepadał za czernią.

Nagły ucisk w gardle sprawił, że Josie nie mogła mówić, więc tylko skinęła głową i wyszła z nim z biblioteki, ciekawa, czy Alex w ogóle zdaje sobie sprawę, że przestała już prosić swego zmarłego męża za to, czego nauczył ją inny mężczyzna.

Gdy szli labiryntem w kierunku wyjścia, Laura, patrząc na ich splecione ręce, zastanawiała się, czy fakt, że go kocha, ma dla Daniela jakies znaczenie. Musiała to wiedzieć. Miała wątpliwości, czy potrafi skrywać swoje uczucia do niego. A poza tym od dnia, gdy się poznali, Daniel wydawał się dostrójony do jej usposobienia i emocji. Na pewno wiedział. Start delikatnie palcami ślady łez z jej twarzy, ale nie zadawał pytań ani nie komentował i od tej chwili prawie się nie odzywał. Czy wiedział? Czy to w ogóle miało dla niego znaczenie?

- Jesteś bardzo milcząca - rzekł w końcu.

Laura zdobyła się na maksymalny spokój i obojętność i odparła:

- Właściwie to tam, w altanie, zostałam zgwałcona. Mam więc powody.

Daniel zatrzymał się i spojrzal na nią z lekkim uśmiechem.

- A ja nawet nie powiedziałem dzień dobry, prawda?

- Nie. Powiedziałeś coś... - Laura wpadła w lekką panikę, gdy sobie uświadomiła, że nie pamięta, co takiego powiedział. *O Boże, czy po tym już nigdy nie będą taka jak byłam?*

Daniel wolną ręką ujął ją pod brodę i pocałował.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. Wiesz, że ktoś mógł wyjść z za tego zakrętu i nas zobaczyć. Prawdę mówiąc, parę minut temu ktoś mógł się napatrzeć do woli.

- Po małym pokazie Anny w jadalni z pewnością nie możesz wątpić w to, co powiedziałem o krótkim żywocie tajemnic w tym domu - odparł oschle Daniel.

- Nie mogę - przyznała z westchnieniem Laura. - Prawdę powiedziałem, ponieważ sprawiała wrażenie zdecydowanej ujawnić tajemnice wszystkich domowników, spodziewałam się trochę, że powie, iż zeszłą noc spędziłam w twoim mieszkaniu.

- Skąd miałaby o tym wiedzieć? Laura

zawahała się, po czym odparła:

- Mogła mnie widzieć na korytarzu.

- Jej sypialnia mieści się w skrzydle wschodnim, po drugiej stronie domu. Cóż by robiła w pobliżu naszych mieszkań? - Daniel zmarszczył nieco brwi, spoglądając na Laurę.

Wiedziała, jak spozstrzegawcze jest to badawcze spojrzenie i starała się go uniknąć.

- Masz rację. Chodzi po prostu o to, że byłam jedyną osobą w jadalni, której nie zaatakowała, i wyobrażałam sobie że jestem następna w kolejce. Dużo słyszałeś z tego, co powiedziałła?

- Prawie wszystko. Lauro, czy stało się coś jeszcze? Czy martwisz się czymś?

Znowu się zawahała.

- Zeszłej nocy ktoś był w moim mieszkaniu.

Daniel jeszcze raz zmarszczył brwi.

- Skąd ta pewność?

Laura nie zamierzała mówić Danielowi, że ma lusterko ze sobą choć myślała o tym, by mu je pokazać niespodziewanie i sprawdzić, jak zareaguje. Powiedziała jednak:

- Postanowiwszy zostać tu na weekend, przywiozłam ze sobą lusterko. Kiedy zeszłej nocy wychodziłam z mieszkania, leżała na stoliku, spodem do góry. Gdy wróciłam, było odwrócone.

- Amelia często spaceruje nocą po korytarzach - zauważył Daniel po chwili, przyjmując tę informację z zupełnym obojętnym wyrazem twarzy.

- Sama też mi to mówiła.

- Czy przyznała się do wizyty w twoim mieszkaniu?

- Nie, ale... czułam wyraźnie, że się ze mną bawi. Myślisz, że to raczej ona niż Anna?

- To chyba bardziej prawdopodobne.

- W takim razie faktycznie bawiła się ze mną.

Daniel dotknął delikatnie jej twarzy i pogładził ją kciukiem po policzku.

- Może. A może po prostu nie chciała się przyznać do naruszenia twojej prywatności.

- Mam wrażenie - powiedziała lekko zaintrygowana Laura, starając się to zrozumieć - że biorąc pod uwagę historię waszych wzajemnych stosunków, powinieneś zawsze przypisywać jej nieczyste pobudki. Ale ty tego nie robisz, prawda. Dlaczego pozwalasz, by to dalej trwało? To, w jaki sposób Amelia... sprawdza granice, do jakich może się posuwać, jak walczy, by postawić na swoim, musi być stresujące, a może

nawet niebezpieczne. Ty jednak pozwalasz na to przez te wszystkie lata. Czemu? Żeby zaoszczędzić Amelii zażenowania?

- Może raczej *quid pro quo*, jakby powiedział Alex - odpart z nieco wymuszonym uśmiechem. - Nigdy byś się tego nie domyśliła, ale gdy byłem dzieckiem, Amelia okazywała mi wiele dobroci. Ojciec spędzał ze mną czas, ale matka... trzymała mnie na dystans. Była całkowiec pochłonięta Peterem. Amelia poświęcała mi uwagę, rozmawiała ze mną, interesowała się moim losem. Przez pewien okres byliśmy w bar-dzo serdecznych stosunkach. W moim życiu, Lauro, miało to duże znaczenie. Nie mogę o tym zapomnieć.

Laura nie odzywała się przez chwilę, a tylko badała uważnie jego twarz.

- Ale teraz to wszystko się rozstrzyga, prawda? - powie-działa w końcu. - Ta walka, napięcie między wami, czasem aż rzucają się w oczy. Będziesz musiał położyć temu kres.

- Zgadza się - odparł cicho. - Wkrótce.

- Wiesz, że ona nie pozostanie ci dłużna.

Daniel potwierdził skinieniem głowy.

- Wiem, że spróbuje. Ale teraz nic nie mogę na to pora-dzić. W tej chwili mam inne zmartwienia.

- Na przykład... co Peter knuł, zanim został zabity?

Daniel opuścił rękę.

- Zgadujesz?

- Składam klocki w całość. Coś knuł, prawda? Próbował jakoś zebrać fundusze na sfinansowanie swoich ambitnych planów? Czy zginął właśnie przez to? Czy usiłował zdobyć te pieniądze z niewłaściwego źródła, od niewłaściwych ludzi?

- Nie wiem. - Daniel odwrócił się i ruszył dalej ścieżką przez labirynt, wciąż trzymając Laurę za rękę.

- I nie chcesz o tym rozmawiać. - Laura nie była zasko-czona, ale starała się ukryć bolesną urazę.

Daniel zacisnął palce na jej dłoni.

- Nie. Nie teraz. Mówiłaś, że potrafisz się z tym pogodzić.

- Powinam się zbadać, czy z moją głową wszystko w porządku - mruknęła.

Dotarli akurat do wyjścia.

- Dlaczego? - zapytał, gdy znaleźli się na ścieżce pro-

wadzącej z powrotem przez ogród. - Bo jesteś skłonna dać mi potrzebny czas?

- Po prostu chciałabym zrozumieć - odparła z westchnieniem. - Nadal nie wiem, czego ode mnie chcesz.

Przystanął i spojrzął na nią.

- Czyżby?

Laura bez trudu zinterpretowała błyski uniesienia w jego oczach. Musiała odkaszlnąć, zanim powiedziała:

- Poza tym.

Daniel uśmiechnął się.

- Chcę wiedzieć wszystko o Laurze Sutherland.

Laura zmrugała oczyma.

- Naprawdę?

- Tak. Gdzie się urodziłaś i dorastałaś, o rodzinie, z którą nie utrzymujesz bliskich kontaktów, oraz o ludziach, którzy są ci bliscy. Upodobania i uprzedzenia. Poglądy polityczne i filozoficzne. Po której stronie łóżka wolisz spać. Tego rodzaju rzeczy.

- To... dość wygórowane żądanie.

- Mamy czas. Do kolacji zostało jeszcze wiele godzin i wątpię, by ktoś nam tu przeszkadzał. Pospaceruj ze mną. Porozmawiaj.

Laura spojrzała na ich splecione ręce i powiedziała powoli:

- Jeżeli spędzimy tu razem całe popołudnie...

- Wszyscy się dowiedzą, że jesteśmy kochankami? - Daniel mówił to spokojnym głosem. - Ktoś, prawdopodobnie Amelia, wie, że zeszłej nocy nie było cię w pokoju. Wątpię, by interesowało to innych. Wiem, obiecałem dać ci czas i spróbuję cię nie... przytłaczać. Ale coraz mniej lubię sekrety. Nie wstydzę się być twoim kochankiem i naprawdę gwizdź na to, kto o tym wie.

- Nie powiedziałam, że mi wstyd. Ale znamy się ledwie od tygodnia...

- Więc mogliśmy urazić czyjeś delikatne uczucia? Skoro nam to nie przeszkadza, dlaczego mielibyśmy dbać o to, co myślą inni? Lauro, jeżeli naprawdę przejmujesz się tym, że wszyscy się dowiedzą, iż jesteśmy kochankami, to zostawieć cię tu i wrócić do domu. Nikt nas jeszcze nie zobaczył; labirynt widać wyraźnie tylko z mojego okna. W obecności in-

nych będziemy udawać, że ledwie się znamy, że jesteśmy sobie obojętni. Będziemy utrzymywali prawdę w sekrecie jak najdłużej, jeżeli tylko tego chcesz. Może dziś wieczorem, gdy wszyscy zasną, przyjdiesz ukradkiem do mojej sypialni albo ja przyjadę do ciebie. Na parę godzin. A jutro znowu zacznemy udawać. Czy naprawdę tego właśnie chcesz? Laura uległa - Danielowi i własnym pragnieniom.

- Nie. Nie chcę. Ale Amelia...

- Wątpię, by Amelia dużo o tym mówiła. W razie czego zajmę się nią. - Daniel uniósł i pocałował jej rękę w geście dziwnie serdecznym i pełnym wdzięku jak na mężczyznę tak potężnego i szorstkiego z wyglądu. - A teraz przejdź się ze mną. I opowiedz mi wszystko o Laurze Sutherland.

Później Laura doszła do wniosku, że to ów pocałunek prze-rwał ostatnie wiotkie nici jej oporu i sprawił, że machnęła ręką na względy ostrożności. W każdym razie poszła z Dani-elem na spacer i długo rozmawiali.

W ogrodach panowała cisza i spokój. Nikt im nie prze-szkadzał, gdy przechadzali się ścieżkami, przysiadając od czasu do czasu na rozmieszczonych tu i ówdzie ławkach i nieraz zatrzymując się, żeby wykorzystać szczególnie za-ciszone miejsce.

Daniel zadawał pytania, a Laura odpowiadała, mówiąc o sobie więcej, niż wyjawiała dotąd komukolwiek. On także mówił, nadszpiewanie otwarcie, ujawniając niektóre szcze-góły ze swego życia.

Laura pomyślała, że prawdopodobnie coraz bardziej za-chowuje się jak zakochana kobieta, ale nic nie mogła na to poradzić. Jak wcześniej z taką łatwością nęcił ją dotykiem, tak teraz uwodził swoją uwagą, zaabsorbowaniem wszystki-mi szczegółami z jej życia. Sprawił, że pamiętała tylko o nim, że jej świat zawęził się tylko do ich dwojga i tych pięknych ogrodów.

Dopiero gdy po kilku godzinach wrócili do domu, aby się przebrać do kolacji, Laura przypomniała sobie, jak Daniel mówił, że jego dziadek wpadł na pomysł budowy labiryntu po rozmowie z nieznanym człowiekiem w barze, ale spo-sobność, by zapytać o to, przepadła, przynajmniej na razie.

Kiedy tuż przed szóstą Laura weszła do salonu, nie bardzo wiedziała, czego może się spodziewać. Ani po Danielu, ani po innych domownikach. Ponieważ przez całe popołudnie nie spotkali nikogo, w żaden sposób nie mogli wiedzieć, czy wiadziano ich razem, czy zauważono ich zażyłość. Była więc przygotowana na wszelkie reakcje. Jeśli chodzi o Daniela, to nie miała pewności, jak będzie się zachowywał w stosunku do niej w obecności rodziny.

Chronienie tajemnego związku to jedna rzecz, a zwracanie się w romantyczny sposób do kochanka na oczach zaciekawionych jego krewnych to zupełnie co innego, pomyślała. Poza tym Daniel był człowiekiem wstrzemięźliwym, opanowanym i nieskłonny do okazywania uczuć. Tak przynajmniej sądziła, zanim zaczął z nią spacerować po ogrodach, ciągnąc za niemal każde drzewo, żeby całować ją do utraty tchu.

Nadal była trochę nerwowa i wydawało się to oczywiste dla każdego, kto zechciał przyjrzeć się jej uważnie.

- Wyglądasz mi na kobietę spragnioną drinka - rzekł Alex bez troski, gdy tylko weszła do salonu. - Co mogę ci przyrządzić?
 - Zazwyczaj nie piję - odparła. - Ale może sherry?
- Alex uśmiechnął się do niej ze swego zwykłego miejsca za barem i napełnił dla niej kieliszek. W salonie byli tylko on i Josie. Gdy Laura wzięła sherry i wycofała się na zwykłe miejsce za sofą przy oknie, wdowa po Jeremym posłała jej uśmiech życzliwego zrozumienia.
- Nie zwracaj na niego uwagi. Wyglądasz świetnie. Wręcz wspaniale.

Laura spojrzała najpierw na długą suknię Josie, ołsniewającą srebrystą tubę, a potem na własną elegancką czarną sukienkę i mimowolnie rozeźmiała się na widok tej zmiany kolorów.

- Dzięki. Ty również.
- Przemiany to fascynująca rzecz, nie sądzicie? - zauważył leniwie Alex, wspierając się o bar.
- Jeśli to nie ty im ulegasz - odparła ponuro Laura.
- Amen - dodała Josie.
- Są krepujące - stwierdziła Laura, kiwając głową.

Josie westchnęła.

- Skromnie mówiąc. To deprymujące, gdy człowiek nie poznaje samego siebie.
- I nie może nad sobą panować - mruknęła pod nosem Laura i wypiła łyk sherry.
- Alex zaczął się śmiać.
- Drań - powiedziała serdecznie Josie.
- Wybacz, moje złotko, ale gdybyście widzieli teraz swoje twarze!

Josie spojrzała na Laurę.

- Jego największą wadą jest brak powagi. Pewnie zauważyłaś. - Jedynej jej reakcją na pieszczotliwe określenie, jakiego użył Alex, był lekki rumieniec.
 - Zdradziły go krawaty - odparła Laura.
- Alex spojrzął na swój krawat, ozdobiony krzykliwymi wiełobarwnymi postaciami z popularnego komiksu, wspaniale kontrastujący ze stonowanym ciemnym garniturem i rzekł:
- Czuję się dotknięty.

- Czym? - zapytał Daniel, wchodząc do salonu.

- Obrzucają mnie oszczerstwami - wyjaśnił Alex, machinalnie nalewając szkoćkę do szklanki i podając przechodzącemu kuzynowi. - Czepiają się mojego krawata.
- Nie przejmowałbym się tym. Ten akurat przypuszczalnie sam się potrafi obronić.

Obie kobiety wybuchnęły głośnym śmiechem, a ponieważ Laura wciąż się śmiała, gdy Daniel obchodził sofę, nie zdążyła nawet zesztymnić, kiedy objął ją w tali i pocałował.

- Pięknie dzisiaj wyglądasz - powiedział ochryplym głosem.

Popatrzyła trochę nieprzytomnie na tę zwykle surową twarz, zdumiewająco zmienioną pod wpływem czułości, i doszła do wniosku, że reszta jego rodziny i cały świat mogą myśleć o niej, co chcą, jeżeli tylko w nagrodę będzie patrzył na nią w ten sposób.

- Dziękuję - mruknęła w odpowiedzi.

Daniel obejmował ją bez cienia zażenowania, przesuwał lekko palcami po jej ramieniu. Jeśli zaś chodzi o Laurę, to odkryła bez zbytejnego zaskoczenia, że ciało decyduje za nią, opierając się o Daniela ze zmysłową, dyskretną niczym neon

poufałością. Ledwie zdołała się powstrzymać od rozpięcia jego marynarki i wtulenia się węż jęszcze bardziej.

Daniel albo dostrzegł, albo wyczuł jej uczucia, bo w jego oczach pojawił się błysk zadowolenia. Zamiast skomentować to w jakiś sposób, popatrzył przez pokój na Alexa i zapytał:

- Widziałeś Annę?
- Nie. - Alex najwyraźniej nie czuł potrzeby wygłaszania dalszych uwag o przemianach kobiet, aczkolwiek cały czas uśmiechał się błado. - Ale biorąc pod uwagę to, co zaszło podczas dzisiejszego lunchu i o czym opowiedziała mi Josie nie liczyłbym, że prędko ją ujrzemy. Zmyłeś jej głowę?
- Tak jakby. Potem wypadła stąd niczym wichur i od tego czasu jej nie widziałem.
- Josie westchnęła.
- Znasz ją, Danielu. Wróci do domu, gdy wymyśli jakiś sposób na obarczenie kogoś winą za napad złego humoru.
- Tym razem to było coś gorszego - zauważył dość ponuro Daniel.

Cokolwiek mógłby do tego dodać, stało się nieistotne, gdy do salonu weszła Kerry, przyciągając ich uwagę swoim wrodzonym wdziękiem oraz strojem, któremu nawet Amelia nie zdołałaby nic zarzucić. Miała na sobie długą suknię ze stojką i bez rękawów, a jej prosty styl sprawiał, że wyglądała raczej na kruchą niż chudą. Suknia była w odcieniu ciemnego burgunda i ów kolor przydawał ciepłą, jasnej cerze Kerry i blasku jej włosom.

Jak zwykle podczas spotkań w rodzinnym gronie nosiła jedynie delikatny makijaż zamiast grubej tapety służącej ukryciu śladów po poparzeniu, a jednak blizny wydawały się mniej widoczne niż normalnie. Minę miała jak zawsze pogodną, lecz w jej oczach pojawiła się iskra życia, którego w nich wcześniej nie było - albo pozostawało ukryte.

Przestała uczestniczyć w grze Amelii, uświadomiła sobie Laura, zastanawiając się, czy awantura podczas lunchu nie przyniosła efektów odmiennych od zamierzonych przez Annę.

- To co zwykle? - Otrzymał w odpowiedzi uśmiech i skinięcie głową. Alex przyrzadził i podał jej drinka, ona zaś dosiadła się do Josie. Uśmiechnęła się do pozostałych, przyjmując wzajemną bliskość Daniela i Laury bez zmruczenia oka.

- Świetnie wyglądasz - powiedziała Josie. - Czemu wcześniej nie widziałam cię w tym kolorze?

- Prawdopodobnie z takiego samego powodu, dla którego ja nie widywałam ciebie w t y m kolorze. - W cichym głosie Kerry pobrzmiwały słabe nuty rozbawienia. - Chyba obie... szliśmy po linii najmniejszego oporu.

- Wiem, co mnie wytrąciło z tej linii. A ciebie?

- Świadomość - odparła Kerry wymijająco. - Dała na siebie długo czekać, ale w końcu się pojawiła. - Uniosła kieliszek w dyskretnym toaście, wypiła mały łyk, po czym dodała z ledwie dostrzegalnym uśmiechem: - Amelia nie będzie zachwycona.

Laura pomyślała o tym samym. Najwyraźniej starsza pani straciła tego dnia przynajmniej część swojej władzy nad Josie i Kerry, by nie wspomnieć o Annie i jej napadzie podczas lunchu. Nadal także nie było wiadomo, jak zareaguje na otwartą dezercję Laury w ramiona Daniela.

Zanim ktokolwiek zdążył to głośno skomentować, do salonu weszła Madeline, jak zwykle ubrana i umalowana w niekazitelnym sposób i jak zwykle nieprzytomna. Jeździła nawet zauważyła kilka najbardziej widocznych zmian w grupie, do której dołączyła, nie pokazała tego po sobie. Przyjęła od Alexa zwykłą porcję alkoholu i zajęła swoje miejsce na drugiej sofie, wypowiadając półgłosem słowa ogólnego powitania.

Laura spojrzała na Daniela, przypomniałszy sobie jego słowa o rezerwie, z jaką matka zachowywała się wobec starszego syna. Patrzył na nią jak zawsze obojętnie, lecz Laura wiedziała teraz, jak boleśnie musiał to odczuwać w dzieciństwie i jakim kosztem stał się obojętny. Po raz pierwszy poczuła złość do Madeline. Mając dwóch synów, wołała nicponia o powierzchniowym wdzięku i beztroskim uśmiechu zamiast Daniela, który miał bardziej skomplikowaną osobowość i był zdecydowanie lepszym człowiekiem.

Jak matka mogła dokonać takiego wyboru?

Potem na chwilę napotkała wzrok Madeline i spostrzegła, że spojrzenie jasnych oczu, na pozór tak podobnych do oczu Daniela, jest zupełnie nieprzytomne. W rzeczywistości Madeline nie widziała Laury. Nie widziała swego syna ani jego

ręki obejmującej Laurę. Nie widziała niczego. Było jej wszystko jedno.

Laura nakryła rękę Daniela dłonią i uśmiechnęła się, gdy odwrócił głowę, by natychmiast odpowiedzieć jej spojrzaniem. Rysy jego twarzy zlagodniały, oczy rozchyliły uniesieniem i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

To właśnie zobaczyła Amelia, gdy weszła do pokoju: ich dwoje spoglądających na siebie tak, jakby nikt więcej nie istniał. Zobaczyła również Josie, która w jasnej sukni absolutnie nie przypominała wdowy, oraz Kerry we wspaniałe dobranej sukni. Być może uświadomiła sobie, jak słabnie jej władza nad rodziną.

Usłyszawszy stuk jej laski, Laura oderwała wzrok od Daniela i ujrzała starszą panią stojącą w drzwiach do salonu. Wydawało się jej, że twarz postarzałej piękności lekko drży, ale jeśli nawet zadrgała, była to tylko krótkotrwała reakcja. Amelia weszła do salonu z nieodgadniwym spojrzeniem ciemnych oczu i zgodnie z ustalonym zwyczajem zajęła fotel oraz przyjęła drinka z rąk Alexa.

- Dzisiaj wszyscy prezentujecie się bardzo ładnie - powiedziała, a w jej głosie pobrzmiwał ledwie słyszalny wyśmiałek, jakby zwykle słowa nie pasowały już do sytuacji.

Właściwie to jej współczuję, pomyślała Laura. Po czym, ze zdziwieniem, dodała w duchu: Teraz mogą ją namalować. Wiem, że potrafię.

- Ktoś powinien był zapalić w kominku - zauważyła Amelia, spoglądając w stronę nie rozświetlonych sztucznych kłód leżących w gazowym kominku. - Jest chłodno.

- Pozwól, że ja to zrobię - rzekł Alex i przeszedł przez salon, by wykonać to proste zadanie.

- Dziękuję - mruknęła.

Patrząc na nią, Laura pomyślała, że tego wieczoru starsza pani jest trochę smutna, a nawet oszołomiona. Choć siedziała jak zawsze prosto, sprawiała wrażenie niższej i jakby słabszej - straciła stalowy charakter. Wyglądała też starzej, jej harda twarz stała się mniej napięta, a zmarszczki wokół oczu i ust bardziej widoczne.

Chyba nikt nie był skłonny przerwać milczenia. Usłyszawszy dzwonek do drzwi, Laura zastanawiała się, czy wszyscy

odetchnęli z równie wielką ulgą jak ona. Zastanawiała się też, czy Amelia była tak samo świadoma faktu, że tym razem Alex nie poprosił jej o pozwolenie, zanim zareagował na to wezwanie.

Po chwili, z nieco niepewną miną, wrócił do cichego pokoju.

- Tym razem także nie jest to wizyta towarzyska - wyjaśnił.

Za nim stał Brent Landry. Porucznik, jak poprzednio, był w stonowanym, lecz eleganckim garniturze i robił wrażenie osoby czującej się w salonie Kilbourne'ów jak u siebie w domu. Tym razem również po powitaniu podszedł do kominika, skąd mógł widzieć wszystkich. Gdy ujrzał Laurę przytuloną do Daniela, uniósł nieco czarną brew, ale była to jego jedyna reakcja.

- Właśnie mieliśmy zasiąść do kolacji - oznajmiła Amelia lodowato, ale bynajmniej nie z takim rozdrażnieniem jak ostatnio.

- Przykro mi, pani Amelio, ale jest pewna sprawa, którą muszę wyjaśnić w śledztwie, i to nie może czekać.

- Dowiedziałeś się, kto...? - Madeline patrzyła na Brenta, w jej oczach kryło się teraz napięcie.

Jak poprzednio, głos porucznika zlagodniał.

- Jeszcze nie. Wciąż wykluczamy kolejnych podejrzanych.

- Ilu wrogów mógł mieć jeden człowiek? - zapytała ponuro Amelia.

- Wystarczająco dużo, byśmy mieli zajęcie - odparł bardzo grzecznie Landry.

Amelia zacisnęła usta.

- Dobrze, mów dalej.

Jego przenikliwe szare oczy omiotły powoli pokój, zatrzymując się w końcu na Kerry.

- Mam do pani parę pytań, pani Kilbourne.

Kerry spojrzała na niego, z twarzą bez wyrazu.

- Gdy zabito Petera, Kerry była w Kalifornii - powiedział Josie. - Cóż mogłaby wiedzieć na ten temat?

- Chyba więcej, niż może się pani wydawać - odparł policjant, nadal wpatrując się w twarz Kerry. - Pani Kilbourne, czy zdawała sobie pani sprawę, że mąż miał długie karciane?

- Tak - odparła rzeczowo.
 - Zanim wyszła pani za niego? Zawahała się niemal niedostrzegalnie.
 - Nie.
 - Czy wiedziała pani, że dwa miesiące temu uczestniczy w grze w pokera o wysokie stawki w potajnym pokoju pewnego klubu w Atlancie i przegrał trzysta tysięcy dolarów w ciągu jednej nocy?
- Alex pierwszy przerwał milczenie, mamrocząc słowo „Chryste”.
- Nie miał tyle gotówki - odparła Kerry.
 - Nie miał - przyznał Landry. - Za to dość dobrze znał kierownika klubu i tenże kierownik honorował jego weksle. Wie pani, o kim mówię?
- Usta Kerry wygięły się w bardzo bladym uśmiechu.
- Pewnie ma pan na myśli mojego brata. Porucznik potwierdził skinięciem głowy.
 - Lorenzo DeMitri. Czy wiedziała pani, że mąż był winien taką sumę pani bratu?
 - Tak.
 - I nie zaskoczyło to pani?
 - Peter nie mógł mnie niczym zaskoczyć.
- W tym momencie odezwała się Amelia, kierując do detektywa opryskliwe pytania.
- Twierdzisz, że Petera zamordowano z powodu tego dłu gu? I że brat Kerry miał z tym coś wspólnego?
- Landry tylko przelotnie spojrzął na Amelię.
- Twierdzę, że to... kolejny trop wart zbadania. Pani Kilbourne, czy wiedziała pani, że brat kazał wyrzucić pani męża ze swojego klubu dwa dni przed jego śmiercią?
 - Byłam wówczas w Kalifornii.
 - Ale zdawała pani sobie sprawę, że ów incydent miał miejsce?
 - Wtedy nie.
 - Kiedy się pani o tym dowiedziała?
 - W czasie pobytu w Kalifornii.
 - W jaki sposób?
- Kerry westchnęła lekko. Jej piwne oczy były przejryste i spokojne.

- Mój brat zadzwonił do mego ojca.
 - Żeby donieść o incydencie?
 - Nie, żeby wytłumaczyć, dlaczego klub jest w posiadaniu bezwartościowych weksli na łączną sumę ponad trzystu tysięcy dolarów. Klub, jak pan dobrze wie, należy do mojego ojca. Landry zmrużył oczy.
 - Zatem pani brat nie miał zamiaru zaprotestować tych weksli?
 - Wiedział, że są bezwartościowe. Mój ojciec również zdał sobie z tego sprawę.
 - Dlaczego więc w ogóle zostały przyjęte?
- Kerry uśmiechnęła się.
- Peter był członkiem rodziny. Landry nie krył swojego sceptycyzmu.
 - Mam uwierzyć, że pani brat, nie bawiący się w sentymenty biznesmen, spokojnie przyjął bezwartościowe weksle tylko dlatego, że pochodzily od jego szwagra?
 - To prawda.
 - I że pani ojciec także się z tym pogodził? Nie kazał pani bratu spróbować zaprotestować weksli?
 - Nie.
 - I nie był wściekły na pani męża?
 - Może był zły. Ale zbyt dobrze znał Petera, by robić cokolwiek poza wzruszeniem ramionami i poinformowaniem Lorenza, że Peter ma więcej nie grać w tym klubie.
- Landry patrzył na nią przez chwilę, po czym rzekł:
- Czy zaskoczyłaby panią wiadomość, że pani brata wi dziano tamtej nocy niespełna dwie przecznice od motelu, w którym zabito Petera Kilbourne'a?
- Kerry wzruszyła ramionami.
- Nieszczerólnie. Lorenzo ma wiele zainteresowań. Dzięki nim ma się czym zająć.
 - Daj spokój, Brent - odezwał się Alex; jego leniwy głos kontrastował z bystrym spojrzeniem. - Przecież nie sądzisz, że DeMitri zabił swojego szwagra z powodu weksli, niezależnie od zawrotnej kwoty, na jaką opiewają. Co by na tym zyskał? Nieboszczycy nie są w stanie zwracać długów. Dopóki Peter żył, była przynajmniej jakaś szansa odzyskania tych pieniędzy.

- Być może było na odwrót - odparł Landry. - Pani Kilbourne, czy wiedziała pani, że ojciec ubezpieczył pani męża na wypadek śmierci na sumę miliona dolarów? I że panią wyznaczył beneficjentem?

Kerry sprawiała wrażenie najpierw nieco zaskoczonej, a potem zamyślonej.

- Nie, ale to do niego podobne. Wiedział, jak Peter obchodzi się z pieniędzmi i przypuszczalnie chciał zapewnić mi niezależność na wypadek, gdybym została sama. - Uśmiechnęła się. - I mogę pana zapewnić, poruczniku, że ani mój ojciec, ani mój brat nie poprosiliby mnie, bym spłacała długi Petera pieniędzmi z polisy - nawet te, które miał wobec nich.

- Myślę, że ten trop prowadzi donikąd - zauważył cicho Daniel. - Chyba że masz jakiś dowód, że brat Kerry - lub ktoś na jego usługach - faktycznie spotkał się z Peterem nocą w dniu jego śmierci.

Landry spojrział na niego, po czym przeniósł wzrok z powrotem na młodą wdowę.

- Ostatnia sprawa, pani Kilbourne. Skoro ojciec pani nie był zły na pani męża, to dlaczego tamtego dnia po południu zatelefonował do Petera Kilbourne'a na jego prywatny numer w tym domu?

- To nie on telefonował, tylko ja - odparła Kerry.

- Zechce mi pani powiedzieć po co?

- Nie, nie zechcę - odparła bardzo łagodnym tonem Kerry.

- Wystarczy, Brent - zaprotestował Alex. - Kerry była trzy tysiące mil stąd i nic, o czym rozmawiała z Peterem, nie mogło mieć związku z twoim śledztwem.

Przez chwilę wydawało się, że detektyw będzie nalegał, potem jednak pokiwiał głową i rzekł:

- Zgadzam się. O ile nie pojawią się nowe dowody, które zmienią sytuację.

Zapadła krótka cisza.

- Jeżeli skończyłeś, to chcielibyśmy zasiąść do kolacji - powiedziała Amelia.

Landry, nie zbity z tropu jej opryskliwością, tylko skłonił grzecznie głowę i odparł:

- Oczywiście, pani Amelio. Proszę wybaczyć, że spowo-

dowałem opóźnienie. Nie przejmuj się mną, Alex - sam trafię do drzwi.

Nikt się nie ruszył ani nie odezwał, dopóki nie usłyszeli, jak drzwi frontowe zamykają się cicho za policjantem. Wtedy Amelia wstała i jakby nic niezwykłego się nie stało, powiedziała:

- Anna najwyraźniej nie ma zamiaru do nas dołączyć, więc nie będziemy dłużej czekać.

Laura poddała się lekkiemu uciskowi dłoni Daniela i gdy reszta wstała i posłusznie opuściła salon, oni ociągali się z wyjściem. Kiedy zostali sami, Laura oświadczyła:

- To niespodzianka, przynajmniej dla mnie. Czy on dawał wyraźnie do zrozumienia, że rodzina Kerry prowadzi zorga nizowaną działalność przestępczą, czy to ja oglądałam zbyt dużo filmów gangsterskich?

Daniel pokierował ją w stronę baru, gdzie mogli zostawić ledwie napoczęte drinki, i odparł:

- Za dużo filmów. Jednak według pogłosek zarówno jej brat, jak i ojciec są bezwzględni w prowadzeniu interesów i niezbyt drobiazgowo przestrzegają prawa. Ten ukryty pokój na zapleczu ich klubu jest tego świadectwem.

- Więc czemu mieliby darować długi Petera? Tylko dlatego, że należał do rodziny?

- Może. A może w tej historii chodzi o coś więcej, niż Kerry jest skłonna wyjawić.

Laura pomyślała, że przypuszczalnie chodzi o coś znacznie więcej, ale oboje musieli dołączyć do pozostałych i nie było czasu na omawianie innych możliwości. Zwłaszcza że reszta rodziny poszła za przykładem Amelii i przynajmniej udawała, że nie stało się nic niezwykłego. Prawdę powiedziałwszy, Amelia zachowywała się tak, jak gdyby cały dzień był zwyyczajny. Nie pozwoliła, by z jej ust padła jakakolwiek wzmianka o wybuchu Anny lub wizycie Landry'ego i po prostu zignorowała drobny bunt Daniela, gdy ten posadził Laurę na krześle obok siebie zamiast na zwykłym miejscu po prawej stronie Amelii.

Kierowała rozmową, jak gdyby nic się nie zmieniło, pytając wszystkich o wrażenia z mijającego dnia i sugerując, że kilka partyjek brydża stanowiłoby miłe jego uwiecznienie.

Alex i Josie byli dobrymi graczami, Kerry znośnym, a jeśli chodzi o Laurę...

- Na nas nie licz - rzekł Daniel miłym, lecz stanowczym tonem. - Mam już plany na wieczór.

Laura pomyślała, że było to trochę despotyczne, by nie rzec prowokujące z jego strony, ale ponieważ jednocześnie dotykał jej uda pod stołem, z pieszczotą, którą bez trudu wyczuwała przez cienką tkaninę sukni, nie potrafiła znaleźć słów ani woli, żeby zaprotestować. Spojrzawszy przez stół zobaczyła, jak usta Amelii zaciskają się lekko, lecz starsza pani skinęła tylko głową w królewskim geście przyzwolenia i dalej układała pozostałym plany na wieczór.

Po zakończonym posiłku wszyscy z wyjątkiem Daniela i Laury, którzy zatrzymali się u stóp schodów, skierowali się do gabinetu.

- Plany? - zapytała Laura.

- Plany. - Daniel objął ją w tali i przyciągnął do siebie z uśmiechem. - Spędzimy parę najbliższych godzin w moim łóżku, a ja w tym czasie spróbuję cię przekonać, byś została w nim na resztę nocy.

- Danielu...

- Jakie to ma znaczenie, czy prześpiemy całą noc razem?

Kogo to obchodzi oprócz nas?

Laura w mówiła sobie, że ustąpiła po prostu dlatego, iż wciąż czuła zmęczenie po poprzedniej nocy i brakowało jej sił, by mu się sprzeciwić. Ale prawdę powiedziawszy, wiedziała, że nie zdoła opuścić go znowu w ten sposób, wymykając się w ciemności z jego ramion i łóżka, jak gdyby zrobili coś złego.

I okazało się, że bynajmniej nie była tak zmęczona, jak sądziła.

Było tuż po północy, gdy obudziła się w ciszy i spokoju oświetlonej ogniem kominka sypialni Daniela. On wciąż leżał obok, pogrążony w głębokim śnie, z twarzą wtuloną w jej włosy i ręką na jej brzuchu. Nie mogła zrozumieć, czemu sama nie śpi. Biorąc pod uwagę wydarzenia paru ostatnich godzin, była zaskoczona, że ocknęła się z błogiej nieswiadomości.

Przeciagnęła się ostrożnie i poczuła, że jej mięśnie, drżąc, protestują przeciwko jakiegokolwiek aktywności. Z pewnością chciały, żeby wtuliła się w Daniela i z powrotem zapadła w sen. Jej umysł był jednak zupełnie przytomny i zajmował się analizą wydarzeń dnia.

Wzdychając na myśl o własnym uporze, Laura ostrożnie, żeby nie obudzić Daniela, wyslizgnęła się spod jego ręki i wymknęła z łóżka. Odnalazła jego koszulę i włożyła ją na siebie, a potem podeszła do okna.

Za oknem panował spokój, lampy ogrodowe ukazywały nieruchome krzewy, puste ławki i drzewa, które po niedawnych burzach zaczęły tracić zwiędłe liście. Labirynt się świecił, lecz tej nocy, bez nieprzyjemnej asysty burzy, jego światło wydawało się miękkie. Bezksiężycowa noc, pogrążona w spokojnym bezruchu, była przypuszczalnie chłodna.

Czemu więc Laura czuła taki niepokój? Czy dlatego, że Daniel nie chciał z nią rozmawiać o niektórych sprawach? A może dlatego, że Anna zbyt niespodziewanie ujawniła licznę - rodzinne tajemnice? Dlatego, że coraz bardziej oczywistym stawało się to, iż Peter nie był li tylko czarną owcą w rodzinie, i dlatego, że młoda, uśmiechnięta wdowa po nim okazała się zagadką? Dlatego, że Amelia była tego wieczoru inna, zmieniona w pewien wyczuwalny i dostrzegalny dla Laury, a mimo to trudny do określenia sposób?

Dlatego, że darzyła Daniela Kilbourne'a bezwolną miłością i miała absolutną pewność, że gdyby on jej nie kochał, nie przeżyłaby tego...?

W tej oazie spokoju, jaką był ogród za oknem, uwagę Laury przyciągnął nieznaczny ruch. Obróciwszy nieco głowę, obserwowała, jak jakaś okryta płaszczem postać wychodzi z oranżerii i przemyka się między drzewami. Znajdując się teraz jeszcze dalej niż wtedy, gdy widziała identyczną scenę z okna swojej sypialni, próbowała ze zmarszczonym czołem domyślić się, kto z domowników wychodzi na nocny spacer. Pod obszernym płaszczem mógł się kryć każdy z nich.

- Lauro? Kochanie, wracaj do łóżka.

Już miała mu o tym powiedzieć, ale doszła do wniosku, że wystarczająco dużo tajemnic zostało ujawnionych jak na jeden dzień: niech ów człowiek, ktokolwiek nim był, bez prze-

szkód odbywa swą nocną wyprawę. Odwróciwszy się od okna, Laura spełniła prośbę Daniela.

Tej nocy Kerry szybko dotarła do środka labiryntu. Miała do przebycia znaczną odległość, ale gdy się znalazła w altanie, wcale nie była zdyszana. Przez chwilę stała, rozglądając się po kuszącym wnętrzu, które tak pracowicie urządziła. To była jej przystań. Proste meble z miękkimi poduchami, cienkie zasłony, gotowe odgrodzić od świata zewnętrznego, świeże kwiaty w delikatnych wazonach. Prostota stylu. Wszystko w tym miejscu było skromne i nieskomplikowane. Takie, jakim się jawiło. Jej ucieszką w klatowności.

W roztargnieniu roztrzępała parę poduszek, po czym usiadła w nogach szezlonga tak gwałtownie, że aż zawitował wokół niej płaszcz, i zaczęła patrzeć beznamiętnie w przestrzeń.

Nie minęło dziesięć minut, gdy uwagę Kerry przyciągnął odgłos kroków. Uniósł wzrok i w wejściu do altany ujrzła Brenta Landry'ego. Stał tam, utkwivszy szare oczy w jej wyrażającej biaganie twarzy; piękna twarz porucznika była nieco błada. Gdy po długim milczeniu w końcu się odezwał, jego głos zabrzmiał ochryple.

- Przepraszam.

Kerry nie odpowiedziała, tylko patrząc nań, długo siedziała na szezlongu. Potem jednym płynnym ruchem podniosła się i wtuliła w jego ramiona.

Rozdział 14

- Gdybyś jeszcze raz nazwał mnie panią Kilbourne - mruknęła - chyba bym krzyknęła.

Leżeli blisko siebie na szezlongu. Ich ubrania były rozrzucone i tylko płaszcz Kerry chronił ich przed chłodem nocy. Robił to jednak skutecznie.

Brent objął ją mocniej.

- Nie chciałem cię tak nazwać. Rozumiesz chyba, dlaczego byłem do tego zmuszony?

Kerry milczała przez chwilę, ogrzewając mu szyję oddechem, po czym odparła:

- Rozumiem, że masz za zadanie dowiedzieć się, kto zabił Petera. Rozumiem, że musiałeś zadać mi kilka pytań. I myślę... Rozumiem nawet, dlaczego postawiłeś mi je w taki sposób. Bo wiedziałeś, że będę musiała odpowiedzieć w tym dośmu, gdy oni wszyscy będą się przyglądali i czekali. Wiedziałeś, że nie mogę uciec.

Brent westchnął w grubiański sposób.

- Byliśmy kochankami prawie rok. I ile przez cały ten czas powiedziałaś mi o swoim małżeństwie? Ile powiedziałaś mi o tym, co miało dla ciebie znaczenie? Nic. Wtulasz się w moje ramiona niczym zjawą, ktoś, kogo mogę trzymać bardziej w wyobraźni niż w rzeczywistości. Może przez godzinę, a potem znowu znikaasz, a mnie zostaje tylko wspomnienie.

- Kiedy jestem z tobą, nie chcę rozmawiać - powiedziała trochę tęsknie. - Chcę jedynie czuć. Czy to takie niewłaściwe?

- Niewłaściwe jest to, że nie pozwalasz mi się do siebie zbliżyć. Nie chcesz, żebym cię kochał.

Brent wciąż zdumiewał się siłą tego uczucia i tym, jak nagle to wszystko się zaczęło. Ujrzawszy ją na tradycyjnym przyjęciu noworocznym u Amelii Kilbourne, wielkiej i olśniewającej imprezie, na którą zapraszała tylko przyjaciół i VIP-ów, był bardziej zaskoczony jej sarmią płochliwością niż bliźniami, niemal całkowicie zakrytymi przez doskonały makijaż. Kerry była żoną Petera od ponad dwóch lat, lecz nigdy nie pokazywała się w jego towarzystwie poza domem, a ponieważ Brent przegapił parę ostatnich przyjęć Amelii, spotkał ją wtedy po raz pierwszy.

Nawet teraz nie potrafił wyjaśnić, co się stało. Pamiętał tylko, że zauważył ją później, ukrywającą się właściwie w oranżerii przed resztą towarzystwa, niemal sparalizowaną ze zgrozy. Dotknął lewej, pokrytej bliznami strony jej twarzy zupełnie niechcący, tylko dlatego, że jego prawa ręka wyciągnęła się ku niej, a także dlatego, że właśnie tam widać było całe jej cierpienie, a on chciał je złagodzić. Jej dolna warga drżała, gdy Kerry popatrzyła nań wielkimi oczami, a potem wtuliła się w milczeniu w jego ramiona.

Kochali się w dziwny, zapamiętały sposób, stojąc w ciemnym kącie za wielką rośliną, dżgającą ich szczeniastymi liśćmi. Zadarta spódnica Kerry, jego rozpięte spodnie, oboje dyszący z wysiłku i tak bardzo potem osłabieni, że trzymali się siebie kurczowo przez dobre dziesięć minut. Wciąż bez słów, bez planów, bez obietnic. Uporządkowawszy swój strój, Kerry wymknęła się bezgłośnie z powrotem do domu, a on pozwolił jej odejść, bo nie miał pojęcia, jak ją powstrzymać.

Tydzień później zadzwoniła do niego z wiadomością, że tego dnia będzie w mieście, i poprosiła niepewnym głosem o spotkanie. Brent zaproponował swoje mieszkanie. I było jak za pierwszym razem - w pośpiechu, desperacji i pożądliwie. Kerry okazała się zdumiewająco niezadana i niedoświadczona, zwłaszcza jak na kobietę zamężną od dwóch lat z Peterem Kilbourne'em, lecz tak otwarta i szczodra, tak gorliwa, że z bólu niemal nie pękło mu serce.

Ubierając się tamtego dnia, zapytała, czy mogłoby się nadal spotykać. Niepewna i bezbronna poruszyła w nim strunę, której nikt dotąd nie poruszył. Choć Brent z natury był badawczy i skłonny do pytań, jej nie pytał o nic. Po prostu się zgodził-

Przez pewien czas widywali się co tydzień w jego mieszkaniu, ale przyjazdy do miasta okazały się dla Kerry ciężką próbą, więc gdy zrobiło się dostatecznie ciepło, zaproponowała, by spotykali się w labiryncie. Bez trudu zdobyła duplikat klucza ogrodnika, żeby Brent mógł wchodzić przez tylną bramę; najwyraźniej uważała, że powierając oficerowi policji kody szyfrowe, niczym nie ryzykuje. Jeśli chodzi o dochowanie tajemnicy, labirynt był widoczny tylko z kilku okien, a i z nich widać było jedynie dach altany. Ponieważ zawsze spotykali się późną nocą, ryzyko wypadki było właściwie znikome.

Z upływem miesięcy Brent dowiedział się o niej pewnych rzeczy, nie zadając żadnych pytań. Że z natury jest zmysłowa i że ma tak wrażliwą skórę, iż podniecało ją każde dotknięcie. Że jest bardzo inteligentna i spostrzegawcza, i ma wspaniałe wyczuwanie ironii. Że choć nieśmiała, jest również opanowana i elokwentna w tych rzadkich sytuacjach, gdy zdołał przekonać ją do rozmowy. Że jest spragniona miłości i przeswiadczona o własnej brzydocie.

Pewnej nocy, zatracony się w swym uczuciu do Kerry, poprosił, by odeszła od Petera i została jego żoną. Najpierw okazała zdziwienie, a potem niezwykle, zabarwione smutkiem rozbowienie.

- Och, Brent, nie mogłabym pozwolić, byś się wpakował w małżeństwo z taką brzydulą.

- Z kim?

- Wiem, jak wyglądam - odparła tym samym łagodnym tonem. - Jestem zbyt chuda, zbyt blade i zbyt nieładna, a do tego oszpecona. Pewnego ranka obudziłyś się u mego boku i uświadomił sobie, jak wielki popełniłeś błąd.

- Mylisz się. - Tylko taką odpowiedź zdołał wymyślić w szoku, zastanawiając się, czy to Peter wyrył te okrutne słowa w jej świadomości i czy Kerry cierpiąta wskutek odrzucenia.

- Nie sądzę. Lustra nie kłamią.

Bez względu na to, co potem mówił, bez względu na to, jak szczerze zapewniał, że jest piękna i seksowna, Kerry tylko się uśmiechała i kręciła głową. Pogodziła się z faktem, że Brent jej pragnął, jego pożądanie nie dziwiło jej, gdyż sama

również pożądała i zapewne sądziła, że ów apetyt może za spokojić nawet zwyczajna, niedoskonała strawa. Nie chciała jednak uwierzyć, że nie jest brzydula. Brent znowu przytulił ją do siebie i rzekł:

- Nigdy o to nie pytałem, bo wyraźnie dałaś do zrozumienia, że nie chcesz o nim rozmawiać, ale... czy to z powodu Petera nie pozwalaś mi cię kochać? Skrzywdził cię?

Kerry wsparła się na łokciu, by na niego spojrzeć. Na jej twarzy malował się spokój.

- Jeżeli musimy o nim mówić, to chcę się najpierw ubrać.

Brent nie zapytał dlaczego.

- Obiecuj, że nie czmychniesz do domu, gdy tylko włożysz buty.

Kerry uśmiechnęła się nieznacznie.

- Obiecuję.

Porucznik nie był pewien, czy może jej wierzyć, ale i tak puścił ją i oboje ubrali się szybko w chłodzie nocy. W czasie swej opowieści o małżeństwie z Peterem Kerry nie usiadła w fotelu ani na szezlongu, lecz wędrowała po altanie, dotykając różnych przedmiotów i unikając jego spojrzenia.

- Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, miałam dziewięć naście lat. Nadal mieszkałam z moim ojcem - tu, w Atlancie. Tato właśnie poznał kobietę, z którą ożenił się parę miesięcy później, ale wtedy był samotny i lubił otaczać się ludźmi. Zwłaszcza młodymi. Peter poznał mojego brata - dzięki grze w pokera, choć wtedy nie wiedziałam o tym - i Lorenzo za prosił go na przyjęcie przy naszym domowym basenie. Potem Peter często przychodził popływać, jak wszyscy znajomi Lorenza. W odróżnieniu od pozostałych sporo czasu spędzał ze mną.

Kerry przestała wędrować i spojrzała z zadumą na polanę wokół altany.

- Peter przypuszczałnie nie umiał nie zauraczyć kobiety. Lub dziewczyny. Przychodziło mu to w tak naturalny sposób, jak innym mężczyznom przychodzi oddychanie. Natomiast ja, można chyba tak powiedzieć, żyłam... pod kloszem. Większość czasu spędzałam z książkami i przy muzyce. Nie miałam żadnych przyjaciół. Peter był pierwszym mężczyzną,

który zwrócił na mnie uwagę. Pierwszym, który łechtał moją próżność. I był taki piękny...

Brent czekał, zmuszając się do milczenia.

Kerry wzruszyła lekko ramionami.

- Oczywiście możesz się domyślić, co się stało. Zakochałam się w nim. Nie potrafiłam tego ukryć. Wszyscy widzieli, co czuję, zwłaszcza Peter. A on był... życzliwy. Nadal łechtał moją próżność i zwracał na mnie uwagę, pozwał mi marzyć. Kiedy jednak po paru tygodniach poprosił mnie o rękę, byłam bardziej zaskoczona niż inni.

Kerry odwróciła się twarzą do Brenta, opierając się o ściankę altany. Na jej twarzy pojawił się nieznaczny uśmiešek.

- Mówił i robił wszystko, co należy mówić i robić. Chcesz się dowiedzieć, jak w przedślubną noc pozbawił mnie dziewictwa?

- Nieszczególnie - odparł Brent.

Kerry pokiwała głową. Spodziewała się tego.

- Ale pragniesz dowiedzieć się całej reszty. W porządku. Ożenił się ze mną. I przedstawił mnie swojej rodzinie.

- Nie poznałaś ich wcześniej? - zdziwił się Brent.

- Nie. Pamiętaj, że to były błyskawiczne konkury. Pobraliśmy się w biurze sędziego pokoju dwa dni po oświadczeniach Petera. Nie było czasu. - Znowu wzruszyła ramionami. - Jedno powiem na obronę Kilbourne'ów: w obliczu katastrofy stają się uprzejmi. Gdy Peter przywiózł mnie do domu, wszyscy musieli być przerażeni, a jednak okazali mi życzliwość.

Wiedziałam, że mamy mieszkać tutaj. Nie wiedziałam, że będziemy mieli osobne sypialnie, ale w ciągu tych pierwszych tygodni nie miało to znaczenia. Peter zwykle sypiał w moim łóżku. Potem, stopniowo, czynił to coraz rzadziej. Nie tłumaczył się ani nie usprawiedliwiał, po prostu szedł do własnej sypialni. Nim minęło sześć miesięcy naszego małżeństwa, właściwie musiałam go błagać, żeby się ze mną Przespał.

Brent zacisnął zęby i milczał.

Kerry miała niewidzące, skupione na przeszłości spojrzenie.

- Zawsze był... grzeczny. Kiedy przychodziłam do niego,

Isniące, lecz łzy się nie polaty. - Mój ojciec kupił go dla mnie.

Po chwilowym szoku Brent zaczął rozumieć: kawałki układanki dopasowywały się do siebie w miarę, jak Kerry spokojnie mówiła dalej.

- Mój brat pozwalał mi się zadłużać na zawrotne sumy w klubie, gdyż Peter był Kilbourn'em. Lorenzo i mój ojciec nie mieli pojęcia, że Peter nie może dostać w swoje ręce rodzimych pieniędzy, on zaś ukrywał to przed nimi jak najdłużej, czaruując ich i składając obietnice. Jak wszyscy hazardziści był przekonany, że zła karta wreszcie się odwróci, więc nadal grał i nadal przegrywał.

Kiedy mój ojciec zdał sobie w końcu sprawę, że Peter nie jest w stanie spłacić swoich długów, ja byłam w nim już za kochana po uszy. Tato związał się ze swoją nową narzeczoną i nagle zrozumiał, jak może się mnie pozbyć - i dostać coś w zamian za anulowanie długów Petera. Powiedział mi więc, że ma do wyboru dwie możliwości: albo zawiezie weksle Danielowi i Amelii, ujawniając wyczyny i długi karciane Petera, albo poprze wszystkie weksle, jeżeli Peter ożeni się ze mną i będzie dla mnie dobry. - Uśmiech zadrażał nieco na jej war-gach. - Przymuszalnie była to jedyna transakcja w życiu Petera, której warunków dotrzymał.

Brent wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Kiedy się o tym wszystkim dowiedziałas?

- Wtedy w Kalifornii. Peter przyszedł do Lorenza z bajką o tym, jak mu szczęście sprzyja, i Lorenzo pozwolił mu grać w klubie, obiecując pożyczyc pieniądze. Do tamtego wieczora zasady były jasne: Peter mógł grać tylko za gotówkę, a gdy ta się kończyła, wypadał z gry. Zdołał jednak jakoś przekonać Lorenza, by ten pozwolił mu grać na kredyt. Gra wymknęła się spod kontroli i Peter zakończył ją z ponad trzystoma tysiącami straty. Tak jak odkryłeś. Mój brat wyrzucił go z klubu i zabronił mu wracać bez pieniędzy, ale nie liczył, że je jeszcze zobaczy, więc zadzwonił do taty, by donieść, co się stało. Ojciec był tak wściekły, że zdradził mi, co naprawdę wydarzyło się przed czterema laty.

- I właśnie dlatego zatelefonowałaś do Petera.

287

kiedy go prosiłam, zawsze kochał się ze mną. Po czym pewnego ranka, po jednej nocy, gdy ublażałam go, by mnie dotykał, i gdy spał w moim łóżku, obudziłam się i zobaczyłam że na mnie patrzy. Uśmiechnął się pospiesznie, ale... dostrzegłam to. To, co było w jego oczach, w jego twarzy. Potem już nigdy więcej nie prosiłam, żeby się ze mną kochał. A on nigdy tego nie zrobił.

- Czemu, u diabła, nie odeszłaś od tego drania? - zapytał szorstko Brent.

Kerry spojrzała nań, mrużąc oczy, i uniosła rękę, by krótkim, wymownym ruchem otrzeć lewy policzek.

- Mój tato ożenił się i przeniósł do Kalifornii. Wiedziałam, że macocha nie powita mnie z radością w domu. Moja siostra miała męża i dzieci, a Lorenzo swoje życie. Miałam dziewiętnaście lat i żadnego doświadczenia. Byłam brzydka. Chciałam jedynie gdzieś się ukryć. - Wzruszyła gwałtownie ramionami. - To miejsce było lepsze od większości innych. Nikt nie wymagał, bym cokolwiek robiła i dokądkolwiek jeździła. Zostawiono mnie w spokoju z moimi książkami i moją muzyką. Peter był zawsze grzeczny, a nawet dobry, odkąd zdał sobie sprawę, że nie liczę, iż wróci do mojego łóżka, i że nie mam zamiaru protestować przeciw jego związkom z innymi kobietami. Myślałam, że z czasem był mi nawet wdzięczny, bo ilekroć któraś z jego zdobyczy stawała się zbyt wymagająca, zawsze mógł błysnąć obręczką ślubną i wy tłumaczyć się żoną, która nie chce mu dać rozwodu.

- Kerry...

- Moje życie mogło być o wiele gorsze - dodała spokojnie. - Moje małżeństwo również.

Brent pokręcił bezradnie głową.

- Ale, Chryste... czy właśnie dlatego się z tobą ożenił? Bo potrzebował żony, która będzie gotowa zostać w domu i nie przysparzać mu żadnych kłopotów?

Kerry popatrzyła na niego i na jej ustach znowu pojawił się ów dziwny uśmiešek.

- Och, Brent. Nadal nie rozumiesz?

- Nie rozumiem czego?

- Czemu Peter ożenił się ze mną. - Jej oczy zrobiły się

286

Kerry skinęła gwałtownie głową.

- Chyba miałam nadzieję, że zaprzeczy. Że powie, iż ożenił się ze mną, bo tego chciałem, nawet jeżeli potem zmieniał zdanie. Ale on nie zaprzeczył. Roześmiał się tylko i powiedział, że powinienem się tym chlubić... ponieważ wniosłam w posagu weksle warte pół miliona dolarów.

- A to sukinyś - mruknął Brent.

- Rzuciłam słuchawkę - dodała po chwili Kerry. - To była nasza ostatnia rozmowa. Nie wiem, kto go zabił. Ojciec nie miał z tym nic wspólnego, Lorenzo także nie. Jeśli chodzi o nich, straty zostały zapisane w rubryce „gorzkie doświadczenie”. Okpij mnie raz, a będziesz miał się czego wstydić. Okpij mnie dwa razy, a wtedy to ja będę miał powody do wstydu. Peter okpił ich dwukrotnie, ale nie uczyniłby mnie z tego powodu wdową.

Brent pokiwał głową i rzekł z rozziargnieniem:

- I tak wiedziałem, że Lorenzo nie jest nożownikiem. Już bardziej do niego pasuje pistolet.

Kerry uśmiechnęła się lekko.

- Kiedy nawiązaliśmy romans, nie miałeś pojęcia o moim pochodzeniu, prawda?

- Nie miałem. - Brent popatrzył na nią, na powrót skłonił się.

- Nigdy nie byłam wplątana w żadne nielegalne poczynania mojego ojca i brata.

- Nie musisz mi tego mówić. - Porucznik podszedł do Kerry i położył ręce na jej ramionach. - Myślisz, że jeszcze cię nie znam? Czy naprawdę sądzisz, że spotykałem się z tobą przez te wszystkie miesiące tylko dlatego, że musiałem za spokojnić pragnienie?

Kerry milczała, patrząc jedynie na niego, po czym zdławiła łzy i powiedziała cicho:

- Kiedy tamtego wieczora znalazłeś mnie w oranżerii, ukrywałam się, bo wcześniej zobaczyłam, jak Peter wymyka się ze swej sypialni z piękną modelką. Nawet wtedy, choć już od dawna wiedziałam, że ma inne kobiety, tak bardzo mnie to zabolowało, że zrobiło mi się niedobrze. I nagle ujrzałam tam ciebie, patrzącego na mnie tak, jakby moje cierpienie nie było ci obojętne. A gdy dotknąłeś moich blizn, tak delikatnie i tro-

skliwie... - Westchnęła lekko. - Uszczęśliwiłeś mnie. Dzięki tobie poczułam to, co wydawało mi się niemożliwe. Powinieneś wiedzieć, że zawsze będę ci wdzięczna...

Brent ujął w dłoń twarz Kerry i przerwał jej niewybrednym przekleństwem.

- Przestań. Nie chcę twojej wdzięczności.

Kerry nie spuszczała zeń swoich niemal aż do bólu uważnych oczu.

- Naprawdę? Ale jak mogę nie być ci wdzięczna? Sprawiłeś, że czuję się kobietą.

- Ty jesteś kobietą. Piękną, seksowną, podniecającą kobietą, którą kocham całym sercem.

Zadrżała jej dolna warga, a w oczach błysnęły łzy.

- Jak to cudownie brzmi - powiedziała tęsknym głosem.

Brent jęknął i na chwilę oparł czoło na czole Kerry. Potem pocałował ją, nie maskując swego jawnego pożądania nawet odrobiną delikatności. A gdy oderwał usta od jej warg, oboje drżeli.

- Postuchaj - rzekł ochryplym głosem. - Jestem dwanaście lat starszy od ciebie. Miałem inne kobiety, byłem w innych związkach. Wiem, czego chcę, i wiem, co czuję. Kocham cię. Uwierz w to. I przywyknij do tego, bo mam zamiar cię przekonać. I ożenić się z tobą.

- Ale...

Brent pocałował ją znowu, żeby przerwać ów protest.

- Żadnych ale. Jeżeli chcesz przestrzegać tradycji, poczekam do wiosny lub lata, ale i tak wyjdiesz za mnie. - Po tych słowach porucznik nie czekał na kolejny protest ani na nic innego; po prostu pocałował ją po raz ostatni i zostawił w altanie - zdumioną i oszołomioną.

Dochodziła trzecia nad ranem, gdy Kerry wreszcie ruszyła przez ogród, kierując się doskonale znaną sobie ścieżką do domu. Była tak pochłonięta myślami, że prawdopodobnie nie zauważyłaby niczego dziwnego pod małą kładką, nawet gdyby światło lamp było wystarczająco jasne, by ukazać jej coś, co leżało zanurzone do połowy w wodzie.

Laura przebudziła się dość gwałtownie z niespokojnych snów i otworzyła oczy. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się

znajduje. Ale tylko przez chwilę. Daniel, wsparty obok na łokciu, nachylił się, by ją pocałować z czułością, od której ustawało bicie serca.

- Dzień dobry - powiedział półgłosem.

Uśmiechnęła się powoli; nieokreślony niepokój, wywołany jej snami, zanikał.

- Dzień dobry.

- Chyba mógłbym do tego przywyknąć - rzekł, przyglądając się wachlarzowi jej jaskrawych włosów, rozrzuconych na poduszkach, i bladym ramionom wynurzającym się z ciemnozielonej pościeli. - Chryste, z samego rana jesteś jeszcze piękniejsza.

Laura zmrugała oczy i roześmiała się.

- Dziękuję. Jak długo jeszcze będziesz mnie zaskakiwał?

- A zaskakuję? W jaki sposób?

- No cóż... nie wiem. Po prostu wydaje mi się, że takie słowa nie pasują do ciebie. Przynajmniej ja się ich nie spodziewałam.

Daniel znowu ją pocałował, uśmiechając się nieznacznie.

- Nie spodziewałaś się, że będę mówił, jak jesteś piękna? Że nie mogę oderwać od ciebie rąk? - Jego dłoń odnalazła brzuch Laury pod pościelą i przesuwała się w górę, aż długie palce objęły jej pierś. - Że pragnę cię cały czas, nawet wtedy, gdy dopiero co przestaliśmy się kochać i jestem tak wyczerpany, że z trudem łapię oddech?

Zsunął przścieradło i koc i pieszcząc Laurę, obserwował, jak jej odsłonięte ciało reaguje natychmiast na jego dotyk.

- Nie spodziewałaś się, że powiem, iż czasami trudno mi uwierzyć, że jesteś prawdziwa, że boję się, że ktoś mnie obu dzi i okaże się, że to wszystko było snem?

Daniel nachylił się ku niej, jego usta bawiły się jednym stwardniałym sutkiem, a keciuk rytmicznie muskał drugi. Po chwili uniósł głowę i uśmiechnął się, przesuwając ręką po brzuchu Laury i sięgając pod pościel.

- Nie spodziewałaś się, że powiem, iż uwielbiam, jak na mnie reagujesz, zwłaszcza gdy robisz to?

Laura wydała cichy jęk i wyciągnęła ku niemu rękę.

- Może posuniemy się krok dalej i przeniesiemy twoje rzeczy do mojego mieszkania? - zapytał Daniel, towarzysząc Laurze w drodze do jej apartamentu, gdzie mogła się przebrać do śniadania. Ponieważ wzięli wspólnie prysznic w łazience Daniela, miała na sobie jego szlafrok i niósła suknię, w którą była ubrana poprzedniego wieczoru.

Gdy weszli do salonu, posłała mu trochę niespokojne spojrzenie.

- Nie powinienam nawet nocować w tym domu, a co dopiero w twoim mieszkaniu. Miałam zamiar co wieczór wracać do siebie. Taki był plan.

- Zrób nowy - zaproponował Daniel.

Ponieważ Laura nie była gotowa aż do tego stopnia palić za sobą mosty, powiedziała jedynie:

- To potrwa tylko chwilę. - I uciekła do sypialni.

Liczyla trochę, że Daniel pójdzie za nią, ale on został w salonie, więc zaczęła się pospiesznie ubierać. W programie dnia nie przewidziano wizyty w kościele, toteż wybrała dzinsy i obszerny sweter. Daniel nie chodził do kościoła - powiedział jej to obojętnie i bez dodatkowych komentarzy - a reszta rodziny również nie była szczególnie religijna. Ponieważ Laura także żywiła dość silną niechęć do zorganizowanych praktyk religijnych, bardzo jej to odpowiadało.

Siedziała na łóżku, naciągając skarpetki, gdy uniosła wzrok i w lustrze nad toaletą spostrzegła odbity obraz Daniela. Stał przy stoliku, spoglądając albo na jej szkielet, albo na mosiężne lustro z dziwnym, zupełnie dla niej nowym wyrazem twarzy. Tak jakby ujrzał coś, co kochał i zarazem nienawidził, coś, co mogło na niego działać silniej, niż chciał przyznać.

W czasie gdy Laura go obserwowała, pochylił się i podniósł zwierciadło. Prostując się, obracał je powoli w dłoniach. Wydawał się pogrążony w myślach, a myśli te były najwyraźniej niespokojne. Po chwili pokręcił nieco głową i pochylił się, by odłożyć lustro tam, gdzie je znalazł.

Laura czekała, aż odsunie się od stolika, po czym zawołała beztrosko:

- Jestem już prawie gotowa.

- To dobrze, bo umieram z głodu - zawołał w odpowiedzi.

Włożyła buty i ściągnając włosy szarfą na karku, weszła do salonu.

- To ty znalazłaś Peterowi odkupić lusterko, prawda? - za pytała łagodnie.

Daniel spojrzal na nią z bladym uśmiechem.

- Owszem.

Tak naprawdę Laura nie liczyła, że się do tego przyzna, więc znów ją zaskoczył.

- Dlaczego?

- Pozwól, że najpierw cię o coś zapytam. - Głos Daniela był obojętny, a mimo to wyczuła w nim napięcie. - Mówiłaś, że masz zamiar zlecić zbadanie jego historii. Zrobiłaś to?

Laura potwierdziła powolnym skinieniem głowy.

- Dotarliśmy do późnych lat dwudziestych. Dena, zbie rająca dla mnie informacje, powinna się ze mną skontaktować za parę dni.

Teraz z kolei Daniel skinął głową.

- Gdy już poznasz dzieje zwierciadła, porozmawiamy o nim. Zgoda?

- Dlaczego mamy czekać?

Podszedł do Laury i położył ręce na jej ramionach.

- Dlatego, że cię o to proszę.

Laura wsparła na chwilę głowę na piersi Daniela, po czym spojrziała na niego, udając wściekłość.

- Robisz to rozmyślnie, prawda? Dręczysz mnie...

Daniel przycisnął na moment palec do jej ust, jego twarz przybrała wyraz zdecydowania i powagi.

- Proszę cię, Lauro. To... dla mnie ważne.

Uległszy wbrew sobie wpływowi jego powagi, Laura w końcu skinęła głową. Nie mogła się jednak powstrzymać od komentarza:

- Przynajmniej mnie nie okłamujesz i nie mówisz, że to tylko jakiś rupież z poddasza.

- Wybacz mi - rzekł, biorąc ją za rękę, gdy wychodzili z apartamentu. - Wtedy wydawało mi się to najlepszym rozwiązaniem.

Laura postąpiła mu zmieszane spojrzenie.

- A mnie ciekawiło ono chyba jeszcze wcześniej.

- Już niedługo zaspokoisz swoją ciekawość i poznasz od-

powiedź na wszystkie swoje pytania. - Daniel uśmiechnął się do niej.-Obiecuje. Laura zawałowała się.

- Powiedz mi przynajmniej, czy lusterko miało coś - co- kolwiek - wspólnego z morderstwem Petera.

- Nie rozumiem, jak mogłoby mieć.

- Czy ma coś wspólnego z...

- Nie będę grał w dwadzieścia pytań.

Laura westchnęła.

- Warto było spróbować.

Daniel zachichotał, lecz gdy dotarli na parter, spytał poważnie:

- Miałaś tej nocy koszmarne sny?

- Nie wiem. Czemu pytasz?

- Byłaś niespokojna. Sprawiałaś wrażenie tak wyczerpanej, że omal cię nie obudziłem. Potem jednak się uspokoiłaś.

Laura zastanawiała się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

- Pamiętam niewyraźnie, że byłam zdenerwowana, ale nie pamiętam dlaczego. Jeżeli ci przeszkażdałam, to przepraszam.

- Nie przeszkażdałaś mi. Obserwowałam, jak śpisz.

Laura była wdzięczna, że akurat dotarli do jadalni, bo nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć. Z przyjemnością, a zarazem z zaskoczeniem stwierdziła również, że przy stole siedzą tylko Alex i Josie.

- A gdzie reszta? - zapytała. Oboje z Danielem zaczęli nakładać sobie na talerze jedzenie z bufetu na kredensie.

Odpowiedziała jej Josie.

- Kerry jeszcze śpi. W niedziele rzadko wstaje przed śniadaniem. Amelia jak zwykle zbudziła się skoro świt i pisze teraz u siebie listy. Anna nadal jest nieobecna - prawdę mówiąc, chyba nie wróciła na noc do domu. Sądzę, że Madeline zjadła śniadanie wcześniej i poszła się przejść po ogrodach.

- Właśnie one śniły mi się tej nocy - uswiadomiła sobie Laura.

- Czy był to zajmujący sen? - zapytał uprzejmie Alex.

Laura nie mogła się powstrzymać od śmiechu; przyniosła talerz do stołu i usiadła.

- Przepraszam. Zanim tu weszliśmy, rozmawialiśmy z Daniem o snach i nie mogłam sobie przypomnieć mojego. Kiedy Josie wspomniała o ogrodach, w mojej głowie odezwał się dzwonek.

- Więc o czym śniłaś? - zapytała Josie, popijając kawę.

Laura zaczęła się zastanawiać i im dłużej to robiła, tym większy czuła niepokój.

- To jeden z tych dziwnych snów, w których wszystko wydaje się zniekształcone. Dziwaczne kształty, osobliwe punkty widzenia, splwiałe kolory. Zgubiłam się w ogrodach, bo stale traślałam w ślepe uliczki. Obojętne, którą drogą szłam, w końcu docierałam do ściany, zarośli lub jakiejś innej przeszkody. A ścieżki robiły się coraz węższe i wiedziałam, że jeżeli nie znajdę szybko wyjścia, znikną całkowicie.

- I co się stało? - zapytał Daniel, dosiadając się do niej przy stole.

Laura poczuła rumieniec na twarzy na wspomnienie finału.

- No cóż... ktoś do mnie zawołał, wskazał właściwą drogę. I wydostałam się.

Daniel milczał, lecz Laura doszła do wniosku, że wiedział, iż to jego głos usłyszała. Pomyślała również, że Josie i Alex mogli się tego domyślić, sądząc po szybko wymienianych spojrzeniach i uśmiechach, ale żadne z nich nie drażyło tematu.

- Mnie śniły się syreny - wyznał z zadumą Alex. - Ciekawe dlaczego.

Laura i Josie spojrzały na siebie z identycznym smutnym wyrazem zrozumienia i Alex zawołał:

- To wcale nie był taki sen!

- Kiedy mężczyźni śnią o syrenach - powiedziała surowym tonem Josie - to z a w s e jest taki sen.

Gdy Daniel i Laura zjedli śniadanie i wyszli z jadalni, dyskusja o syrenach nadal trwała. Bez słów przeszli zgodnie przez dom do oranżerii i ruszyli do ogrodów.

Minąwszy ledwie rozpoczęty portret Amelii, cierpliwie oczekujący na sztalugach powrotu malarki, Laura powiedziała:

- Muszę nad nim popracować.

- Amelia nie oczekuje od ciebie pracy w niedzielę - odparł Daniel.

Laura już miała powiedzieć, że do pracy nad obrazem bardziej przynagla ją własny umysł niż życzenia Amelii, lecz w końcu zrezygnowała. Chciała uniknąć konieczności tłumaczenia Danielowi, jak dziwnie się teraz czuje, nie potrafiła bowiem tego wyjaśnić nawet sobie. Wiedziała tylko, że dręczy ją znacznie większy niepokój niż pierwszego dnia pobytu tutaj. Była osobliwie świadoma upływu czasu i w niewytłumaczalny sposób przekonana, że go zabraknie.

Muszę się pospieszyć. Muszę dokończyć portret.

- Jesteś bardzo małomówna - zauważył Daniel, gdy pokonali otwarty dziedzińiec i weszli na ścieżkę prowadzącą do labiryntu. Objął Laurę ramieniem, żeby iść bliżej niej.

- Naprawdę? - Laura spoglądała naprzód, jej oczy niespokojnie biegły śladem ścieżki.

- Zbyt małomówna. Co się dzieje?

- Nie wiem. Po prostu czuję... - Przystanąła nagle, ujrzawszy wygięty w łuk mostek.

- Lauro?

Cofnęła się o krok, lecz zapanowała nad chęcią ucieczki.

- Nie mogę - powiedziała, patrząc bezradnie na Daniela. - Z tą kładką jest coś nie w porządku... nie mogę przejść na drugą stronę.

Ku jej zaskoczeniu Daniel nawet nie próbował zapewniać, że wszystko gra. Zamiast to zrobić, uściśnął jej ramię, po czym puścił ją i rzekł:

- Zaczekaj tu.

Chciała uciec, odwrócić się i czmychnąć do domu, prze mogła się jednak i obserwowała, jak Daniel idzie dalej ścieżką. Im bliżej kładki się znajdował, tym większy niepokój ogarniał Laurę; omal nie krzyknęła, żeby nie przechodził na drugą stronę.

Lecz Daniel nie zrobił tego. Postawił tylko stopę na kładce i trzymając się poręczy, nachylił się nieco, by obejrzeć betonowe podpory. I wtedy zastygł w zupełnym bezruchu. Dzieciło ich dobre dziesięć metrów, ale Laura spostrzegła, jak błędnie pod wpływem szoku. Nie ruszał się przez dłuższy czas, po czym wrócił do niej.

- Co się stało? - Głos Laury zrobił się piskliwy z przerażenia.

Daniel położył dłoń na jej ramionach.

- To Anna. Nie żyje - odparł lodowatym tonem.

Po chwili Laura powiedziała drżącym głosem:

- A ja śniłam o ślepych uliczkach.

Daniel chwycił ją mocno w ramiona.

- To był wypadek, prawda? - zapytała Josie. - Po prostu spadła. Poślizgnęła się i... spadła. - Alex, siedzący na po ręczy jej fotela, położył jej dłoń na ramieniu i delikatnie ścisnął.

Brent pokręcił lekko głową.

- Poręcz kładki znajduje się za wysoko. Ktoś musiał ją pełnać, i to mocno, żeby spadła tam, gdzie ją znaleźliśmy.

- Mimo wszystko to mógł być wypadek - dowodził Daniel. - Kłótnia, która zakończyła się szturchnięciem, bez złych zamiarów. Rosa na kładce, Annie ześlizguje się stopa...

- To możliwe - przyznał Brent. - Ale jakós nie widzę, by ktoś się spieszył ze zgłoszeniem wypadku, a ty?

- Chyba nie twierdzisz, że to ktoś z nas? - zapytał Alex.

Wszyscy - z wyjątkiem Amelii i Madeline, które zostały w swoich pokojach po tym, jak Daniel powiedział im o Annie - znajdowali się we frontowym salonie. Daniel i Laura siedzieli na sofie koło okna, Kerry na drugiej, a Josie i Alex zajmowali fotel, w którym zwykle siedziała Amelia. Brent Landry stał przy kominku.

Było wczesne popołudnie. Ciało Anny zabrano zaledwie przed kilkoma minutami. Wraz z nim pojechali policjanci i technicy, którzy pracowali przy zabezpieczeniu śladów. Został tylko Brent.

- Po sekcji zwłok dowiemy się więcej, ale w tej chwili wygląda na to, że Anna zmarła wczoraj wieczorem między szóstą a północą - rzekł spokojnie w odpowiedzi na pytanie Alexa. - Ogrodnicy wyjechali, a w domu z personelu została tylko kucharka i jedna pokojówka. Brama frontowa była zamknięta, a strażnik czuwał. W bramie tyłnej, zamkniętej na klucz, nie stwierdzono śladów włamania. Żaden z detektorów ruchu rozmieszczonych w pobliżu ogrodzenia nie został naruszony. Więc powiedz mi, ktoś inny mógł to zrobić?

- Nikt z nas nie zabity Anny - powiedziała cicho Kerry.

Brent spojrzal na nią potem zaś omiół spojrzeniem pozostałych.

- Jak mówił Daniel, kłótnia mogła wymknąć się spod kontroli. Jeżeli dowody wskażą na taką ewentualność i ten, kto brał w niej udział, sam się ujawni, prokurator okręgowy najprawdopodobniej uzna to za śmiertelny wypadek. Ewen tualnie za nieumyślne zabójstwo.

Zawahał się i dodał:

- Nie jest tajemnicą że Anna miała... wybuchowy temperament. Mogła sprowokować tę kłótnię. Czy wczoraj była czymś zdenerwowana? Zła na kogoś?

Josie wymieniła spojrzenia z Laurą ale to Daniel odparł oschle:

- Sądzę, że na wszystkich z wyjątkiem Laury. Urządziła scenę podczas lunchu.

- Jaką scenę?

Daniel wzruszył ramionami.

- Nieprzyjemną.

Brent popatrzył na niego wyczekująco, kiedy jednak stało się oczywiste, że Daniel nie ma zamiaru powiedzieć nic więcej, przeniósł spojrzenie na Josie.

- Dlaczego Anna była zła?

Josie uniosła bezradnie ręce.

- Nie wiem. Kipiła ze złości od ubiegłego tygodnia, kiedy ujawniłeś jej romans z Peterem. Ale też w piątek wieczorem i wczoraj rano zadała sobie trud... pojednania. Później, podczas lunchu... po prostu wybuchła.

- Co się stało?

Josie spojrzała pytająco na Daniela i to on udzielił odpowiedzi.

- Robiła, co mogła, żeby wszystkich znieważyć, i tyle. W typowy dla siebie sposób.

Porucznik westchnął.

- Danielu, wiem, że wiele zrobisz, by chronić swoją rodzinę. Szanuję to. Wiem, że twoim zdaniem to, co wydarzyło się podczas wczorajszego lunchu, nie jest moją sprawą. Ale się mylisz. Muszę się dowiedzieć, jak i dlaczego umarła Anna Ralston, a wydaje mi się, że tobie też na tym zależy. Niezależnie od tego, jak brzmi odpowiedź. Bo Anna, w prze-

ciwiństwie do Petera, nie zmarła w jakimś motelu na drugim końcu miasta, ale tutaj. Dosłownie na twoim podwórku. I nikt z domowników nie jest poza podejrzeniem, gdyż ktoś spośród was wie, jak i dlaczego pożegnała się z tym światem.

Po długim milczeniu Daniel spojrzął na Josie i skinął głową. Cichym i obojętnym głosem Josie wytuszczyła porucznikowi główną treść tyrady Anny.

- Ale o żadną z tych zniewag nie warto było kruszyć kopii. Wszyscy znaleźliśmy Annę, wiedzieliśmy, jaka jest. I... z chwilą gdy to powiedziała, nie można już było tego cofnąć. Po cóż ktokolwiek z nas miałby później spierać się z nią o to?

- A poza tym - dodał Alex - tego wieczoru wszyscy byliśmy dość zajęci. Drinki tutaj o szóstej, potem twój krótki popis, pewnie pamiętasz. A później kolacja. Po kolacji większość nas poszła do gabinetu i graliśmy tam w brydża.

- Większość?

- Josie i ja, Kerry oraz Amelia. Madeline, jak sądzę, oglądała jakiś stary film w telewizji.

- Jak długo byliście razem?

Alex wzruszył ramionami.

- Rozstaliśmy się chyba po czterdziętej.

- I poszliście do siebie?

- Mniej więcej. Amelia powiedziała, że ma do napisania listy. Madeline wspomniała o lekturze. Kerry poszła do pokoju muzycznego. Słyszeliśmy, jak gra, gdyż zostaliśmy z Josie przez pewien czas w gabinecie. Potem poszliśmy na górę. - Alex zawałał się i dodał: - Do mojego pokoju.

Nie komentując tego, Brent zanotował coś w małym czarnym notesie, który ze sobą nosił, po czym spojrzął na Daniela.

- A ty?

- Byliśmy z Laurą na piętrze. W moim mieszkaniu. Razem.

- Przez cały wieczór?

- I całą noc - odparł spokojnie Daniel.

Porucznik skinął głową, znowu bez komentarza, i zapisał kolejne uwagi.

- Czy ktoś z was widział lub słyszał coś niezwykłego? - zapytał z ożywieniem.

- Ja widziałam - odezwała się po raz pierwszy, z waha-

niem, Laura. - Ale było już po północy, więc to i tak nie miałyby znaczenia, prawda?

-Co pani widziała?

- Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że ktoś wychodzi z oranżerii. Ktokolwiek to był, miał na sobie płaszcz lub coś w tym rodzaju i nie potrafiłabym określić...

- To byłam ja - wtrąciła Kerry. - Często spaceruję nocą po ogrodach. - Spojrzała na Brenta i słabe drżenie zakłóciło spokój jej oblicza. - Dwa razy szłam przez kładkę, ale niczego nie zauważyłam.

Brent pokiwiał głową i zanotował jeszcze jedną uwagę. Następnie popatrzył na Daniela.

- Wątpię, by Amelia miała dość sił, by zepchnąć Annę, ale będę musiał z nią porozmawiać. Z twoją matką także.

Daniel zmarszczył brwi.

- Ale nie dzisiaj. Obie były wyrażone z równowagi, gdy im powiedziałem o Annie. A matka jest pod wpływem środków uspokajających.

- W takim razie jutro. - Detektyw spojrzął poważnie na Daniela. - Mogły coś słyszeć lub widzieć. Muszę z nimi porozmawiać.

- Nie spodziewaj się, że mi się to spodoba.

- Nigdy nie spodziewam się cudów. - Brent uśmiechnął się nieznacznie, po czym westchnął, zamknął notes i wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Ogrodziliśmy teren wokół kładki i byłbym zobowiązany, gdyby przez parę dni niczego tam nie ruszano. Gdy tylko będzie to możliwe, przysłę jednego z moich ludzi, żeby zjął taśmę.

- W porządku - rzekł Daniel. - Jak przypuszczam, w sprawie morderstwa Petera nie ma nic nowego?

- Nie. - Policjant zawałał się, po czym dodał: - Za to, co teraz powiem, moi przełożeni zapewne odebrałyby mi odznakę, ale być może nigdy się nie dowiemy, kto go zabił. Jak dotąd wszystkie tropy okazały się fałszywe. Oczywiście śledztwo będzie trwało, ale muszę być z wami szczery. Aktualnie nie ma prawdziwego podejrzanego i żadnych dowodów wskazujących na konkretną osobę.

- Mineły dopiero dwa tygodnie - zauważyła Josie.

Porucznik potwierdził skimieniem głowy.

- Wiem. Jak już mówilem, śledztwo będzie trwało. Nie ma przepisu o przedawnieniu morderstw. Jeżeli jednak zagadki morderstwa nie rozwiązuje się szybko, to zwykle nie rozwiązuje się jej wcale. Chciałem po prostu, byście byli na to przygotowani.

- Wspaniale - mruknął Alex.

Brent skierował wzrok na Daniela.

- Wróć jutro, prawdopodobnie po południu, żeby porozmawiać z Amelią i Madeline. - Kiedy Daniel skinął niechętnie głową, porucznik dodał: - A tymczasem dajcie mi znać, jeżeli przypomnicie sobie coś, co mogłoby pomóc w śledztwie.

Gdy wyszedł, zapadła cisza. Po chwili Kerry wstała i powiedziała:

- Nie przepadałam za Anną, ale nigdy nie życzyłam jej źle. Sądzicie, że jej śmierć ma coś wspólnego ze śmiercią Petera?

Alex spojrzął na nią krzywo.

- Jakże mogłaby mieć?

- Nie wiem. - Kerry miała niezmacony wyraz twarzy. - Ale dwa wypadki gwałtownej śmierci w ciągu niespełna dwóch tygodni to chyba trochę dużo. Nawet jak na Kilbourne'ów - dodała i nie czekając, aż ktoś zareaguje, wyszła z pokoju.

- Wiesz, ona ma rację - rzekł Alex ponuro.

Daniel skrzywił się.

- Też mi to przyszło na myśl. Ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli widzę jakikolwiek związek, poza ich romansem. Josie wstała, wzdychając.

- Wiem tylko, że należy poczynić jakieś przygotowania i warto, żebym już zaczęła. Spróbuję skontaktować się z Philipem Ralstonem w Europie. Trzeba go powiadomić.

- Przyjemnie jest otrzymać taki telefon w niedzielny wieczór - mruknął Alex. - O ile zdołamy go odszukać. Pomogę ci, kochanie.

Josie nie powiedziała dziękuję, ale wsunęła rękę w jego dłoń, gdy wychodzili z pokoju.

- Cieszę się, że tych dwoje wreszcie się ujawniło - rzekł z roztargnieniem Daniel. - W samą porę.

Laura wsparła głowę na jego ramieniu.

- Myślisz, że Anna zginęła dlatego, iż zginął Peter?

- Chciałbym to wiedzieć.

- Powinnam wyjechać, wrócić do swojego mieszkania. Amelia nie będzie miała głowy do pozowania i... - powiedziała po chwili milczenia.

Daniel przesunął się, żeby móc położyć ręce na jej ramionach. Jego spojrzenie było bardzo uważne, a wokół ust malowało się napięcie.

- Lauro... Nie mam prawa cię prosić, żebyś tu została, zwłaszcza po dzisiejszym dniu. Gdybyś postanowiła uciec jak najdalej od mojej rodziny, nie mógłbym cię winić. Ale proszę, zostań. Potrzebuję cię.

Laura mogłaby mu zadać wiele pytań, lecz żadne z nich nie wydawało się teraz istotne, więc tylko skinęła głową i wtuliła się w jego ramiona.

Gdy Alex i Josie wchodzili razem na piętro, był już dość późny wieczór. Kolacja właściwie upłynęła w milczeniu, nikt nie zwracał sobie głowy ubieraniem się do posiłku i nawet Amelia nie umiała udawać, że nie stało się nic niezwykłego. Niedługo potem wróciła do swojego pokoju, tak jak Madeline, natomiast Kerry kazała podstawić samochód i wyjechała bez wyjaśnienia. Daniel i Laura zostali przez pewien czas na parterze, a potem poszli na górę.

- Co za dzień - mruknął Alex, gdy dotarli na piętro i szli korytarzem.

- Jutro nie będzie wiele lepsze - przypomniała Josie. - Kolejne pytania, kolejne ustalenia - no i nie zapominaj o prasie. Alex aż jęknął.

- Pięknie. A w dodatku muszę szukać skrytki numer dwa.

- Skrytki numer dwa?

Objął ją w talii.

- Peter po prostu się uparł, żeby mnie wkurzać z zaświatów.

- Mam się w tym doszukiwać sensu?

- Chyba nie. Nie zwracaj na mnie uwagi, kochanie. Po-wiedzmy po prostu, że nie oczekuję najbliższych paru dni z utęsknieniem...

Rozdział 15

- Ja też nie. - Dotarli do jej sypialni, pierwszej w korytarzu, i Josie popatrzyła niepewnie na Alexa. - Czy... zostałbyś ze mną na noc?

Alex rzucił okiem na zamknięte drzwi, które dotąd broniły mu wstępu, a potem spojrział poważnie na Josie.

- Dłatego, że dzień był paskudny?

Pokręciła głową.

- Dłatego, że chcę, byś był przy mnie.

Alex czekał.

Josie wiedziała, co pragnie usłyszeć.

- Mogę obiecać, że będziemy sami. Zdjęcia, które stało na mojej toalecie, już tam nie ma. Włożyłam je do albumu, gdzie jest jego miejsce. Znalazło się razem z fotografiami moich rodziców oraz moimi zdjęciami na kucyku i z uroczystości rozdania świadectw maturalnych. Pamiętka. Po prostu miłe pamiątki, schowane w odpowiednim miejscu.

Alex zaczął się powoli uśmiechać.

- No cóż, w samą porę, psiakrew. Którą stronę łóżka wolisz, kochanie?

- Witaj, nieznojoma. - Było poniedziałkowe popołudnie. Cassidy weszła do mieszkania Laury, a gdy ta zamknęła za nią drzwi, dodała: - Zostajesz w domu czy...

- Nie, zabieram tylko parę rzeczy. - Laura uniknęła bawczego spojrzenia przyjaciółki, wchodząc za bar, żeby nalać jej filiżankę kawy. - Byłam zaskoczona, że zastałam cię w domu o tak wczesnej porze. Nie powinnaś być w pracy?

- Maluję mój gabinet, więc dostałam wolne popołudnie.

Laura kiwnęła głową i postawiła filiżankę na blacie.

- Proszę, świeżo zaparzona.

- Mniejsza o kawę - odparła Cassidy, siadając przy barku i sięgając jednak po filiżankę. - Czytałam dzisiejsze gazety. To prawda? Została zamordowana?

Laura podniosła swoją filiżankę, wypita mały łyk i wzruszyła ramionami.

- Jeszcze nie wiemy. Porucznik, który prowadzi śledztwo, ma przyjechać za godzinę i porozmawiać z Danielem.

- Jak to przyjmują członkowie rodziny?

- Każdy po swojemu. - Laura uśmiechnęła się. - Amelia przyszła do siebie po fatalnym weekendzie. Twierdzi, że Anna najwidoczniej poślizgnęła się i że wprawdzie to straszna tragedia, ale musimy żyć dalej. Bardzo podobnie zachowywała się po śmierci Petera - była uśmiechnięta i powściągliwa. Doszła do wniosku, że poranna praca nad portretem dobrze nam zrobi. Daniel był skłonny zasugerować - w przekonujący sposób - żeby zaczęła przynajmniej do pogrzebu, ale przypomniałam mu, że to ją czymś zajmie, a w tym czasie on i Josie

uporają się z wszystkimi telefonami i policją. Ja także chciałam się czymś zająć.

- Więc rano spędziłaś, portretując Amelię?

Laura potwierdziła skinięciem głowy.

- Kerry muzykowała. Josie, jak już mówiłam, pomagała Danielowi, a Alex pojechał do miasta. Madeline kazała podstawić samochód i wyjechała bardzo wcześnie. Powiedziała, że wybiera się do przyjaciółki, której obiecała wizytę, ale odniosłam raczej wrażenie, że ucieka. Nawet środki uspokajające nie mogły jej obronić przed tym miejscem w ogrodzie, odgrodzonym jaskrawożółtą taśmą.

Cassidy spojrzała na nią poważnie.

- A jak trzyma się Laura? Wyglądasz na trochę spiętą i wydajesz się zmęczona.

- Tak też się czuję. - Dość bezbarwnym głosem Laura zapoznała przyjaciółkę z historią tego weekendu, przedstawiając w ogólnych zarysach wydarzenia i postaci. Przyznała również rzeczowo, że zmieniły się jej stosunki z Danielem, aczkolwiek nie wdawała się w szczegóły.

- Jesteś w nim zakochana - zauważyła Cassidy.

Laura uniosła fliżankę w geście uznania.

- Co ciębie oczywiście nie dziwi?

- Nieszczerze. Dziwi mnie natomiast to, że tak szybko się do niego przeprowadzasz. Lauro... jesteś pewna, iż możesz mu zaufać? To znaczy mieć gwarancję, że cię nie skrzywdzi?

- Skrzywdzi? Chcesz powiedzieć...

- Przecież Annę ktoś mógł popchnąć, prawda?

- Daniel by mnie nie skrzywdził. - Laura uświadomiła to sobie dopiero wtedy, gdy powiedziała to na głos, ale niczego w swoim życiu nie była dotąd tak pewna jak tego. - I wiem, że nie zrobił krzywdy Annie.

- Skoro tak twierdzisz. Ale skrzywdzić można w różny sposób. Ty jesteś zakochana, ale czy on też cię kocha?

Laura zawahała się.

- Nie wiem. Czasami, gdy na mnie patrzy, myślę, że tak. Wiem, że... coś do mnie czuje. Do diabła, Cass, tyle się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania, że po prostu nie

wiem. Ledwie mogłam zebrać myśli. Ale powiedział, że mnie potrzebuje i właśnie dlatego tam wracam.

Cassidy patrzyła na Laurę badawczo, z niemal bezstronnym zainteresowaniem.

- Zawsze mnie ciekawiło, jak wpłynie na cię miłość. Oddajesz się temu ciałem i duszą, prawda? Bez reszty.

Laura zaśmiała się niepewnie.

- W przeciwieństwie do ciebie! Chyba zawsze wiedziałam, że tak będzie, i właśnie dlatego tak długo byłam ostrożna. Dopóki nie poznałam Daniela. Z nim... czuję się szczęśliwa. Chodzi o to, że gdy jesteśmy tylko we dwoje, nic innego się nie liczy. Tak jakbym... wróciła do domu.

- W takim razie zazdroszczę ci - powiedziała po chwili Cassidy. - Ale co do reszty, to mam wrażenie, że wdepnęłaś w prawdziwe bagno. I najwyraźniej odbija się to na tobie. Jak mówiłam, sprawiasz wrażenie strasznie spiętej. A ta historia ze snem i tym, że nie mogłaś się zbliżyć do kładki. Nigdy nie byłaś medium, prawda?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Daniel przyjął to tak spokojnie, że nawet o tym nie rozmawialiśmy, ale ja nie mam pojęcia, dlaczego tak się zachowałam. I nie wiem, dlaczego poczułam nagłą potrzebę skończenia portretu Amelii. Dzisiaj rano pracowałam nad nim jak oszalała. Myślałam, że jest prawie gotowy. Nawet Amelia była zadowolona. Oczywiście jej się wydaje, że to tylko wprawka.

- Ale to nie jest wprawka?

Laura spojrzała na przyjaciółkę i poczuła dziwny dreszcz.

- Nie. To jedyny portret Amelii, jaki namaluję.

Cassidy nagle zadziwiała.

- Przerażasz mnie.

- Siebie też przerażam. - Laura odwróciła się na chwilę, żeby nalać świeżej kawy, po czym dodała spokojniejszym głosem: - Może po prostu ten dom tak na mnie działa, a może to tylko kolejna z moich fantazji, ale swoje wiem. Nie będzie następnego portretu Amelii.

- Czy... obawiasz się, że coś mogłoby ci się przydarzyć? Tak jak przydarzyło się Annie?

- Tego nie wiem - odparła Laura, kręcąc głową. - Tak naprawdę nie obawiam się niczego, po prostu czuję niepokój.

Tyle że większy niż przedtem. Stale mam ochotę się obejrzeć, a gdyby ktoś naprawdę głośno krzyknął „buch!”, pewnie trzeba by było zdrapywać mnie z sufitu. - Laura wydała z siebie dość ponure parsknięcie. - Przypuszczalnie chodzi o ten dom. Boże, zobacz, co się tam, w tej rodzinie, wyprawia. Czy można się dziwić, że mam niespokojne sny i oglądam się przez ramię?

- Nie wracaj tam - powiedziała stanowczo Cassidy.

- Muszę.

- Dlaczego? Bo Daniel tam jest?

- Tak. Dlatego, że tam jest. Dlatego, że to jeszcze nie jest skończzone.

- Co nie jest skończzone? Portret? Historia lusterka? Twój romans?

Laura zdobyła się na uśmiech.

- Każde z wymienionych. Poza tym nadal nie wiemy, kto zabił Petera.

- Poddaję się - powiedziała Cassidy z gestem zniecierpliwienia. - Uparcie chcesz dać się zabić. Teraz widzę, że Amelia w końcu spuści cię ze schodów, zgodnie z najlepszą tradycją bohaterek powieści gotyckiej. Albo pewnego wieczora Madeline wspanie ci ukradkiem do drinka trochę swoich środków uspokajających i wypchnie cię z okna, ponieważ uśmiechnęła się do niej w niewłaściwy sposób przy kolacji. Albo też Daniel...

- Daniel nie zrobi mi krzywdy - przerwała jej Laura.

- Teraz wiem, co znaczy być szaleńczo zakochaną. Ty na pewno jesteś.

Laura postawiła filiżankę na blacie baru i powiedziała bez troski:

- Być może. I jeżeli spotka mnie kłeska, będziesz mogła powiedzieć, że mnie ostrzegąłeś. Mogłabyś jednak tymczasem dalej podlewać moje kwiatki? I pilnować mieszkania?

- No jasne. - Cassidy wstała ze stołka, kręcąc głową. - Wariatka. Prawdziwa wariatka.

- Dzięki.

- Wyślij mi kartkę z zakładu, dobrze?

Kiedy później Laura wracała samochodem do domu Kilbourne'ów, myślała o rozmowie z Cassidy i znowu analizo-

wała swoje niewytłumaczalne uczucia. Jedyne portret Amelii, jaki namaluje? Skąd czerpała tę pewność?

Na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć, tak jak nie umiała odpowiedzieć na pytanie, dlaczego lektura materiałów, które Dena zostawiła jej w recepcji budynku, kopii listów napisanych na początku stulecia, wytrąciła ją z równowagi. Przeczytała je zaraz po powrocie do swojego mieszkania. Listy Shelby Hadden do jej kochanka, a potem męża, Bretta, omal nie doprowadziły Laury do płaczu. Dena nie żartowała, mówiąc o głębokiej, namiętej miłości tych dwojga. Laurę wzruszyło jednak ich bezgraniczne oddanie sobie. Żeby być razem, przeszli przez piekło, ale oboje najwyraźniej uważali, że nagroda warta jest ceny, jaką za to zapłacili

Po prostu im zazdrościć, i tyle.

Wyzbywszy się tęsknych myśli, zaparkowała samochód koło garaży rezydencji Kilbourne'ów i dostała się do domu przez boczne drzwi koło kuchni. Na piętro weszła tylnymi schodami. Przywiozła jedynie małą torbę i rozpakowała ją w apartamencie gościnnym zamiast u Daniela. Nie wiedziała, dlaczego nadal nie kwapi się do przeniesienia tam swoich rzeczy, szczególnie że nikt z domowników nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do charakteru ich wzajemnych stosunków. Ponieważ jednak jej głos wewnętrzny wciąż się temu sprzeciwiał, była mu posłuszna.

Zeszła na parter i zastała Daniela przy pracy w bibliotece. Zapukała cicho w uchylone drzwi.

- Jeżeli przeskaczam...

- Podziękuję ci za to - rzekł Daniel z uśmiechem, odsuwając krzesło i wyciągając do niej rękę.

Laura podeszła, a on spokojnie pociągnął ją na kolana i całując, dodał:

- Tęsknięm za tobą.

- Wyjechałam tylko na parę godzin - odparła, gdy już mogła to zrobić. - Ale też tęskniłam. - Splotła palce na jego szyi, starając się utrzymać żartobliwy i obojętny ton. - Pewnie byłeś zajęty. Czy telefony w końcu przestały dzwonić?

Daniel pokręcił głową.

- Jeśli chodzi o dzisiejsze popołudnie, to mamy obsługę telefoniczną i to ona odbiera telefony.

- Dobry pomysł. A gdzie reszta?
- Josie odbiera na górze największą porcję listów od Amelii, Kerry poszła na spacer po ogrodach, przypuszczalnie ścieżką, która nie biegnie w pobliżu kładki. Alex powinien wrócić lada moment. - Daniel zmarszczył brwi. - Matka również.
- Czy przypadkiem nie ma się zaraz zjawić porucznik Landry?
- Dzwonił z wiadomością, że spóźnił się kilka minut.
- Czy powiedział...?
- Nie, mówił tylko, że odkrył coś interesującego. Ten skubaniec potrafi być tajemniczy, kiedy tego chce.
- Skoro mówimy o tajemnicach - Laura wskazała głową papiery rozłożone na biurku Daniela - to co to takiego?
- Daniel patrzył na nią przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym odparł:
- Wstępne projekty samolotowego systemu radiolokacyjnego oraz harmonogramy prac i listy obecności personelu laboratorium badawczo-rozwojowego.
- Zajmujesz się tego rodzaju pracą? - zapytała nieco zdziwiona Laura. - Myślałam, że twoją działką są finanse.
- Bo też są. - Daniel skrzywił się lekko. - Jeśli chodzi o moje fachowe umiejętności w tej dziedzinie, to jest z tym znacznie gorzej.
- Co w takim razie robisz?
- Szukam odcisków palców. - Pokręcił głową. - I znajduję tylko te, które na nic się nie przydadzą.
- Widzę, że nie tylko Landry potrafi być tajemniczy, gdy tego chce. Jeżeli to jest jedna z tych spraw, o których jeszcze nie rozmawiamy...
- Była - przyznał Daniel szczerze. - Ale wygląda na to, że cała ta cholerna sprawa prędzej czy później wyjdzie na jaw i nie chcę, żebyś była tym zaskoczona.
- To brzmi złowieszco. Daniel przybrał teraz ponurą minę.
- Nie będzie przyjemnie. Zanim zdążył coś jeszcze powiedzieć, do pokoju wszedł Alex. Młody prawnik był ubrany w dżinsy i bluzę politechni-

ki stanowej, ale nosił solidną teckę. Powiedział do Daniela tylko jedno treściwe słowo:

- Bingo.
- Laura, wyczuwając napięcie Daniela, szybko podniosła się z jego kolan.
- Zostawię was samych.
- Nie, Lauro, teraz możesz tego posłuchać.
- Czy coś się stało? - zapytał Alex.
- Otrzymałem telefon - odparł Daniel. - Przyspieszyli spotkanie. Jeżeli nie będę mógł przedstawić projektów do końca tygodnia, znajdę się w opałach.
- Laura, zbita z tropu, przeniosła spojrzenie na Daniela.
- Danielu?
- To długa historia - odparł - ale w skrócie chodzi o to, że Peter, zanim zginął, przypuszczalnie ukradł komplet planów z laboratorium. Bardzo ważnych planów, przeznaczonych na potrzeby wojska. Planów, za których zdobycie inne mocarstwa stono by zapłaciły. A nasz rząd nie będzie ze mnie zadowolony, kiedy się okaże, iż zginęły.
- Ale jeżeli zabrał je Peter...
- Daniel pokręcił głową i puścił jej rękę.
- Wszystko świadczy o tym, że to ja je zabrałem. Peter musiał w pewnym momencie zwęździć moją kartę magnetyczną i posłużyć się nią. Wszystkie harmonogramy prac potwierdzają, że byłem ostatnią osobą w podziemiach, zanim zniknął plany.
- Ale każdy by się zorientował, że nie mogłeś tego zrobić - stwierdziła Laura.
- Daniel posłał jej pospieszne spojrzenie; błysk w jego oczach zniknął zbyt szybko, by mogła w nich coś wyczytać, ale powiedział tylko:
- Mój dobry charakter na niewiele się zda wobec wszystkich dowodów. Znalazłeś drugą skrytkę?
- Tak. Zdałem się na przeczcucie i jeszcze raz spróbowałem w Macon. Okazało się, że miał skrytkę w innym banku.
- Po śmierci Petera znaleźliśmy w jego mieszkaniu klucz do skrytki depozytowej. Nie muszę dodawać, że liczyliśmy na znalezienie planów. Ale jak dotąd mamy pecha. -

Daniel wytłumaczył Laurze, co zawierała pierwsza skrytka, a potem spojrział pytająco na Alexa. - A ta? Alex położył teczkę na biurku.

- Niestety, żadnych planów - rzekł, otwierając ją. - Jednak to z pewnością kolejna tajna skrytka Petera. Lecz tym razem nie było w niej forsy. - Rzucił garść kaset magnetofonowych, a potem cztery kasety wideo. - Wstąpiłem do biura, żeby sprawdzić ich zawartość. I bardzo się cieszę, że najpierw zamknąłem drzwi na klucz. Chcesz zgadywać?

Daniel podniósł kilka kaset magnetofonowych. Do jednej przyklepiono etykietę z napisem *Andrea*, natomiast pozostałe były opatrzone - także ręką Petera - napisem *Melissa*. Kaset magnetofonowa leżąca na szczycie sterty nosiła tytuł *Gretchen*. Każda etykiетка zawierała także datę, kilka z nich było sprzed ponad trzech lat.

- Chryste - mruknął Daniel.
- Jeżeli nawet ich jeszcze nie szantażował, to z pewnością miał taki zamiar - zauważył Alex. - Przesłuchiwałem je po bieżnie, ale zawartość tych taśm - audio i wideo - z całą pewnością rozbiłaby kilka małżeństw i zniszczyła polityczną przyszłość przynajmniej jednej osoby. Nie rozpoznałem trzech spośród tych kobiet, ale chyba możemy spokojnie założyć, że one także miałyby sporo do stracenia, gdyby Peter odtworzył te nagrania ich najbliższym.

Daniel miał kamienną twarz, lecz Laura instynktownie położyła mu dłoń na ramieniu. Nie zareagował, spojrział tylko na Alexa i rzekł:

- Teraz staje się jasne, skąd brał pieniądze na hazard przez ostatnich parę lat.
- Owszem. - Alex zaczął wkładać taśmy z powrotem do teczek. - Zniszczyje.

- Nie - zaprotestowała Laura. Gdy obaj spojrzeli na nią badawczo, wyjaśniła: - Te kobiety muszą wiedzieć, że jest już po wszystkim. Przekaż im taśmy i powiedz to. W przeciwnym razie nigdy nie będą pewne, czy szantaż Petera skończył się wraz z jego śmiercią.

Daniel popatrzył na kuzyna.

- Laura ma rację.
- W porządku. - Alex skrzywił się. - Nie jest to wpraw-

dzie przyjemne zadanie, ale zajmę się tym jak najdyskretniej. Jednakże identyfikacja tej trójki może stanowić pewien problem.

- Postaraj się.

- Wszystkie te kobiety miały przekonujące powody, by zabić Petera - zauważyła powoli Laura.

Alex popatrzył na Daniela, uniósłszy brwi, i dla Laury stało się rzeczą oczywistą, że rozmawiali już na ten temat.

Daniel ujął w dłoń rękę Laury, spoczywającą na jego ramieniu. Odchylił się na krześle i spojrzął na nią poważnie.

- Nie pochowałam ludzi wymierzających osobiste sprawiedliwość, ale w tym szczególnym wypadku cała moja sympatia leży po stronie szantażowanych kobiet. Jeżeli jedna z nich znalazła tylko to rozpaczliwe wyjście z beznadziejnej sytuacji, to może była usprawiedliwiona. On na pewno nie miał nic na swoje usprawiedliwienie.

- Innymi słowy - rzekł Alex, zatrzaskując teczkę - nie przekazemy tej informacji policji.

- Chyba nie usprawiedliwiasz tej decyzji? - zapytała Laura.

- Prawdę mówiąc, usprawiedliwiam. Zawsze mówiłem, że gdyby jedna z kobiet Petera w końcu go załatwiła, byłoby to dowodem zwycięstwa „poetycznej” sprawiedliwości. Lecz w ustach przedstawiciela mojej profesji ta opinia brzmi po-dejrzanie, więc nie puszczaj jej w obieg. - Alex uśmiechnął się do Laury, a potem spojrzął na Daniela. - Te nagrania powinny być tutaj bezpieczne. Jutro zamknę je w swoim sejfie i zaczne szukać tych pań.

- Dziękuję.

- Nie ma za co dziękować. - Prawnik zabrał teczkę i wyszedł z biblioteki.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałeś mi o tym mówić - powiedziała półgłosem Laura. - Świadomość, że twój własny brat mógł robić takie rzeczy, musi być dla ciebie okropna.

- Najgorsze jest to, że tak naprawdę nigdy nie miałem co do tego wątpliwości. Z wyjątkiem kradzieży planów - tym mnie zaskoczył.

- Dlaczego? Nie sądziłeś, że jest do tego zdolny?

Daniel westchnął.

- Nie sądziłem, że sprzeda tajemnice państwowe. Tym bardziej zaś nie sądziłem, że przy okazji mnie wrobi.
- Czemu miałby to czynić? Aż tak cię nienawidził?
- Nigdy tak nie myślałem. - Daniel zmarszczył nagle brwi, przynosząc wzrok na rozłożone na biurku dokumenty. - Ale...

Josie zapukała w ościeże drzwi.

- Przyjechał Brent. Chce się zobaczyć z nami wszystkimi w salonie. - Wykrzywiła nieznacznie usta. - Znowu.
- Daniel patrzył na nią przez chwilę, po czym skinął głową.
- W porządku. - Puścił dłoń Laury i zaczął chować papie ry do szuflady biurka. - Czemu mam wrażenie, że Brent powie nam, że Anna na pewno została popchnięta? - powie dział.

- Nie wykluczaliśmy tego - przypomniała mu Laura.

Daniel odsunął krzesło i wstał.

- To pewnie był wypadek.

- Oczywiście.

Gdy wzięł ją za rękę, ich palce splotły się w uścisku. Ruszyli do drzwi. Laura domyślała się, co Daniel czuje. Jak powiedział porucznik, do śmierci Anny doszło na podwórku Kilbourne'ów i właściwie wydawało się rzeczą pewną, że ktoś z rodziny jest w nią zamieszany.

A lista podejrzanych była bardzo krótka.

- Cały wieczór spędziłam w swoim pokoju - odparła oziębłe Amelia. - Pisałam listy.
- Podchodziła pani do okna? Widziała coś lub słyszała?
- Nie. - Amelia siedziała jak zwykle w swoim fotelu wyprostowana, a spojrzenie jej ciemnych, utkwionych w poruczniku oczu było wyraźnie nieżyczliwe. - Co masz na myśli, mówiąc, że została popchnięta?
- Dokładnie to, co powiedziałem, pani Amelio. Lekarz znalazł ślady na ramionach Anny, tam gdzie spoczywałyby ręce napastnika, gdyby próbował ją pchnąć do tyłu. I przez poręcz kładki.
- Chyba nie wyobrazasz sobie, że mogłam ją pchnąć - warknęła starsza pani.

- Wątpię, by miała pani dość siły - zgodził się Brent, nie wzruszony. - Z drugiej strony Anna była bardzo szczupła i popchnięcie jej, zwłaszcza jeżeli była wówczas wytrącona z równowagi, nie wymagałoby dużego wysiłku.

- Ani na moment nie wychodziłam z pokoju - powiedziała Amelia, oddzielając dla podkreślenia każde swoje słowo.

- Wszyscy mamy alibi na sobotni wieczór - rzekł Alex. Siedząc między Josie a Kerry na sofie koło drzwi, wydawał się rozluźniony, ale jego zielonkawe oczy patrzyły przenikliwie.

Brent spojrział na niego.

- Każde z was miało mnóstwo okazji, by wyjść ukradkiem z domu, i dobrze o tym wiesz. Po kolacji nie wszyscy byliście razem, a gdyby nawet, to mogła się nadarzyć sposobność wymknięcia się do ogrodów.

- Nikt z nas tego nie zrobił - odparł Alex kategorycznie.

- Lekarz twierdzi, że zgon nastąpił między ósmą wieczór a pierwszą w nocy - zauważył Brent. - Sam mówiłeś, że rozeszliście się stąd około dziesiątej.

- No cóż, niektórzy z nas dobrali się parami - przypomniał Alex porucznikowi, spoglądając na Josie, a potem przez stolik kawowy w stronę drugiej sofy, gdzie siedzieli Daniel i Laura. Madeline nie wróciła jeszcze z wizyty u przyjaciółki.

Brent pokręcił nieznacznie głową.

- Jak zapewne uczono cię na wydziale prawa, gdy chankowie zapewnijają sobie alibi, zawsze można mieć wątpliwości.

- Być może. - Alex nadal mówił spokojnym tonem. - Ale wobec braku świadectw podważających te alibi musisz przyjąć je za dobrą monetę.

- Na razie. - Porucznik skierował wzrok na Kerry i po raz pierwszy sprawiał wrażenie przejętego przesłuchaniem. Twarz mu stężała, a gdy się odezwał, jego głos nie był już bezosobowy. - Ponieważ autopsja rozszerzyła okres, w którym mogła nastąpić śmierć, muszę zapytać, czy widziała pani Annę lub rozmawiała z nią w ogrodach w sobotnią noc, po wyjściu z domu.

- Nie. - Kerry spojrziała na porucznika jak zwykle z po-

godnym wyrazem twarzy, i dodała łagodnie: - Pamiętałabym przecież. Anna nie znosiła ogrodów. Zdziwiłabym się, widząc ją tam.

Cokolwiek odpowiedział Brent, umknęło to uwadze zebranych, ponieważ rozległ się trzask drzwi frontowych i do salonu wpadła Madeline. Straciła swój nieskazitelny zazwyczajny wygląd: sweter zsuwał się jej z ramienia, włosy zaś były w lekkim nieładzie. Jasne oczy stały się błyszczące i bystre. Niosła w rękach długą, płaską plastikową tubę, dwie taśmy video, mały czarny notes i dużą płowóżółtą kopertę.

Rzuciwszy to wszystko na duży kwadratowy stolik, stojący przed Danielem, powiedziała zdyszczonym głosem:

- Proszę. Mówiłam ci, że znam wszystkie sekrety Petera.

W ciszy, jaka nagle zapadła, Daniel pochylił się i podniósł tubę. Odkreślił przykrywkę z jednego końca i wyciągnął plik zwiniętych w rulon kserokopii projektów.

Były tak skomplikowane technicznie, że żaden laik by ich nie rozszyfrował, lecz Laura usłyszała, jak Daniel wydał z siebie ciche westchnienie na ich widok, i wyczuła jego ulgę, gdy zaczął zwiijać odbitki, żeby włożyć je z powrotem do tuby.

- Czy to...?-zapytał Alex cicho.

Daniel potwierdził skinieniem głowy, po czym spojrzal na Madeline.

- Skąd to wszystko wzięłaś, mamo?

Madeline uśmiechnęła się do syna.

- Jak to skąd? Z jednej ze skrytek Petera, rzecz jasna.

Wiem o wszystkich.

Daniel wykonał nieznaczny ruch tubą, którą wciąż trzymał w dłoni.

- O tym też? Czy wiesz, co to jest?

- To plany, które Amelia kazała mu wykraść dla siebie - odparła rzeczowo, kiwając głową.

W pokoju zapadła głucha cisza. Laura, świadoma własnego oszołomienia, spojrziała po twarzach zebranych i zrozumiała, że wszystkim udzieliło się jej niedowierzanie. Nawet Brent Landry, który przed nadejściem Madeline panował nad sytuacją, gapił się teraz na nią ze zmarszczonym czołem

i zdumieniem w oczach. Nic jednak nie mówił. Przez długi czas nikt się zresztą nie odzywał.

Potem Amelia poruszyła się i parsknęła krótkim śmiechem.

- Madeline, nie mów głupstw. Po co miałabym robić coś takiego?

Jej synowa popatrzyła na nią z przyjemnym pólusmięchem, najwyraźniej wciąż zadowolona z faktu, że potrafi dowiedzieć, iż tylko ona została w tajemniczość we wszystkie sprawy ukochanego potomka.

- Jak to po co? Chciałaś przecież zniszczyć Daniela.

Laurze wydawało się, że słyszy słowo „Chryste”, wypowiedziane przez Landry’ego, ale tylko on głośno wyraził pełną obrzydzenia konsternację malującą się na kilku twarzach.

Ale nie na twarzy Amelii, rzecz jasna. Starsza pani patrzyła na Madeline z pogardą.

- Będziemy musieli sprowadzić twojego lekarza. Najwyraźniej musi się dokładnie przyjrzeć twoim lekom albo skierować cię na przymusowe leczenie.

Madeline spojrziała na resztę zebranych w salonie, po czym odparła wyzywająco:

- Wiem, co mówię. I to prawda. Peter miał sprzedać projekty pośrednikowi reprezentującemu jeden z tych krajów na Bliskim Wschodzie, nie pamiętam który. To Amelia wszystko zorganizowała. Robiła to już wcześniej, przed laty, i wciąż ma kontakty.

- Przed laty? - Głos Daniela był wyprany z wszelkich emocji, tak jak jego twarz.

Madeline jeszcze raz skwapliwie skinęła głową.

- W latach czterdziestych, w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu. Z uwagi na pieniądze, jakie mogła na tym zarobić. Zawsze była kosztowną kobietą i lubiła pieniądze. Miała dostęp do firmowych projektów dla wojska, do wszystkich planów, toteż sprzedała parę rzeczy. Robiła to, dopóki David się nie zorientował, tak uważał Peter. Pewnie odkrył, co ona robi. Bo inaczej po co miałaby go zabijać?

- Ona postradała zmysły - powiedziała bardzo cicho Amelia. - Czy wy tego nie widzicie? Na litość boską! Danie! Nie widzisz, że ona jest chora?

Daniel nawet nie spojrział na Amelię, po prostu nie spuszczał oczu z matki.

- Sprzedała amerykańskie tajemnice wojskowe naszym wrogom?

- Owszem. Firma Davida bardzo dobrze prosperowała i zawarła mnóstwo kontraktów rządowych. Ponieważ Amelia pomagała wtedy prowadzić księgi, łatwo jej było wynosić różne rzeczy. No cóż, nie tyle wynosić, ile kopiować. Peter twierdził, że powiedziała mu, jak to robiła, i dała wykaz swoich pośredników. Ale większość nich już nie żyła. Amelia nie miała nic do sprzedania od czasów powojennych, toteż niemal ze wszystkimi straciła kontakt. Jednakże jeden z nich znalazł jej agenta, żeby mogli wraz z Peterem sprzedać plany. Daniel odetchnął.

- Czemu Peter nie spełnił swojego zamiaru? Czemu plany nadal znajdowały się w... jego skrytce?

Promienne samozadowolenie Madeline po raz pierwszy osłabło.

- Miał... miał się z nimi spotkać tamtego wieczora. W dniu, w którym... go zabito. Nie był pewien, czy pojedzie na to spotkanie, tak mi powiedział tamtego popołudnia. Nie ufał temu agentowi. A im dłużej o tym myślał, tym mocniej podobał mu się pomysł, by skierować podejrzenia na ciebie. Ale kiedy... zginał, pomyślałam, że to pewnie przez agenta. Pomyślałam też, że tamten na pewno zabrał plany, więc nie przyszło mi do głowy, by zajrzeć do skrytki Petera.

Laura czuła się kompletnie oszołomiona i nie potrafiła sobie nawet w przybliżeniu wyobrazić, jak musi się czuć Daniel. Jego twarz pozostała zupełnie beznamiętna, a głos wyważony.

- Skoro sądziłaś, że wiesz, kto mógł zabić Petera, dlaczego, u licha, nic o tym nie powiedziałaś?

Madeline sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Dlatego, że chodziło o tajemnicę, mój drogi. Nie mogłam przecież zdradzić tajemnic Petera, prawda? A poza tym byłam taka zdenerwowana, że chciałam tylko spać i zapomnieć.

- Mówiłam ci, że postradała zmysły. - Głos Amelii był teraz mocniejszy i pewniejszy. I obłudny. - Nie widzisz tego,

Danielu? Nie rozumiesz, co Peter usiłował zrobić? Gdybyś znalazł się za kratkami, kontrola nad firmą przeszłaby w jego ręce.

- Nie, Amelio - odparł powoli Daniel. - Prawnie nadal jesteś szefową, więc Peter najpierw musiałby się zająć tobą, a zbyt mało wiedział o firmie, by nią skutecznie kierować.

Amelia zacisnęła usta, a w jej ciemnych oczach pojawiły się błyski.

- Nie znosił, gdy musiał w każdej sprawie zwracać się do ciebie, gdy musiał o wszystko zebrać. Chciał cię doprowadzić do ruiny, Danielu. Chciał cię zupełnie upokorzyć, złamać twoją butę.

- Sądzę, że to ty tego chciałaś. - Daniel mówił tak cicho, że jego głos był ledwie słyszalny. Położył tubę na stoliku i podniósł mały czarny notes. Powoli, na pozór nieswiadom faktu, że oczy wszystkich są zwrócone na niego, przerzucił jego kartki. - Nazwiska, daty, drogi kontaktu. Wątpię, by Peter znał agentów w handlu bronią starszych od niego o czterdzieści lat.

- Nie bądź głupcem! - powiedziała Amelia opryskliwie. Daniel jeszcze przez chwilę studiował notes, a potem spojrzął na swoją babkę.

- Zgubiły cię jego własne słowa. Zapisał wszystko. Ze wszystkimi szczegółami, łącznie z twoimi wskazówkami, jak się posługiwać kartami magnetycznymi i dostać do sejfu. Za pomniłaś, że zawsze to robił z uwagi na fatalną pamięć? Czy też po prostu liczyłaś, że wszystko zakończy się tak szybko, iż to nie będzie miało znaczenia? Że wróć z podróży służbowej, by stwierdzić, że jestem podejrzany o zdradę? O to chodziło? Czy też tak zawzięcie pragnęłaś mnie zniszczyć, że byłaś gotowa na każde ryzyko?

Amelia patrzyła na niego bezcelnie. Jej postarzała twarz, odarta z wyniosłej elegancji, ukazała czystą nienawiść. Wąskie usta wykrzywiły się, gdy warknęła:

- Myślałaś, że spędzę resztę życia, płaszcąc się przed tobą i przyglądając, jak wszystkim rządysz, kiedy to ja powinnam to robić?!

- Ty w swoich rządach posuwałaś się za daleko, Amelio. - Daniel nie odrywał oczu od swej babki. Jego głos był mato-

wy. - Miałem się bezzwrotnie przyglądać i pozwolić, byś zrujnowała naszą rodzinę?

Ich walka o władzę po raz pierwszy toczyła się otwarcie, a żywe emocje i ogromna inteligencja obojga były oczywiste dla otaczających ich ludzi. Nikt inny się nie odzywał, nikt inny nie śmiał wkroczyć w zadawniony, zawzięcie skrywany dotąd konflikt.

- Nigdy by do tego nie doszło - odparła oschle.

- Nie? Na pewno by doszło. Jeszcze jeden brylantowy naszyjnik, jeszcze jedna przegrana twojego pewniaka w gonitwie konnej w Kentucky, a nasza rodzina nie byłaby w stanie się odegrać. Musiałem wkroczyć, powstrzymać cię przed szarpieniem pieniędzy.

- To były moje pieniądze. - Amelia mówiła to wzburzonym głosem. - David powierzył firmę mojej pieczy, mnie pozostawił decyzję w sprawie kierowania wszystkim...

- Czyżby? Tak się zastanawiam. Bo widzisz, sprawdziłem parę rzeczy. I okazało się, że David miał się zobaczyć z Prestonem Montgomerym w sprawie swojego testamentu. Akurat w tym samym dniu, w którym zginął. Ciekawy zbieg okoliczności, nie sądzisz?

Amelia zacisnęła usta i wzrokiem miotała błyskawice, zachowała jednak milczenie.

- Może Peter miał rację, sądząc, że David zapewne odkrył, co zrobiłaś. Czy tak właśnie się stało? Czy David powiedział ci o tym? Może poza domem, koło basenu, tak aby służący nie usłyszeli? Czy powiedział ci, że ma zamiar zmienić testament i zarząd powierniczy i odebrać ci wszystko? Czy to wtedy podniosłaś z ziemi coś ciężkiego i zabiłaś go?

- Jesteś równie szalony jak Madeline - odparła Amelia lodowato.

- Nie. Ale ta dawna zbrodnia ma znaczenie tylko dla nas, prawda? Skoro wtedy nie było dowodów przeciw tobie, to z pewnością nie będzie ich teraz. Upiętko ci się. - Daniel odetchnął, po czym dodał: - Ale nie mogłem puścić ci płazem rujnowania naszej rodziny. Musiałem zrobić wszystko co niezbędne, żeby cię powstrzymać.

- Czy to musiało się łączyć z upokarzaniem mnie? Z bezustannym kwestionowaniem mojego autorytetu nawet w tym

domu? Nie, Danielu, nie sądzę. Myślę, że znajdowałeś w tym przyjemność, tak samo, jak znajdujesz ją w fabrykowaniu całej tej...

- Mam dowody. - Daniel zniżył głos. Słowa padały jak kamienie. - Wiesz o tym. I chyba już czas, by inni również się dowiedzieli. Mam dowody, mnóstwo dowodów, że twoje poczynania były w najlepszym razie w przestępczy sposób nieodpowiedzialne, a w najgorszym - złośliwie destrukcyjne. Każdy sędzia byłby usatysfakcjonowany tym, co mam do za demonstrowania. Pozbawiono by cię wszelkich wpływów, władzy i co najwyżej otrzymałabyś małą pensję i prawo za mieszkawania w tym domu aż do śmierci. Publiczne upokorzenie. Ale nie uczyniłem tego, prawda? Nie zaciągnąłem cię do sądu na oczach całego świata.

Nagle Amelia uspokoiła się. Uśmiechała się nawet, a w jej głosie pobrzmiwała zaduma, gdy odparła:

- I właśnie w tym miejscu popełniłeś błąd. Swój jedyny, naprawdę jedyny błąd.

- O? A na czym on polegał? - Daniel, równie rozważny i rozmowny jak ona, ze swobodą wypływającą ze starego nawyku powrócił niepostrzeżenie do ich uprzejmej gry.

- Nie wykorzystasteś tej swojej broni, swoich dowodów wtedy, gdy powinienieś to zrobić. Dzięki temu zyskałam czas. Myślałaś, że jak długo będę czekała, aż przetrwiesz swą gierkę i wniesiesz sprawę do sądu, żeby móc to wszystko przeprowadzić urzędowo? Nie dłużej, niż musiałam, rzecz jasna. Ale nie mogłam tak po prostu... się cię pozbyć. Chodziło o ten drobniak w postaci listu, który zostawiłeś na wypadek, gdyby coś ci się stało, oraz o dowody przeciw mnie. Był za tem tylko jeden sposób. Doprowadzić cię do ruiny.

Amelia wstała, jak zawsze wyprostowana, nie wspierając się na swej łasce ze srebrną galką.

- Miałam nadzieję, że tamtej nocy Peter jednak się spotkał z tym agentem. Zakładałam, że zabito go, żeby nie płacić. - Amelia była tak niewzruszona, jakby mówiła o pogodzie. - Wiedziałam też, że odkryłeś kradzież planów, ale byłam pewna, że po dostatecznie długim czasie pojawią się one na rynku - ze śladami twojego udziału w transakcji. A tymczasem musiałam jedynie... w dostatecznym stopniu rozpraszać twoją

uwagę, tak abyś nie koncentrował jej w pełni na poszukiwaniu projektów. Żebyś nie zdawał sobie sprawy, co próbuje zrobić, i nie pozwał mnie do sądu, zanim docekam się twojego upadku. Na szczęście nadarzyła się ku temu okazja. - Amelia błyskawicznie przeniosła spojrzenie na Laurę i uśmiechnęła się. - To było dość łatwe.

- Nie powiodło ci się - rzekł cicho Daniel.
- Nie mnie. Peterowi. - Starsza pani prychnęła cichym śmiechem, który przypominał szelest suchych liści na zimnym wietrze. - Mężczyźni zawsze sprawiali mi zawód.
- Począwszy od Davida?
- Nie. Począwszy od mojego ojca. Ale to długa historia, a ja czuję się bardzo zmęczona. - Uśmiechnęła się. - Być może opowiem ci jutro.

- Będę czekał z niecierpliwością. - Głos Daniela nadal był cichy i uprzejmy.

A ona nadal się uśmiechała, wychodząc powoli z pokoju. Zapanowała bardzo długa cisza. Potem Brent Landry poruszył się i po raz pierwszy od chwili nadejścia Madeline zwrócił do Daniela:

- Mógłbyś wnieść oskarżenie.

Daniel spoglądał na notes w swoich rękach.

- Nie mógłbym. Plany nie zostały sprzedane. Moja reputacja nie ucierpi. I nie ma dowodów wiążących Amelię z ich kradzieżą. Nie popełniła żadnego przestępstwa.
- Jeżeli zabiła swojego męża...
- Jeżeli chcesz prowadzić śledztwo w sprawie wypadku sprzed czterdziestu lat, to żyć będziesz powodzenia. Skoro wtedy nie było żadnych dowodów, liczysz, że pojawią się teraz?
- Mogła zabić Annę... - zaczął Landry.
- Och nie, ona tego nie zrobiła - wtrąciła Madeline z ożywieniem.

Daniel długo patrzył na swą matkę, po czym powoli wstał.

- Mamo...

Madeline musiała dostrzec coś w twarzy swojego syna, cofnęła się bowiem o krok i roześmiała nerwowo.

- Nie patrz tak na mnie. Przecież nie chciałam jej zabić. To nie było umyślne. Ale Anna stale mówiła o tym, że zna wszystkie tajemnice Petera. I stale wszystkim powtarzała, co

jej powiedział w zaufaniu. A potem, w ogrodzie... naigrawała się ze mnie. Powiedziała, że nie znamam wszystkich sekretów Petera, że on ukrywał przede mną różne rzeczy. Więc każałam jej się zamknąć i popchnęłam ją. A ona upadła.

Nigdy oczywiście bym nie zdradziła Petera przed wami, ale musiałam udowodnić, że Anna wcale nie знаła jego tajemnic. To ja je znałam. Wszystkie jego sekrety, wszystkie skrytki... - Madeline urwała i uśmiechnęła się.

Wyglądało na to, że Alex pierwszy wy dostał się z otchłani pełnego fascynacji przerażenia, które ogarnęło większość zebranych w salonie.

- To niedopuszczalne, Brent - powiedział. - Nie została poinformowana o przysługujących jej prawach.

- Nie była przesłuchiwana - mruknął porucznik.

Madeline spojrzała na nich, marszcząc brwi, jakby rozmawiała w obcym języku. Podciągnęła zsuwający się jej z ramienia sweter, chyba wreszcie zdała sobie sprawę z niedoskonałości własnego, zwykle nieskazitelnego, wyglądu i pokręciła głową, cmoknąwszy lekko.

- Już prawie pora na kolację, prawda? Powinam się przygotować...

Gdy Madeline wyszła chwiejnym krokiem z pokoju, Laura wstała, mówiąc: „Nie powinna chyba być sama” i ruszyła za nią.

- Pójdę z tobą - oświadczyła Josie.

Daniel spojrzął do notesu, który wciąż trzymał w ręce; jego usta tworzyły szramę na ponurej twarzy.

- Ona nie jest odpowiedzialna, Brent. To był wypadek.

- To dość oczywiste - przyznał Alex.

Porucznik zawałał się.

- Porozmawiam z prokuratorem okręgowym. Zważywszy na okoliczności, na to, że z powodu morderstwa Petera Madeline nadal jest pod wpływem środków uspokajających... być może dojdzie do wniosku, że oskarżenie nikomu nie przyniesie korzyści.

Daniel skinął głową.

- Dziękuję.

Brent wskazał głową notes.

- Będę musiał go przejrzeć. Peter mógł zostać zabity

przez kogoś, z kim miał się spotkać tamtego wieczoru. Jeżeli są w nim nazwiska...

Po chwili Daniel rzucił mu notes.

- Ale dyskretnie? Upublicznianie tego nie ma sensu, jeżeli nie musimy tego robić.

- Uczynie, co w mojej mocy. - Detektyw popatrzył na Daniela z dezaprobatą. - Chcesz powiedzieć, że nie masz zamiaru podejmować żadnych działań przeciw Amelii? Po tym wszystkim, co zrobiła, żeby cię zniszczyć?

Daniel wyprostował się i sięgnął po płowóżółtą kopertę leżącą na stoliku.

- Nie, to się musi skończyć - odparł z wciąż kamiennym wyrazem twarzy. - Gdyby Amelia nie była wciągnięta w sprawę firmy, nigdy by się nie dowiedziała o planach nowej konstrukcji. Nie mogę pozwolić, by nadal miała dostęp do tego rodzaju dokumentów, a dopóki nie pozabawię jej pełnomocnictw...

- Więc batalia sądowa? - zapytał Alex.

- Nie mam innego wyjścia.

Brent spojrzął po nich.

- I to wszystko? Jedyną karą dla niej ma być wyrzucenie z firmy?

- Nie słuchał pan? - powiedziała Kerry półgłosem. - To może być najgorsza kara, jak mogłaby ją spotkać.

- Ale ona przypuszczałnie zabiła męża - odparł porucznik. - I być może doprowadziła do sytuacji, w której zginął Peter. Odniosłem również wrażenie, że ciebie, Danielu, też spróbowałaby zabić, gdyby tylko mogło to jej ujść płazem. Chyba zastępuje na coś więcej niż publiczne upokorzenie?

Daniel spojrzął na Brenta i porucznik pomyślał, że w razie jego twarzy kryje się nieugiętość i pewność.

- Sprawiedliwości zawsze, w końcu, staje się zadość. Amelia będzie musiała stanąć przed sądem wyższej instancji.

Zapadło kolejne krótkie milczenie, po czym Kerry wstała i powiedziała do porucznika:

- Odprowadź pana.

Brent poszedł z nią, lecz zatrzymał się jeszcze przy drzwiach, by spojrzeć na Daniela.

- Sprowadzicie... dla niej pomoc?

- Dla której? - zapytał Alex półgłosem.

Lecz Daniel zdążył już skinąć głową.

- Sprowadzę.

Chwilę później usłyszeli, jak otwierają i zamykają się drzwi frontowe. Kerry nie wróciła do salonu.

Daniel otworzył kopertę i wyciągnął jej zawartość. Skrzywił się.

- Fotosy, pewnie z jednej z tych taśm, które znaleźliśmy. - Zaczął wsuwać z powrotem do koperty czarno-białe fotografie różnych nagich kobiet, robiących różne rzeczy z Peterem, ale zawałał się i popatrzył na Alexa. - Powiedziała: jedna ze skrytek Petera. Te zdjęcia były w jednej z jego skrytek.

Alex spojrzął na kuzyna, po czym jęknął.

- O cholera.

Daniel pokiwiał głową.

- Będziemy musieli porozmawiać z moją matką. Później, gdy będzie już do tego... zdolna. Dowiedzieć się, co Peter mógł jeszcze ukryć. - Westchnął ze znużeniem.

- Wspaniale. - Alex wstał. Jego twarz wyrażała obrzydzenie połączone ze zgrozą. - Co za dzień. Słuchaj, zamierzam zadzwonić do lekarza Madeline, jeżeli Josie jeszcze tego nie zrobiła. Ile mam mu powiedzieć?

- Tyle, ile trzeba. - Daniel wzruszył ramionami. - Tyle, ile musi wiedzieć, żeby jej pomóc.

Alex skinął głową, zawałał się przez chwilę, po czym rzekł:

- Wiesz, co w tym wszystkim jest dla mnie niewiarygodne?

- Co?

- To, że nadal nie wiemy, kto zabił Petera. Tak jakby jakaś zjawia przyszyła z ulicy, zabiła go i ulotniła się. W ciągu paru ostatnich tygodni wyszły na jaw wszystkie tajemnice, a my nadal nie mamy pojęcia, kto jest jego zabójcą. Ciekawe, czy kiedykolwiek się dowiemy.

Daniel także był tego ciekaw.

Dochodziła siódma, gdy Laura zapukała ostrożnie do drzwi mieszkania Daniela. Usłyszała jego głos i weszła, zastając go w fotelu przy wygasłym kominku.

- U Madeline jest lekarz - powiedział cicho, siadając na podnożku fotela. - Josie poleciała zanieść tacę z kolacją do pokoju Amelii i kaźala po prostu wystawić jedzenie na kredens. Kaźdy, kto chce, może się sam obsłużyć.

Daniel pokiwał powoli głową, nie odrywając oczu od twarzy Laury.

- Powinnaś coś zjeść.
- Pomyślałam, że poczekam na ciebie.
- Nie jestem głodny.

Po chwili wahania Laura przechyliła się i nakryła dłonią dłoń Daniela, spoczywającą nieruchomo na jego udzie.

- Pójdę sobie, jeżeli wolisz być sam.

Daniel chwycił mocno, niemal boleśnie jej dłoń.

- Nie. - Ledwie dostrzegalne drżenie zakłóciło granitowy bezruch jego twarzy. - Potrzebuję cię, kochanie.
- W takim razie zostanie. - Laura bez namysłu uniosła rękę Daniela i przyłożyła ją do swojego policzka.

Wydawało się, że Danielowi zaparło dech i na granicę pokazały się dalsze rysy. Jego oczy błyszczały jak srebro.

- Kochasz mnie, prawda? - zapytał niepewnie.

Może to dziwne, ale jego pytanie nie zaskoczyło Laury. Nie zaskoczyła jej też własna odpowiedź.

- Zawsze cię kochałam. Nawet zanim cię poznałam. Nie wiedziałeś o tym?

Daniel zamknął na chwilę oczy.

- Wiem tylko, od jak dawna kocham ciebie. Boże... całe wieki... - Wyciągnął do niej ręce i trzymając mocno, posadził ją sobie na kolanach.

Laura wtuliła się weń jeszcze mocniej, wchłaniając jego ciepło, starając się dać mu wszystko, czego od niej potrzebował. Ciało i duszę.

- Zostań ze mną - powiedział półgłosem, a granit rozpadł się na skorupy, efekt bólu i znużenia długotrwałymi i zakończonymi gorzkim zwycięstwem walkami. - Pozwól mi tulić cię przez chwilę.

Dla Laury jego ramiona były jedynym miejscem na ziemi, w którym pragnęła być. Deklarując półgłosem miłość, odwróciła twarz do pocałunku i jak zawsze jego początkowa deklarację przerodziła się w dojmująco natarczywą i niepo-

wstrzymaną pieśczętę. Wypaliła ona ból i uśmierzyła żal a gdy w końcu na oślep trafili do łóżka, stworzyła jeszcze jedną nić łączącą ich więzi.

Tego wieczora Laura przeniosła swoje rzeczy do sypialni Daniela.

Tego wieczora stało się jeszcze coś innego. Kładąc kres wielopokoleniowej tradycji gwałtownych śmierci, zmarła Amelia. Spokojnie. We śnie.

Rozdział 16

Jakiś tydzień później, w środę, w chłodne październikowe przedpołudnie Laura cofnęła się od sztalug, pokiwiała w roz-targnieniu głową i wrzuciła pędzel do puszki z terpentyną, stojącej na małym stole; znajdowały się tam farby i inne pędzle.

- Skończony?

Uśmiechając się, uniosła wzrok, by zobaczyć, jak Daniel wchodzi do oranżerii, gdzie pracowała.

- Skończony.

Stanął przy Laurze, obejmując ją w talii, i oboje oglądali portret Amelii, rozpoczęty przed jej śmiercią. Przedstawiał elegancką starszą panią w czarnej sukni z przełomu wieków, wyglądającej bardzo ceremonialnie na tle soczystej zieleni roślin i zwykłego wiklinowego fotela z oparciem w kształcie wachlarza. Jej bardzo ciemne oczy były tajemnicze, uśmiech zagadkowy, a zadarty podbródek świadczył o bezwzględnej interesowności.

- Uchwyciłaś jej charakter - zauważył Daniel. - Gratula cje, kochanie. Jesteś prawdziwą artystką.

Laura uśmiechnęła się do niego.

- Muszę przyznać, że czuję się dość pewnie - powiedzia-ła, gdy wracali razem do domu. - Skoro potrafiłam namalo-wać Amelię Kilbourne, to potrafię namalować każdego.

- Chyba powiesimy go w jej salonie. To dla niej idealne miejsce.

- Pewnie nawet ona by tak powiedziała - zgodziła się Laura.

Amelia mogłaby również ucieszyć się na wieść o tym, że

jej śmierć wywołała sensację. Ponieważ nastąpiła wkrótce po śmierci Anny i morderstwie Petera, spekulowano rzecz jasna o samobójstwie w najlepszym i zabójstwie w najgorszym ra-zie. Lecz sekcja zwłok wyraźnie dowiodła, że Amelia zmarła wskutek udaru. Nawet brukowce niewiele mogły zrobić z tym faktem, choć oczywiście próbowały.

Mimo to miniony tydzień był trudny dla wszystkich. Po pewnym namyśle i zapoznaniu się z opinią lekarza prokurator okręgowy postanowił nie oskarżać Madeline, tak więc śmierć Anny uznano oficjalnie za przypadkową. Co, oczywiście, sta-nowiło kolejną pozytywkę dla prasy brukowej. Majątek Anny był wprawdzie niewielki, ale okazało się, że Amelia, oprócz wszystkich prawnych powiązań z Kilbourne Data i innymi firmami rodzinnymi, miała znaczną fortunę osobistą; Daniel i Alex spędzali teraz długie godziny, brnąc przez wszystkie zawilgości prawne.

W gruncie rzeczy był to pierwszy dzień, w którym Laura i Daniel mogli się cieszyć ze spędzenia odrobiny czasu razem.

- A wy skończyliście? - zapytała teraz Laura.

- Zrobiliśmy w każdym razie wszystko, co mogliśmy dzia-siać zrobić w biurze. Uzyskanie urzędowego potwierdzenia testamentu Amelii potrwa wiele miesięcy, ale prawne przeka-zanie władzy w firmie dzięki przeznaczeniu Davida odbyło się dość gładko. - Daniel wzruszył ramionami. - Co do reszty, równie dobrze możemy to zrobić tutaj. Alex wciąż próbuje odnaleźć wszystkie kobiety, które Peter przypuszczalnie szantażował, i zwrócić im taśmy. Chce również porozmawiać z moją matką, teraz, gdy jest to możliwe. Musimy się upew-nić, czy odnaleźliśmy wszystko, co ukrył mój brat.

Laura wiedziała, że Daniel nie pali się do tego, ale zdawała sobie sprawę, że jest to konieczne. Zapytałaby Madeline o in-ne skrytki Petera oraz ich przypuszczalną zawartość już wczesniej, ale dotąd znajdowała się pod opieką nowego leka-rza, on zaś zgodził się na to dopiero wczoraj.

- Czy Alex jest teraz właśnie u niej?

Daniel potwierdził skinieniem głowy.

- Myślę, że po prostu chce już mieć sprawę Petera z gło-wy. Reszta jest wystarczająco wyczerpująca, by na dodatek

martwić się, czy są jeszcze jakies kobiety przerażone możliwością ujawnienia ich tajemnic.

Gdy zgodnie skręcili w stronę biblioteki, Laura objęła Daniela i powiedziała:

- Przynajmniej już niedługo będą mogły przestać się bać. Gdy wyjechaliście rano, Josie poszła posiedzieć z Madeline. Twojej matce chyba najłatwiej jest rozmawiać właśnie z nią, więc na pewno ona i Alex zdołają się dowiedzieć, co jeszcze może być ukryte.

W kominku biblioteki płonął ogień, a kotary zostały rozsunięte, żeby wpuścić słabe światło październikowego słońca, toteż biblioteka wyglądała znacznie przytulniej niż kiedyś. Daniel usiadł na długiej skórzanej sofie i posadził sobie Laurę na kolanach, uśmiechając się do niej.

- Czy podziękowałem ci już za troskę, jaką okazałaś mojej matce w tych ostatnich dniach? Wierz mi, jestem ci bardzo wdzięczny.

Laura pokręciła lekko głową.

- Nie tylko ja troszczyłam się o nią. Nie umawialiśmy się wprawdzie z Josie i Kerry, ale możemy dotrzymywać jej towarzystwa i dopilnować, by dobrze się czuła. Ten nowy lek, który zaaplikował jej lekarz, wydaje się pomagać. Madeline jest spokojna, ale nie tak oszołomiona jak poprzednio. Sądzę, że dojdzie do siebie. Naprawdę.

Daniel skinął lekko głową, ale odparł:

- Wciąż mamy przed sobą sporo problemów, z moją matką i z całą resztą. Chyba wiesz o tym?

- Wiem. Ale pokonamy je.

Daniel dotknął delikatnie jej twarzy i spojrzał niespokojnymi oczami.

- Bez ciebie, Kochanie, chyba bym nie zniósł tego wszystkiego. Szczególnie ostatnich dni. Świadomość, że będziesz na mnie czekała, gdy wrócę do domu, że będziesz obok mnie spała, całkowicie zmieniła sytuację. Tak bardzo cię Kocham.

Uśmiechając się, Laura otarła się policzkiem o jego dłoń.

- Ja też cię Kocham.

Daniel zawahał się, po czym rzekł:

- Wiem, że miałas niewiele okazji, by zebrać myśli, i że powinienem dać ci trochę czasu. Nie mam jednak również

cienia wątpliwości, że pragnę spędzić z tobą resztę życia. Po-wiedz, że wyjdiesz za mnie, Lauro. Proszę.

Laura przez chwilę patrzyła badawczo na Daniela.

- Mówisz to z takim przekonaniem - powiedziała półgłosem.

Daniel przytaknął; rysy jego twarzy stężały.

- Bo jestem o tym przekonany. Wiedziałem, że pasujemy do siebie, już tamtego pierwszego dnia, gdy wszedłem do biblioteki i ujrzałem cię tu. Ty tego nie wiedziałas? Nie czułaś tego?

Laura skinęła powoli głową, nadal nieco ostrożna, a może nawet przerażona czymś tak potężnym, co tak nagle i niespodziewanie zawiadnęło jej życiem.

- Czuję cię. Nie rozumiałam, co to jest, ale... Wiem, że cię Kocham, Danielu. I wiem, że Kochałam cię wtedy.

Daniel ujął twarz Laury w lekko drżące dłonie.

- Nie będę cię ponaglać, Kochanie, ale muszę wiedzieć, że w końcu staniemy przed ołtarzem. Powiedz, że za mnie wyjdiesz.

Laura była po części świadoma, że mają jeszcze do omówienia pewne sprawy i potrzebują trochę więcej czasu, żeby być ze sobą, wiedziała jednak również, z taką samą pewnością, jak on, że tak być powinno.

- Tak. - Gdy Daniel przyciągnął ją bliżej i pocałował, objęła go za szyję i bardziej czuła, niż słyszała, że znowu wyraża półgłosem zgodę, jakby trzeba ją było powtórzyć.

Gdy parę minut później Alex wszedł do biblioteki, Laura nadal siedziała na kolanach Daniela przytulona do jego piersi, z twarzą przy jego twarzy.

- Przepraszam - powiedział raczej obojętnie niż przeprasza-jąc, zupełnie nie zażenowany; odkład podobnie jak oni nie krył się ze swoim romanssem, sceny takie jak ta, którą właśnie przerwał, były w ostatnim tygodniu dość zwyczajne.

Laura zmusiła się do tego, by usiąść obok Daniela, i spoj-rzała na duże tekturowe pudło, które Alex stawiał przed nimi na stoliku.

- Co to jest?

Alex usiadł na drugiej sofie.

- No cóż, według Madeline Peter poprosił ją, by przecho-

wała to dla niego. Trzymała to w garderobie. Twierdzi, że wkładała tam od czasu do czasu różne rzeczy, ale ona nigdy nie zaglądała do środka, bo była to jedna z jego skrytek. - Alex skrzywił się nieco i popatrzył na kuzyna. - Tak czy owak pomyślałem, że powinienem na to spojrzeć i sprawdzić, czy moje domysły są słuszne.

Zmarszczywszy nieznacznie brwi, Daniel pochylił się i otworzył pudło. W środku ujrzał prawdziwą płatannę różnych przedmiotów i części garderoby. Były tam bardzo zwyczajne rzeczy: wyszywana zakładka do książek, małe nerkowce, celanowy zegar i świeca zapachowa. Lecz razem z nimi w pudle znajdowało się kilka sztuk biżuterii, takich jak złota bransoleta i zegarek damski. A także mały składany wachlarz, małe nerkowce, prawie pusta buteleczka drogich perfum, jedwabny szal, irchowa rękawiczka oraz jaskrawo-różowe damskie majtki.

- Właśnie te majtki naprowadziły mnie na trop - powiedział Alex.

- Chryste, sądziłem, że zrezygnował z tego w college'u - mruknął Daniel.

- Z czego? - zapytała Laura.

Daniel westchnął.

- To są trofea, kochanie. Gdy Peter był w szkole średniej, zaczął... kolekcjonować rzeczy osobiste wszystkich dziewczyn, z którymi uprawiał seks. Właściwie to je kradł. Twierdził, że one nie wiedzą i że na tym polega zabawa. Kiedy to odkryłem, powiedziałem mu, że to obraźliwe i obrzydliwe, a on obiecał z tym skończyć. Myślałem, że to zrobił.

- To mogą być stare rzeczy - zauważył Alex. - Madeline powiedziała jednak, że od czasu do czasu wkładał tam coś nowego. Jeżeli to prawda...

Laura zajrzała do pudła, bliska mdłości i zarazem ciekawa. Przez chwilę widziała tylko płatannę przedmiotów i kolorów, jaskrawych i błyszczących rzeczy, jakie mógłby zbierać mały chłopiec. Widok szala w pierwszym momencie jedynie ją zaintrygował, wzbudził niejasne wrażenie, że gdzieś go już widziała. Sięgnęła więc do pudła, sprawdzając fakturę jedwabiu i pilnie przypatrując się kolorom. Potem opuszką palca musnęła nici haftu i spojrzała na staranny monogram.

Świadomość świtała w jej umyśle powoli, fakt po fakcie jawił się z przynębiającą jasnością. Możliwości i szanse układały się w równy ciąg. Dwoje ludzi, którzy działali w sposób całkowicie dla nich typowy.

Przez cały czas miała to przed oczami.

- O mój Boże - szepnęła. Daniel

położył dłoń na jej udzie.

- O co chodzi, Lauro? Co się stało?

Zaskoczona i nieszcześliwa, odwróciła głowę, by na niego spojrzeć, licząc na to, że się myli, a zarazem bojąc się, że ma rację.

- Chyba wiem, kto zabił Petera.

Rozpoznawszy pismo Deny, Laura zaczęła otwierać płowozółtą kopertę, która czekała na nią u portiera w jej budynku, ale doszła do wniosku, że to nie jest takie pilne. W środku z pewnością znajdowała się ostatnia część historii lusterka; w ubiegłym tygodniu tyle się wydarzyło, że omal nie zapomnieli, iż młoda badaczka wciąż pracuje nad zrekonstruowaniem wędrówki zwierciadła do domu Kilbourne'ów. Koperta była pękata i Laura sądziła, że jest w niej jakaś mała książka, ale mimo to oparła się chęci zajrzenia do środka i zostawiła przesyłkę na blacie.

Gdy zadzwieczał dzwonek, podeszła do drzwi. Cassidy wkroczyła do jej mieszkania z nieco oschłym:

- Teraz naprawdę mogę powiedzieć „Witaj nieznanjoma”.

Czy zdajesz sobie sprawę, że od naszej ostatniej rozmowy minął ponad tydzień?

- Wybacz, Cass. Sporo się wydarzyło.

- Nie żartuj - mruknęła w odpowiedzi Cassidy. - Czytam gazety. Znowu jesteś tu tylko przejazdem?

- Mniej więcej. - Laura nałata przyjaciółce filiżankę herbaty i gdy Cass usiadła, przesunęła ją po blacie. Potem obójnym ruchem sięgnęła do kieszeni džinsów i wyciągnęła ziołony prostokąt barwnego jedwabiu. - Po pierwsze, chciałam ci to oddać.

- Hej, gdzie to znalazłaś? Chryste, a tak się bałam, że zgubiłam mój prezent urodzinowy od ciebie! Gdzie on się podziewał?

Laura westchnęła, zmieszana i nieszcześliwa, gdyż do tej chwili ludzila się jeszcze nadzieją, że jest w błędzie.

- W pudle z erotycznymi trofeami Petera Kilbourne'a.

Cassidy spoglądała w milczeniu na szal. Pobladała i przez pewien czas siedziała nieruchomo.

- Mogłam się domyślić, że ten drań wyrzyna karby na swoim łóżku.

- Poznałaś go w banku, prawda? W banku, w którym jego rodzina prowadziła interesy. - *Przez cały czas przed moimi oczyma... związek, którego nie dostrzegłam.*

Cassidy skinęła powoli głową, wciąż patrząc na szal.

- Przychodził od czasu do czasu, najczęściej w sprawach swojej babki. Początkowo tylko flirtował. Potem, mniej więcej poł roku temu, umówił się ze mną na randkę.

- A ty... zadurzyłaś się w nim?

- Jak nastolatka. - Cassidy uśmiechnęła się ponuro i wreszcie spojrzała na przyjaciółkę. - Po raz pierwszy kochałam... ciałem i duszą. Nigdy wcześniej nie czułam się tak. Tak... pochłonięta drugą osobą.

Laura pokręciła głową, oszołomiona.

- Nie wspominałaś mi o tym ani słowem. Nigdy nie zdradziłaś, że w twoim życiu jest ktoś nowy, ktoś ważny dla ciebie. Dlaczego?

- Bo wiedziałam, że tego nie zaaprobujesz. On był przecież żonaty. I dlatego, że... posiadanie tajemniczego kochanka było takie podniecające.

- Czy właśnie dlatego nigdy nie widywałam go tutaj? Bo to musiało być tajemnicą?

Cassidy pokręciła głową.

- Och, Peter wolałby moje wygodne łóżko od hotelowego. Lubił komfort. Ale się nie zgodziłam. Chyba... myślałam, że dopóki nie będę z nim sypiać we własnym łóżku, mogę udawać, że to, co w tym związku najgorsze, nie jest rzeczywiste. Że nie sypiam z żonatym mężczyzną... który nie ma najmniejszego zamiaru rozwieść się z żoną. - Przez twarz Cassidy przemknął cień wymuszonego uśmiechu. - Czyż to nie wspaniale, jak potrafimy przekonać samych siebie do rzeczy, o których wiemy, że są dla nas złe?

- Co się stało?

- A jak myślisz? - Śmiech Cassidy był przytłumiony. - Oczywiście znudziłam mu się. Tak samo jak znudziły mu się wszystkie inne kobiety, które spotykał na swej drodze. Ja rozczulałam się nad nim, Ignęłam do niego i snułam wspaniałe plany na przyszłość, której nigdy miało nie być, a on już się przystawiał do kolejnego kociaka. Swojej kuzynki. Swojej własnej kuzynki. O ile go znam, na pewno sądził, że owoc za kazany będzie lepiej smakował. A w dodatku czegoś takiego jeszcze nie robił. Była to dla niego nowość.

Laura mimo bólu, jaki czuła, zmusiła się do zachowania spokoju.

- Jak się dowiedziałas o Annie?

- To był dzień aukcji. Nie widziałam Petera od ponad tygodnia i doprowadzało mnie to do rozpacz. Właśnie dlatego namówiłam cię, byśmy tam pojechały. Chyba wiedziałam, że stara się mnie olać, ale nie chciałam w to uwierzyć. Nie mogłam. Po prostu wydawało mi się, że skoro tak bardzo go kocham, on też musi mnie kochać.

To melancholijne wyznaczenie sprawiło, że Laurze głos uwiązł w gardle, ale jakoś zdołała nad sobą zapanować i jej pytania zabrzmiały obojętnie.

- Widziałaś go na aukcji? Gdy się rozdzieliliśmy?

- Tak. Minęłam strażników i zakradłam się na tyły domu, sądząc, że może zdołam trafić do środka. Albo przynajmniej zobaczę go przez okno. - Uśmiech Cass pojawił się na tak krótko, że był tylko przypomnieniem jej autoironicznego usposobienia. - Do tego stopnia byłam zakochana. W każdym razie rzeczywiście go zobaczyłam. Był w oranżerii. Oni... po prostu obłąpił ją.

- To dlatego później byłaś taka zła. Nie chodziło o utratę tego stolika, ale o to, co zobaczyłaś.

Cassidy wzruszyła ramionami.

- Aż dziw, że nie uszło to twojej uwagi. Myślałaś tylko o tym lusterku.

- Powiedziałaś mi prawdę, gdybym zapytała?

- Nie, chyba nie. Zapadło

krótkie milczenie.

- Co się wydarzyło tamtej nocy?

Wydawało się, że piękna blondynka jest myślami wiele mil

stąd - albo w odległej przeszłości. Gdy odpowiedziała, jej głos był niemal roztargniony.

- Słyszałam, jak Anna mówi coś o spotkaniu w motelu, i uświadomiłam sobie, że są kochankami. Peter spał ze mną zaledwie przed tygodniem, ale tej nocy miał zamiar się przebrać ze swoją kuzynką, i nie byłaby to ich pierwsza schadzka.

- Co zrobiłaś?

Cassidy poruszyła się i spojrzała na Laure.

- Pojechałam tam, oczywiście. Miałam być na przyjęciu z tym facetem, z którym widziałam się parę razy, tak dla mydlenia oczu. Łatwo było się jednak stamtąd wymknąć niepostrzeżenie, bo do tego czasu prawie wszyscy mieli już w zębie.

- Ty też?

- Nie. Powiedziałam mojemu partnerowi, że będę prowadziła, dlatego mógł pić do woli. Miałam kluczyki, więc wzięłam jego samochód. Motel znajdował się na drugim końcu miasta. Gdy tam dotarłam, było po jedenastej.

Laura zamknęła na chwilę oczy, po czym zapytała cichym głosem:

- Miałas zamiar go zabić?

Błękitne oczy Cassidy były bardzo bystre, a na ustach błąkał się błady uśmiech.

- Wiem, że chcesz, bym zaprzeczyła, ale prawdę powie działwszy, myślałam o tym. I to bardzo spokojnie. Ukradłam nawet gospodarzom przyjęcia nóż rzeźniczy i schowałam go do torebki. Na wszelki wypadek. Ale nie musiało do tego dojść. Gdyby tylko Peter... - Pokręciła głową. - Ale nie zrobił tego.

Laura usiłowała zebrać się w sobie, zmuszając umysł do rozważenia sceny, którą tylekroć tak żywo wyczarowywała w wyobraźni.

- Co się stało, Cass?

- Anna właśnie wychodziła - odparła powoli Cassidy, marszcząc brwi, jakby miała trudności z pamięcią. - Zaparkowałam trochę dalej i widziałam wyraźnie drzwi ich pokoju. Peter stanął w progu, żeby się z nią pożegnać. Nie był ubrany. Wiedziałam, że zaraz weźmie prysznic. Znałam go. Posiedziałam chwilę w samochodzie, dopóki nie zobaczyłam, jak

jego cień przesuwa się po żaluzjach. Ubierał się. I wtedy poszedłam do drzwi, zapukałam, a on wpuścił mnie do środka.

- Nie był zaskoczony?

- Owszem, był. Ale Peter zawsze sądził, że dzięki swemu urokowi potrafi wywinąć się z każdej sytuacji. Chyba nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo byłam wściekła.

Laura przełknęła ślinę.

- Chyba nie.

Cassidy spojrzała na przyjaciółkę i zmarszczyła na jej czole się pogłębiły.

- Nie pamiętam, kiedy to zrobiłam. Pamiętam, że najpierw rozmawialiśmy, ale nie jestem pewna o czym. Oprócz tego, że powiedziałam mu, że go kocham, że wybaczę mu romans z Anną, że chcę tylko, by mnie kochał. Mogłabym paść przed nim na kolana. Błagałabym go. Ale... on śmiał się tak serdecznie, że aż musiał usiąść na łóżku. I chyba właśnie wtedy to zrobiłam. Gdy śmiał się ze mnie, z mojej miłości. Bo kiedy znowu uświadomiłam sobie, że na niego patrzę, już nie żył.

Laura musiała przywołać całą swą zdolność panowania nad sobą, żeby powiedzieć:

- Musiałaś być cała zakrwawiona.

- Nie, niezupełnie - odparła Cassidy, kręcąc głową. - Było trochę krwi, ale nie za dużo. No i miałam na sobie czarne spodnie oraz czarną jedwabną bluzkę. Wzięłam z łazienki ręcznik, żeby owinać nim nóż, i wilgotną myjkę. Prawie całą krew z rąk i... z twarzy zmyłam w samochodzie. Potem zatrzymałam się przed samoobsługowym sklepem spożywczym i jeszcze raz umyłam się w toalecie.

- Co zrobiłaś z nożem?

- Tamtej nocy przejeżdżałam obok naszego parkingu, więc zamknęłam go w bagażniku mojego samochodu. Żeby mój partner go nie zobaczył. Później wyrzuciłam do pojemnika na śmieci na drugim końcu miasta. - Cassidy wzruszyła ramionami. - W każdym razie wróciłam na przyjęcie. Nawet nie zauważyli, że mnie nie było.

- Mój Boże, Cass - powiedziała Laura równie bezradnie, jak się czuła. - To... tego nigdy nie było po tobie widać. Ani

przez chwilę nie sprawiałaś wrażenia odmienionej, przynajmniej ja tego nie zauważyłam.

- Zawsze mówiłaś, że jestem dobra w kontrolowaniu własnych myśli. Pewnie to prawda. - Cassidy najpierw wyprostowała, a potem zgarbiła w rozciągnięciu ramiona. - No cóż, oto moja plugawa opowieść. Nagrataś ją? Moją spowiedź?

- Nie - rozległ się cicho jakiś głos. - Ale ja nagratem.

Cassidy odwróciła się na stołku barowym i spojrzała w stronę korytarza prowadzącego do sypialni Laury. Wychodziłi zeń dwaj mężczyźni. Obaj byli wysocy; ten z przodu był nieco niższy i szczuplejszy, miał ciemne włosy i piękne jastrzębie rysy. Cassidy widziała go w wiadomościach telewizyjnych.

- Porucznik Landry - zauważyła. Potem spojrzała na stojącego za nim potężnego mężczyznę o nieregularnych rysach i dodała: - A ty jesteś Daniel. Przypuszczam, że pobierzecie się z Laurą?

Daniel potwierdził skinieniem głowy; gdy na nią spojrzał, w jego oczach było głównie współczucie.

- Owszem.

- I odtąd żyli długo i szczęśliwie. - Cassidy ześliznęła się ze stołka. Uśmiechała się. - Takiego zakończenia pragnęłam dla siebie. Sądziłam, że na nie zasługuję. Obiecywali je nam w dzieciństwie. Ale chyba nigdy nie słyszeli o Peterze Kilbournie.

- Przykro mi - rzekł Daniel.

Cassidy popatrzyła na niego, nieco zaskoczona, po czym pokiwała głową.

- Widzę. Prawdę mówiąc, mnie również jest przykro. Ale żadne z nas nie potrafi cofnąć czasu, prawda?

- Nie. Żadne z nas nie potrafi tego uczynić.

Przeniosła wzrok na Landry'ego i powiedziała:

- Więc?

Porucznik skinął bardzo nieznacznie głową.

- Cassidy Burke, aresztuję panią pod zarzutem zabójstwa Petera Kilbourn'a. Ma pani prawo milczeć...

Laura nie słuchała reszty formuły i nie przyglądała się, jak

Brent wyprowadza jej przyjaciółkę. Obeszła bar, wtuliła się w dodające otuchy, kochające ramiona Daniela i wybuchnęła płaczem.

O płożoźłej kopercie przypomniawszy sobie dopiero w piątkowe popołudnie. Przywiozła ją do domu Kilbournów właściwie machinalnie i wrzuciła do szuflady na stertę swojej bielizny. I dopiero dzisiaj o niej znowu pomyślała.

Oprócz Laury w dużym domu była tylko kucharka i dwie pokojówki, zajęte sprzątaniami parteru. Daniel był w swoim biurze, a Alex w swoim; Josie zawiozła Madeline na wizytę u lekarza, Kerry zaś wzięła książkę i poszła do labiryntu, żeby nacieszyć się jednym z ostatnich chyba tej jesieni ciepłych dni.

Laura spodziewała się, że co najmniej przez parę godzin będzie sama, i wydawało się, że to dobra pora na lekturę reszty raportu Deny i poznanie dalszej części dziejów zwierciadła. Tylko one jeszcze były znakiem zapytania, tylko one pozostawały nierozwiązaną zagadką i Laura pomyślała, że pewnie dlatego nadal odczuwa minimalny niepokój. Nadeszła pora, by się tym zająć.

Zabrała filizankę gorącej herbaty na górę i weszła do jego - ich - sypialni. W dużym fotelu mogła zwinąć się wygodnie w kłębek i czytać. Otworzyła kopertę i wyrzuciła jej zawartość na podnożek. Ujrzała kilka zapisanych na maszynie kartek, spiętych spinaczem, dość małą oprawną w skórkę książkę ściągniętą gumką oraz parę słów zanotowanych drobny pismem Deny.

Najpierw przeczytaj raport.

Zaintrygowana zostawiła książeczkę i oparła się wygodnie w fotelu, żeby przeczytać raport. Zaczynał się od krótkiej dygresji Deny, przypomnienia, że skończyły na śmierci Bretta i Shelby Galwinów. Potem biegł już wartko.

W 1952 roku niejaki Mark Coleman, lat dwadzieścia trzy, kupił stare srebrne lusterko w sklepie z przedmiotami używanymi niedaleko San Francisco. Ekspedient powiedział mu, że skoro interesują go lustra, to chyba powinien wziąć udział w aukcji kościelnej, odbywającej się nieopodal w następną sobotę. Kościół sprzedawał

przedmioty подарowane mu przez zarządcę majątku Andrew Galvina (syna Bretta i Shelby Galwinów, który z powodzeniem zajmował się przewozami morskimi i zmarł jako kawaler w wieku pięćdziesięciu lat, po prostu utonął). Mark poszedł na aukcję, gdzie kupił mo- sieżne lusterko.

Tam też spotkał Catherine Archard. Miała osiemnaście lat, gdy się poznali, i była bardzo religijna. Miała również opinię osoby dość delikatnej zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Zaloty Marka były najwyraźniej niespieszne i subtelne; listy Catherine do przyjaciółek są przepięknie szczęśliwe. Kochała Mar- ka niemal tak jak swego Boga.

Zareczyli się po półtorarocznej znajomości, po czym w wigilię Bożego Narodzenia 1954 roku, zaledwie parę tygodni przed ślubem, najwyraźniej doszło między nimi do jakiegoś nieporozumienia, którego istoty Mark nigdy nikomu nie wyjawiał. Catherine wsiadła do swojego sa- mochodu i wyruszyła w drogę w ulewnym deszczu. On pojechał za nią. Catherine, która nie czuła się pewnie za kierownicą, straciła panowanie nad samochodem i zje- chała ze skarp. Auto stanęło w płomieniach, zanim Mark zdolał do niego dotrzeć. Tyle tylko zdołałam znaleźć na temat wypadku. Mark Coleman był najwidoczniej zdruzgotany utratą narzeczonej. Niektórzy z jego przyjaciół twierdzą, że dziesięć lat później, gdy zginął w katastrofie samolotowej, wciąż nad nią bolał.

Cały swój majątek ze zwierciadłem włącznie zapisał na cele dobroczynne. Handlarz antykami z San Francisco kupił je razem z różnymi innymi przedmiotami. Luster- ko umieścił ponoć w swoim sklepie - nie ma dowodu, że zostało sprzedane. Handlarz zlikwidował firmę na początku lat siedemdziesiątych; jego towar został upłyniony. Nie natrafiłam jednak na żadną wzmiankę o zwierciadle. Tutaj, gdzieś między 1964 i 1974 rokiem, trop się urywa.

Postscriptum. Nie potrafię wyjaśnić treści dziennika załączonego do raportu. Może Tobie się uda. Gdy skon-

takowałam się ze znajomą w kalifornijskim archiwum w sprawie wycinków gazet i innych informacji do- tyczących Catherine Archard i Marka Colemana, zna- lazła dla mnie kilka listów Catherine (kopie w załączeni- ku). A potem, nazajutrz, wertowała książki w składzie ze starzyzną i znalazła ten dziennik. Uznała to za nie- wiarygodny zbieg okoliczności i natychmiast wysłała mi go Federal Expressem. Przeczytawszy dziennik, nie jestem pewna, czy zbieg okoliczności rzeczywiście miał z tym coś wspólnego. Będziesz mi musiała dać znać, co o tym sądzisz. Przeczytaj go w całości, gdy znajdziesz na to czas. Przede wszystkim jednak chcę, byś przeczy- tała ostatni zapis. Boję się wręcz wyciągnąć własne wnioski... ale gdy się nad tym zastanowić, wyjaśnia to dzieje lusterka. Porozmawiajmy o tym.

Laura pokręciła głową, zbita z tropu i dziwnie niespokojna. Najpierw przeczytała kopie listów Catherine, studiując dzie- cinne pismo, pełne zawiąsów, i przemiłe opinie - głównie o Marku, choć było też trochę o jej Kościele i Bogu.

Odkładając kartki na podnózek, podniosła dziennik i zdjęła przytrzymujące go gumki. Przerzucała pospiesznie kartki, nie czytając, zwracała jednak uwagę na mocny i wyraźny charak- ter pisma, tak staranny, że przypominał druk. Odnalazła ostat- ni zapis, z datą 23 października 1952 roku, rozpoczynający się bez żadnych wstępów.

Gdy ekspedient powiedział mi, że zarządca majątku Andrew Galvina ofiarował różne rzeczy na aukcję na cele dobroczynne, ledwie mogłem w to uwierzyć. Zaw- sze trochę trudno mi było sobie to wyobrazić - śmierć potomka z poprzedniego życia - ale oto po raz pierwszy postawiono mnie wobec tego przygnębiającego faktu. Mój Boże, mogłem pojechać do San Francisco i spotkać Andrew, syna z mojego ostatniego życia! Mogłem go poznać jako dorosłego człowieka, mężczyznę starszego ode mnie. Dziwne. I niepokojące. Jak tylekroć przed- tem, tak i teraz czuję prowadzącą mnie dłoń, może rękę przeznaczenia, śmierć jego pozwoliła mi bowiem odna-

leżać lusterko. Oraz ją. Tym razem ma na imię Catherine. Jest bardzo młoda, zaledwie osiemnastoletnia. Bardzo delikatna i poważna. I bardzo pobożna. Będę musiał zachować cierpliwość.

Laura długo siedziała bez ruchu, wpatrzona w przestrzęń. Myśli przewalały się przez jej umysł tak szybko, że ledwie mogła je zrozumieć. Wszystkie niewytłumaczalne uczucia i zdarzenia w jej życiu zaczęły się ogniskować, w końcu nabierać sensu - gdyby oczywiście pogodziła się z realnością jednej bardzo prostej niemożliwej rzeczy.

Boże święty, jakże mogłaby się z tym pogodzić?

Kiedy Daniel wszedł do sypialni, zbliżała się piąta. Ujrzawszy papiery rozłożone na podnóżku fotela i dziennik, zmartwiał. Rozejrzał się szybko, zobaczył Laurę stojącą przy oknie i poczuł tak ogromną ulgę, że omal nie jęknął. Podszedł do fotela i położył dłoń na jego oparciu, patrząc z odległości paru dzielących ich stóp z tak wielką nadzieją i lękiem, że czuł się nagi.

- Lauro?

Nie odwróciła się, a gdy się odezwała, w jej głosie po-brzmiewały nuty roztrągnięcia.

- Wspominałeś, że David dostał pomysł na labirynt od ja kiegoś obcego człowieka w barze. Opowiedz mi o tym.

Daniel wiedział, że nie może dłużej kręcić. Koniec z kłam-stwami, koniec z unikami. Teraz mogli sobie mówić tylko całkowitą prawdę.

Odetchnął głęboko i zapanował nad swoim głosem.

- W 1955 roku David przebywał w San Francisco w inte-resach. W barze hotelowym poznał zasmuconego młodzień-ca, który rok wcześniej pochwalił swoją narzeczoną. Leżało przed nim lusterko z mosiądzu. Lusterko ze skomplikowa-nym, przypominającym labirynt wzorem, wytłoczonym w metalu. Młody człowiek wypił za dużo, alkohol rozwiązał mu język. Powiedział Davidowi, że wzór wytłoczony na zwierciadle zwany jest Wiecznością, że zostało ono specjal-nie zamówione dla uczczenia... wiecznej miłości. David wo-dził palcem po wytłoczeniu, a w tym czasie młodzieniec opo-

wiedział mu fantastyczną historię o kochankach, przycho-dzących na świat w kolejnych wcieleciach. Rozmawiali aż do świtu, po czym tamten zabrał lustro i wyszedł. Jego opowieść nie dawała Davidowi spokoju. Kiedy wrócił do domu, zaczął zbudować labirynt. Jak widzisz, bardzo dobrze zapamiętał wzór.

- Widać go wyraźnie tylko z tego okna - zauważyła pół-głosem Laura. - To był pokój Davida, prawda?

- Tak.

Laura odwróciła się w końcu, opierając o ościeżnicę. Twarz miała bladą, lecz spokojną. Daniel nie potrafił odgad-nać wyrazu jej oczu.

- Lauro...

- Ten zasmucony młodzieniec w barze to ty, prawda? To byłeś ty. Dziesięć lat przed narodzinami Daniela Kilbourne'a.

Daniel potwierdził powolnym skiniem głowy.

- To prawda. Inna twarz, inny czas. Ale to rzeczywiście byłem ja.

- I smuciłeś się... z mojego powodu.

Znowu skinął głową.

- Popeniłem błąd. Zbyt szybko powiedziałem ci o nas. Twoja wiara była zbyt bezwzględna, byś mogła dopuścić taką możliwość, nawet jeżeli usłyszałaś o niej z ust mężczyzny, którego kochałaś. Byłaś... oszalała. Przerazona. Uciekłaś ode mnie. I zginęłaś tamtej nocy. - Próbował uspokoić głos. - A ja żyłem dalej, dziesięć długich jak wieczność lat bez ciebie. Przysiągłem sobie, że drugi raz nie popełnię takiego błędu. Nie chciałem mówić ci prawdy, dopóki nie nabrałem pewności, że jesteś gotowa ją usłyszeć.

- I dlatego nie chciałeś rozmawiać o lusterku.

- Zgadza się.

Laura milczała przez chwilę, po czym powiedziała pół-głosem:

- Nigdy nie lubiłam świąt Bożego Narodzenia. Teraz wiem dlaczego.

Daniel zrobił krok w jej stronę, ale zatrzymał się, gdy Lau-ra ostrzegawczo uniosła rękę. Chciała zachować między nimi dystans. Przynajmniej na razie. *Boże, błagam, niech to nie będzie na dłużej...*

- Nie pamiętam - powiedziała. - Czuję... wszystko, ale nie pamiętam.

- Wiem. Zawsze tak było, że nie pamiętałaś mnie ani nas. To jeden z krzyży, które musiałem dźwigać.

- Ale ty pamiętasz? Co konkretnie?

- Na początku, w dzieciństwie, są tylko przeblyski, sny. Z wiekiem wspomnienia powoli nabierają wyrazistości. Gdy osiągam dojrzałość, poznaję prawdę. I zaczynam cię szukać.

- Ale co dokładnie pamiętasz? - zapytała, nagle spięta, Laura.

Daniel odetchnął głęboko.

- Pamiętam pierwszy raz, gdy cię ujrzałem, dawno, bardzo dawno temu. Pamiętam wszystkie twoje oblicza, jeszcze wyraźniej, niż pamiętam moje własne. Pamiętam czasy, gdy żyliśmy krótko. Pamiętam nasze tragedie i nasze triumfy. Pamiętam wszystkie miejsca, w których mieszkaliśmy, i wszystkie nasze domy,

- Szkocja - usłyszała sobie nagle Laura. - Mój obraz.

Daniel potwierdził skinięciem głowy.

- Byliśmy tam szczęśliwi.

Spojrzała na niego badawczo.

- Bywało inaczej?

Zawahał się.

- Nie zawsze było nam łatwo. Czasami odnajdywałem cię, gdy już obiecano twoją rękę innemu mężczyźnie. Niekie dy w nasze życie wdzierata się przemoc. Zawsze jednak wie dzieliśmy, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Laura nadal badała wzrokiem jego twarz i Daniel nie wie dział, czy patrzy na niego ze zdumieniem, czy z powątpie waniem.

- Czemu nie mogę obciąć włosów? - zapytała nagle.

- Z uwagi na pewne zdarzenie z odległej przeszłości - od parł Daniel. - Mieszkałaś w małej wiosce i gdy znalazłem cię wtedy, byłaś już mężatką. Było to małżeństwo, do którego zmusił cię - a właściwie sprzedał - ojciec. W dodatku bardzo nieszcześliwe, zanim jeszcze się pojawiłem. Nie miałaś wyjścia, nie w tamtych czasach, ale musieliśmy być razem. Podję liśmy... szalone ryzyko. - Przerwał, a potem z trudem ciągnął dalej. - Kiedy twój mąż dowiedział się o nas, zbił cię straszli-

wie i ogolił ci głowę. Miał to być symbol hańby, coś w rodzaju szkarłatnej litery oznajmiającej, że jesteś cudzołożnicą. Ty nie wstydzilaś się miłości do mnie, ale twój mąż, obcinając ci włosy, zranił cię o wiele głębiej niż za pomocą pięści i obelg. Przysięgłaś, że już nigdy nikt nie obetnie ci ich wbrew twojej woli. I w każdym późniejszym wcieleniu nosiłaś długie włosy.

- A co się z nami stało w tamtym życiu?

- Zabiełem twego męża i uciekliśmy razem - odparł rzeczowym tonem, który zawdzięczał życiu pełnemu refleksji. - Żyło nam się ciężko, ale mieliśmy siebie. To zawsze pozwalało nam przetrwać.

Laura pokręciła nieznacznie głową.

- Tak trudno w to uwierzyć.

- Wiem, kochanie - rzekł łagodnie. - Ale przysięgam, że to prawda.

- To lusterko... prowadziło nas? Do siebie?

Daniel skinął głową.

- Nie wiem jak. Nauczyłem się godzić z tym, że los przynosi nam wzorce, ścieżki przeznaczenia, po których zawsze wydajemy się kroczyć. Jak to lusterko. Odkąd kazalem je dla ciebie zrobić, wiąże się z naszymi spotkaniami w nowym życiu. Tym razem... Nie mam pojęcia, jak trafiło tutaj, do tego domu. Do tej rodziny. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ojciec przypuszczalnie znalazł je w jakimś sklepie i przyniósł w prezencie dla matki. Zawsze to robił zaraz po ślubie, kupował jej rzeczy, którymi się nigdy zbyt nie interesowała. Gdy ujrzałem jego opis w inwentarzu, pomyślałem, że to może być nasze lusterko. To jedyny pewnik. I posłałem do ciebie Petera, żeby je odkupił.

- Skoro myślałeś, że to może być nasze zwierciadło - powiedziała powoli Laura - czemu posłałeś Petera? Czemu sam nie przyjechałeś?

- Bałem się - odparł po prostu. - Bałem się, że to jakieś inne lusterko. Że to nie będziesz ty. Po tylu latach bez ciebie bałem się mieć nadzieję. Potem wrócił Peter i gdy opowiedział mi o twojej kolekcji lusterek, wiedziałem, że to ty. To musiało być ty. Oboje jesteśmy i zawsze byliśmy zafascynowani lustrami. Prawdę powiedziawszy, Peter docinał mi trochę

tamtego popołudnia, twierdząc, że pewnie jesteś moją bratnią duszą, skoro też masz obsesję na punkcie zwierciadeł. Daniel zmarszczył nagle brwi.

- Amelia musiała to przypadkowo usłyszeć, bo później, podczas twojej pierwszej wizyty, wspomniała o lusterku. Mogłem się tylko domyślać, że David coś jej powiedział, gdy kazał zbudować labirynt. A może po prostu podsłuchiła moją rozmowę z Peterem. W każdym razie wiedziała wystarczająco dużo, by podejrzewać, że będziesz doskonale odrywać moją uwagę od innych spraw. Tak więc sprowadziła cię do domu.

Po długim milczeniu Laura westchnęła i powiedziała:

- Muszę się dowiedzieć jeszcze jednej rzeczy.

Daniel zrobił krok w jej kierunku; serce mu waliło, znowu bał się mieć nadzieję.

- Czego, kochanie?

- Czy to jest... nasze ostatnie życie, czy tylko następne z kolei?

Daniel uśmiechnął się.

- Nie potrafię przewidywać przyszłości. Widzę jedynie przeszłość. Mogę cię jednak zapewnić, że zawsze żyjemy, jak by to było ostatnie życie, jakie otrzymamy od losu. Bo też może być ostatnim.

Laura odsunęła się od okna i pokonała dzielący ich dystans.

- W takim razie powinniśmy je chyba rozpocząć, nie sądzisz? - powiedziała, patrząc na niego poważnie.

- Lauro...

- Kocham cię. - Objęła go za szyję i wtuliła się weń, a jej uśmiech był tak czuły, że Danielowi omal nie stanęło serce. - I chcę, aby to życie było najlepszym, jakie kiedykolwiek przeżyliśmy.

Pochylając głowę i dotykając ustami jej warg, Daniel nie miał co do tego żadnych wątpliwości.